dlaczego
rozmawiać
z ludźmi
z Nowej
Huty?

bo warto

stopka

Wydawca: Małopolski Instytut Kultury
Rynek Główny 25, 31-008 Kraków
tel. 12/ 422 18 84
www.mik.krakow.pl

Koncepcja „Księgi" i ostateczna redakcja - Łucja Piekarska-Duraj
Koncepcja graficzna i skład - Marcin Klag
Korekta - Aleksandra Wojda, Małgorzata Widła

Koncepcja i realizacja prac
(nabór do grupy poszukiwaczy, warsztaty, debata):
Antoni Bartosz - koordynator (bartosz@mik.krakow.pl)
Łucja Piekarska-Duraj (piekarska@mik.krakow.pl)
Monika Szmyt
Marzena Wiśniak

Eksperci:
Andrzej Bukowski - socjolog
Maciej Miezian - historyk sztuki
Antoni Bartosz - literaturoznawca

© Małopolski Instytut Kultury w Krakowie – Kraków 2005

Publikacja jest elementem projektu „nowa_huta.rtf" (relacje, teksty, forma). Projekt jest częścią międzynarodowego przedsięwzięcia pod nazwą „Dziedzictwo. Pamięć. Społeczność lokalna" realizowanego przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej w ramach Programu Kultura 2000.

Niniejsza publikacja wyraża jedynie zawarte w niej opinie autorów. Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za ich wykorzystywanie.

Culture 2000

CCR Cultural Centres - Historic Monuments EUROPEAN NETWORK

małopolski instytut kultury
Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego

ISBN 83-917443-4-5

nowa_huta

księga uwolnionych tekstów

projekt

nowa_huta.rtf
relacje teksty forma

Małopolski Instytut Kultury w Krakowie

O Księdze

To nie jest zwyczajna książka,

choć spotykają się w niej zwyczajni ludzie.

Wyróżnia ją sposób powstania oraz materia.

W styczniu 2005 ogłosiliśmy nabór do grupy „poszukiwaczy prawd o Nowej Hucie". Wybraliśmy siedem osób. Przez trzy miesiące, podczas serii warsztatów, zespół budował mapę myślową Nowej Huty, ćwiczył sztukę prowadzenia rozmowy, doskonalił umiejętność zapisu. W kwietniu i maju przeprowadził czternaście długich rozmów z ludźmi z Nowej Huty, dobranymi subiektywnie, choć nie przypadkowo.

Tak powstała „Księga Uwolnionych Tekstów", która wydobywa bezcenną perspektywę: spojrzenie mieszkańców! Ich wizja rzeczy, bogata w osobiste historie, wyobraźnię, emocje, przemyślenia, jest niezwykłą wizytówką tej szczególnej dzielnicy Krakowa.

Ich dzielnicy!

Fakt, że zaistniała taka rozmowa, jest tu najważniejszy. Być może sztuka pogłębionego dialogu jest dobrym początkiem do tego, by ludzie poczuli się u siebie dobrze?

Więcej o projekcie „nowa_huta.rtf",

zob. strona http://www.mik.krakow.pl/nowa_huta.html

Rozmówcy

Marianna Zając
– urodzona w Czyżynach – jednej ze wsi, na terenie, których zbudowano Nową Hutę

Franciszek Szafraniec
– listonosz

Augustyn Mirga
– romski muzyk, kierownik muzycznego zespołu „Lajkonik”

Mateusz Kardas
– rocznik 1937, obserwował od początku, jak powstawała Nowa Huta na terenie „starego świata”

Lech Miodyński
– slawista, wykładowca akademicki

Roma Piejko
– studentka polonistyki i filozofii

Bogdan Zalewski
– dziennikarz radiowy

Marcin Kostera
– zawodnik nowohuckiej drużyny piłkarskiej „Hutnik”

Eugeniusz Skomorowski
– chemik, rodem ze Stanisławowa

Rozalia Skomorowska
– chemik, rodem z Sokolnik koło Lwowa

Ewa Kaproń
– urzędniczka Stanu Cywilnego w Nowej Hucie w okresie PRLu

Waldemar Cichy
– kierownik klubu osiedlowego „Jędruś” w Nowej Hucie

Hania Tucznio
– licealistka

Niki Wiecheć
– Greczynka, pracownica Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Nowej Hucie

Bożena Kutrzeba
– działaczka społeczna, prowadzi Nowohuckie Centrum Informacji

Bogumił Godfrejow
– autor zdjęć filmowych, od niedawna mieszkaniec Nowej Huty

Piotr Wołkowski
– student ceramiki

Sebastian Wacięga
– student europeistyki

Barbara Rostek
– studentka filmoznawstwa

Antoni Łapajerski
– zarządca nieruchomości banku

Ewa Dębska
– studentka socjologii

Jacek Dargiewicz
– student socjologii

Aleksandra Ziemba
– licealistka

Anna Miodyńska
– geolog

Instrukcja obsługi

Można czytać Księgę, podobnie jak Nową Hutę, na wiele sposobów.

Pierwszy jest prosty: wybierają Państwo rozmowy i czytają je po kolei tak, że każda stanowi odrębną całość. Rozmowy są ilustrowane „tekstami pobocznymi": znajdą więc Państwo różnego rodzaju dokumenty, a także współczesne zdjęcia, dzięki którym można poznać twarze Rozmówców.

Drugi sposób pozwala na lekturę Księgi według słów-kluczy (zobacz lista na stronie 218). Przy rozmowach zaznaczyliśmy je na marginesie, podając wszystkie miejsca w Księdze, w których występują.

Jest i trzecia możliwość czytania Księgi. W rozmowach pojawia się sześć obszarów tematycznych. Można spojrzeć na Nową Hutę poprzez jeden z nich: „Czas, barwa, dźwięk", „Ja i moje miejsce", „Nazwy", „Twarz, którą pamiętam", „Materia", „Praca". (Obszary te są zaznaczone zielonym kolorem na marginesach).

Fragmenty dzienników terenowych (prowadzonych przez uczestników w trakcie projektu) są komentarzem lub rozwinięciem głównej rozmowy.

Księga ma duże marginesy – zachęcamy do zagarnięcia tej przestrzeni na zapisywanie swoich komentarzy.

Inne sposoby czytania Księgi czekają na odkrycie, podobnie jak wiele tekstów czeka, żeby je uwolnić.

Niech żyje wolność. Niech żyją ludzie. Niech żyją teksty.

Z dzienników terenowych

Nowa Huta to przede wszystkim ludzie tu żyjący oraz ich historie. Czasami zwykłe, bądź nawet nudne. Zawsze są jednak ludzie. To oni nadają znaczenie przestrzeni nowohuckiej. To ich historie budują nowohucką rzeczywistość. (ED)

Z zielnika Łąk Nowohuckich

DZIKI BEZ CZARNY

Na rozgrzany olej wrzucić kwiatostan, wcześniej zanurzony w cieście naleśnikowym. Czarne owoce posiadają jedną z największych zawartości witaminy C, dlatego robi się z nich soki i wina lecznicze. Stosować przy przeziębieniach.

(AZ)

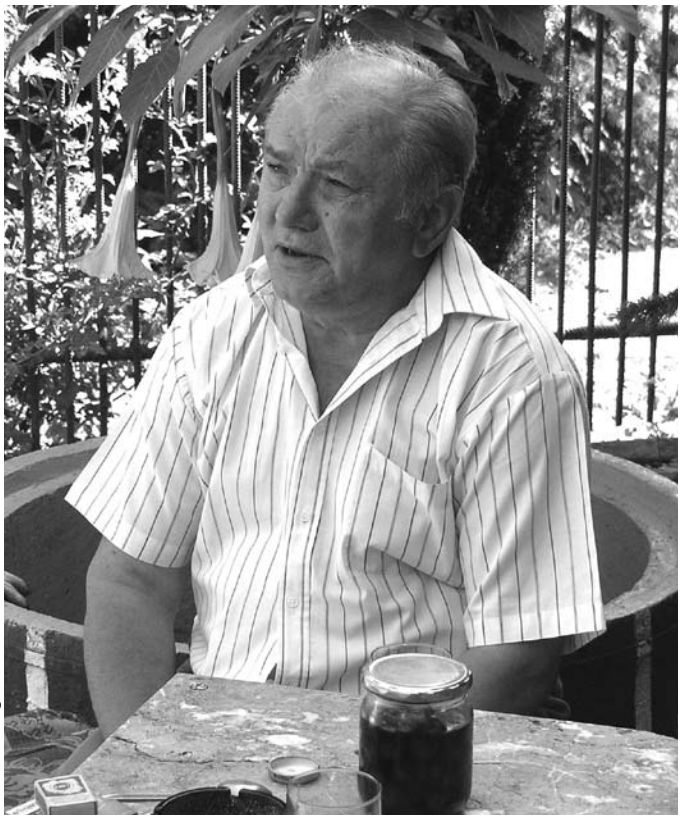

fot. Marcin Klag

Mateusz Kardas

Sielanka – jak pisze Ewa – jest pierwszym słowem, jakie przychodzi na myśl, kiedy jest się z wizytą u Pana Kardasa. Po sadzie chodzą kaczuszki, których pilnuje pies, drzewa uginają się pod ciężarem owoców, obok szumi zboże na polu. Dom ma prawdziwą powałę, po gospodarstwie widać dawną świetność, ale także pewne niedostatki: wanna stoi w ogrodzie, kanalizacja też nie jest doskonała. Ale niepokój, który pojawia się po paru godzinach rozmowy z panem Mateuszem ma jednak inne źródło niż tego typu błahostki: gospodarz prezentuje bardzo spójną wizję świata, w którym wiele rzeczy nie działa właściwie, co gorsza, nie ma raczej nadziei na poprawę.

Mateusza Kardasa odkrył Antoni Łapajerski przy okazji tropienia huckich kapliczek. Na Zakarniu są aż dwie: jedna z nich stała kiedyś tam, gdzie wybudowano Kombinat, więc została przeniesiona. Antoniemu bardzo zależało, żebyśmy spotkali się z człowiekiem, który, podobnie jak kapliczka w jego sadzie, łączy różne epoki. I rzeczywiście jego głos brzmi bardzo wyraziście, choć być może nie poczucie sielanki jest tym, co zostaje czytelnikom w głowie najdłużej.

Z dzienników terenowych

Tramwaj linii 15. Przeglądam scenariusz, kartkuję przewodnik, próbuję nie zasnąć. (…)

Mijam stary drewniany kościół, potem cystersów i wkraczam w zupełnie inny świat. Działki pracownicze o nazwie „Przodownik" są wdzięcznym wstępem do tego, co za chwilę odkryję. Zaczyna się prawdziwa wieś: kury, kaczki i psy. (…)

Wieś w mieście, miasto we wsi. Mogiła była tu od zawsze. (…) Kombinat kradnie perły, które nad ranem wisiały każdej wiosny na kwiatach czereśni. (…) To jest sielanka, to jest wieś. Jest niedziela, więc nawet powietrze zdaje się lenić. Gdzieś w oddali widzę konie. Na horyzoncie, jak fatamorgana wyrasta Kombinat. (…) Przeżywam hiperwentylację. To zdecydowanie wina świeżego powietrza. (…)

Siadamy w sieni. Na stole cerata, w wazonie wiązanka sztucznych kwiatów. (ED)

Rozmówca: **Mateusz Kardas**
Prowadząca rozmowę:
Ewa Dębska

Rozpacz i oszustwo

Spotkanie pierwsze

fot. Marcin Klag

ED: Czy mógłby mi Pan opowiedzieć o początkach? Jak się Pan wychowywał tutaj?

MK: To były początki w mojej świadomości bardzo miłe, bo byłem dzieckiem jeszcze. Wydawało się, że coś dobrego się tutaj dzieje – budowa miasta. Później jednak zacząłem odczuwać coraz bardziej złe strony tej budowy. Było słychać rozpacz wysiedlanych ludzi dziwiących się, że władza nie poczeka, aż to zboże na polach będzie zebrane. Brakowało tydzień czasu. Wjeżdżano i niszczono plony.

ED: Czy w Mogile również wywłaszczano rolników?

MK: Bardzo wielu, w Pleszowie, w Mogile. W tym czasie istnieli tzw. kułacy – jak w Związku Radzieckim. I kułaka obciążano większymi podatkami gruntowymi, większymi dostawami żywca, zboża, za zupełne grosze. Wywłaszczenie wyglądało w ten sposób, że jeżeli zabierano kułakowi jakąś ilość hektarów, to otrzymywał za to procentowo mniejsze pieniądze. Często ludzie tych pieniędzy nie brali, bo to była śmieszna cena. Czym właściciel miał więcej, tym mniej mu procentowo płacono za tę ziemię.

A były to piękne ziemie.

Przez wiele lat pisano, że Mogiła i okoliczne ziemie (Krzesławice, Bieńczyce i tereny na których powstała Huta im. Lenina) to nieużytki. To było bezczelne oszustwo propagandowe. Wystarczy zapytać tych starszych ludzi, sięgnąć do historii, do archiwów różnych, żeby się przekonać, że to były najlepsze ziemie w Polsce. Lepsze jak w Poznańskiem, lepsze jak na Kujawach nawet. Piękne ziemie, urodzajne.

ED: Czy Huta wdzierała się w Pana przestrzeń?

MK: Bez wątpienia tak. Wszyscy to czuli. Generalnie sama Huta, bo Kombinat był na czystych polach, tam nie wysiedlano. Jeżeli chodzi o osiedla, to domków wysiedlono niewiele. To wkradanie odczuwało się zupełnie inaczej. Tak namacalnie, fizycznie, bezpośrednio, to myślę, że tego ludzie nie czuli.

Ale psychicznie – źle się myślało o tej Hucie. Źle ze względu na straszliwy luz młodzieży, straszliwą demoralizację.

ED: Tych, którzy przyjeżdżali tutaj budować?

MK: Tak. Przecież o Nowej Hucie mówiono przez długie lata „murowana wieś". Może przez lata zmieniło się wiele, zmieniła się świadomość ludzi w Nowej Hucie, młodzi nie pamiętają tego wszystkiego. Wraz z budową Nowej Huty rozpanoszył sie bezgranicznie

rozkład moralny,

no i strach przed rozbojami junaków – Służby Polsce – rzeczywiście psocili, bardzo dużo było pobić, napadów.

ED: Ja słyszałam, że mieszkańcy nie lubili junaków, bo kradli warzywa z pól.

MK: Kradli, wszystko kradli. Pamiętam, jesienią kanał tutaj budowali. Zasypywano rzeczkę. Piękną rzeczkę! Z czterema młynami. Myśmy się zawsze pluskali w tej wodzie, staw niedaleko, żabki rechotały. Ta rzeczka to była radość! A później te dymy. Osuszono ziemię. Do nas Służba Polsce to do sadu w biały dzień przyszła, trzeba było się w domu zamknąć, bo by wszystkich pobili.

Ziemia → Waldemar Cichy, pp. Skomorowscy, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Augustyn Mirga

Rozpacz → Marianna Zając, Roma Piejko

Demoralizacja → Waldemar Cichy, Ewa Kaproń

Szczęście w nowym mieście

MK: Czy Pani sobie wyobraża na tych budowach w Hucie dziewczyny w gumiakach, kufajkach, schlapane wapnem itd. itp.?

ED: One też przyjeżdżały budować?

MK: Tak, było ich bez wątpienia około 30% wszystkich budowniczych. Brak mechanizacji w budownictwie zmuszał do pracy ręcznej, np. wykopy pod fundamenty bloków robiono łopatami.

ED: Czyli to była ciężka praca?

Cegły → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń, Marianna Zając

MK: Na początku nosiły na plecach cegłę i inne materiały budowlane, to wszystko kobiety robiły. I proszę sobie wyobrazić, były z życia zadowolone.

ED: Może dlatego, że mogły wyrwać się z domu?

MK: Może. Straszna była bieda na wsi. Tu się czuły szczęśliwe.

ED: Pewnie też propaganda, którą karmiono tych młodych ludzi, zrobiła swoje. Mówiono im, że budują nowe, lepsze miasto.

Demoralizacja → Waldemar Cichy, Ewa Kaproń

MK: I to była propaganda bardzo płytka, ale skuteczna. Myślę o warunkach mieszkaniowych sprzyjających swobodzie w sferze prywatności, bo mieszkano wspólnie z mężczyznami. Obok centrum Nowej Huty, znajduje się kilkanaście hektarów łąk. Po skoszeniu siana postawiono kopy. Było ich paręset. Do rana każda kopa była rozdeptana. Świadczyło to o ogromnym luzie moralnym. Tak te parki sobie tam buszowały. Ale gorsze to były zbiorniki z wapnem, służące do budowy. W tych zbiornikach niestety znajdowano utopione niemowlaki. Było też obok wysypisko śmieci, na którym często znajdowano zwłoki dzieci zawinięte w gazety. Takie rzeczy się niestety działy.

ED: Czy to działo się z biedy?

MK: To się działo z nadmiernego luzu w życiu intymnym. Przypuszczam, że ówczesnej władzy na tej demoralizacji zależało, co służyło za przynętę do naboru ludzi przy budowie Nowej Huty. Nawet groźba epidemii choroby wenerycznej nie powstrzymała władzy od tego systemu kuszenia ludzi do pracy.

Praca

ED: A Pan tutaj ma pole? Pracował Pan tutaj jako młody chłopak jak Huta się budowała?

MK: Tak.

ED: To zupełnie inna praca niż w przemyśle. Inny rytm. Wyznaczany przez pory dnia, roku.

MK: W pracy w gospodarstwie musiałem pomagać. To było umaszynowione gospodarstwo, dosyć duże, dobrze prosperowało, ale tylko do 1945 r. A po 1945. ojciec został tzw. kułakiem, stąd te obciążenia finansowe, dlatego nie mógł pozwolić sobie na płatną pomoc do pracy w tym gospodarstwie i dlatego też małe dzieci były zmuszane do pomocy. Myślę, że podobna sytuacja była u wielu milionów gospodarzy w Polsce. To właśnie oni od rana do nocy tyrali, zmuszeni do obowiązkowych dostaw zboża, żywca, po to, by właśnie robotników karmiono tanią żywnością.

Ja całe dzieciństwo i rodzinę przypominam sobie z przyjemnością. Ale do chwili, kiedy jako młody chłopak pojąłem, że budżet domowy pod naciskami podatków się kurczy. Dopóki z kombinatu kominy nie zaczęły dymić, mieliśmy nad Krakowem i nad całym obszarem

miliony gwiazd,

Ja i moje miejsce

Ryby → Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel

nie było miejsca na niebie bez gwiazd. Mieliśmy czyste strumyki, rzeki i czyściutką Wisłę. Dymy z tych kominów przysłoniły wszystko. Wisła zatruta, pamiętam płynące przez kilka dni ryby do góry brzuchem. Naprawdę ta przyroda była żywa i piękna. Proszę sobie wyobrazić, jak te ptaszki, siedzą i te swoje trele na gruszy wyśpiewują.

ED: Jak już jesteśmy przy dźwiękach, to chciałam zapytać, czy słychać jakieś miastowe odgłosy?

MK: Oj, takie piszczenie, że idzie zwariować. Jak z pieców wywożono w tych tyglach surówkę gorącą. Łuna.

ED: To jak zorza polarna musiało wyglądać.

MK: Z tym wyziewem paskudnym, z tą siarą, dziękuję za taką zorzę (*śmiech*). Niemiłe te widoki, zabiły przyrodę.

ED: Czyli dźwięki i barwy tutaj są zupełnie inne niż te huciane.

MK: No, tu ptaki…

ED: …a tam maszyny?

MK: Maszyny. To jest ta różnica. Smrodzące maszyny.

ED: A jak wyglądają pory roku w Mogile? Ma Pan jakąś ulubioną?

MK: Jak wszędzie. Wiosna. Przyroda się budzi, wszystko się budzi, i człowiek się budzi po zimie. Zima jest tu urocza, jeżeli jest taka prawdziwa zima, chociaż kłopotliwa, to coś pięknego. Jak ten szron wyrzeźbi każdą gałązkę. A człowiek walczy z naturą, a to przecież jest coś trwałego. No przecież od zarania dziejów człowiek został poddany tym samym prawom, co całe otoczenie przyrodnicze. Cywilizacja techniczna odsunęła ludzi od natury. Traci się sens własnej egzystencji.

Sens → Roma Piejko, Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Bogumił Godfrejow, Lech Miodyński

ED: Mówił też Pan o rzeczach utraconych (zanim zaczęłam nagrywać rozmowę). To było bardzo piękne. O tych kroplach rosy, które wyglądały jak perły.

MK: Tu nie było przemysłu, jako takiego, w Krakowie tylko drobny przemysł – Solvay – tam, gdzie papież pracował. I Huta przyszła, małpa (*śmiech*). I skradła to wszystko.

ED: Czyli o samej Nowej Hucie mógłby Pan powiedzieć, że jest to Pana miejsce?

MK: Nie. Mogiła to moje miejsce.

ED: A co zniknęło z Mogiły?

MK: No zniknęła mi rzeczka i to wszystko, o czym wcześniej wspominałem. Zniknął też mi ten piękny widok z kopca Wandy.

Koń pływa ślicznie

ED: Brakuje Panu tej sielskości, która była tu przed powstaniem Huty?

MK: Na pewno tak, teraz wszystko jest szare. Tu jest kawałeczek do Wisły. Jakieś 400 m, może 500. No to było wspaniałe, pluskanie się w Wiśle. Pod Wawelem była plaża,

złote piaski.

ED: Jak w Bułgarii.

Konie → Marianna Zając, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec

MK: Tak. I rzeczywiście, oblegali ludzie te nadbrzeża Wisły. Woda czyściusieńka była. Ja jeszcze tę przyjemność miałem, że mogłem sobie na koniu popływać.

ED: Jak to, na koniu popływać?

MK: No, koń wspaniale pływa.

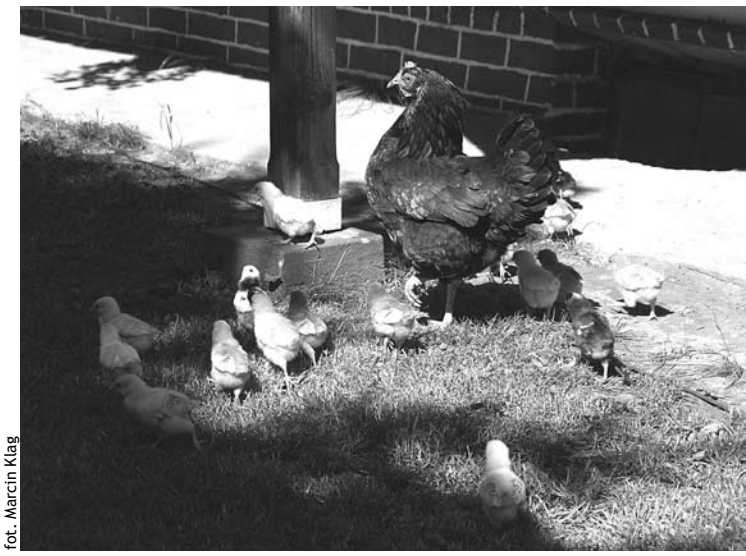

fot. Marcin Klag

fot. Marcin Klag

ED: I Pan wchodził po prostu z koniem do Wisły i koń pływał?

MK: Jak Batory po Bałtyku (*śmiech*).

ED: To proszę mi opowiedzieć, jak się pływa na koniu.

MK: No przepięknie, koń pływa ślicznie. Ta Wisła, w zależności od przypływów i odpływów, była różna, ale czyściutka woda. Nie była głęboka, koryto w najgłębszym miejscu mogło mieć 2 m. Jak się koń cieszy, jak pływa, aż uszy postawi. Niech Pani sobie wyobrazi tę młodzież piszczącą, cieszącą się w czystej wodzie. To nie jest basen, wie Pani, co jest w basenach. I to pływanie, te zabawy, ta piłka na wodzie. I za parę lat jestem nad Wisłą. Wisła już spiętrzona, bo dla tego Kombinatu woda potrzebna, więc zbudowali zaporę, żeby wodę spiętrzyć i w bok, do zbiornika potrzebnego hucie, Lenina jeszcze wtedy. I potem płynące przez 3-4 dni ryby do góry brzuchem. Woda już brudna, już uruchomili pierwszy spust zakładów chemicznych w Oświęcimiu. Od takich karpi do różnych okoni, wąsaczy, sumów – gatunków różnych było dużo. W odległości 30 cm, do góry brzuchami. Płynęły, płynęły, płynęły. Wszystko, tak wolniutko woda szła.

ED: Jak to jest z Krakowem w stosunku do Nowej Huty? Czy istnieje przepaść, a może te dwa miejsca już się ze sobą zrosły?

MK: Ja myślę, że to się trochę zabliźnia, bo czas zrobi swoje. Coraz więcej ludzi jest tu wykształconych. Gdzieś ta przepaść się wyrównuje, choć myślę, że starzy krakowianie nie zaakceptowali Huty. Może ci młodsi?

ED: A lubi Pan stąd wyjeżdżać?

MK: Ja w ogóle lubię podróżować. I może dlatego wydaje mi się, że odróżniam piękno od brzydoty, widziałem przecież różne fabryki na Zachodzie, a jednak otoczenie przyrodnicze jest zdrowe i tętni życiem.

ED: Czy tu tkwią Pana korzenie?

Ja i moje miejsce

MK: Dziadkowie moi kupili tę ziemię. To już będzie ze sto lat. Czuję, że moje korzenie są też tutaj.

ED: Co zdecydowało o tym, że Pan wrócił?

MK: Jak wspomniałem wcześniej, moja rodzina była bardzo stabilna, dosyć duża, istniała w niej miłość. Obecny stan tego gospodarstwa był jeszcze znaczny tak, że ze względu na wiek ojca istniała groźba przejęcia tego gospodarstwa przez Urząd Dzielnicowych Rad. Dlatego, kierując się sentymentem do rodziny, było mi żal, by praca moich przodków została zrabowana. Tu jest taki kącik. Mało samochodów na szczęście. A jednak te kominy, które widać za stodołą, szpecą.

ED: A skąd nazwa ulicy: Zakarnie?

Nazwy

MK: Tak do końca to nie wiem, domyślam się, że nieudolność, ówczesnej administracji czyniła takie buble.

ED: Czy nazwa powinna oddawać charakter miejsca?

MK: Tak. Wolałbym, żeby się ta ulica nazywała jakoś przyjemniej. A przy odrobinie wyobraźni możnaby tę ulicę nazwać inaczej, ładniej. Wyszedł jednak radny dzielnicy, jednoosobowo nazwał ulicę bez konsultacji z mieszkańcami.

ED: Czy według Pana nazwa wpływa jakoś na świadomość mieszkańców?

MK: A myśli Pani, że nie?

ED: Nie wiem. Pytam Pana.

MK: No, na pewno.

fot. Marcin Kląg

ED: A jacy są ludzie tutaj, w Mogile?

MK: Różnią się ludzie, jak wszędzie.

ED: Gdy myśli Pan „Nowa Huta", to czyją Pan widzi twarz? Widzi Pan siebie w Nowej Hucie?

MK: Absolutnie nie. No, chyba z Leninem. No bo z czym? Przecież z żadnym wieszczem…

ED: A Matejko?

MK: Nie, to Kraków. Matejko z Hutą?

ED: No, jest przecież dworek.

MK: W Krzesławicach, ale to nie jest Huta.

ED: Przecież uznaje się je za część Huty.

MK: No, nie jest wrodzona.

ED: A gdyby miał Pan sobie wyobrazić Nową Hutę jako człowieka, to kto by to był? Mężczyzna czy kobieta? Ktoś starszy czy ktoś młodszy?

MK: Przeróżne skojarzenia. Niektóre mogą być ordynarne. Jeśli chodzi o mężczyznę, to chyba tak, jak widziałem takie pomniki radzieckie. Muskularnego, w kapeluszu, nalewającego surówki.

ED: Czyli takiego hutnika?

MK: Tak. Nic pięknego.

ED: To kiedyś. A dzisiaj? Kto to by był? Kobieta po przejściach?

MK: Myślę, że nie zawahałbym się tego użyć:

kobieta po przejściach.

Jeżeli mowa o kobiecie po przejściach, tak to sobie można wyobrazić: ja najpierw postoję sobie trochę na ulicy, a później będę porządną matką. Jeżeli te dwie rzeczy da się pogodzić i uznać to za coś pozytywnego.

ED: Wiem, że w Nowej Hucie osiedlili się również Cyganie, Grecy.

MK: Cyganów było sporo. Nie dali się okiełznać na początku. Dostali dosyć porządne mieszkania. Porządne, jeśli były takie. Ale jak oni dostali blok z parkietem na przykład, to zrywali ten parkiet i palili ognisko. Było takie zdarzenie. Otworzyli balkonowe okno i palili sobie ognisko w domu. A rozboje były na porządku dziennym. Cyganie się bili, SP się biło.

ED: A Cyganów postrzegano jako kogoś innego? Czy Huta była taką zbieraniną różnych ludzi, że nie miało to znaczenia?

MK: Na niektóre rzeczy patrzono przez palce, ale inne przyciskano.

ED: Czyli dla Cyganów to było dobre miejsce?

MK: Dosyć dobre. Niewiele ludzi wie, że w okresie początku socjalizmu sowieckiego przeciwnicy tego ustroju wyrażali jak gdyby bunt poprzez swoje ubiory. Powstała nawet podwórkowa piosenka pt. „Dżoler"

Dżoler buty ma zamszowe

I skarpety kolorowe

Wąskie spodnie niby gacie

Tłusta plama na krawacie

Więc takie buty były – piętrówki, spodnie tak po kostki, skarpety w prążki.

O tym, że Nową Hutę zbudowano na chłopskiej krzywdzie, wie każdy. Ustrój komunistyczny miał zadowalać w pierwszym rzędzie wielkoprzemysłową klasę robotniczą, a takiej w powojennej Polsce nie było (podobnie zresztą, jak w innych krajach, gdzie zapanował socjalizm). Należało tę klasę stworzyć, a proces ów sfinansować mieli chłopi, których Lenin szczerze nie lubił.

W opowiadaniu Pana Mateusza – syna dawnego „kułaka" – widzimy realizację tego pomysłu w całej jego przerażającej prostocie. Władza, by urzeczywistnić swoje utopie, zabierała wiejskie tereny, nikogo nie pytając o zdanie. Zgodnie z hasłem „grab zagrabione", przejęła ziemie kościelne na podstawie dekretu „o dobrach martwej ręki". Majątki dworskie skonfiskowała poprzez reformę rolną, zaś rolnikom odebrała pola, płacąc jedynie symboliczne odszkodowania i to tym mniejsze, im więcej ziemi posiadali. Wielu z nich do dziś nie odebrało tych pieniędzy z kasy – po tak znikome sumy nie opłacało się fatygować. Nic dziwnego, że Pan Mateusz nie darzy Nowej Huty ciepłymi uczuciami.

Sam przyznaje, że początkowo i on dał się porwać entuzjazmowi „nowych dni", prenumerował nawet „Kraj Rad". To propagandowe pismo, wydawane na kredowym papierze z pięknymi, kolorowymi zdjęciami, nie miało wówczas żadnej konkurencji na rynku prasowym. Robiło ogromne wrażenie i trzeba było czasu oraz własnych doświadczeń, by ludzie przekonali się – jak Pan Mateusz – co naprawdę znaczy „materializm historyczny" i „sprawiedliwość dziejowa".

Tym, co oburzało Pana Mateusza, wychowanego w tradycyjnym, wiejskim świecie, opartym na poszanowaniu wartości, była wszechogarniająca demoralizacja, tak charakterystyczna dla początków istnienia Nowej Huty. „Wielka migracja przemysł budująca" – pisał Adam Ważyk w „Poemacie dla dorosłych" – „Nieznana Polsce, ale znana dziejom / Żyjąca z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom". W żadnym z wywiadów nie ma tylu opisów ówczesnego barbarzyństwa, co w wierszu Ważyka, napisanym wkrótce po śmierci Stalina. Pan Mateusz stykał się z tym barbarzyństwem na co dzień. Pamięta bandy junaków SP rabujące sady i obejścia, wyzwolone spod opieki wiejskie dziewczyny wyrzucające niechciane dzieci do dołów z wapnem czy na wysypisko, powszechne pijaństwo, bójki, zwierzęta trzymane w piwnicach bloków i na balkonach, a także węgiel składowany w wannach i ludzi, którzy obok myli się w miednicy.

Temu światu, o którym Pan Mateusz chciałby zapomnieć, przeciwstawia się urok dawnej wsi: kąpiele w Wiśle, wtedy czystej i znacznie płytszej, praca w polu, zwykły rytm gospodarskich zajęć. Zderzenie tych dwóch światów czyni relację Pana Mateusza szczególnie ciekawą.

Maciej Miezian

ED: To byli bikiniarze?

MK: Coś w rodzaju bikiniarzy. Władze były wściekłe.

ED: I to było widać w Nowej Hucie?

MK: Oj, sporo było bikiniarzy w Nowej Hucie. No, to różne historie były. Ta demoralizacja zniszczyła niejedną kobietę. Powiem Pani taką historyjkę, kiedy to już

pod groźbą szerzącej się choroby

zaczęto wprowadzać dyscyplinę poprzez wypędzanie mężczyzn od kobiet po godzinie 22. Wtedy to te panie wciągały swoich ulubieńców do pokoi przez okna balkonowe na sznurach. Był przypadek, kiedy to panie wpuściły wiadro na sznurze po swoich panów. Wtedy to do wiadra wsiadł bezmyślnie milicjant. Kobiety podciągnęły go do poziomu balkonu, zobaczyły, że to milicjant, wiadro upuściły. A milicjant połamał sobie nogi. Takie rzeczy się działy.

ED: Czy Nowa Huta to Pana miejsce na ziemi?

MK: Nie.

ED: Mogiła jest Pana miejscem?

MK: Tylko.

ED: Czyli Mogiła nie jest częścią Nowej Huty?

MK: Nie jest częścią, nie była i nie będzie. Może następne pokolenia tak powiedzą. Nie wiem, czy zwróciła Pani uwagę na moją tablicę na bramie. Kiedyś rozesłano takie pisma, gdzie straszyli grzywna wysoką, żeby zmieniać tablice na domu. Nie reagowałem na to. Zamówiłem sobie na bramę tablicę, no bo jest potrzebna. Tam nie pisze: „Kraków – Nowa Huta", tylko pisze: „Kraków – Zakarnie 3". Nie napisałem Nowa Huta na tablicy, na potwierdzenie, że nie jest to część Nowej Huty.

Demoralizacja →
Waldemar Cichy,
Mateusz Kardas, Ewa Kaproń

Spotkanie drugie

ED: Proszę opowiedzieć, jak według Pana będzie wyglądać przyszłość Nowej Huty?

MK: Myślę, że wyjdzie z czasem z tej złej opinii. Mam na uwadze tę czarną plamę na mapie Polski, jaką była Nowa Huta. Jednak to ciąży, że było to miasto na bazie socjalizmu sowieckiego. A młodzież już nie wie, jak to było.

ED: Myśli Pan, że tak, jak kiedyś ludzie przyjeżdżali do Nowej Huty, tak teraz będą stąd wyjeżdżać?

MK: Ci, co mają tu mieszkania, to co mają zrobić? No, mogą zamieniać. Gdyby przyszła jakaś władza, która by coś chciała dać od siebie, to myślę, że teren Kombinatu można by stopniowo zagospodarować. No nie wiem, może sadzić pieczarki w tych halach?

ED: A czym dla Pana jest materializm historyczny?

MK: Wyrzucam to od razu. Nie pochopnie. Na początku mi się to trochę podobało, jak te domy rosły. Prenumerowałem swego czasu „Kraje Rad". Obserwowałem. Piękna sprawa:

papier kredowy, kolorowe dziewczyny, piękne traktory, kombajny.

Myślę, że ta propaganda niejednego wzięła, gdy się ktoś w porę nie zorientował. Wtedy dekretami nadawano kobietom równouprawnienie. Co było największym nieszczęściem dla kobiet.

ED: Równouprawnienie?

MK: Kobiety wtedy szanowano ogromnie – ale pozornie, pozornie.

fot. Marcin Klag

ED: Dlaczego pozornie?

MK: Praktycznie zupełnie inne rzeczy się działy. Niszczyły sobie życie przez tę wolność. Nie słuchały matek. Takie sytuacje, jak aborcje. No to była na os. Stalowym taka kobieta – to 12-13 kobiet dziennie, ona sama w tym mieszkaniu.

PRACA

ED: A czy jest według Pana praca, która niszczy człowieka?

MK: Bez wątpienia. Gdyby Pani była na niektórych stanowiskach, na koksochemii… Huta miała sporo ośrodków wypoczynkowych, żeby zregenerować siły. Tylko najczęściej regenerowali siły ci, którzy byli trochę wyżej.

ED: A nie ci, którzy najciężej pracowali?

MK: No, tak się dzieje. Każda huta niszczy. Zapylenie, huk. Żeby skonfrontować: przez kilka lat przejeżdżałem za granicą koło cementowni i od razu obok była gipsownia, żadnych zniszczeń, ukwiecona, jakby świeżo malowana. Od naszej cementowni to w promieniu 5-6 km, jak zboża rosły, to były zacementowane. Pył siadał na zbożach, potem przyszła rosa czy deszcz, to pył cementowiał. Więc normalnie beton. No nie aż tynki na ścianie, ale to było bardzo uciążliwe. Młócili to ludzie.

Węgiel w wannie

ED: Jak mieszkano w Nowej Hucie?

MK: Gumiaki stoją w przedpokoju, kufajki, ale jest ten człowiek szczęśliwy. Węgiel w wannie, króliki w piwnicy w bloku. Takie rzeczy przecież były na początku.

ED: Czy to nie są stereotypy?

MK: W piwnicach te króliki na pewno były, ja tu nie przesadzam, nie kieruję się uprzedzeniami. O śwince nie wiem na pewno, ponoć też. Węgiel w wannie to było normalne. Ja bym sobie ten węgiel, no nie wiem, w pokoju, w piwnicy trzymał. Wiem, że masowo węgiel był w wannach, bo piece były węglowe.

ED: To gdzie ludzie się myli?

MK: Myli się w miedniczkach, nie inaczej. Świadomość była zupełnie inna. Myśleli, że mają klejnot, a mieli kamień zwykły.

CZAS, BARWA, DŹWIĘK

ED: Czy Mogiła jest w innym kolorze niż Nowa Huta?

MK: Absolutnie. Są bardzo daleko od siebie. Mogiła nie była ubrudzona, skalana tym ORMO, tak jak Huta.

ED: A czy są miejsca, które kojarzą się Panu z konkretnymi barwami, dźwiękami bądź smakami?

MK: Odpusty. Głośne mogilskie odpusty. Tygodniowa radość.

ED: Te odpusty nadal się odbywają?

MK: Są, zwykle we wrześniu, od 14 do 21 września. Ale już nie takie. Nie z taką pompą.

ED: A jak to wyglądało dawniej?

MK: Na tę świątynię to szły całe kampanie ludzi. Parenaście tysięcy ludzi. Z Krakowa, Wadowic. Tyle tych radości, tych karuzeli, tych koników, ptaszki malowane na kółkach, serca z pierników… zakochani to kupowali. Ojej, i ogóry w beczkach, placki z serem – takie podpłomyki, pieczone na blasze albo w piecu chlebowym. Dziś się robi doktoraty z pieczenia chleba. A te babcie nie potrzebowały tego.

Życzyłbym Pani, żeby Pani spróbowała takiego chleba.

fot. Marcin Klag

Rozalia i Eugeniusz Skomorowscy

Pani Róża pochodzi z Sokolnik koło Lwowa, Pan Eugeniusz ze Stanisławowa (to teraz Ukraina, Iwanofrankowsk). Studia rozpoczęli we Lwowie, a po wysiedleniu ukończyli je na Politechnice Gliwickiej, na Wydziale Chemicznym. Do Nowej Huty trafili właściwie przypadkiem: po studiach obowiązywały tzw. nakazy pracy. Prawie 40 lat pracowali na stanowiskach kierowniczych w laboratorium, najpierw w Groszowicach k. Opola, a następnie w Krakowie, w Oddziale Instytutu Mineralnych Materiałów Budowlanych w Nowej Hucie.

Nigdy nie zapomnieli o swoim domu rodzinnym, o swojej małej ojczyźnie, o latach, które zabrała im wojna. Pogodzili się z tym dawno temu, lecz mimo to często wspominają czasy sprzed wojny, opowiadając o nich z wielkim sentymentem. Dla Pani Róży tak naprawdę nie miały znaczenia miejsca, w których mieszkała po wysiedleniu, nie ma znaczenia również Nowa Huta. Patrzy na nią przez pryzmat Lwowa – ukochanego miasta, ciągle żywego w jej pamięci.

Rozmowa Piotra Wołkowskiego z Rozalią i Eugeniuszem Skomorowskimi

fot. arch. pp. Skomorowskich

Rozmówcy:
Rozalia Skomorowska – nazywana „Matką Teresą z Kolorowego". Miłością jej życia jest Lwów (często odwiedza go w snach – przechadza się jego ulicami u boku młodego, przystojnego mężczyzny), ale to nie jedyna jej fascynacja. Oprócz tego nieprzytomnie kocha lotników, cukierenki i wędrownych grajków.
Eugeniusz Skomorowski – zapalony przyrodnik („jaki z ciebie przyrodnik, dziadek, przecież Ty jesteś chemikiem" – śmieje się małżonka). Co roku przylatują do niego szpaki, ma karmnik na balkonie i opiekuje się nimi. Uwielbia góry i Kraków, mniej więcej od momentu, gdy jako dziecko był tu po raz pierwszy.
Prowadzący rozmowę: Piotr Wołkowski

PW: Na początek proszę opowiedzieć, jaką Nową Hutę Państwo zastali i czy zmieniła się ona jakoś na przestrzeni lat?

ES: My na dobrą sprawę wprowadziliśmy się tu już w okresie pewnej stabilizacji [na pocz. lat 60. – PW]. Te baraki, w których mieszkało bractwo od czarnej roboty, nazywano Meksykiem. Tam to po prostu po jakimś czasie w ogóle strach było przejść. Pijaństwo, brak kultury, przestępczość, to wszystko było na porządku dziennym. Nie mówię oczywiście, że nie było tam porządnych ludzi, ale było trochę takiej zbieraniny. Zresztą przychodził pracować, kto chciał i nikt nawet nie pytał, skąd przyszedł czy jak się nazywa. Po jakimś czasie, gdy Nowa Huta zaczęła się rozbudowywać i jak zaczęli ściągać specjalistów, już tych naprawdę wysokiej klasy, to społeczeństwo zaczęło się trochę, powiedziałbym, nie tylko modernizować, ale jakoś uszlachetniać. Zaczęło być po prostu przyjemniej.

Strach → Bogdan Zalewski, Waldemar Cichy, Bożena Kutrzeba-Nikiel

Natomiast to, co się dzieje dzisiaj, to są jakieś nawroty. Powstaje tzw. lumpenproletariat. My to tak nazywaliśmy i dzisiejsza sytuacja jest jakby odtworzeniem tego, co było na samym początku. A wszystko niestety jest wynikiem tego, że ta młodzież teraz nie ma żadnego zajęcia, nie ma perspektyw pracy i zaczyna się chuligaństwo. Czyli sytuacja w Hucie z jednej strony się ustabilizowała w pewnym okresie, a z drugiej strony w tej chwili zaczyna się tworzyć społeczeństwo, które właściwie samo nie wie, kim jest. Ani to proletariat, ani to inteligencja. I Nowa Huta rozmywa się w „nijakości", szczególnie po upadku Kombinatu. Jeszcze pracujący i emeryci żyją starym rytmem, a młodzież? A młodzież, jak widać.

RS: Ja to obserwuję, bo mam tu szkołę, tam szkołę, i te dzieci, zwłaszcza chłopcy, grają w piłkę od rana do 11.00 w nocy. I ja już nie mówię o słownictwie, jakiego używają, nie ja ich tego uczyłam, ale w sumie to jest przerażające i mi strasznie jest szkoda tych dzieci.

ES: W każdym razie ta młodzież dzisiaj jest, ja nie wiem jak w Krakowie, ale w Hucie, ta młodzież jest po prostu…

RS: …ona jest w jakimś sensie zagubiona. Ona jest zagubiona.

…i do dzisiaj kocham lotników nieprzytomnie.

PW: W takim razie co zrobić z tą młodzieżą, jak jej zorganizować czas?

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, Hania Tucznio, Marianna Zając

RS: To jest bolączka dla mnie okropna, bo ja mam wnuki, a pamiętam przecież, jaka młodzież była wcześniej. Trzeba im pomóc, trzeba im po prostu zagospodarować jakoś ten czas, bo każdy młody człowiek musi się wyżyć.

Przed wojną w tych moich Sokolnikach organizowano takie festyny, była kapitalna muzyka i do dzisiaj to pamiętam. I pamiętam jeszcze, że na jednym z takich festynów lotnik poprosił mnie do tańca i do dzisiaj kocham lotników nieprzytomnie! No, proszę Pana! Pan się śmieje, a przeżycie to było dla mnie ogromne. Ja do dzisiaj tym żyję, mając 81 lat.

Sprzed wojny pamiętam jeszcze cukierenki, gdzie się chodziło na ciastka. Cukierenki były cudowne! Młody człowiek szedł, wypił herbatę, zjadł ciastko i takich cukierenek – niech Pan to napisze! – takich cukierenek naprawdę brakuje. Niech to się nie nazywa pub, po co to ma być pub. Nie musi być od razu piwsko. Może być przecież kawa, ciastko, czy tak, jak przed wojną – lemoniada.

PW: Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do tego, co powiedział Pan Eugeniusz. Jest dużo wałęsającej się młodzieży, czasem jest niebezpiecznie. Czy w takim razie ludzie sobie pomagają w jakiś sposób?

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński

RS: Ja może powiem na przykładzie naszej klatki. Tutaj jest 12 rodzin i my tu wszyscy się znamy, jeden drugiemu pomaga. Mnie to nazywają Matka Teresa z Kolorowego (*śmiech*). Proszę Pana, ja Panu powiem, że jak sąsiedzi gdzieś wyjeżdżają, to prawie każdy przychodzi i mi melduje, że jedzie tu i tam, wraca wtedy i wtedy, zostawiają mi telefony, w razie czegoś, gdyby coś się działo, żeby do nich dzwonić. To jest nieprawdopodobne. Więc my w tej klatce jesteśmy zżyci. Jak było włamanie pode mną, złodzieje weszli przez okienko do mieszkania, to policję wzywałam. Sam Pan widzi, że ja się czuję spełniona, ja się czuję potrzebna.

ES: No więc są grupy w Hucie, które się znają, które jakoś ze sobą współpracują, pomagają sobie. Są grupy jakichś znajomości zawodowych, są wspólnoty sąsiedzkie, nie można powiedzieć, że wszędzie się dzieje źle. Ale jako całość, to nie ma tej spójności, jaka kiedyś była.

PW: A jakie były relacje w pracy?

Praca

RS: Ja Panu powiem taką historię. Dawniej, jak ja pracowałam, jakoś nie było w zwyczaju urządzać imienin czy urodzin w domach, więc się urządzało w pracy. I to dyrektor aprobował. Sam nawet przychodził i składał życzenia. Wie Pan… to ludzi scalało! Poza tym w Instytucie pracowały młode dziewczyny, wychodziły za mąż i na każdy ślub byłam proszona.

ES: …o każdej ciąży wiedziałaś.

RS: Tak. Jak dziś pamiętam, pracownica źle oznaczyła chrom, ja ją poprosiłam do siebie i mówię: słuchaj, coś tu nie gra, to trzeba sprawdzić. Ona mówi, że tak, że ona to wszystko sprawdzi, ale że ona jest w ciąży i że zrobi to powoli. Ja się z tym zgodziłam i nic nie miałam przeciwko. Jak którejś dziecko zachorowało, to ja jej mówiłam: Twoje miejsce jest przy chorym dziecku, jak się boisz, że Cię będą widzieć, to jak pójdziesz, to pod oknami się schyl, żeby Cię dyrektor nie zobaczył. I proszę Pana, do dzisiejszego dnia, a jestem 15 lat na emeryturze, na każde święta mam pełno telefonów z życzeniami, pełno kartek, i raz w czerwcu, na Jana, spotykamy się tu, na Kolorowym, u mojej pracownicy – jak ja to mówię: „moje babki z laboratorium" – na kawie. Jak do tego dochodzą inne osoby, to się dziwią, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

ES: Jakby nie mówić o tych dawnych zakładach, jednak te zakłady trochę ludzi skupiały wokół siebie, stworzyły się pewne więzy, które przetrwały do dziś. Ja się tylko domyślać mogę, że dzisiaj tych więzi nie ma.

RS: Bywały i zabawne akcenty. Robiło się zabawy przy choince, takie zakładowe, które Instytut organizował. Przychodzi do mnie taki jeden pracownik i mówi:
– Tak strasznie bym Panią prosił, żeby Pani ze mną poszła na tę zabawę. Ja bym tak strasznie Panią prosił, żeby Pani ze mną poszła…
– A czego ja mam iść z Tobą? - odpowiadam (a i tak miałam iść, bo byłam jednym z organizatorów).
– Bo ja mam dziewczynę, a chciałbym, żeby Pani popatrzyła jakoś na nią i oceniła, co ona jest warta.

fot. arch. pp. Skomorowskich

Niech Pan teraz powie, czy to nie było cudowne? Przede wszystkim relacja kierownik – pracownik, a jaki stosunek był.

Ja sobie te czasy wspominam często i dlatego jestem taka otwarta na ludzi, może aż za bardzo otwarta, bo mój mąż ma nieraz do mnie pretensje, że ja wszystko przeżywam, wszystkim się martwię i że się nieraz drzwi do mnie nie zamykają.

Ja Panu jeszcze, tak poza konkursem, opowiem jedną historię. We Lwowie w czasie wojny bida była straszna. Miałam kolegę ze studiów, którego rodzice wyjechali na zachód, a on z ciotką mieszkał. Ciotka piekła chleb, a on ten chleb sprzedawał. I on do mnie mówi: Rózia, ja Cię proszę, stań koło mnie, mnie się wtedy lepiej ten chleb będzie sprzedawać. Ja stanęłam koło niego i rzeczywiście on ten chleb prędzej sprzedał. I ile razy my się spotykaliśmy, to on tyle razy mi przypominał o tym, a spotykaliśmy się prawie co roku, bo w Gliwicach do tamtego roku był jeszcze zjazd chemików, którzy zaczynali studia we Lwowie i którzy tu kończyli. Co za urocze spotkania.

Jak człowiek pracował, to wszystko się jakoś doceniało. Nigdy się nie zapominało o emerytach. Tak strasznie było ciężko o słodycze, o cokolwiek, tośmy robili paczki świąteczne i chłopcy z rady zakładowej pod biały kołnierzyk, pod krawat, dyrektor dawał samochód i do takiego starego emeryta jak się jechało z taką paczką, to było cudowne.

TWARZ, KTÓRĄ PAMIĘTAM

Słowiańska gęba Przenczka

PRACA

Mieliśmy takiego jednego emeryta, on się Przenczek nazywał. Pochodził ze wsi Siepraw. Był palaczem, stróżem, miał pokój w Instytucie, gdzie przez zimę mieszkał. Jak chłopcy pojechali przed świętami do niego z taką paczuszką, to on księdzu poszedł i powiedział, i ksiądz na kazaniu wygłosił, że on pracował w takiej i takiej instytucji, że go odwiedzili, że dostał to, że dostał tamto. Czy to nie cudowne, proszę Pana? Ten Przenczek to był prosty człowiek, ale on był tak oddany, tak życzliwy, tak się cieszył i tak to przeżywał, że on z tym wszystkim poszedł do księdza. Dzisiaj to jest nie do pomyślenia, a to jednak ludzi jakoś scalało. Scalało i trzymało, proszę Pana…

PW: Proszę coś więcej o nim opowiedzieć, może opisać?

ES: Taka typowa sylwetka starego rolnika, wypracowanego, lekko zgarbionego, ale twarz taka wyrazista, powiedziałbym, taka słowiańska gęba. Dobroduszny człowiek, taki, który nie miał za dużo aspiracji w życiu, ale do każdego miał stosunek pozytywny. Gospodarz z niego był wielki i taki społeczny, taki dbający o wszystko.

Ta twarz zapadła mi w pamięć, ponieważ on się odróżniał od wszystkich innych taką właśnie swojskością, taką nawet odrębnością. On pracował w Instytucie, ale ja go cały czas widziałem na wsi. Takie miałem wrażenie.

PW: Skoro już jesteśmy przy twarzach, to może jakieś inne postaci się Państwu przypominają?

RS: Taka ciekawa postać, która mi się przypomniała, to laborant, z którym mąż współpracował w Instytucie. Lwowiak z pochodzenia. Pamiętam, jak po doktoracie przyniósł mu naręcze kwiatów. Pytam go, skąd je wziął tak naprędce, a on na to: „zerwałem z własnego ogrodu”.

ES: Teraz już nie ma takich laborantów jak Jasio, to była przedwojenna szkoła. Czasem taki laborant to był jak zastępca profesora. Jak coś trzeba było załatwić, to się najpierw szło do niego. Albo jak się człowiek czuł trochę „słaby”, szedł do niego i pytał: o czym, o czym będzie mowa, o co Profesor będzie pytał? I on wszystko wiedział.

RS: Życzliwy dla wszystkich, w każdej sytuacji skory do pomocy, wszystkim żył, wszystkim się interesował. Taki gospodarz zaplecza pracowni. Jak komuś gdzieś coś nawaliło,

„A gdybym urodzić się jeszcze raz mógł, to tylko we Lwowie…” – mógłby zaśpiewać niejeden nowohucianin i to nie tylko dlatego, że dobrowolnie przybyło tu zza Buga wielu repatriantów. Niektórych skierowano tu do pracy przymusowo. Tak się bowiem złożyło, że podczas okupacji jedyną wyższą uczelnią, do której dopuszczano Polaków, była Politechnika we Lwowie. Przeniesiona następnie do Gliwic, kształciła pierwsze kadry inżynierskie odrodzonej Polski. Po jej zakończeniu absolwenci dostawali nakazy pracy. Niestawienie się na wyznaczonym stanowisku groziło przykrymi konsekwencjami, z aresztem włącznie. W ten sposób Pani Rozalia i Pan Eugeniusz trafili jako chemicy najpierw do cementowni pod Opolem, by następnie – już z własnej woli – przenieść się do Nowej Huty, gdzie otworzono podobny zakład.

Było to w latach 60. Nowa Huta miała już za sobą swój pierwszy, „bohaterski” okres, i choć nadal wszystko było rozkopane, ludzie mieszkali już w blokach albo hotelach, a nie – jak dawniej – w obozie baraków zwanych Meksykiem. Zmieniła się też struktura społeczna dzielnicy. W miejsce nisko wykwalifikowanych robotników zaczęło przybywać coraz więcej specjalistów z różnych dziedzin, potrzebnych do uruchamiania procesów technologicznych.

Wielu z nich pochodziło ze Lwowa. Sentyment do swojego miasta zachowali do dzisiaj. Jego śladem jest np. Aleja Solidarności (dawna Lenina), wiodąca od Placu Centralnego do głównej bramy kombinatu. Za podstawę jej wytyczenia przyjęto właśnie położenie Kopca Unii Lubelskiej we Lwowie. Kto wie, ile jeszcze tego typu „pamiątek” ukrytych jest w planie miasta bądź w poszczególnych obiektach.

Także Pani Rozalia właściwie nigdy nie wyjechała z Lwowa. Wraca tam codziennie w snach. Nie zna nazw ulic w Nowej Hucie poza najbliższą okolicą, za to całe noce wędruje po mieście nad Pełtwią, spotykając znane gmachy, uliczki i place. Pozostała w niej też dawna, kresowa serdeczność i skłonność do pomocy wszystkim, którzy cierpią biedę lub znajdują się w życiowych kłopotach.

Maciej Miezian

czy to aparatura, czy nawet prywatnie radio nieradio, wszystko potrafił naprawić. Złota rączka po prostu. Nawet serniki piekł, w suszarce w laboratorium, z mleka, które przydzielano pracownikom na „odtrutkę” za pracę w szkodliwych warunkach. To jest taka ciekawostka. Tego Panu nikt nie powie, bo skąd. Obłędny był ten Jasio. „Rączki całuję”, zawsze mówił. Zawsze się witał elegancko, zawsze! Niepowtarzalna postać.

PW: A jeśli chodzi o postaci ze sztuki, o znanych ludzi?

RS: W Teatrze Ludowym bywało się niejednokrotnie. Spośród aktorów, którzy tam grali, jakoś najbardziej utkwił mi w pamięci Jerzy Stuhr. On był niesamowicie wesoły i niesamowicie śmieszny. Do dzisiaj jestem nim zauroczona. Drugą moją aktorską sympatią jest Anna Dymna. To przede wszystkim piękna kobieta, cudownie grająca, o dużej kulturze i wielkiej wrażliwości. Ta wrażliwość to również poświęcenie się ludziom odrzuconym, których nikt nie chce. I za to ją kocham. Ze starych aktorów to jeszcze Fijewski. On tak grał, że można było płakać. A wracając do wspomnień przedwojennych, lwowskich, to aktorzy i radiowcy Tońko i Szczepko. Do dziś przypominają mi drogi Lwów i piękne czasy młodości.

PW: Wracając do Nowej Huty, w jakim stopniu spełniły się Państwa oczekiwania co do tego miejsca?

ES: Nam się spełniło wszystko tak, jak myśmy chcieli.

RS: Ja mogę swoje życie nazwać życiem szczęśliwym. Majątek się zostawiło tam na wschodzie, trzeba było to wszystko przeżyć, trzeba było czekać tydzień w „lorach”, w tych bydlęcych wagonach na głównym dworcu we Lwowie, tydzień jechać tutaj, ale ja już miałam tutaj rodziców i już się mną zaopiekowali. Z przyszłym mężem, też repatriantem, spotkałam się w Gliwicach, gdzie zjawił się po demobilizacji w 1945 r. Pobraliśmy się jako studenci na „państwowym garnuszku”. Ja szłam do ślubu w pożyczonych butach, a on nie miał na zapłacenie ślubu. Tak się zaczęło. Nie narzekamy i trwamy ze sobą już 55 lat. No i muszę Panu powiedzieć, może i to niewiarygodnie zabrzmi, cichych dni to u nas nie było. Cichych dni nie było…

PW: Tak się Państwo dobrali…

RS: Takeśmy się dobrali.

ES: Dzięki mojej ustępliwości (*śmiech*).

RS: Ja jeszcze Panu powiem tak. Ja jestem w Krakowie tylko dlatego, że mój mąż go uwielbia, a zresztą przenieśli Instytut z Opola. On znał Kraków jeszcze sprzed wojny, ja nie znałam.

ES: Mój pierwszy kontakt z Krakowem to 1936 r., gdy pomagałem ojcu w wiezieniu taczki ziemi na budowany wtedy Kopiec Piłsudskiego. Przy okazji widziałem w krypcie na Wawelu Marszałka, jeszcze w oszklonej trumnie. Od tego czasu moje zainteresowanie Krakowem, Wawelem i nie tylko.

PW: A jeśli chodzi o Nową Hutę? Czy ma Pan tu takie swoje miejsca?

ES: No, takim miejscem dla mnie jest park nowohucki, park AWF. Ja pamiętam, jak te drzewka były jeszcze małe, a teraz już olbrzymie. Tam bardzo często jeździłem. Po prostu brałem rower i wybierałem się na spacer. To było moje prywatne miejsce.

RS: A moim prywatnym miejscem to był park między os. Spółdzielczym a Kolorowym, taki malutki park. Jeszcze jak córka była w pierwszej klasie, to tam się chodziła bawić. Tam były takie kozy, niekozy, różne rzeczy polepione z gliny, piaskownica. Tam właśnie za młodych lat chodziłam, najpierw z własnym dzieckiem, a później z wnukiem. Dlatego z tym parkiem wiążą się same miłe wspomnienia.
Był jeszcze otwarty basen dla dzieci, naprawdę przyzwoicie utrzymany. Niepotrzebnie go zlikwidowali.

Stajnia na osiedlu

PW: A co się zmieniło w Nowej Hucie od czasu, kiedy Państwo tu zamieszkali?

Dworzec → Lech Miodyński, Franciszek Szafraniec

Buty → Marianna Zając, Waldemar Cichy, Marcin Kostera, Ewa Kaproń

JA I MOJE MIEJSCE

Ziemia → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Augustyn Mirga

Rower → Lech Miodyński, Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, Ewa Kaproń

Z dzienników terenowych

Spis pamiątek i dokumentów

Związane z Nową Hutą

Pokazane

– legitymacje związkowe i książeczki od odznaczeń
– stara karta tramwajowa
– medal na 50-lecie Instytutu

Tylko o nich wspomniano

– zdjęcie zrobione z balkonu, gdzie takie orne pole aż do końca
– stary katalog aktorów występujących w Teatrze Ludowym
– medale
– gruda spod pomnika Lenina (materia!)

Nie związane z Nową Hutą

Pokazane

– obraz namalowany przez brata matki p. Eugeniusza, przedstawiający bociana, na którym siedzi mały Eugeniusz. Prezent urodzinowy.
– fotografie wiszące na ścianie:
  > matka pana Eugeniusza
  > mały Eugeniusz wraz z rodzicami
– stara chusta
– fartuszek z organtyny w którym p. Róża szła do I komunii
– recepta od lwowskiego lekarza
– stary frak
– rama z orzecha kaukaskiego ze zdjęciem chłopki spod krakowskiej wsi, której mąż odrąbał głowę (na zdjęciu jest jeszcze z głową, oczywiście)
– zdjęcia z pogrzebu szofera Piłsudskiego (brata matki p. Eugeniusza)
– przedwojenne 20 zł
– zdjęcie z uroczystości 50-lecia Instytutu (Opole)

Tylko o nich wspomniano

– nagranie audycji z Lwowskimi komikami Tońkiem i Szczepkiem
– butelki po lemoniadzie

Inne

– witraże i wiersze wnuczki
– książka „historia wkpb" (materiały propagandowe)

(PW)

ES: Trochę poszarzała i postarzała się, że się tak wyrażę, więc to się zmieniło. W tej chwili, jak już mówiłem, więcej jest tej włóczącej się młodzieży, takich niezorganizowanych grup, które nie potrafią sobie zagospodarować czasu.

Konie → Mateusz Kardas, Marianna Zając, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec

A pamiętam, jak tu przyjechaliśmy, to na os. Kolorowym stała stajnia z koniem. Dzisiaj jest supermarket.

PW: Chce mi Pan powiedzieć, że stajnia stała pośrodku osiedla? Takie gospodarstwo?

ES: Tam było normalne gospodarstwo, lecz część wywłaszczono i została tylko stajnia.

RS: Taka kupka siana tam była, to pamiętam.

ES: Jeszcze w latach, kiedy my tu przyjechaliśmy, to stajnia i koń tu były.

PW: A do kiedy mniej więcej? Pamiętają Państwo?

RS: No jak ja przyjechałam w 1965 r., to jeszcze była. Może jeszcze ze dwa lata albo i więcej.

ES: Ta szopa stała gdzieś, ja wiem… do 1970 r. Pamiętam jeszcze tutaj dworzec kolejowy w Nowej Hucie.

Dworzec → Lech Miodyński, Franciszek Szafraniec

PW: Gdzie: tutaj?

ES: W Czyżynach. Resztki torów niedawno tu jeszcze sterczały, jeszcze kawałek semaforu był.

PW: A jak ten dworzec wyglądał?

ES: Nie był taki specjalnie okazały, raczej parterowy. To była linia kolejowa, która szła do granicy rosyjsko-austriackiej, taki stary szlak. Nie wiem, gdzie to się kończyło dokładnie. Mało tego, ta linia służyła chyba również do dowozu surowców, nawet na hutę. A kiedy go zlikwidowali, to nie wiem. W każdym razie mieliśmy dworzec kolejowy Czyżyny.

PW: A których miejsc Państwu szczególnie brakuje?

ES: Nie ma maleńkich sklepików. W tym momencie wszystko przejęły hipermarkety.

Buty → Marianna Zając, Waldemar Cichy, Marcin Kostera, Ewa Kaproń

RS: Przedtem, jak się szło po buty, to wiadomo było, do jakiego sklepu iść po buty, jak się szło po ubranie, to się wiedziało, gdzie iść po ubranie. A teraz tak to wymieszane, tak dużo wszystkiego, że człowiek się gubi. Ale to resentymenty nas, ludzi starszych.

PW: A zapytam tak z ciekawości: pomnika Lenina Państwu nie brakuje?

ES: Proszę Pana, ja mam grudę spod tego pomnika. Wziąłem dla pewnej satysfakcji, zresztą tam większość ludzi brała taki kawałeczek na pamiątkę. Zdjęcia sobie ostatnie pod pomnikiem robili. Ale sentymentu przecież do Lenina się nie miało, więc pomnik dla nas raczej nie przedstawiał żadnej wartości, wprost przeciwnie. Jest przyjemnie popatrzeć, że już go nie ma w tym miejscu.

PW: A czego jeszcze Państwu brakuje tutaj w Hucie?

ES: Mnie brakuje dzieci, tu, z tego przedszkola z przeciwka.

PW: Przedszkole już nie istnieje?

Ucieczka → Waldemar Cichy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń, Marianna Zając

ES: Jest przedszkole, ale tu była zawsze taka masa dzieci, a teraz małe grupki. Slogan „Huta – miasto Młodości" jest już dawno nieaktualny. Nawiasem mówiąc, nasz wnuk uciekał z tego przedszkola.

RS: Nasz wnuk chodził 3 lata, ale w sumie czy był 3 miesiące, to nie wiem, bo gdy poszedł, to zaraz jakąś infekcję złapał. A najbardziej mi brakuje tych cukierenek, o których Panu już mówiłam. Ja jestem stara, choć może bym jeszcze poszła, ale brakuje mi ich przede wszystkim dla takich jak Pan i dla takich, jak mój wnuk. To by była przecudowna sprawa, gdyby takie miejsca można było jakoś zorganizować.

PW: Więc co by Państwo chcieli, żeby powstało w Nowej Hucie? Cukierenki to raz, a co jeszcze?

ES: Przede wszystkim, żeby zagospodarować to miejsce, gdzie Pan mieszka, ten cały dół.

PW: Chodzi Panu o Łąki Nowohuckie?

ES: Tak. Przecież te tereny są podmokłe i można to doskonale wykorzystać na ośrodek sportów wodnych. Takie koncepcje już chyba były. Trochę dalej natomiast, w Pleszowie, tam, gdzie są składowiska po dawnej hucie, gdzie są te straszne hałdy żwiru i taki księżycowy krajobraz, tam też można by coś ciekawego zrobić. Można by tam zrobić takie atrakcyjne miejsce, jako pozostałość po hucie, względnie nawet park krajobrazowy.

PW: Proszę opowiedzieć coś więcej o tym miejscu. Skąd te hałdy się tam wzięły?

Żużel → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Ewa Kaproń

ES: Wieczorem, jak się jechało w stronę Instytutu, to się widziało spływające języki ognia z tego żużlu wylewanego z wielkich pieców. To był dosyć oryginalny widok, Pan już tego nie miał możliwości zobaczyć. Wylewano taką lawę o temperaturze 1000˚C i z tego właśnie tworzyły się olbrzymie hałdy. A z daleka to czasem było widać taką łunę, która się odbijała od nieba.

Poza tym można by zrobić muzeum z budynków fabrycznych, czy nawet maszyn w kombinacie, które nie są już wykorzystywane. Nie wszyscy widzieli wielki piec, nie wszyscy widzieli koksownię, więc można by pokazać coś takiego.

PW: A na „placu po Leninie”?

ES: Co by tam postawić… taką szklaną kopułę, jak jest w ogrodzie botanicznym. Tam jest taka palmiarnia.

PW: Bardzo ciekawy pomysł. Jak by miało to wyglądać?

ES: Można by zrobić taki szklany pawilon z kwiatami w środku, wchodziłoby się do środka, byłyby ławeczki, taki mini-park. Żeby to niejako zamykało przestrzeń placu. Mogłaby to być albo kopuła, albo taka piramida, jak w Paryżu postawiono przy Luwrze.

PW: Chciałem zapytać jeszcze o nowohuckie nazwy, nazwy z języka potocznego, nazwy codziennego użytku.

ES: Na samym początku to wie Pan, jak nas nazywali? Tych z Nowej Huty?

PW: Domyślam się, ale proszę powiedzieć.

ES: To było określenie w związku z tym Meksykiem. Mieszkańców Nowej Huty nazywali „nowohutasy” (*śmiech*).

RS: No, mnie tak nikt nie powiedział (*śmiech*).

ES: A na te zakłady magnezytowe w Hucie mówiło się „Biedawerke”.

PW: Dlaczego tak?

ES: Bo tam dyrektorem był Bieda, a zakłady po niemiecku to Werke, więc nazywali je „Biedawerke”.

...a ziemia była tak czarna, a zboża były tak wysokie...

fot. arch. pp. Skomorowskich

PW: Lwów cały czas przewija się w rozmowie i odnoszę wrażenie, że widzi Pani Nową Hutę jakby przez pryzmat właśnie Lwowa. Czy mogłaby Pani porównać oba te miasta?

RS: Ponieważ Lwów miał piękne kamienice, a ulice były szerokie i zielone, to ja po os. Kolorowym nie potrafiłam chodzić. Wszystko było takie samo. Takie same bloki, takie same uliczki i nigdy nie mogłam trafić pod 19-tkę, pod nasz blok. Poza tym Lwów nie był aż tak uprzemysłowiony, jak Nowa Huta, powietrze było zupełnie inne, było czysto, powiedziałabym nawet: czyściuteńko, a ziemia to była tak czarna, że jak się ją orało, to te skiby aż się szkliły. Ja takiej ziemi nigdzie później nie widziałam. A zboża były tak wysokie, że jak się stało w takim zbożu i podniosło rękę do góry, to ono było jeszcze wyższe.

I może się to wydać nienormalne, albo co najmniej dziwne, ale ja Lwów chcę pamiętać takim, jakim go zapamiętałam z lat młodości. Nie chcę tam wracać.

PW: To Pani nie była tam od tego czasu ani razu?

RS: Ani razu!

Czas, barwa, dźwięk

PW: Przejdźmy teraz do barw, dźwięków i zapachów Nowej Huty. Jakimi barwami się ona mieni?

ES: Teraz w Hucie jest dużo zieleni.

RS: Jakiekolwiek osiedle, gdzie by człowiek nie zahaczył, to tej zieleni jest dużo. Nawet jak rodzina przyjeżdża, to się zachwyca i mówi: „Tyle zieleni macie w tej Hucie".

ES: Ostatnio wieloma kolorami, bo zaczynają te fasady budynków tynkować i malować na różne kolory. Ja już nie mówię o os. Kolorowym, bo tu najpóźniej zaczęli to robić, ale tam dalej.

PW: No właśnie, jak to jest z tym os. Kolorowym? Przechodząc tędy miałem takie właśnie wrażenie, że ono dopiero niedawno zaczęło nabierać kolorów, przedtem te bloki były szare. Skąd więc ta nazwa?

ES: Napewno w założeniu musiało być, że to ma być bardzo ładne osiedle, nowoczesne, ale czemu „Kolorowe", to nie wiem, to już sobie ustalili planiści.

PW: A jakie dźwięki kojarzą się Państwu z Nową Hutą?

ES.: Czasem pisk tramwaju, tu na zakręcie (*śmiech*).

Do mnie zawsze szpaki przychodzą na wiosnę, ja tu mam taką budkę i one do mnie co roku przylatują. 21 marca, z zegarkiem w ręku, już tu są i krzyczą.

PW: A kiedy odlatują?

ES: We wrześniu, ale najpierw wyprowadzają młode, to gdzieś trwa miesiąc, a potem przylatują tu jeszcze, jakby sprawdzać miejsce.

RS: Przede wszystkim dzieci z tego przedszkola! Jak jest znośna pogoda, to panie wyprowadzają je na zewnątrz. One potrafią się bawić, śpiewać piosenki. To są bardzo miłe dźwięki.

ES: Czasem wrzeszczą, ale ten wrzask jest bardzo przyjemny, jest budujący.

RS: Wrzask, który nie męczy.

PW: A muzyka Nowej Huty?

RS: Proszę Pana, ja mam ogromny sentyment do grajków, z którymi mi się zawsze Lwów kojarzy. Tam tych grajków było bardzo dużo i cudownie grali, tak romantycznie, i to mnie tak ujęło, że do dzisiaj mi zostało. Żadnego grajka, jak gra, to nie zostawię, żeby mu coś tam nie rzucić. Mój mąż to się denerwuje, jak ja stoję na balkonie, bo zazwyczaj oni obchodzą blok dookoła, ale jak ja wyjdę, to zawsze podejdą i jeszcze mi jakiś kawałeczek dograją.

PW: A co grają? Muzykę ludową?

RS: I ludową, i nieludową. Takie starsze kawałki.

Z dzienników terenowych

(bez daty)

Jeśli do Nowej Huty, to tylko wiedeńczykiem.

W listopadzie 2003 roku przybyły do Krakowa stare, wiedeńskie tramwaje. Przystosowano je do eksploatacji w zajezdni Nowa Huta. Są pomalowane w barwy wiedeńskiego przewoźnika i ozdobione dwoma herbami miejskimi: Krakowa i Wiednia. „Wiedeńczyki" kursują na linii numer 22, a w soboty również na linii numer 4.

To dość zabawne, że stare, dostojne, porządne wiedeńskie tramwaje kursują akurat do Nowej Huty. Są częścią krakowskiego krwiobiegu, zwanego przez niektórych komunikacją miejską. (…) Lubię siadać na samym końcu, na drewnianej skrzynce kryjącej pewnie jakieś bardzo ważne urządzenia.

(ED)

PW: Co to za ludzie? Cyganie?

ES: Nie. Cyganie to raczej urzędują tu na Tomeksie, obchodzą stoiska i każdego tam szturchną, żeby coś rzucił. Natomiast tutaj przychodzą takie grupki grajków, którzy przeważnie grają z biedy. To widać.

PW: A dźwięki kiedyś?

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

ES: Gwar w tramwajach! W tramwaju był rejwach, wszyscy mieli coś do powiedzenia. Dzisiaj, jak się jedzie – cisza. Nikt z nikim nie rozmawia. Ja zawsze uciekałem na koniec tramwaju, na ogół jestem mało rozmowny, chociaż dzisiaj to może za dużo gadam. Ja nie lubię plotek, mnie wiele rzeczy nie interesuje, a ponieważ w tramwaju trzeba było ze wszystkimi rozmawiać, to ja uciekałem na tyły.

PW: Jakie zapachy kojarzą się z Nową Hutą?

fot. arch. pp. Skomorowskich

RS: Koksochemia.

PW: Ale to było kiedyś, tak?

RS: Kiedyś, a teraz rzadko…

ES: Ale jak jest spadek ciśnienia, jak przychodzi wiatr ze wschodu, to trochę podjeżdża tą koksochemią…

RS: …ale lekko, leciuteńko.

PW: A kiedyś jak to pachniało?

RS: Tak pachniało, że ja, jako chemik, która jestem przyzwyczajona do najrozmaitszych smrodów, to nie mogłam czasem tego znieść.

PW: O jakiej porze dnia?

RS: I w nocy, i w dzień.

PW: Jaki to był zapach?

Żużel → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Ewa Kaproń

ES: Taki wymieszany zapach smoły, benzyny i ropy, trudno opisać. Mało tego, w tramwaju też Pan czuł nieraz, jak wsiadali Ci robotnicy z koksochemii.

RS: Ale też były inne zapachy, takie ostre, np. siarki, siarkowodoru, no bo te siarczki przy żużlu się uwalniały, a hałd były tak ogromne ilości… w każdym razie niebo a ziemia, to co było, a to, co jest teraz.

ES: W Nowej Hucie teraz jest czystsze powietrze aniżeli na środku Rynku w Krakowie. Ja to czuję. Jak przyjeżdżam z centrum Krakowa, to czuję wyraźną różnicę. Tu się lepiej oddycha.

RS: Tu jest więcej przestrzeni i to też ma duży wpływ.

PW: A jakie inne zapachy przychodzą jeszcze Państwu na myśl?

RS: Bzy też są, tu na Kolorowym. Gdzieś nawet czeremcha była. Pan wie, co to jest czeremcha?

PW: Nie mam pojęcia…

RS: Na wschodzie rosły, pięknie kwitły i taki ostry zapach miały. Zapach czeremchy był cudowny i tutaj raz właśnie, w Hucie, zapachniało mi czeremchą. Nawet przystanęłam, bo mi się tak przypomniały młode lata.

PW: Nowa Huta to…

JA I MOJE MIEJSCE

ES: …kiedyś się mówiło: „miasto Młodości” (*śmiech*). Nowa Huta była dla mnie miejscem pracy, miejscem, do którego trafiłem w zasadzie przypadkowo. Zostawiłem tu kawałek życia, tak połowę to na pewno. Mogę powiedzieć, że to moje miasto, a w zasadzie to ująłbym to nieco inaczej: Nowa Huta w symbiozie z Krakowem to moje miasto.

RS: Moim miastem był zawsze Lwów. Natomiast tu się dwoje wnucząt urodziło, tu się dzieci pożeniły, tu miałam pracę, którą kochałam, więc to też w jakiś sposób jest moje miasto, a raczej miasto, do którego się przyzwyczaiłam. I miasto, w którym się spełniłam po prostu.

fot. Bogumił Godfrejow

fot. Bogumił Godfrejow

fot. Marcin Klag

Bogumił Godfrejow

Lat około trzydzieści, wychowany w rodzinie w połowie farmaceutycznej, do dzisiaj prezentuje wysoki poziom precyzji w obrazowaniu. Zawodowo zajmuje się kreowaniem zdjęć filmowych. Jak sam mówi, specjalizuje się w klimatach bliskich energetycznie Nowej Hucie, przemysłowych, poprzemysłowych, biednych i pięknych zarazem. W Nowej Hucie odnajduje inspirację, a także sporo historii: na niektóre patrzy pewnie profesjonalnie, jako podglądacz, inne urzekają swoją prostotą albo dziwnością, ale także głębią. Co ciekawe, interesuje go również mało popularna kategoria prawdy historycznej.

Godfrejow nakręcił parę lat temu swój autorski film pt. „Kręgi snu", w którym granice między rzeczywistością a snem nie istnieją na stałe, a ludzie poszukują siebie nawzajem, nie mogąc nawet przy spotkaniach dotrzymać niewypowiedzianej obietnicy własnej obecności.

Podobnie w jednej chwili złudne i konkretne są przestrzenie Nowej Huty, miejsca nasączonego ideą, baśniowego (fragment rozmowy o pasie startowym, albo o ludziach z lodówką), ale także miejsca, gdzie warto przeżywać najważniejsze chwile dojrzewania.

Rozmówca: Bogumił Godfrejow

Prowadząca rozmowę: Ewa Dębska. Rozmowa odbyła się w restauracji „Stylowej” 20 III 2005 r. o godz. 10.00.

skąd się tutaj wziąłem?

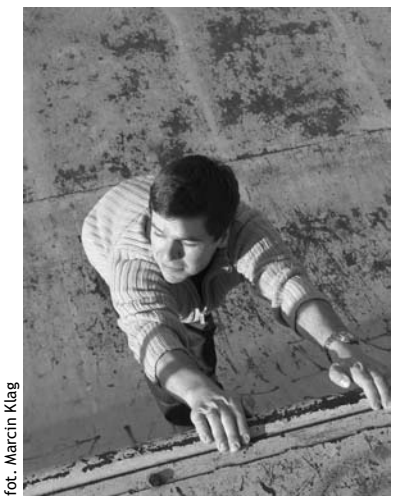

fot. Marcin Klag

Mieszkałem i wychowywałem się przy Alejach Trzech Wieszczów, przy Nowym Kleparzu. Przyjechałem tu [do Nowej Huty – ED], kiedy już miałem możliwość rozpoczęcia dorosłego życia. Zawsze gdzieś tam kochałem się w Nowej Hucie – już byłem o to pytany w audycji Radia Kraków, maglowali mnie, z kolegami włącznie, odnośnie tej miłości do Nowej Huty. Ona już teraz przygasła, ale od początku ten rejon mi się podobał i miałem tu wielu znajomych, kolegów z liceum. No i moja narzeczona, teraz już żona, też jest mniej więcej z Nowej Huty, tzn. z Dywizjonu 303 – to jest niby Nowa Huta, chociaż inna Nowa Huta. Żona spędziła dzieciństwo tutaj, na os. Krakowiaków, i jest konkretnym przykładem autochtona, ja jestem tutaj takim przechrztą. Trochę mi się znudziło mieszkanie w centrum i znudził mi się ten smrodek krakowski i takie zadęcie, szczerze mówiąc. Mieliśmy bardzo fajną grupę znajomych i gdzieś nas tam mierziło, denerwowało to Stare Miasto, no i zadecydowałem, że jednak tutaj powinienem zamieszkać. Mam bardzo dobrą przyjaciółkę, która jest developerem i sprzedaje mieszkania. Na początku nie chciała mi uwierzyć, że chcę mieszkać tutaj i w ogóle się śmiała, ale jak się okazało, że ona chce swoje mieszkanie w Nowej Hucie sprzedać, to je kupiłem od niej. Bardzo fajnie się stało, bo uważam, że generalnie tutaj jest bardzo tanio, oprócz tego, że jest super, że są fajni ludzie, zupełnie inni niż w Krakowie – bardziej otwarci. To widzę po kontaktach z ludźmi z klatki, widzę po takich różnych małych rzeczach, sytuacjach, w sklepach i na ulicach.

Tak naprawdę mało teraz tutaj jestem, dlatego ta miłość przygasła, dużo teraz podróżuję, kręcę filmy. Ale może ta miłość nie przygasła, tylko nie znajduje odzwierciedlenia w praktyce, tylko na razie w teorii.

ludzie są tutaj inni

Różnicę widać już między ludźmi z centrum i z Kazimierza. Już na Kazimierzu są zupełnie inne więzi między ludźmi – o wiele bliższe, mam wrażenie. Kiedy byłem młodszy i bardziej obiektywny, nie udawało mi się odnaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak jest. Teraz powoli wtapiam się w ten system społeczny i w taki sposób myślenia. Czasami tylko się buntuję, bo mam taki zawód, który nie jest zawodem stałym: to jest wolny zawód artystyczny, który ciężko się realizuje w Polsce. W każdym razie mam szansę się buntować, mam szansę przyjeżdżać tutaj i obserwować tę rzeczywistość z innej perspektywy.

Ale widzę też, jak żyją normalni ludzie i wiem, że tu się czują lepiej: rodzina mojej żony i w ogóle znajomi. Znam tutaj fajnych pisarzy, właśnie z Nowej Huty. Ludzie kultury lubią tutaj wracać, tutaj spacerować i oddychać, mimo że wydaje się, że Nowa Huta truje, szkodzi i zniszczyła zabytki w Krakowie. Może dlatego, że w Nowej Hucie wszystko jest o wiele bliżej i ludzie się bardziej znają i chyba lepiej identyfikują – siebie i innych, mam wrażenie. Istnieje coś takiego, jak przestrzeń sąsiedzka, tak bym to nazwał najchętniej. Ci sąsiedzi tutaj nie tylko są, ale potrafią naprawdę zrobić wiele dla innych. Ostatnio właśnie zaskoczył mnie taki starszy sąsiad, który mieszka nad nami, którego nigdy bym nie podejrzewał o takie zachowanie. Bardzo się fajnie zachował, nie chcę wnikać w to, ale to była bardzo głupia rzecz, którą myśmy zrobili, a on nas uratował, tak po sąsiedzku, w taki zupełnie przyziemny sposób, przez swoja spostrzegawczość. Facet ma chyba z 70 lat, a okazał się bardziej światły i dojrzały niż my.

Powietrze jest tutaj czystsze i jest na pewno więcej zieleni niż w Krakowie, gdzie tej zieleni nie ma jak upchać. Wreszcie zieleń w Nowej Hucie została doprowadzona do ja-

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

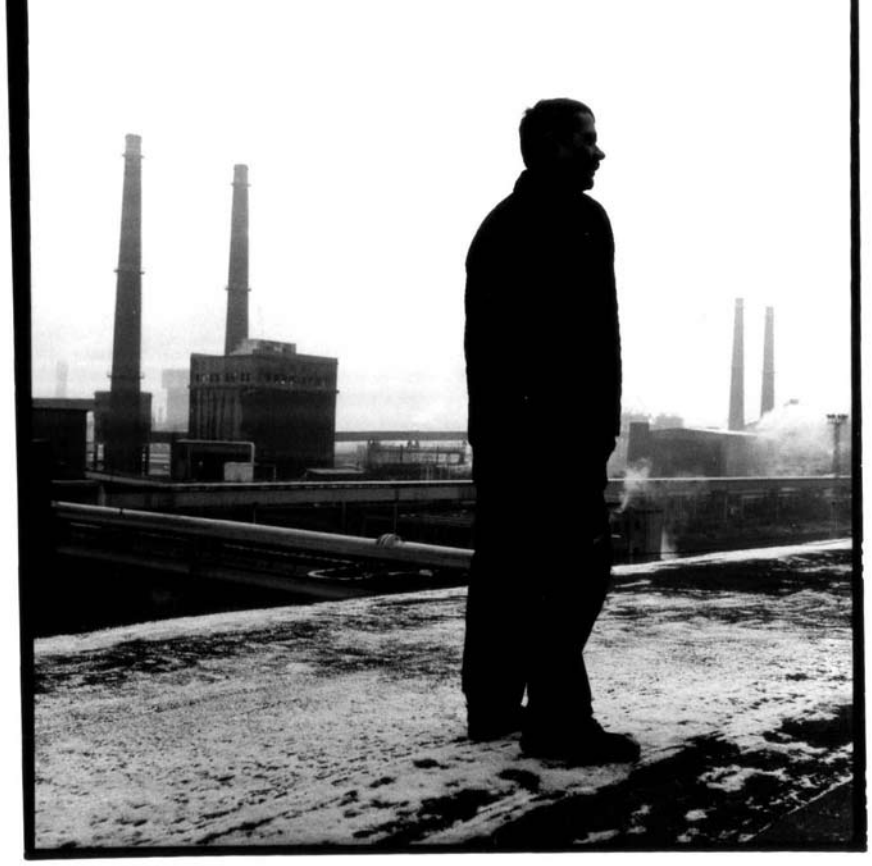

fot. Bogumił Godfrejow

kiegoś tam ładu, bo wcześniej była bujniejsza i dzika. Oczyszczono ten zalew przy hucie, Łąki Nowohuckie są oczyszczane i zagospodarowywane, wcześniej to było bardziej dzikie i równie ciekawe, ale teraz naprawdę jest tego więcej niż w Krakowie. Oprócz Plant na Starym Mieście nigdy nie miałem kontaktu z zielenią, mieszkałem przy tych Alejach, czy właśnie przy Kleparzu i nie miałem kontaktu, za wyjątkiem jednego małego parku przy tzw. os. Architektów, tam przy ul. Żuławskiego. Czasami przeszkadzają mi takie drobne smrodki, np. z fabryki papierosów, bo co do samej huty – nie czuję jej obecności. Czasami widzę ją na niebie i dzwonią do mnie różni znajomi, że „Hindus znowu truje", ale ja później i tak sprawdzam, że te wiatry przez 3/4 roku wieją w przeciwną stronę. Zawsze tak było – i wszystkie teorie o tym, że Nowa Huta truła Kraków, to były bzdury. Ona może truła tutaj gdzieś w pobliżu, wszystkie te wioski, które są pod Kombinatem, ale samemu miastu nie szkodziła tak bardzo. Wystarczy spojrzeć np. na moją żonę, która jest zdrowa, urodziła syna, albo na wielu innych ludzi, których znam, którzy się tutaj wychowali, np. na os. Krakowiaków, i świetnie sobie radzą. Wiadomo, że są różne przypadki, ale generalnie wiele jest mitów, z którymi, mieszkając tutaj, trzeba walczyć w kontaktach z innymi ludźmi bardziej z centrum, czy w ogóle z Krakowa.

To się ciągle zmienia. Bardzo lubię teraz Łąki Nowohuckie, tam jest bardzo fajnie, chodzę tam na spacery z synem. Tam jest taka piękna aleja, za Szpitalem Żeromskiego, który, uważam, też jest bardzo piękny i potrzebny. Oprócz tego te łąki generalnie są takie najbardziej tajemnicze i niesamowita energia tam jest, i powietrze, i ptaki. Były tam na początku tablice, że jest jakieś 30 gatunków ptaków, które są chyba nawet unikatowe w Europie, na tym jednym odcinku trawy, można powiedzieć. To jest wszystko fajne, że ktoś się tym zajmuje. Lubię tak samo taki lasek, on się nazywa Lasek Mogilski, troszkę dalej za klasztorem – można iść obok klasztoru uliczkami i dochodzi się praktycznie do Wisły. Dawno nie byłem w samym Kombinacie, ale kiedyś się tam wkradałem – jakimiś bocznymi wejściami, które były bardziej na dziko – zanim zacząłem tutaj mieszkać. Potem, już na legalu, udawało mi się wchodzić na jakieś takie zwiedzanie czy fotografowanie. Tam w ogóle jest pięknie i świetnie z racji swojej tajemniczości. Kiedyś tak było, może teraz już troszkę się to zmieniło, ale mnie zawsze tam ciągnie. Mam takich ludzi, którzy przyjeżdżają z Niemiec

i specjalnie proszą mnie, żebym załatwił im jakąś sesję,

czy np. takich swoich znajomych, z którymi pracuję przy filmach.
Znam paru ludzi, którzy też się zakochali w Nowej Hucie, a szczególnie w tym tajemniczym Kombinacie, który jest olbrzymi, który ma ileś tam wewnętrznych linii autobusowych i wiele innych tajemnic.

Lubię też kopiec Wandy. No, generalnie cały ten teren jest bardzo fajny, jakiś taki ciekawy.

Błoto → Ewa Kaproń, Marianna Zając, Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

Trudno mi powiedzieć, co lubię najbardziej – to się zmienia cały czas. Na razie te łąki mnie najbardziej przyciągają. Tam są takie ciekawe działki, które teraz się zmieniają. Przychodzą jacyś złodzieje, okradają te działki, a tam jakieś takie życie się dzieje. Ciekawe są, niesamowite dylematy ludzi, którzy na tych działkach gospodarują, w błocie po kostki, bo to wszystko teren podmokły. Widziałem tam ostatnio, jak szedłem na spacer, jakichś dwóch facetów, którzy w nocy komuś lodówkę na złom chcieli wytargać i w tym błocie ciągnęli, i ciągle się ta lodówka rozwalała. To chyba jednak była kuchenka gazowa, a nie lodówka, ale lodówkę też taką małą mieli.

Tu mogę obserwować ludzi. Mam wrażenie, że łatwiej się gdzieś zaczaić i mieć kontakt z pewnymi takimi ludzkimi odruchami i sytuacjami, oczywiście takimi życiowymi. Tutaj ludzie walczą o sferę materialną najmocniej, o wiele mocniej niż w Krakowie, mam wrażenie. Tutaj ludzie nie mają pracy, no bo trudno ją znaleźć, i też wydaje mi się łatwiej to zaobserwować, mieć z tym kontakt i mieć świadomość stopnia zamożności tej społeczności. W Krakowie jest to bardziej rozmyte. Teraz sobie pomyślałem, że

tu nie widziałem żebrzących ludzi.

To jest niesamowite – nikt tego jeszcze nie zbadał, dlaczego? Może nic by tutaj nie uzbierali. Jest taki jeden sąsiad, który mnie zagaduje, że chce na wódkę. On już jest takim alkoholikiem, że nie kojarzy na dłuższą metę. On myśli, że ja jestem jego sąsiadem, bo wychodzę z podobnej klatki. Tam go gdzieś później opieprzam na maksa, a on później jest dla mnie miły i uśmiechnięty, jak jest trzeźwy – to też jest jakaś niesamowita sytuacja.

Huta na pewno była zawsze moim miejscem. I jest cały czas. I to się wciąż zmieniało: do czasu, kiedy byłem w liceum, czułem, że moim miejscem były okolice Kazimierza. Gdzieś tam chodziliśmy ze znajomymi, jakieś filmy, tam uciekaliśmy, tam mieszkania, znajomi. Zupełnie nie identyfikowałem się z centrum, z Kleparzem itd. Tam nie miałem kolegów, znajomych, może kilku. Później byłem w Łodzi przez 5 lat i wtedy moim miejscem była Łódź – z przymusu. Ale cały czas myślałem o tym, żeby wrócić do Krakowa i raczej osiedlić się w Nowej Hucie, żeby to było moje miejsce, no i teraz to jest moje miejsce.

Łódź jest np. za duża i o wiele bardziej brutalna. Poza kilkoma dzielnicami ludzie są totalnie do siebie zaszczuci, przestraszeni i jacyś tacy bardzo niemili. Tam jest bardzo niebezpiecznie, o wiele bardziej niebezpiecznie niż w Nowej Hucie. W Łodzi za duże jest to rozbicie i za dużo jest małych grupek i małych dzielnic. Jest za dużo granic, przechodząc ulice można już być w innym rejonie i można za to oberwać. Nie ma to miasto takiej spójności. Huta ma to na pewno: jak jesteś z Huty, Shuty (*śmiech*), to już nic ci nie grozi tutaj. Obojętnie, czy jesteś z 303, czy z Centrum A – to nikt ci tu chyba nic nie zrobi.

Bałuty, Lipiny, Nowa Huta...

Ja mam sentyment do Łodzi, szczególnie do Bałut – też takiej starej dzielnicy.

fot. Bogumił Godfrejow

Bałuty można troszkę do Huty przyrównać. Słynne Bałuty, które mają niesamowitą historię, zawsze, jeszcze przed wojną, były dzielnicą złodziei i brudnych interesów. Ale też były dzielnicą ubogich Polaków i Żydów – później były miejscem, gdzie było największe na świecie getto, no i wreszcie stały się taką pustynią. Ale ci ludzie, tacy ubodzy, Żydzi, oni gdzieś tam przetrwali.

Bałuty są bardzo rozległe i łączą różne rodzaje zabudowy: i współczesnej, i starej. Mnie się wydaje, że tam jest coś fajnego. Jest tam też wielu fajnych muzyków, a sport odgrywa dużą rolę. Jest drużyna rugby, której się kibicuje – to też jest tutaj. Przecież był żużel, który łączył tę społeczność, ja już się nie załapałem na to. Dla mnie przez tę chwilkę żużel w Nowej Hucie był niesamowitym doświadczeniem. Poszedłem ze dwa razy na takie zawody.

W ogóle nie wiedziałem na czym to polega. Zobaczyłem małe dzieci w wózkach, ludzi jedzących obiad, kobiety z mężami, kochankami, ludzi pijących piwo – takich bardzo szczęśliwych. Obstawianie. Element hazardu. To zupełnie odcinało ludzi ode mnie, zupełnie nie zwracali na mnie uwagi, mogłem robić, co chcę. Z kolegą robiliśmy zdjęcia: wchodzimy tam na ten tor, praktycznie nikt nas nie zauważył, weszliśmy tam do boksów, czułem się super, nie byłem inny. To było jeszcze jak nie mieszkałem tutaj. Byłem częścią tego miejsca, mimo że teoretycznie byłem obcy – tak mnie to wciągnęło. Myślę, że aparat też zmieniał sytuację: ludzie są tu przychylni robieniu zdjęć. Trochę inaczej niż na Śląsku – tam na początku była agresja przy wyciąganiu kamery czy aparatu. Trochę się

specjalizuję w takich rejonach podobnych „energetycznie”

do Nowej Huty: w Łodzi właśnie te Bałuty, a na Śląsku jest taka dzielnica Lipiny, to jest w Świętochłowicach. Ona naprawdę jest chyba najuboższą dzielnicą w Polsce, polecam jej zbadanie kiedyś. Tam właśnie teraz kręcimy film Sławka Fabickiego „Z odzysku”. Niesamowite miejsce.

Tutaj, oprócz żużla, np. piłki w ogóle nie poczułem. Ciężko kibicować tutaj piłce. Teraz bardziej kibicuje się drużynie rugby czy klubom z centrum. Generalnie unikam imprez masowych w Nowej Hucie. One tutaj nie łapią, albo łapią w małym stopniu. Mam wrażenie przy takich imprezach, a z reguły znam je też od drugiej strony, że one są podszyte takimi rzeczami, które mi nie odpowiadają. I gdzieś tam z góry skreślam te masówki, bo nie jestem w stanie w nie wskoczyć, także z powodu mojej czasochłonnej pracy. Cieszę się takimi małymi rzeczami, ważnymi dla mnie, i w sumie ciężko mi się załapać na takie oficjalnie rzeczy. Chociaż raz tutaj [w restauracji „Stylowa” – ED] była fajna impreza, może 3 lata temu. Nawet do dziś noszę przy sobie taki bilecik, który był bilecikiem w kształcie kartek na mięso i cukierki. I to była świetna impreza, przyjechali ludzie z Krakowa, przebierali się w stroje z epoki, czułem, że to ma sens. Tutaj te panie nie wiedziały, o co chodzi, więc wpisywały się w klimat nieświadomie. Ostatnio kręciliśmy tutaj, w przedszkolu w Nowej Hucie, klip „Odzyskamy Hiphop” takiego łódzkiego artysty z Bałut. Tutaj tylko najłatwiej było znaleźć przedszkole, dzieci i panią dyrektor, która była zachwycona najostrzejszym freestyle’owcem w Polsce. Tekst był niecenzuralny, oczywiście wycięty, cieszyła się, że byliśmy tam, dzieci super zareagowały na tego O.S.T.R.-ego, co widać na klipie też. *

fot. Marcin Klag

*odsyłam na www.asfalt.pl

Takie małe rzeczy mają dla mnie znaczenie

Dzień Ziemi też był fajny na Placu Centralnym, jak się przynosiło butelki bądź makulaturę, to się dostawało roślinę i to mi się spodobało – to był pozytywny klimat.

mity

To, co myślałem wcześniej o Nowej Hucie, to była totalna bzdura w stylu krakowskim. Nakłada się kalkę, tego się teraz w myśleniu o Nowej Hucie boję i tej kalki staram się unikać. Np. kiedyś tak się interesowałem tym pierwszym blokiem w Nowej Hucie, że

strasznie chciałem go znaleźć. Dopiero teraz go znalazłem – przez przypadek, dzięki przewodnikowi. Ale niczym szczególnym się nie wyróżnia, oprócz tablicy pamiątkowej – czyli nie ma tajemnicy, mitu. Więc potem szukałem budynku, gdzie jest krzywa ściana, co to niby przodownik, tak jak Birkut w „Człowieku z marmuru", się oparzył i ze złości postawił krzywą ścianę. Czyli podchwyciłem mit. Podejrzewam, że po filmie się utrwalił, tak jak było z szarżą kawalerii na czołgi. Ale „przodownicy", którzy budowali domy w Nowej Hucie, postawili wiele krzywych ścian i nie tylko ta jedna musi być krzywa. Jak tapetowałem w mieszkaniu pokój syna, to się okazało, że wzory na tapecie podejrzanie się schodzą i trzeba jakoś to pasować. Okazuje się, że jak większość mieszkańców w Nowej Hucie, ja też mam krzywe ściany. Kultowe krzywe ściany. Nikt nie wie, gdzie dokładnie jest ta najważniejsza, mityczna krzywa ściana, gdzieś chyba na os. Młodości. Czyli jak już tu zamieszkałem, ta klisza i mit już zostały odarte ze swojej „filmowości".

czy czołgi mieszczą się w bramach?

Wiadomo, że chodzę tutaj i dla mnie te miejsca są naznaczone pewnymi wydarzeniami. Staram się je weryfikować. Znam też super opowieści od rodziny ze strony mojej żony. Ona gdzieś tu uczestniczyła razem z jej mamą w tych wydarzeniach, była przy tych zamieszkach w których zginął Włosik. Jeden znajomy mojej teściowej to kręcił. Ryzykowali życiem.

Moja żona była na demonstracjach, więc wiadomo, jak przechodzę koło Arki, to myślę, że to jest bardzo ważne miejsce. Od kiedy tutaj zamieszkałem, spotkałem ludzi, którzy odrzucają mity i sprowadzają mnie na ziemię i bardzo to lubię. Mam dystans do niektórych wydarzeń, próbuję szukać swoich interpretacji tych wydarzeń historycznych, a nie ulegać takiemu mitowi. Generalnie poddają się im [mitom – ED] ludzie spoza. Ci, którzy mieszkają tutaj, kompletnie temu nie ulegają. Nie tworzy się tych pomników, nie potrzebuje się tego. Słyszałem, że jak ktoś postawił tego Lenina ze styropianu, to od razu się babcie rzuciły. To też pokazuje coś ciekawego. Każde wydarzenie tutaj ma dla mnie już dwa oblicza: kiedyś było takie chyba „tylko" mityczne.

Bardzo mnie też fascynuje z perspektywy czasu wizyta Castro w Kombinacie. Wiem, że Castro tutaj był i przyjechał ponoć prosto do Nowej Huty. Kiedyś faktycznie chodziłem i myślałem „Boże, jak te czołgi się mieszczą tutaj, w tych bramach". Co jest totalną bzdurą, bo przecież żaden architekt nie myślał o tym, projektując Nową Hutę. To są jakieś takie ploty, które wyrastają na mity. No albo to, jak walczono tutaj naprawdę o ten słynny krzyż.

Niesamowita jest Nowa Huta, ciągle ma wiele tajemnic i wiele interpretacji. I ludzi, którzy są totalnymi antyklerykałami, a potrafią się dogadać z klerykałami. Oprócz tego Papież stąd wyrasta. Domyślam się, co się będzie działo, jak coś się stanie Papieżowi. Tutaj na pewno coś się zawiąże.

Papież → Ewa Kaproń, Waldemar Cichy

Plac Centralny

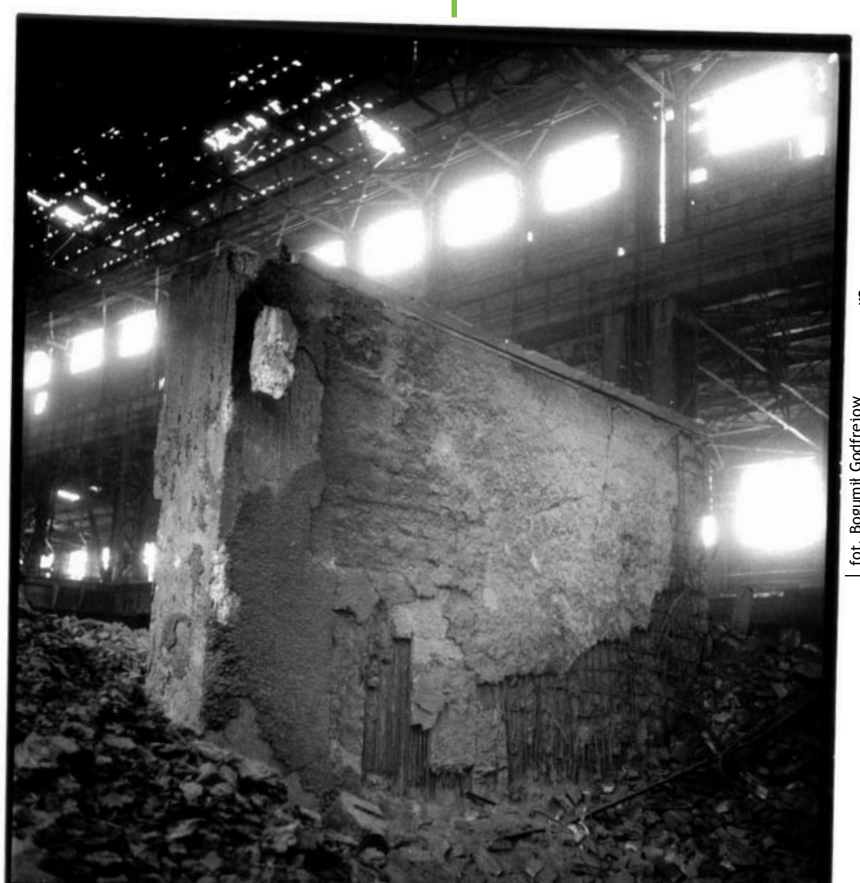

fot. Bogumił Godfrejow

Nie patrzę już na Nową Hutę jak na skansen. To mi się wydaje bardzo niebezpieczne i zarazem to się wydaje bardzo łatwe. Ja szukam już nowych perspektyw. Bardzo było dla mnie np. ważne, jak tu przyjechałem, że tu nie było w ogóle billboardów. To było jedną z podstawowych dla mnie zalet, bo denerwowały mnie billboardy i reklamy. Teraz są, ale i tak jest ich mniej niż w Krakowie. To, co się dzieje na Placu Centralnym w porównaniu do Rynku, to jest raj architektoniczny. Ten bank z Placu Centralnego w końcu został zmuszony przez architekta

Z dzienników terenowych

2/04; 21:37

Umarł Papież Jan Paweł II (…) Dziś rano mieliśmy zajęcia nh.rtf. Pamiętam, jak jeszcze kilka tygodni temu rozmawiałem z Łucją na temat ustąpienia Papieża. Przedstawiała argumenty „za" abdykacją. Teraz, w sobotę, jak i w ciągu ostatnich kilku lat, Papież pokazywał, dlaczego nie ustąpił. Nie tylko pokazał, jak żyć z Bogiem, ale także, jak umierać z Nim.

Zaraz po tym, jak się dowiedziałem z TV i usłyszałem dzwon, ubrałem się. Bez zastanowienia poszliśmy z Siostrą i Krzyśkiem do kościoła. Kiedy szliśmy, zewsząd dochodził dźwięk dzwonów. Iwona pokazała mi ławkę, na której zawsze można spotkać „przyjaciół taniego wina", żeby nie powiedzieć pijaków. Przy ławce KLĘCZAŁO pięciu takich ludzi i modliło się z rękami złożonymi. Do końca życia nie zapomnę tego widoku.

Na Szklanych Domach, kiedy starałem się modlić, widziałem sytuacje, które były dla mnie oznaką zwariowania ludzi, czy też upadkiem tego świata. Kiedy weszliśmy i zaczęliśmy się modlić, komuś zaczął dzwonić telefon. Zamiast odrzucić, gościu wstał i wyszedł go odebrać. Inny, widząc to, >

> powiedział: „Ja ci to, kurwa, wyłączę”. Dla mnie szok!

Tak samo, jak pijana babka, która weszła na zakrystię, wróciła do kościoła, stanęła na środku i zaczęła gadać, że wszyscy księża śpią i nikt dziś wieczór nie odprawi mszy. Wyszła.

Jednak msza się odbyła. Piękna.

Spotkałem Anię z Rafałem, przyszła chwilę przed mszą. Ciężko coś w takich chwilach mówić. Ledwo co powiedziałem jej, że w końcu mamy „swojego człowieka” u góry, jednak śmialiśmy się przez łzy. Kropelka Ani już nie będzie znała Jana Pawła II, ale na pewno Ania opowie o Nim.

03/04

W kościele, pod kurią, na Błoniach – światełko.

04/04

Pod kurią, w kościele. Dziś, ponieważ mam opóźnienie, jeśli idzie o projekt nh.rtf, spisuję wywiad z Niki. Jednak nie mogę.

Przeglądając strony o Papieżu trafiłem na homilię z Mogiły.

„Inżynierowie, robotnicy… ja też z wami budowałem Nowa Hutę – modliłem się, by wybudowana została na wartościach chrześcijańskich”. JPII, niedokładny cytat.

8/04

Pogrzeb Papieża.Dziś wracałem wieczorem do domu. Cała Al. Jana Pawła II w świecach. Plac Centralny też. Piękne.

9/04

Odrabiam zajęcia nh.rtf. Powrót do rzeczywistości.

JD

miasta do tego, żeby ściągnął te swoje obrzydliwe loga. Z przyjemnością odchodziłem z tego banku, ponieważ tak mnie wkurzyli tym swoim zachowaniem. Jak mogli te budynki tak oszpecić. Ale ktoś ich już tam sprowadził do parteru. Bardzo mi się podoba zegar, który jest na Placu Centralnym. To są takie piękne małe rzeczy, bardzo ważne. Jak zegar nie działa, to oboje z żoną czujemy, że coś jest nie tak. Zegar jest świadkiem tego, co się dzieje w Hucie. Zawsze mi się podobał i jest dla mnie bardzo ważny. Dla każdego, kto tu mieszka, jest bardzo ważny, i to nie jest jakieś tam miejsce spotkań, jak skarbonka, tylko bardzo istotny element tożsamości. Widać go z daleka, z różnych arterii: al. Solidarności czy z Jana Pawła II. Po prostu on pozwala zdążyć na tramwaj, na autobus można dobiec, ma się tę relację czasową. On zatrzymuje ruch. Jak jakiś tramwajarz podjeżdża za wcześnie, to czeka. Ma swój czas pewnie, ale i tak tamten jest ważniejszy. Zauważyłem coś takiego.

Zegar → Bogdan Zalewski, Piotr Wołkowski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Marcin Kostera

miejsca, których nie ma

Powinny być miejsca, które pomogłyby tej społeczności się jeszcze bardziej zjednoczyć, stworzyć jakiś samorząd. W Szwajcarii całe miasto może głosować na temat ważnych wydarzeń, to jest niesamowita szansa wypowiedzenia się dla tych ludzi. I tak sobie pomyślałem, że powinna być taka szansa publicznego dialogu z rządzącymi. Mam wrażenie, że brakuje ośrodka władzy, ratusza albo innej centralnej jednostki, bo wszystko się dzieje w Krakowie. Takie narzucone decyzje w stylu „Plac Centralny im. Reagana”, albo inne absurdalne rzeczy co chwilę się dzieją. Można by się zjednoczyć albo z właścicielem Kombinatu, albo fabryki papierosów. Co roku nie ma pomysłu, jak gospodarować tym terenem, więc

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

Nowa Huta powinna uwolnić się od Krakowa.

Może w końcu powinien powstać tu ratusz. Gdyby był tu taki ratusz, od razu przygwoździłby wszystkich swoim ciężarem i odpowiedzialnością. Powinny ruszyć wszystkie kina, które kiedyś działały i do których chodziłem. Uważam, że trzeba je na nowo otworzyć. Świetnie się trzyma „Sfinks”. Mam wielki szacunek i respekt dla ludzi, którzy działają w tym domu kultury i chodzę tam bardzo często. Zamiast otwierać coś nowego, na nich pompowałbym maksymalną ilość pieniędzy. Tam ludzie bardzo się poświęcają, żeby zorganizować projekcje i zorganizować ludzi. I sala jest przepiękna, i jakość projekcji. To miejsce ma dla mnie super klimat i niedługo może mi się uda tam coś pokazać. To miejsce bym jakoś szczególnie wyróżnił wśród innych moich miejsc: tam jest przecież kino i serwowana darmowa kawa, no po prostu same plusy. Można kupić karnet za jakąś symboliczną cenę i chodzić na te wszystkie projekcje. Wydaje mi się, że jest dużo miejsc, tylko mało ludzi o nich wie. Nie ma może też takiej potrzeby. Jest też świetna hala do gry w piłkę, jeśli się lubi i ma się na to pieniądze – przy szkole, gdzie czasem chodziliśmy pograć, ale więcej kolegów zostawiłem w Krakowie, więc tam mam miejsca do piłki.

fot. Marcin Klag

Brakuje władzy i pomysłu. Nie szukałbym jednego wytłumaczenia, dlaczego jest tak, jak jest.

Ludzie powinni mieć większy wpływ na to, co się dzieje. Tego właśnie mi brakuje. Jak obserwuję na bazie naszego komitetu blokowego: zmieniliśmy zarządzającego, bo nam się nie podobał i jest nowa pani. Od tej pani zaczęły się zmiany i one pokazały ludziom, że można jednak coś zmieniać. Starsze panie, które bały się odchodzić od tej starej firmy, bały się decydować o nowej. Na bazie takich organizacji, mam wrażenie, powinny się tworzyć takie grupy nacisku. To się udało w naszej okolicy i mam wrażenie, że będzie się to jeszcze zmieniać na plus.

Komitet → Bożena Kutrzeba-Nikiel, Ewa Kaproń

do Krakowa czy do centrum?

fot. Marcin Klag

Różnie ludzie mówią. Ja np. mówię częściej, że jadę do centrum.
Ja się tak cieszę, że tutaj mieszkam. Jak mam coś w biurze załatwić, np. prawo jazdy, cokolwiek, widzę różnicę. To, co tutaj jest w biurach, to jest rewelacja. Idę coś załatwić, to wszystko jest super urządzone: jest podjazd dla inwalidów, są windy, mogę tam z wózkiem z dzieckiem pojechać, są miłe panie. Trzeba dać tym ludziom więcej szans, żeby kierowali własnym zapleczem. Przecież Nowa Huta to jest mały teren i to nie ma nic wspólnego z oderwaniem. Są tu jednostki władzy przecież, to wcale nie jest próba oderwania. Potrzeba zarządzania tym terenem. Mówię tutaj po prostu o tworzeniu jakiejś grupy nacisku na to, co się dzieje, bo ewidentnie wszystkie decyzje są podejmowane tam, w centrum.

Nie boję się oderwania. Wydaje mi się, że to jest niemożliwe. To już jest bardziej taka stymulacja – w Nowej Hucie powstają przecież pomysły, które ewidentnie dodają Krakowowi splendoru. Kraków nie zdaje sobie sprawy jeszcze, jaki ma tutaj skarb i nikt tego nie potrafi wykorzystać: to są pieniądze. Gdyby tu powstało takie centrum kultury, jak na Kazimierzu, gdyby NCK wyzwolił się spod władzy centrum, to byłaby taka szansa, żeby się tu zaczęło coś bardziej autonomicznego dziać. Tu jest przecież świetna szkoła muzyczna, do której ludzie przyjeżdżają z Krakowa się uczyć. Jest co sprzedawać, dzielić się z resztą Krakowa.

Wiążę przyszłość z Nową Hutą. Miałem wątpliwości, czy to jest dobre miejsce, żeby wychowywać syna, ale myślę, że chowanie go pod kloszem nie będzie miało większego sensu.

Wolę, żeby miał kontakt z prawdziwymi ludźmi od początku,

Sens → Roma Piejko, Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Mateusz Kardas, Lech Miodyński

a nie żył w zamkniętym otoczeniu na jakimś prywatnym osiedlu. Ja się wychowywałem na zamkniętym podwórku kamienicy i to nie było też dobre – uciekałem na inne podwórka. Tutaj pomysł tych osiedli wziął się z jednostki społecznej i szczególnie ta stara Nowa Huta to są komórki, które mają w swoim centrum szkoły, przedszkola, małe domy kultury – to ma sens dla mnie. Czuję się bezpieczny dzięki temu. Ludzie walczą, żeby przetrwać i zrobić coś dla innych. Tu są niesamowite przedszkola, takich nie ma w centrum: mały park, wokoło plac zabaw z pięknymi tarasami, z balkonami, luksus. Pamiętam, jak ja się wychowałem w takim ciasnym przedszkolu, bez powietrza właściwie.

Plac zabaw → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski

Już się nie boję wychowywać tutaj syna. Znam ludzi stąd, którzy doszli do fajnych rzeczy i mają nadal świadomość tego, co ich tu boli, co im się tu nie podoba.

czas – dźwięk – barwa

Ja się staram obserwować, taki jest też przecież mój zawód, i staram się dostrzegać we wszystkim jakąś wartość i sens, i ciężko mi jest powiedzieć, że któreś z miejsc jest dla mnie mniej podatne na akceptację. Bardzo pięknie wygląda tutaj ten park przy Alei Róż latem, gdy siedzą ludzie i grają w szachy. Zimą też jest fajnie, ale inaczej.

CZAS, BARWA, DŹWIĘK

Nie jest ważny obraz miejsca w jakimś czasie, ważny jest upływ czasu, czyli co wynika z tego upływu dla miejsca. Bardziej interesuje mnie, jak wygląda miejsce zimą, wiosną, latem, a nie tylko np. latem. W tym odnajduję sens, inaczej bym chyba tutaj zwariował. Dlatego nie wartościowałbym Nowej Huty w stosunku do centrum za bardzo.

W nocy Kombinat wydaje różne fajne dźwięki. Latem dochodzą do mieszkania, gdy okna są otwarte. Słychać też bardzo dużo ptaków. Jest taki jeden niesamowity dźwięk przy lotnisku, jak się idzie przy Muzeum Lotnictwa. Tam jest taka dziwna aparatura pomiarowa

i taka dziwna maszyna robi „ping”.

Rozmowa Ewy Dębskiej
z Bogumiłem Godfrejowem

Tak piszczy. Ten dźwięk jest niesamowity, on tam jest po prostu od zawsze.

Zapomniałem o pasie. Pas to jest niesamowite miejsce z niesamowitą historią. To też jest moje miejsce od dzieciństwa. Ojciec mnie tam zabierał, tam zrobiłem swoje pierwsze zdjęcia. To taka inna Nowa Huta. Temat na długie rozmowy.

Dźwięk żużla. Zawsze, gdy był żużel w sobotę czy w niedzielę, to ten żużel było słychać i to przypominało o tym, że jest niedziela czy sobota, czyli dzień świąteczny i jest żużel. Dźwięk szkoły muzycznej przy tych łąkach. Tam jest taka kakofonia dźwięków: trąbki, perkusji, śpiewu. Lubię tam chodzić i słuchać tych dźwięków. Nie ma tu dźwięków, które by mnie odrzucały, one wszystkie tutaj pasują. Przez to odkrywam bogactwo gdzieś w tym wszystkim.

I latem dźwięk dzieci – wiadomo. Słychać to wszystko, bo samochody nie zagłuszają tych dźwięków. Jeżeli jest takie zamknięte osiedle, to te wszystkie dźwięki wpadają do mieszkania.

Psy, szczekające psy.

W roku szkolnym, co tydzień, w ośrodku kultury na moim osiedlu są imprezy dla starszych ludzi, którzy chcą potańczyć i spotkać się. To taki dźwięk młodości, która zatrzymała się w czasie – dźwięk przeszłości – gorących potańcówek z – lat 70.

Tak, jest dużo fajnych dźwięków.

Kolor? Na pewno czerwień. Ja tu ciągle widzę taką cegłę. Mam taki obraz początku Huty, kiedy te budynki nie były otynkowane. One bardzo długo były nieotynkowane, z tego, co widziałem na zdjęciach. I ten obraz został mi gdzieś w głowie.

Nowa Huta nie jest dla mnie szara, ani nie jest też zielona. Jest dla mnie czerwona, w kolorze cegły. Gdybym miał to jakoś przekazać, to właśnie taki kolor chciałbym pokazać, a nie faktyczny. Te budynki i tak straciły swoją barwę, podejrzewam, że kremową bądź piaskową. Tak chyba były malowane czasami. Te kolory widać, to jest niesamowite, bo widać je pod gzymsami, tak wysoko można je odnaleźć.

Cegły → Niki Wiecheć,
Mateusz Kardas,
Augustyn Mirga,
Franciszek Szafraniec,
Ewa Kaproń, Marianna Zając

fot. Marcin Klag

fot. Marcin Klag

Piotr Wołkowski

Tropem nowohuckich

Na tropie nowohuckich zegarów znalazł się nieugięty poszukiwacz sensów huckich, Piotr Wołkowski. Kulisy swoich odkryć ujawnia w tekście dotyczącym przedmiotu-zjawiska na tyle zrośniętego z otoczeniem, że łatwo można je pominąć. Uwaga! Zegar, o którym mowa, nie tyka. Dlaczego jest elektroniczny? Jak znalazł się w dzielnicy zaplanowanej jako najnowocześniejsza?

Co mówią o nim ludzie? Podążcie za tropicielem…

„Bardzo mi się podoba zegar, który jest na placu Centralnym. To są takie piękne, małe rzeczy, bardzo ważne. Jak zegar nie działa, to oboje z żoną czujemy, że coś jest nie tak.
Zegar jest świadkiem tego, co się dzieje w Hucie. Dla każdego, kto tu mieszka, jest bardzo ważny i to nie jest jakieś tam miejsce spotkań jak skarbonka, tylko bardzo istotny element tożsamości. Widać go z daleka, z różnych arterii, z alei Jana Pawła II, czy Solidarności. Po prostu on pozwala zdążyć na tramwaj bądź autobus; można dobiec, ma się tę relację czasową. On zatrzymuje ruch. Jak jakiś tramwajarz podjeżdża za wcześnie, to czeka. Ma swój czas pewnie, ale i tak tamten jest ważniejszy"

Bogumił Godfrejow

Zafascynowany słowami Pana Godfrejowa, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego zegara. Chciałem również sprawdzić, czy rzeczywiście jest on ważny dla mieszkańców Nowej Huty. O samym zegarze wiedziałem tylko tyle, że jeszcze niedawno był naprawiany przez nauczycieli ze szkoły elektrycznej, z osiedla Szkolnego. Pomyślałem, że warto byłoby z nimi porozmawiać i od tego rozpocząłem swoje poszukiwania.

poniedziałek

Osiedle Szkolne; już z ulicy Struga widać gmach Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2. Kilku uczniów stoi przed budynkiem. Stoją i palą papierosy. Pani z portierni mówi, że dyrektora nie ma, ale wróci niedługo, więc czekam. Kwadrans później zostaję zaproszony do gabinetu, siadam przy owalnym stole i zaczynam tłumaczyć, o co mi chodzi. Dyrektor, p. Jerzy Kołakowski, okazuje się żywo zainteresowany całą sprawą i na karteczce dostaję nazwiska osób, które powinny powiedzieć mi coś więcej na temat zegara.

fot. Łukasz Nowak

Pukam do drzwi jednej z klas.

– Proszę wejść – słyszę przez drzwi.

– Dzień Dobry. Czy Pan Janusz Ciepły? – pytam.

– Tak, a o co chodzi? – widząc malujące się na twarzy zdziwienie, odpowiadam.

– Chodzi o zegar na Placu Centralnym. Czy to Pan razem z Panem Gazdowiczem, czy to Panowie go naprawiali?

– Tak, a o co chodzi?

– Chciałbym z Panami o tym porozmawiać – mówię.

Wieczorem dzwonię do kolejnej osoby z dyrektorskiej kartki. Z panem Stanisławem Stanaszkiem, byłym kierownikiem warsztatów szkolnych (obecnie w tych warsztatach mieści się Łaźnia Nowa). Umawiam się na drugi dzień na Placu Centralnym.

Prosimy o zegary!

W naszej dzielnicy ulicznych zegarów wiele nie ma, a praktycznie właściwie ten jeden, w os. Kolorowym. Był kiedyś przy Placu Centralnym, został jednak zniszczony i ślad po nim zaginął. A czy nie można by również umieścić dużych zegarów przy bramach kombinatu? Z pewnością są tu bardzo potrzebne...

Fot.: Józef Rośkiewicz

zegarów...

wtorek

Spotykamy się „pod zegarem”. Niestety, starszy pan niewiele może mi powiedzieć na jego temat.

Po krótkiej rozmowie wychodzi natomiast inna bardzo interesująca rzecz. Okazuje się, że zegar na Placu Centralnym nie był jedynym tego typu zegarem w Nowej Hucie. W 1972 r. pan Stanaszek skonstruował zegar elektroniczny, o którym warto tutaj wspomnieć, ponieważ nie był to tylko zwykły czasomierz. Oprócz tego, że wskazywał godzinę, to o 12 w południe załączał magnetofon „Zetka 120”, z którego odgrywana była „O Nowej to Hucie piosenka”, a po niej, już z radia, leciał Hejnał Mariacki. Niestety trwało to tylko kilka lat, ale starsi mieszkańcy osiedla Szkolnego powinni jeszcze pamiętać te dźwięki, ponieważ głośnik z którego one się wydobywały, znajdował się na zewnątrz szkoły. Mówiąc prosto, waliło na całe osiedle. Zegar ten rozebrano w połowie lat 90-tych i wymieniono go na dużo mniejszy, który stoi po dziś dzień.

fot. Łukasz Nowak

piątek

Na piątkowe spotkanie zabieram ze sobą kolegę, będzie robił zdjęcia. Jesteśmy umówieni w jednej z sal lekcyjnych w podziemiach szkoły. Właśnie kończy się przerwa i z korytarza docierają odgłosy wałęsającej się młodzieży. Proszę panów, by opowiedzieli mi o tym, w jakim stanie zastali zegar, o jego konstrukcji, o tym co wymienili, a co pozostało. Na wstępie dowiaduję się, że zegar przestał działać, ponieważ jego elektronika uległa spaleniu. Wymieniono 600 metrów przewodu (w całym zegarze według starej dokumentacji jest go ponoć 1200 m!). Oprócz tego, skonstruowano zupełnie nowy zegar sterujący, tzw. zegar matkę (pan Janusz tłumaczy mi to tak: „zegar matka jest to takie urządzenie, które podaje impuls na wszystkie inne zegary podwykonawcze. Przykładowo, jest jeden zegar na dworcu, a na każdym peronie jest zegar wykonawczy i one wszystkie dostają impuls i przesuwają wskazówki”). A co w takim razie zostało ze starego zegara? Okazuje się, że niewiele. Pozostały wszystkie elementy konstrukcyjne, typu kaseta, która jest na dachu, szafa sterująca, a tak to większość rzeczy została wymieniona.

– A ile jest żarówek? – dopytuję.

– Wszystkich to ze 170! Jedna duża cyfra ma ich 49 lub 42, zależy która. Małe po 35. No i kropka, to +1. Wymiana samych żarówek trwa ze 2 godziny, a trzeba to robić co najmniej co 3 miesiące – mówi jeden z panów.

Ktoś na chwilę wchodzi do sali.

– Jedziemy? – niespodziewanie pyta pan Gazdowicz.

– Jedziemy! – odpowiadam.

Wsiadamy do samochodu i kierujemy się w stronę osiedla Centrum D. Zatrzymujemy się przy bloku na którym stoi zegar i podekscytowani wchodzimy na ostatnie piętro budynku. Najpierw panowie pokazują nam sterownię, w której znajduje się, wspomniane już wcześniej, serce zegara – zegar matka – i wielka szafa pełna bezpieczników, tyrystorów i innych elektrycznych elementów. Ta szafa jest tak ogromna, że Łukasz nie jest w stanie objąć jej całej w kadrze aparatu fotograficznego. Zdumiony pytam, ile taki zegar zużywa prądu?

– Roczne utrzymanie kosztuje jakieś 20 tys. zł. – odpowiada pan Gazdowicz.

Nie czas się zastanawiać czy to dużo, czy mało, bo właśnie wychodzimy na dach. Szczerze mówiąc, nie jestem przygotowany na to, co zaraz zobaczę. Pierwsze wrażenie jest po prostu piorunujące! Jak na dłoni widać cały Plac Centralny, wszystkie osiedla dookoła niego, Centrum E i Łąki Nowohuckie.

– A niech pan sobie wyobrazi, jak my tu pracowaliśmy i był pożar tych łąk. To dopiero był widok! – wspomina pan Ciepły.

Uderzające jest również to, jak w oddali nad fasadami budynków wyrasta kombinat metalurgiczny. Mam wrażenie, że to jakiś dymiący potwór, który pomału sunie w naszą stronę.

Gdy już trochę ochłoniemy, gdy już się oswoimy trochę z tym widokiem, zaczyna nas absorbować coś innego. Naszą uwagę zaczyna pochłaniać zegar. Jest… jest po prostu OGROMNY! Jego kaseta ma wysokość dorosłego człowieka, a szerokość to pewnie z 3 metry. Niesamowite robi wrażenie, a przecież z dołu wydaje się taki mały… W rzeczywistości to potężna maszyna!

Jeszcze kilka zdjęć i schodzimy. Na koniec pytam o starą dokumentację, tę sprzed ponad 30 lat. Chciałbym ją zobaczyć. Niestety nie wiadomo dokładnie, gdzie ona jest. Czy u administratora budynku, czy na Wielopolu, czy jeszcze gdzieś indziej. Z tymi teczkami tak jest, że lubią się zapodziać.

poniedziałek

Szukając tej dokumentacji, natrafiam na żółtą budkę z preclami, stojącą na Placu Centralnym. Jako że nie miałem czasu zjeść śniadania, a już trochę dzisiejszego dnia się błąkam, podchodzę do budki i proszę o precla. W tym momencie słyszę zza pleców głos znajomego.

– Cześć, co ty tu robisz?

– O cześć! Urwałem się z zajęć. Chcę coś napisać o tym naszym zegarze i trochę zgłodniałem – mówię.

– A co pan chce o nim wiedzieć? – niespodziewanie pyta pani z żółtej budki.

– No… właściwie wszystko – mówię z niemałym zaskoczeniem.

– Na przykład? – pyta.

– Na przykład, jak długo on już tutaj jest – mówię.

– Ooo… tego to panu nie powiem, bo nie pamiętam, ale bardzo długo – mówi pani z żółtej budki.

– A może będzie Pani wiedzieć, jak to się stało, że on się tutaj znalazł? – zaczynam dociekać.

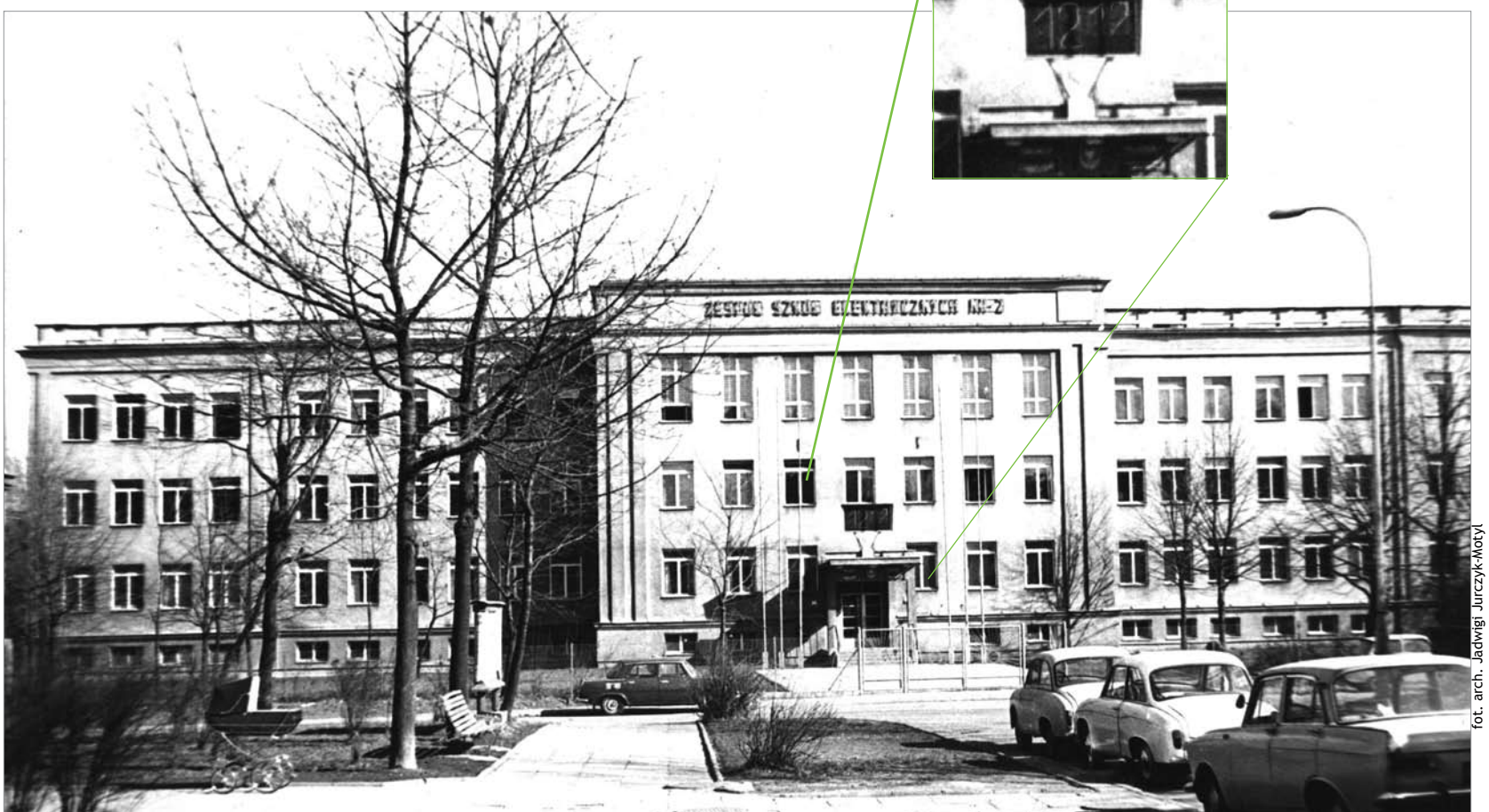

fot. arch. Jadwigi Jurczyk-Motyl

– O ile dobrze pamiętam, to Miejska Rada Narodowa ufundowała ten zegar, bo ludziom było źle bez zegara. Mówili, że wszędzie mają zegar, tylko u nas nie ma. Nawet podpisy były zbierane w tej sprawie – mówi pani z żółtej budki.

– A Pani się cieszy, że ten zegar tu jest? – pytam.

– Bardzo się cieszę! Często ludzie podchodzą tu do mnie i pytają która godzina, no to im pokazuje na zegar. Sama jak idę do pracy, to patrzę na niego, ile już jestem spóźniona – mówi pani z żółtej budki.

– To pewnie brakowało go, jak był zepsuty? – pytam.

– Bardzo go brakowało i cieszę się, że jest! – mówi pani z żółtej budki.

fot. Łukasz Nowak

czwartek

Wyciągając wnioski ze zdarzenia, które spotkało mnie kilka dni temu, postanawiam zrobić sondę wśród mieszkańców Nowej Huty. Chodzę dookoła Placu Centralnego i wypytuję ludzi o to, czym jest dla nich zegar. Czy jest dla nich w jakiś sposób ważny, czy często spoglądają w jego stronę, jak się czuli gdy nie chodził. Oto co mi powiedzieli:

Pani Józefa (86 lat):

Dla mnie ten zegar jest ważny, ale przyzwyczajenie proszę pana robi swoje. On był od dosyć dawna, ja się wprowadziłam 50 lat temu, to już był. Jak się zepsuł, to nagle się pusto zrobiło. Pomimo, że wiedziałam, że nie działa, to i tak głowę obracałam, żeby spojrzeć.

Pan, który w marszach 1-majowych chodził przebrany za hutnika:

Ja pamiętam, jak były te wiece 1-majowe pod Leninem, to patrzono na ten zegar, żeby punkt godzina 11 wystartować.

Marcin Kostera, obrońca Hutnika Kraków:

Zegar był symbolem nowoczesności Nowej Huty. Jak był nieczynny, to było jakoś… dziwnie. Zawsze jak się było na placu, zawsze się spojrzało. Zawsze. Jak go nie było, to tak głupio. Dobrze, że go uruchomili z powrotem. Jest symbolem.

fot. Łukasz Nowak

Pani Maria (lat 71):

Dla mnie, mnie się widzi, że jest dobry, bo się spojrzy i już. Na ręce mam mały, to się nie chce spoglądać. Potrzebny jest, choć przydałby się może jakiś taki ładniejszy, przyjaźniejszy trochę. Bogatszy taki. Ja tu 35 lat mieszkam i odkąd pamiętam, to już tu był. Tu podobno był też inny zegar, opowiadała mi sąsiadka, co ma 92 lata. Tam, gdzie markiza, gdzie ta żółta budka telefoniczna. Piękny zegar, stojący, jakiś taki duży bardzo zegar był, tylko że ja go nie pamiętam.

Młody chłopak:

On jest takim punktem lokalizacyjnym. Ponieważ mieszkam na obrzeżach Huty, to często się pod nim umawiam. Nawet z takich pragmatycz-

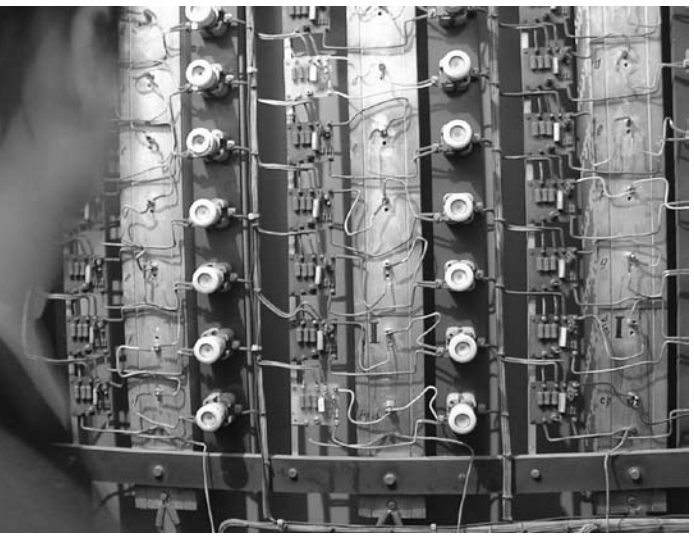

fot. Łukasz Nowak

nych rzeczy to samo to, że czas wskazuje. No ale tutaj większość osób umawia się pod nim. W ogóle, jak świeci, to tak fajnie jakoś.

Motorniczy:

Dla pasażerów na pewno jest ważny. Tylko numer jest taki, że jednego dnia normalnie pokazuje czas, a następnego już idzie dwie minuty w plecy. My dostajemy dokładny czas, co jakiś czas nam podają przez radio z dyspozytorni ruchu, no i czasami się zdarza, że człowiek przyjeżdża na przystanek i słyszy: „Dlaczego pan dwie minuty wcześniej przyjechał?". Ludzie po prostu się sugerują tamtym zegarem.

Dziadek na Ławce:

Wie pan, ja w ogóle nie słyszę, także nie wiem co pan do mnie mówi – śmieje się – ale przytakuję! Na wszelki wypadek przytakuję!

Pan Stanisław (33 lata na emeryturze):

Odkąd jest ten zegar? Hohohooo – śmieje się starszy pan – dawno temu stanął. Ja tu w Hucie od zarania jestem, już 51 lat będzie. Na początku był zegar tu, gdzie ta markiza, ale on nie chodził chyba. Na ten rzadko spoglądam, bo niepewny jego czas. A co pan? Chciałby żeby zamontowali nowy zegar tutaj?

Gośka (19 lat):

Zawsze był (od kiedy pamiętam). Nieodłączny element placowo-centralnego krajobrazu. Tak więc jest wieczny, stały, oczywisty, absolutnie niegodny zaufania, stary, wstrętny drań, który tylko czeka, żeby przez pokazanie złej godziny podłożyć mi świnię… A jednak jakoś drania lubię i chyba byłoby mi go brak, gdyby został zdemontowany.

•

Myślę że te ostatnie słowa mówią wszystko, mówią głosem nowohuckim, mówią głosem zbiorowości. Niech więc posłużą jako podsumowanie moich poszukiwań. Najwyższy czas je zakończyć, zamknąć dziennik terenowy na stronie, gdzie nie wszystko jest jeszcze wyjaśnione. Gdzie zegar jawi się jako wieczny, oczywisty i nieodłączny element nowohuckiej przestrzeni. Ten tekst, jako część księgi uwolnionych tekstów, pozostawiam więc uwolnionym… niech historia zegara jeśli chce, pisze się dalej sama!

•

Podziękowania

Dla Dyrektora Szkoły – Jerzego Kołakowskiego, Janusza Ciepłego i Krzysztofa Gazdowicza (w szczególności za wycieczkę na górę!), dla przemiłej Pani z czytelni Ośrodka Kultury im. C.K. Norwida, dla Pani z żółtej budki z precelkami, dla Stanisława Stanaszka. I wszystkim tym którym zawracałem głowę – dziękuję.

Szczególne podziękowania dla p. Jadwigi Jurczyk-Motyl za fachową pomoc, zdjęcie starego zegara ze szkoły i wycinek z gazety.

fot. Łukasz Nowak

fot. Anna Młodyńska

Marianna Zając

Pani Marianna urodziła się w Czyżynach przed II Wojną Światową, czyli w czasach, gdy na terenie dzisiejszej Nowej Huty istniał tylko jeden zakład – Monopol Tytoniowy. Życie tu było ciężkie – panowało bezrobocie, wieś była przeludniona, więc Pani Marianna zarabiała pierwsze pieniądze już w wieku 13 lat: nosiła do Krakowa kwiaty na targ. W jej wspomnieniach ożywają dawny fort Pszorna (wysadzony, by zbudować drogę do Nowej Huty), wąwóz w miejscu obecnego Placu Centralnego, zwany Ośle Doły, a także – huczne wiejskie wesela z czepinami i banderiami drużbów na koniach.

Potem przyszła okupacja, a wraz z nią aresztowania za zbyt mały odstawiony kontyngent, mielenie zboża w żarnach (za co zresztą też groziło więzienie), częste bombardowania pobliskiego lotniska, w wyniku czego ucierpiały okoliczne wsie.

Wyzwolenie przyniosło budowę Nowej Huty. Na terenie należącym kiedyś do rodziny Pani Marianny stoją dzisiaj bloki przy rondzie Czyżyńskim (na miejscu jej dawnego rodzinnego domu), Miejska Rada Narodowa i przystanek koło bazaru. Pani Marianna wspomina, jak opornym burzono domy spychaczami. Samo życie w nowym mieście też nie było łatwe. Ogromna rzesza budowniczych, ściągnięta z całego świata, czuła się tu bezkarna i wyzwolona z wszelkich ograniczeń. Miało to swoje dobre i złe strony. Zrozumiałe, że po okropieństwach wojny i ubogim dzieciństwie budowniczowie Huty chodzili uśmiechnięci w swoich waciakach i gumowcach: znajdowali tu warunki o wiele lepsze niż w gospodarstwach z których przybyli, a nadzieję na lepszą przyszłość podsycała jeszcze oficjalna propaganda. Lecz wśród budowniczych przeważali ludzie młodzi, z fantazją i lekkomyślnością niekiedy trudną do okiełznania. Stąd liczne bójki i napady, które zaczęły stopniowo zanikać, gdy przyjezdni pozakładali rodziny i ich życie się ustatkowało.

Dziś Pani Marianna jest na emeryturze. Ponieważ pracowała w służbie zdrowia, nie otrzymuje tak wysokich świadczeń, jak jej koleżanki – suwnicowe w hucie, ale nie ma o to żalu: wie, że ich praca była trudniejsza. Kobiety rzeczywiście pracowały w Nowej Hucie równie ciężko jak mężczyźni. Spotkać je można było nie tylko w sklepach, biurach czy licznych kuchniach, lecz także na budowie, gdzie podawały cegły i nosiły wapno. Były także murarkami. W Nowej Hucie stoi wiele domów wystawionych w całości przez żeńskie brygady.

Maciej Miezian

Marianna Zając mieszka od 49 lat na os. Hutniczym. Prowadzący rozmowę: Basia Rostek

...jak szłam do sklepu na Czyżynach, to biegłam, bo taki ze mnie żywioł...

Marianna Zając

BR: Jest Pani stąd? Mówiła Pani, że urodziła się w Czyżynach.

MZ: Tak, w Czyżynach, to dzielnica Krakowa… dzielnica Nowej Huty. Jeszcze przed wojną, to jak stoją zakłady, to stał tutaj taki postument, dotąd był Kraków. Za Monopolem już była Mogiła, jeszcze jak Nowej Huty nie było.

BR: Tam się Pani wychowywała?

MZ: Tak, mieliśmy dom tutaj, gdzie jest rondo Czyżyńskie. Mieliśmy gospodarstwo.

BR: Rolne?

MZ: Tak, w Czyżynach mieściło się wszystko. Właśnie najpierwsze pole zostało zabrane pod Nową Hutę. Jeszcze moja mama żyła, jak zabrali to pole. Później, miałam dwa latka, jak ojciec zmarł, wszystko podzielone było. Nas było sześcioro i każdy miał kawałek pola. Po kolei wszystko zabrali. Siostrę wysiedlili – tutaj, jak do Huty się jedzie, jak tramwaj jedzie, dziesiątka, ona tu mieszkała, to ją przesiedlili. Później brat mieszkał, tam troszku dalej w Czyżynach, też go wysiedlili. Drugi brat mieszkał tutaj, też. Wszystkim, wszystkim poburzyli domy. Moja siostra dostała ten nasz dom rodzinny, bo ja nie dostałam nic, ponieważ nie pracowałam nigdy w polu, to powiedzieli, że nic mi się nie należy. Siostra moja została na tym naszym gospodarstwie, myśmy mieli 11 ha, tutaj w Czyżynach. Siostra została na tym gospodarstwie, przecież nie chciała się z domu rodzinnego wyprowadzać. Cuda były takie. Ale powiedzieli, że przyjedzie spychacz i razem z nią…

BR: Kiedy nastąpił ten ostateczny moment, kiedy Pani dom rodzinny, w którym wszyscy się wychowaliście, został Wam odebrany?

MZ: 18 lat temu. Tutaj, gdzie wybudowali te wysokie bloki na rondzie, to właśnie w tym miejscu stał nasz dom. A jeszcze pamiętam, jak byłam dziewczynką małą, że Czyżyny to taka mała podmiejska osada, przecież jeszcze wszystkie gospodarstwa były. Moja mama brała jeszcze ślub po krakowsku, w wieńcu. Drużbowie na koniach.

BR: Chciałam o to zapytać, jak to było? Pani pamięta ten wielki plan budowania Nowej Huty.

MZ: Straszna była rozpacz, jak zaczęli tę Hutę budować. To były tak urodzajne pola, pamiętam, jak Monopol nie stał, w 1937 r. zaczął Monopol być budowany, to pierwsza taka duża inwestycja. To były dworskie pola, tu jak domki są jednorodzinne w Czyżynach, to tam jeszcze stoi dwór. Oni mieli dworskie pola, to pierwsze sprzedali te pola Monopolowi, a później po drugiej stronie to wszystko zabrała Nowa Huta. Bardzo uprawne pola były. Tutaj jak jest Plac Centralny, to taki Ośli Dół był – droga była środkiem, a po bokach były wąwozy i to nazywali Ośli Dół właśnie. A te pola, co ja mieszkam, to były klasztoru Cystersów i wszystkie zabrano Cystersom, kto chciał nie chciał, trzeba było oddać.

BR: A zastanawiam się, jak to było, jakie emocje towarzyszyły młodym ludziom wówczas? Pani była młodą osobą, chyba nie można mówić o entuzjazmie w przypadku osób, którym zabierano wszystko, ale może był ten entuzjazm w osobach, które przyjeżdżały tu zacząć nowe życie, prawda?

MZ: Tak, entuzjazm był w tych osobach, które przyjeżdżały i dostawały tu pracę. Ja dostałam kawałek pola na Pułku Lotniczego,

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio

Rozpacz → Mateusz Kardas, Roma Piejko

najpierw kawałek zabrali, później kawałek,

i została jeszcze taka działka-altanka, przyjechali i zabrali spychaczem wszystko. Myśmy tę działkę uprawiali z mężem, przecież młodzi byliśmy, ani się nawet nie pytali, mógł się kto opierać. Było straszne rozgoryczenie między ludźmi. Moja siostra miała piękny dom tutaj i też na Pułku Lotniczego dostała mieszkanie, ale musiała zapłacić, to nie tak, żeby dali mieszkanie. Ale ludzie z całego świata przyjeżdżali, różni ludzie, i tu się działy i mordy i niemordy. Pamiętam, że jak tu już mieszkałam, to się bałam wyjść na ulicę. W 1956 r. się wprowadziliśmy, to takie były rozboje, taka szumowina najgorsza z całego świata. Kobiety niemowlęta wrzucały do wielkich dołów z cementem, dziewczęta przyjeżdżały i nie było wtedy środków antykoncepcyjnych, bo to czasy były takie, jak za króla Ćwieczka, więc co z tym zrobić później, żeby sobie nie utrudnić życia. Kościół że istnieje w Bieńczycach – Arka – to tylko zasługa naszego Papieża. Pod krzyżem jak była walka, to my już tu mieszkaliśmy, no i wybudowali tam szkołę 1000-lecia, bo to było 1000 szkół na 1000-lecie, a teraz stoją puste te szkoły, bo tyle było tych szkół w Hucie, a teraz nie ma młodzieży.

Papież → Ewa Kaproń, Bogumił Godfrejow, Waldemar Cichy

BR: Jak wyglądało życie zanim wybudowano Nową Hutę?

MZ: Powiem szczerze, że nie było za cudownie, małe gospodarstwo, to pracy za bardzo nie było, przemysł nie był rozwinięty, bieda była. Koło nas była taka rodzina, tam ten domek jeszcze stoi, to przecież była podłoga z ziemi, takie klepisko. Sześcioro ich było w jednym mieszkaniu. On roznosił węgiel po domach i zarabiał tym, to był dzień, że zarobił parę groszy, ale był i taki, że przyszedł bez grosza. My jako tako żyliśmy, bo mieliśmy jedzenie, ojciec mój nie żył, ale mama jakoś sobie radziła, bracia później już zaczęli pracować.

BR: A jakieś wspomnienia z dzieciństwa i jak Pani była młodą dziewczyną? Co Pani najbardziej pamięta?

MZ: Najwięcej pamiętam, że było takie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, ja należałam do tego, to były różne kursy gotowania i wystawialiśmy sztuki. Jeszcze wcześniej, jak chodziłam do szkoły, to należałam do harcerzy.

BR: A do szkoły gdzie Pani chodziła?

MZ: W Czyżynach, do tej nowej, co stoi jeszcze do dziś. Ja pierwsza szłam do pierwszej klasy do nowej szkoły, a moje rodzeństwo wszystko chodziło do szkoły w Łęgu, był taki Żyd i obok tego Żyda była taka chałupa, bo inaczej tego nazwać nie można, i moje rodzeństwo chodziło do szkoły podstawowej tam w Łęgu. A ja pamiętam, jak szłam, jak się cieszyłam, bo to już parkiet był w klasach, no i obok był Dom Ludowy, i właśnie w tym

fot. Marcin Klag

fot. Marcin Klag

Domu Ludowym było takie życie, żeśmy się spotykali i zabawy urządzali. I tam miałyśmy występy różne i tańce, i naprawdę

było takie życie przyjemne.

Było się z kim spotkać i porozmawiać, a kościoła nie mieliśmy, bo kościół został wybudowany dopiero w 1937 r. Kamień węgielny był położony w Czyżynach, a myśmy należeli do tego małego kościółka w Mogile. I moi rodzice tutaj leżą, w Mogile, na cmentarzu. A ja jeszcze dawałam na zapowiedzi w tym małym kościółku w Mogile, ale ślub już brałam w kościele w Czyżynach. I pamiętam jeszcze, jak Pierwsza Komunia była, to zakonnice zrobiły nam stoły, śniadanie, bo to kawał drogi, pół godziny trzeba było iść, a takie małe dziecko, jak mama mnie wysłała do szkoły, to miałam 5 lat.

BR: To mała była Pani…

MZ: I mała, i chuda, ale jej się wydawało, że ja już umiem wszystko, więc chciała, żebym ja chodziła pierwszy rok do tej nowej szkoły, a jak zaczęłam chodzić do gimnazjum, to już Kocmyrzówka była i Mogiłka była, takie pociągi, tośmy mieli szkolny wagon, fajne życie było!

BR: Mówiła Pani, że tramwaje dojeżdżały wtedy tylko do ronda Mogilskiego?

MZ: Tak, do ronda Mogilskiego – tam był fort, gdzie rondo Mogilskie, i drugi fort był. Bo to za Austrii były budowane te forty. I np. pierwsze domy, które są budowane w Hucie, to są z cegły z tego fortu, tam rozbierali te forty i te osiedla to są z tej cegły z fortu budowane właśnie.

Cegły → Niki Wiecheć, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń

Zarobić na łyżwy

BR: Miała Pani ulubione miejsca? Chodzi mi o takie miejsca, które się ma ukochane, jak się jest dzieckiem, w których się spędza dużo czasu, np. górki jakieś itp.?

MZ: Po drugiej stronie naszego domu była taka górka i myśmy tam jeździli na sankach. A na końcu w Czyżynach, za szkołą, to były stawy, to tam my chodzili. Ja pamiętam, że jak moja siostra urodziła chłopaków, to ja dostałam lanie takie, bo zostawiłam te dzieci i poszłam na łyżwy (*śmiech*). Wtenczas pamiętam, że pasłam krowy, żeby sobie zarobić na te łyżwy: tam niżej w Czyżynach to były błonia i tam te krowy pasłam u stryjka, żeby zarobić na łyżwy, bo wiadomo, że mama mi nie dała, bo nie miała, bo podatki straszne były. A później sadziłam kwiatki koło domu i zanosiłam przekupkom na Rynek te kwiatki i sprzedawałam.

BR: Takie w doniczkach kwiatki?

MZ: Nie, takie normalne, ścinane kwiatki, goździki. A moje koleżanki dwie pracowały w ogrodzie w Rakowicach i one mi przynosiły różne te kwiatki, żeby rozsadzać, i ja im też coś za to dawałam. Na nogach chodziłam z tymi kwiatkami do Rynku do Krakowa, 7 km z Czyżyn! Miałam 13 lat, więcej nie miałam wtenczas, ale już miałam swoje pieniądze, a jeszcze co! Jeszcze tutaj, jak kopiec Wandy jest, tutaj chodziłam do krawcowej, która mi szyła sukienki. Ja w ogóle to miałam na punkcie ubrania bzika.

BR: Co to znaczyło wtedy, jak się Pani ubierała?

MZ: Pamiętam, szwagier kupił mi w Krakowie na Siennej, tam Żydzi mieli sklepiki, to

kupił mi takie beżowe buty,

Buty → Waldemar Cichy, Marcin Kostera, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

to Jezu, ja przecież spałam z nimi.

BR: I co, chowała je Pani pod poduszkę?

MZ: Pod poduszkę, tak, nie mogłam się z nimi rozstać, Jezus Maria, jak już se coś kupiłam, to nie mogłam. Spałam z nimi na początku, jak były nowe, bo później, jak używane,

już nie. Ale czy sobie bluzeczkę kupiłam, czy coś. Moje siostry były starsze, jedna 10 lat starsza, druga 15, to im mama kupowała, bo to już były panny do wydania. Ale ja miałam taką smykałkę, że zawsze se umiałam zmodyfikować, przeszyć coś, tego i owego, i zawsze byłam modna, nawet w Czyżynach mówili, że modelka. Już takie miałam przezwisko. Przede wszystkim nie chodziłam z żadnym chłopakiem z Czyżyn.

BR: Niefajni byli? Była jakaś taka specyfika, że ci z Czyżyn, to nie, a ci z Krakowa tak?

MZ: Nie odpowiadali mi. Z Bieżanowa miałam 5 lat chłopca, nieraz wlali mu, jak przyjechał na zabawę. Dlatego, że był z Bieżanowa, a nie z Czyżyn. A moja siostra miała wesele ludowe całkiem, czepiny były. A moja mama jak miała, to drużbowie na koniach jechali, chusty mieli i był ten czepiec, co miała na czepiny ubrany, w koralikach cały, później miała stroje krakowskie i pochowana została w stroju krakowskim. Tak. I oczywiście ja nosiłam obraz w Czyżynach, feretron taki. A moje siostry chodziły do Mogiły i na każdą okazję miały inny strój, biały na Boże Ciało, niebieski na inne święto, na Matki Boskiej, jak była procesja, a krakowski strój to właśnie siostry moje nosiły tu, w Mogile. A ja tylko w Czyżynach w stroju krakowskim, moje te trzy, co ze mną nosiły, też w strojach krakowskich stały, stałam z kwiatami, ubrana. I piękny ślub miałam, muszę powiedzieć, choć nie wychodziłam za tego, co chodziłam z nim. A tak to było jakoś.

BR: W którym roku brała Pani ślub?

MZ: W 1950 r., poszłam na Sylwestra z kim innym, a z kim innym wróciłam, i z tamtym chłopcem rozeszliśmy się. Tak się złożyło jakoś. Ale mam męża bardzo dobrego, i całe życie miałam, i bardzo przystojny mąż jest. Mój mąż był w Oświęcimiu.

Bomby w Czyżynach

BR: A co Pani pamięta sprzed wojny?

MZ: Pamiętam, jak Piłsudski zmarł, byłam w krypcie, w 1935 r. byliśmy ze szkoły składać hołd Piłsudskiemu. A jak przyjechał Rydz-Śmigły, to my wszystkie dziewczynki w strojach krakowskich na Błoniach, takie uroczyste powitanie było. I pamiętam, pod Adasiem staliśmy w Rynku, w ogóle takie uroczystości. A później wybuchła wojna, przyleciały samoloty, zbombardowały Czyżyny, bo to lotnisko było, bardzo dużo było zburzonych domów tutaj, w Czyżynach. Później, za okupacji, to były bardzo ciężkie czasy, bardzo, moja mama siedziała w więzieniu, ponieważ nie zebraliśmy z pola tyle, ile mieliśmy oddać. Dobrze, że brat mamy poszedł za nią siedzieć. I pamiętam, jak jeszcze przyjechali i zabrali nam ziemniaki z piwnicy, co do jednego ziemniaka, nie mieliśmy co do garnka włożyć.

Tak było za okupacji w ogóle. Były te żarna, to na żarnach się mieliło zboże, to ziemniaki mama gotowała do tego i taki chleb nam piekła. Jak się zęby wsadziło, to trudno je było wyjąć z tego chleba, bo taka mąka razowa i ziemniaki. Bardzo ciężkie czasy były.

BR: Jestem ciekawa, jak to było na początku, bo mieszka tu już Pani 49 lat. Bardzo się to miejsce zmieniło przez ten czas?

MZ: Nie było tych domów naprzeciwko, Szklanych Domów, był tylko Plac Centralny. My z mężem mieliśmy taki pokój w Krakowie u teściowej, teściowa nam pokój odstąpiła, bo mój mąż z Krakowa jest, mieszkałam tam 5 lat.

BR: A jak to się stało, że zamieszkała Pani w Nowej Hucie?

MZ: Mąż nie pracował w Hucie, ale Monopol dostał 5 mieszkań, no i było losowanie, na którym piętrze. Mąż wylosował to drugie, sąsiadka trzecie. I nie było większych mieszkań, tylko my mieliśmy jedno dziecko wówczas. A później dostaliśmy mieszkanie na Placu Centralnym, dwa pokoje z kuchnią, ale ponieważ były straszne rozboje, a dostaliśmy je na parterze, to ja mówię: wolę tu, za diabła nie pójdę na parter. Myśmy byli u znajomych na parterze, to przyszedł jeden, butelką walnął, szybę wybił, takie rozboje były. Wieczór, to mało kto wyszedł na ulicę,

przede wszystkim ulicy nie było,

jak się wprowadziłam, nie było żadnej. I autobusy jeździły z Krakowa do Huty, i nie było tramwajów, pierwszy tramwaj to był właśnie na Kombinat.

BR: A pamięta Pani jakieś miejsca, które były wtedy, a teraz już ich nie ma?

MZ: Było kino, gdzie szkoła 83, teraz gimnazjum. Pierwsze kino było na os. Willowym i był „Wersalik", taki klub, i tam wszystkie imprezy. Była nawet wtedy taka spółdzielnia założona, należałam nawet do tej spółdzielni, imprezy były, mieliśmy legitymacje, potańcówki były. Ta spółdzielnia była na Ogrodowym. A tu było to pierwsze kino, później dopiero zbudowano kino „Światowid".

BR: A jakich miejsc brakuje Pani najbardziej tutaj teraz?

MZ: Np. jak mieszkałam w Krakowie, to chodziliśmy do teatru, a teraz do Starego, jak jest dobra sztuka, no i Ludowy, jak jest dobra sztuka, to idę. A w Krakowie jak mieszkaliśmy, męża siostra pracowała w rzeźni miejskiej (rzeźnia była tutaj, na Grzegórzkach) jako personalna i zawsze nam bilety przynosiła.

BR: A co to znaczy: personalna?

MZ: Personalna to takie stanowisko. Takie… czym się zajmowała? Zajmowała się oświatą, biletami… Bo mój mąż pracował jako technik elektryk w Monopolu, a ona właśnie była po gimnazjum i pracowała tam długo nawet. No i zawsze nam przynosiła np. bilety na operetkę.

BR: Ta operetka przy rondzie Mogilskim?

MZ: No, to była tu operetka. A jeszcze za dawnych czasów tu, gdzie operetka, była ujeżdżalnia koni.

Konie → Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec

BR: Naprawdę? W tym budynku? Ujeżdżalnia koni?

MZ: A później operetka. Na operetce to już każdej byłam. No i teraz wreszcie, po tylu latach, znalazło się miejsce i budują tam obok operetkę nową. A tak, to do Starego Teatru, do Słowackiego. Zostawialiśmy dziecko. Moja szwagierka nie miała dzieci, więc zajmowała się. I były urządzane tu, w Hucie, zabawy.

BR: A pamięta Pani takie miejsca jak restauracje czy miejsca, gdzie się odbywały dancingi?

MZ: A były. Myśmy najwięcej chodzili do Monopolu. Tam Monopol urządzał dla swoich pracowników właśnie takie dancingi. I była jeszcze, zaraz… co to było wtenczas? A, no to „Stylowa" jest, i była „Cyganeria" na Placu Centralnym. O, tuśmy bardzo często byli, ale zamknęli ją. No i wiele sklepów się pozmieniało. Cepelia jest tu od pierwszej chwili, no i księgarnia. A po drugiej stronie był piękny dom mody.

BR: Moda Polska pewnie?

MZ: A później tutaj były komisy. Był komis na naszej ulicy, zaraz w następnym bloku był komis, to tam zagraniczne wszystkie rzeczy były. Materiały, i sweterki, i nie-sweterki. Ja też jeździłam, na Węgry i do Czech. Przywoziłam stamtąd,

bo u nas nic nie było, powiedzieć szczerze

– to przywoziłam różne buciki dziecinne, i rajstopy, i bluzki, i nie-bluzki. I właśnie dawałam do komisu, i zawsze te parę złotych się zarobiło. No i ja pracowałam tutaj w Monopolu, w żłobku, przy dzieciach, jako wychowawczyni. I w czasie wakacji jeździłam na kolonie z młodzieżą, np. nad morze. W Przemyślu jak byłam, to był Czarnobyl i wtedy dostałam tarczycy. Bo tam blisko zaraz Przemyśl i Medyka i ja tam na kolonii byłam. I do Dobczyc jeździłam na kolonie.

BR: Uwielbiam to miejsce: zalew, ruiny na wzgórzu, cudowne miasteczko.

MZ: Tam właśnie w szkole miał Monopol zawsze kolonie, i jeździłam tam. Zawsze brałam swoje dzieci, bo przecież marne były te pensje, że człowiek ledwo koniec z końcem wiązał. Mnie nikt nie pomógł i mężowi nikt nie pomógł, bo mąż był cały czas szykanowany

jako AK-owiec. Córka dlatego na studia się nie dostała, bo ojciec był Akowcem. A jak syn szedł na studia do Warszawy, to przyszli i chcieli do góry nogami przewrócić wszystko, żeby się dowiedzieć, ale ponieważ syn miał dużo punktów, więc został na WAT przyjęty w Warszawie. I studiował tam.

BR: Czy istnieje przestrzeń sąsiedzka na Pani osiedlu? Jak wyglądają relacje z mieszkańcami? Kiedyś słyszałam takie historie o tym, że właśnie Huta jest takim specyficznym, dobrym miejscem pod tym względem. Ludzie pracowali w Hucie i to już było w jakiś sposób wiążące, i to się przekładało na takie relacje poza pracą. Jak to wygląda?

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

MZ: Tutaj mamy w ogóle sąsiadów od początku tych samych, jak i my, cośmy się wprowadzili. A tak, to na ogół jest dość spokojnie, ludzie mieszkają kulturalni, nie ma żadnych pijanych, od początku tak było. Przecież to na naszej klatce było mnóstwo dzieci, 39 chłopców i 10 dziewcząt. Młodzież była jakaś taka fajna, nigdy nie było bijatyk ani nic przecież. Mój syn też nie był aniołem, ale… Tu, gdzie było boisko, w zimie lali wodę i robili lodowisko. W ogóle ta młodzież się jakoś skupiała.

Córka moja cały czas chodziła na bale

do Domu Kultury, był Dom Kultury na Majakowskiego, to ona właśnie tam chodziła. A później NCK wybudowany został, to już wnuczka chodziła. Córka chodziła do liceum tutaj, do szesnastki, a syn do technikum Osieckiego, na elektronikę, to słynne było.

BR: Można powiedzieć, że są takie miejsca, które integrują ludzi żyjących tutaj?

MZ: Tak, jest „Jędruś”, „Wersalik”. Ja jestem w zarządzie w „Jędrusiu”. Dzisiaj np. jest tam wystawa obrazów. Był Dzień Inwalidy światowy. W NCK-u byłam też, był Dzień Wojewódzki, „Słowianki” małe występowały i taki z Huty aktor cudny śpiewał starodawne, dawne piosenki, „Chryzantemy złociste” i różne takie. I także tutaj jest Klub Seniora, tu na „Wersaliku”. Należę już 20 lat do niego, tam też mamy spotkania, wycieczki. Ludzie tak jakoś się nie garną, ale jak ktoś chce naprawdę, to ma możliwość. I tu, w „Jędrusiu”, urządzamy święcone, urządzamy opłatek, Dzień Babci, Dzień Matki i różne spotkania –

ma być taki pan, co leczy lampami,

są gotowania, pogawędki, i wystawa serwetek była, i różnych robótek ręcznych. Takie rzeczy organizujemy, że naprawdę można miło spędzić czas. Ja przede wszystkim muszę powiedzieć, że należę do chóru.

BR: Do chóru, śpiewa Pani?

MZ: Tak, śpiewam. To zespół „Jędrusie”. Tutaj, w NCK-u żeśmy występowali. Śpiewam tam 5 lat.

fot. Marcin Klag

BR: I gdzie występujecie?

MZ: Tak występujemy, po wsiach, na terenie Huty, to tu, to tam. Na Dzień Inwalidy właśnie o Papieżu mieliśmy temat. I bardzo ładnie śpiewaliśmy.

BR: A chciałaby Pani, żeby Pani wnuki mieszkały w Nowej Hucie?

MZ: Tak, no przecież kto będzie po nas mieszkał. Córka też mieszka na Legionów, ma piękne mieszkanie. Jak najbardziej, bo przecież i ona urodzona w Nowej Hucie, i zięć jest z Nowej Huty. I już mam prawnuka nawet.

BR: A teraz ma Pani jakieś ulubione miejsca, gdzie lubi Pani sobie chodzić? Nie chodzi mi o miejsca, w których Pani działa, tylko tak w przestrzeni.

MZ: Jak chcę się przejść, to idę nad zalew. Był zdewastowany, ale teraz powoli dochodzi do siebie. Ale dawniej był super. Dawniej, to tam można było usiąść, kawę wypić, było bardzo fajnie tam nad zalewem. Później to wszystko, za tej całej komuny, niszczyli. Przecież wszystko to niszczą, nie? Można powiedzieć, że się dużo poprawiło na lepsze. U nas to wcześniej bez przerwy w sklepach były rozbijane szyby, przecież wszystko za kratami jest.

Brak wydarzeń historycznych

BR: Momenty ważne dla Huty, wydarzenia?

MZ: Na Placu Centralnym, ale jakichś wydarzeń historycznych to nie było specjalnie. Były te marsze takie przeciw, to nam całą klatkę petardami okopcili, z Kombinatu szły protestacyjne marsze i wiece były przeważnie na Placu Centralnym, a takich historycznych to nie było.

BR: Które bloki są zrobione z prefabrykatów?

MZ: Os. Kolorowe, Szklane Domy, nasz blok jest z cegły, Hutnicze z cegły jest, Bieńczyce, Mistrzejowice, to wszystko już z tych prefabrykatów. Moja córka, co mieszka, to też, a tutaj to masywne domy są i zdrowe, z cegły. Jak ja się jeszcze wprowadziłam, to był piec węglowy tutaj, ale nie z kafla, myśmy mieli takie blaszane piece w których się paliło i gotowało, płytka była i na ścianie były zawieszone dwa palniki gazowe. My jeszcze mamy parkiet, ale później to już wykładziny dawali. Zieleni było dużo, teraz wycięli, kościół jest, więc zadowoleni jesteśmy, bo do Mogiły chodziliśmy wcześniej.

BR: Chciałam zapytać o pracę, jak Pani praca wyglądała? Najpierw Pani na Rynku kwiatki sprzedawała, jako 13-latka…

MZ: W służbie zdrowia pracowałam, najpierw na Rynku kwiatki sprzedawałam, później pracowałam w Krakowie, a później, jak przeprowadziliśmy się do Huty, było mi bardzo ciężko, miałam córkę małą, więc nie dałam rady już jeździć do Krakowa. Jakie były tłoki w tramwajach, wisiało się w tramwaju, już wtedy dojeżdżały do Huty, w 1955 r. dojeżdżały, bo ja w 1956 r. musiałam zrezygnować z pracy w Krakowie koło poczty. Mąż pracował w Monopolu, więc mnie tam wkręcił oczywiście.

BR: Jak wyglądał rytm pracy?

MZ: Fajno było, żłobek był tygodniowy, najwięcej młodych przynosiło dzieci na cały tydzień, wyposażenie było bardzo dobre żłobka, i tylko dzieci tych ludzi z zakładu.

BR: To był taki przyzakładowy?

MZ: Tak, przyzakładowy. Teraz nie ma dzieci, a wtenczas to było mnóstwo dzieci, jedne Panie przynosiły na dzień, a inne na cały tydzień i odbierały w sobotę,

te dzieci tam miały komfort.

No i były takie wypadki, że nawet w soboty mamy nie przyszły po dzieci. Monopol bardzo się starał, było pięknie urządzone, pracowało nas 32 osoby, była kuchnia i intendentka była.

BR: Kto?

MZ: Intendentka – ta, co w żywność zaopatrywała, tak się nazywała. Teraz się zmieniają nazwy, ja już 15 lat na emeryturze jestem, to się zmienia wszystko. Było czyściutko, kierowniczka była super, po studiach, bardzo nam się dobrze pracowało. Tylko najgorsze jak przyszło później, to wszystko na kartki, więc dostawaliśmy na miesiąc 2,5 kilo mięsa. To były ciężkie czasy, jeszcze jak ja dwóch młodych mężczyzn miałam. Najgorsze było to, jak mąż jechał rano, wystał się w kolejce i chleba nie kupił, były takie okresy. Mąż nie zarabiał za wiele, ja też nie, bo to służba zdrowia dziad był i do dziś dnia jest. Ale powiem szczerze, że lepiej się żyło, jak dziś młodym, gdy mają te wszystkie luksusy. Mieliśmy wczasy, byłam w Jugosławii, nad morzem, mieliśmy swój Dom Zakładowy w Zakopanem, w lutym brałam wolne, z dzieciami jechałam na narty, w lecie na kolonie, a urlop w zimie w Kościelisku. Więc w pracy nie miałam źle, muszę powiedzieć, mąż też nie.

BR: A kobiety wtedy pracowały normalnie?

MZ: Kobiety bardzo ciężko pracowały – w hucie, w sklepach, w biurach. Były kobiety suwnicowe, mam bardzo dużo znajomych w „Jędrusiu", które pracowały jako suwnicowe. Mają dużą emeryturę, ciężka praca była i każda jest chora, ale mają bardzo wysokie w porównaniu ze mną, co mam 750 zł emerytury po 33 latach pracy, to one mają 1800 zł. Z początku, jak one pracowały w Hucie i cegły podawały, to było takie błoto po kostki, że mój mąż, jak na początku pracował i budował linie wysokiego napięcia, to jak przychodził, to przelewało się przez buty błoto. A kobiety do każdej pracy szły, i w kuchniach, w hotelach, w biurze, w sklepach, no i na budowie. Bardzo ciężka praca.

Błoto → Ewa Kaproń, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

MATERIA

Dorożki zarobkowo

BR: A rytm pracy na roli przed Nową Hutą? Co hodowaliście?

MZ: Mój ojciec był kowalem, miał kuźnię, zarabiał bardzo dobrze, podkuwał konie. Kupował to pole – mama dostała kawałek i on, ale później to ojciec kupił to pole.

Konie → Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec

BR: Rodzice tutaj się urodzili?

MZ: Urodzeni byli w Czyżynach z dziada pradziada, dom rodzinny mojej mamy stoi jeszcze. A ja mieszkałam na Centralnej.

BR: I co uprawialiście?

MZ: Wie Pani, powiem szczerze, że ja to nie robiłam w polu. Mieliśmy maszynę do młócenia, to wszystko siali, ziemniaki, pszenicę, zboże, bracia się tym zajmowali. A w dodatku mieli dorożki, był klub dorożkarzy, ileś numerów tych dorożek, i w każdy dzień mieli inne stanowisko wyznaczone, i oni zarobkowo jeździli, bo przecież nie było tramwajów, tylko jedynka szła przez Floriańską. Wtenczas przed wojną zabrali nam pod lotnisko kawałek pola i mama kupiła im dorożki zarobkowo, żeby mieli. Takie placówki były, na cały miesiąc mieli plan, gdzie stali urzędnicy, baronowe, które jeździły dorożkami. A później pożenili się, poszli i siostra została na tej całej gospodarce, co już nic nie było, tylko kawałek ogrodu. To ona też uprawiała kwiatki, z tego się utrzymywała, miała krówkę, aż dopóki nie zburzyli tego wszystkiego.

PRACA

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

BR: Pamięta Pani jakieś nietypowe zawody wówczas?

MZ: Ten, co piece kaflowe stawiał. Chodził też taki, co garnki naprawiał, łatki robił – chodził po ulicach i wołał:

garnki naprawiam, garnki naprawiam!

Od ostrzenia noży inny i od garnków inny, i szewcy buty naprawiali.

IK POLSKI Nr 52

Krasnoludki na spacerze

SKA

cy MPK

Wszystkie ubrane w jednakowe żółte skafanderki, takie same szaliki. Wesoło szczebiocąc obiegły naszego fotoreportera, który spotkał je na spacerze. Dla wyjaśnienia podajemy, że krasnoludki pochodzą ze Żłobka Zakładów Przemysłu Tytoniowego w Czyżynach. Fot. J. Pieśniakiewicz

il. arch. Marianny Zając

BR: Ma Pani jakąś swoją ulubioną porę roku w Nowej Hucie?

MZ: Chyba zimę, bo ciepło w domu (*śmiech*), no właśnie, każda pora roku jest dobra, ja nigdy się nie nudziłam, zawsze sobie znalazłam zajęcie. Na wiosnę cały dom jest w słońcu, więc wiosna to jest taka najlepsza chyba pora, a w zimę to też dobrze, bo jest centralne ogrzewanie. Moja teściowa pochodziła z Łapanowa, taka miejscowość w stronę gór. Ja tam jeździłam z dziećmi i to było wówczas strasznie daleko dla nas, 50 km od Krakowa. Tam pamiętam, jak żeśmy z mężem pierwszy raz zajechali, to wszyscy z jednej miski jedli. A moja mama opowiadała, że jak wyszła za mąż za ojca, to było powiedziane: masz 16 lat i musisz za niego wyjść.

BR: 16 lat miała? To jeszcze dziecko?

MZ: Tak. Bo mamy już nie miała, mama zmarła, i we dwie były i trzech braci. Ponieważ mąż był kowal, a to wówczas było coś, to ona wtenczas musiała wyjść za mąż. Opowiadała mi, jak uciekła na piec chlebowy i przyszedł ojciec na swaty do niej, i ona uciekła. Taka dziewczyna, jeszcze w dawnych czasach, to ani nie uświadomiona, ani nic w ogóle. Przyszedł ojciec, dziesięć lat starszy, na tzw. rękowiny i musiała wyjść za mąż, co było robić? Jak miała 18 lat, to już matką była. Moja matka mi opowiadała, że jak stoi ta figurka w Czyżynach to, mówi, była studnia, i jak był śmingus, to brali dziewczyny i je wkładali do koryta, co było dla bydła, co szło na pastwisko. Dobrze, że ja miałam 3 braci, to mnie ci bracia ratowali, a tak, to na siłę wywlekali te dziewczęta z domu i im śmigus robili.

Ucieczka → Waldemar Cichy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

Człowiek miał pomysły

BR: Wtedy inaczej się czas spędzało niż teraz, prawda?

MZ: Chodziło się do kina, do teatru. Ja na polskie filmy lubiałam chodzić. Pamiętam jak chodziłam do szkoły, to było za okupacji, to nie poszłam w jeden dzień do szkoły, tylko na trzech seansach byłam.

BR: Na wagary do kina się chodziło?

MZ: „Sztuka" była na Jana, „Apollo" na Tomasza, „Stella" była naprzeciwko dworca, której już nie ma, za apteką. W tych trzech kinach byłam, jak wyszłam, to oślepłam. Grali polskie filmy: „Co mój mąż robi w nocy", „Niezapomnianą melodię" i „Dwie Joasie". Człowiek to miał pomysły, jakaś inna była ta młodość. Jak widzę moją wnuczkę, ma 18 lat, pochodziła z jednym 3 lata, zostawiła. Mówi, że zazdrośnik.

BR: A co Pani lubi najbardziej w Nowej Hucie, na os. Hutniczym, na którym pani mieszka?

MZ: To, że mam blisko do autobusu, tramwaju, sklepy bliziutko na dole, i oczywiście mam jeden klub, drugi klub, to lubię najlepiej. Nie jest źle, teraz tylko coraz więcej jest już niepracujących, to stoją pod trzepakiem i piją. A poza tym to nigdy nie miałam żadnych zatargów, więc raczej dość spokojnie się żyło cały czas.

BR: A jakieś miejsca ważne, związane z historią Huty?

MZ: To tylko walka o kościół jest związana z historią, a poza tym to takich historycznych miejsc nie ma.

BR: A miejsca wzbudzające w Pani strach bądź niechęć?

MZ: Nie ma takich miejsc, wszędzie idę odważnie.

BR: Jak Pani sobie spaceruje, to odkrywa Pani coś myśląc: o, tutaj to mnie jeszcze nie było? Czy już po prostu zna Pani Hutę na pamięć?

MZ: Chyba znam na pamięć każdy zakątek i znajomych mam na Mistrzejowicach, i rodzinę na Piastów, więc raczej znam, nie zaskakuje mnie Huta, wszystko jest raczej normalnie.

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko

Czas, barwa, dźwięk

BR: A czy Nowa Huta ma swój specyficzny zapach? Czym pachnie?

MZ: O, czym pachnie? Smrodami z huty, przecież w nocy to nie można otworzyć okien, już miało tak nie być i dalej jest. Dawniej, jak się wyszło rano na balkon, to aż iskrzyły te prochy z huty. Ludzie tutaj i więcej chorują, choć twierdzą dziś, że jest lepsze powietrze, ale nam się to wcale nie wydaje, bo przyjechał mojej kuzynki syn z Gdańska i dostał uczulenia, nie wiadomo z czego.

BR: A są może jakieś przyjemne zapachy, które ma Pani we wspomnieniach z dzieciństwa, takie znane tylko Pani?

MZ: Dawniej, to było bardzo przyjemnie, bo tu rosło zboże, łąki, to było bardzo przyjemnie. Na łąki lataliśmy, bawiliśmy się na łąkach, które teraz za NCK-iem są, tutaj było najzdrowiej. Tam my mieliśmy działkę, to jak tam się szło, to było miło.

BR: A dziecięce zapachy? Cukiernia, piekarnia?

MZ: Tutaj mamy na dole cukierenkę, z której jest przyjemny zapach, bo jest prywatna. Tam są dobre wyroby, raczej się z tym kojarzy. Z przeszłości to myśmy raczej jeździli do Krakowa, tam mieszkałam.

BR: To, co najfajniejsze, to nie w Nowej Hucie, tylko w Krakowie było?

MZ: Z początku to miałam bardzo duże uprzedzenie do Nowej Huty. Powoli później jako tako, ale z początku to nie leżała mi ta Nowa Huta, bo to było takie środowisko różnych ludzi, że raczej nie bardzo.

BR: Z jakimiś smakami kojarzy się Huta? Może istniały, bądź istnieją, jakieś nowohuckie potrawy, wymyślone tutaj?

MZ: Chyba nie, wszystko przywlekliśmy z Krakowa,

nie ma swojskiego nic,

wszystko było dowożone skądś, ale tu to nic absolutnie. Nie ma smaków konkretnych.

BR: Czy Nową Hutę można określić jakimś jednym kolorem? I jaki to kolor?

MZ: Czerwony.

BR: Dlaczego?

MZ: Bo zawsze wieczór to jest niebo czerwone i czerwono nad nami. Jest tak, jakby się paliło, bo z huty idą żary i jak rudy przetapiają, to kolor zawsze jest czerwony nad Nową Hutą, i to przeważnie wieczorem.

BR: A kiedyś innym kolorem by Pani określiła?

MZ: Dawniej to był kolor niebieski wszędzie, naprawdę, taki przyjemny, zdrowy był. Jak się szło drogą, to aż przyjemnie było, takie czyste było powietrze. A zielone też, bo zboża i łąki były, no i niebo czyste niebieskie. Trochę jest zielonego, mamy park po przeciwnej stronie.

BR: A z jakim zwierzęciem kojarzy się Pani Huta?

MZ: To chyba ze lwem, co ryczy…

BR: A skojarzenia z rośliną?

MZ: No róża to to nie jest, bo za piękna, chyba tak pośrodku. Może dalia.

BR: A jeśli Huta miałaby twarz człowieka, to jak by ta twarz wyglądała?

MZ: Ani piękna, ani brzydka. Przeciętna, normalna, ale blizny nie.

BR: A czy można rozróżnić typowego nowohucianina? Jak on wygląda, po czym go poznać?

MZ: Można. Ja rozpoznaję po ubiorze, jest bardziej normalny, ani ekstrawagancki, ani brudny, tacy bardziej eleganccy nawet są. A i twarz to już nie taka jak z wiochy zabitej dechami, tylko miejska bardziej taka.

BR: Nowa Huta to dla Pani miejsce oswojone?

MZ: No, teraz to już nie mogłabym chyba gdzie indziej, już po tylu latach to się człowiek przyzwyczaja. Dzieci tu wychowałam, tyle lat tu mieszkam.

BR: A gdyby Pani miała jednym słowem opisać Nową Hutę, swoje życie tu, to co to by było za słowo?

MZ: Dobre. Po prostu dobre.

fot. Marcin Klag

Ze zbiorów

Marka Sosenki

fot. Anna Miodyńska

Lech Miodyński

Filolog – slawista, nauczyciel akademicki.

Nową Hutę lubi za:
miłą dla oka topografię,
za najładniejszy rysunek na planie Krakowa,
demokratyczną naturę,
archaiczny związek społeczno-przestrzenny:
przywiązanie miejskiego lokatora do fabryki-żywicielki,
i za otwartość przestrzeni (w tym promieniste układy śmietników,
zgodne z układem urbanistycznym); najlepsze znaleziska antyku z lat 50.
– od maglownic po kredensy.

fot. Anna Miodyńska

Rozmówca: Lech Miodyński
Prowadząca rozmowę: Aleksandra Ziemba

Emeryci nadążają, a ja nie

AZ: Pochodzi Pan z Nowej Huty?

LM: Nie. Pochodzę ze Śląska. Wychowałem się w takiej górniczej dzielnicy z czerwonymi robotniczymi blokami. Z okna widziałem dwie huty, dwie kopalnie. Tu sprowadziłem się dopiero jako dorosły człowiek, tu się ożeniłem. Prawie 20 lat mieszkam w Nowej Hucie, ale to nie znaczy, że się czuje mocno związany z tą dzielnicą, nawet, powiedziałbym, przeciwnie. Jest to sytuacja trochę nietypowa…

AZ: Mój poprzedni rozmówca również nie czuł się związany.

JA I MOJE MIEJSCE

LM: Tak? Wyobraź sobie sytuację taką: ktoś po pierwsze traktuje to miejsce jako nocleg, jak miejsce, gdzie się przyjeżdża na weekend, no ale z drugiej strony lata mijają i dostrzega się coraz więcej szczegółów wokół siebie. Takich, które jakoś wiążą z tym miejscem. Dla mnie to jest gigantyczne miasteczko rowerowe, bo początkowo jeździłem rowerem po tej dzielnicy, dokładnie zwiedzając każdy zakamarek. Później bardzo często się okazywało, że pewne miejsca jakby powielają schemat przemysłowy znany ze Śląska tam, gdzie nowa zabudowa wkracza na drewniane domki, czy gdzie domki są skazane na śmierć techniczną. Dla mnie to jest doświadczenie miasta, które ktoś inny wybudował, a ja w nim mieszkam i korzystam z niego.

Rower → Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

AZ: Słyszałam o Pana topograficznych zdolnościach. W jaki sposób Pan je nabył?

NAZWY

LM: Zawsze lubiłem topografię. Mapy starałem się poznać z drugim i trzecim dnem, potem konfrontowałem to z rzeczywistością, najczęściej na rowerze, ale zdarzały się też piesze spacery. Okazuje się, że np. nazwy ulic: Demakowa, Rewolucji Kubańskiej, Marksa czy ZMP to dla mnie jest rzeczywistość nadal. Nie dlatego, żebym miał jakieś sympatie polityczne, tylko ja po prostu nie nadążam. Wtedy, kiedy mój umysł był najbardziej chłonny, gdy podróżowałem, badałem plac po placu, uliczkę po uliczce, osiedle po osiedlu, przejmowałem się bardzo tym balastem, który miejsce z sobą niesie: nazwą, kolorem bloku, drzewem. A później, gdy przychodziła pierwsza i druga zmiana, poprzednie okazywały się dla mnie nienaruszalne. Tamte nazwy odpowiadały bardziej duchowi miejsca. Nazwy późniejsze są albo wtórnie polityczne, albo nijakie, przywołują historyczne elementy, które czasem kojarzę, czasem nie. W każdym razie coś zostało zaburzone w tej przestrzeni.

Demakowa → Bogdan Zalewski

AZ: Pan używa tamtych nazw nadal?

LM: Ja ich nie używam. Ale czasem, gdy próbuję do kogoś dotrzeć i ktoś podaje mi adres osiedla, które mieści się w okolicach tej dawniej nazywanej inaczej ulicy, to ja myślę w tej kategorii.

AZ: Dużo jest takich nazw, które kiedyś były aktualne, a teraz, mimo zmian, są nadal używane, bo ludzie się przyzwyczaili?

LM: Zdarza się, chociaż rzadko. O dziwo, zauważam, że emeryci nadążają, a ja nie. Emeryci się dosyć szybko przestawili, może dlatego, że oni bardzo żywo śledzą życie polityczne, dzień w dzień tutaj bywają, a ja bywam w ostatnich latach tylko co tydzień. Do pracy dojeżdżam od ponad 20 lat 100 km, a od kilku lat jeszcze pracuję w innym miejscu, dokąd mam prawie 500 km.

Najbardziej mi się marzy, żeby w Nowej Hucie powstał dworzec kolejowy.

Dworzec → Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy

Pewnie wiesz gdzie, bo tu, koło os. Kolorowego, zaraz za zakładami tytoniowymi, jest bocznica. Gdyby się okazało, że można się wydostać z tego miasta z pominięciem

ciasnoty Krakowa, to byłbym bardzo zadowolony, bo praktycznie mógłbym dojechać z miasta do innej części Polski jakby od siebie. W sytuacji, kiedy Nowa Huta jest pozbawiona tego wspaniałego przybytku, jakim jest dworzec kolejowy, to już nie jest miasto. Miastem jest Kraków, bo on ma kilka dworców.

Czas, barwa, dźwięk

AZ: Jakie nazwy się Panu podobają w Nowej Hucie?

LM: W okolicach Wzgórz Krzesławickich są ulice Jasia i Małgosi i innych bohaterów bajek. Tam są takie domki jednorodzinne.

AZ: A skąd się wzięła nazwa os. Kolorowego?

LM: Nie dociekam. Jak i większość nazw powstających już po okresie politycznym w nazewnictwie, jest to nazwa neutralna, mająca sprzyjać miłemu samopoczuciu mieszkańców. Swoją drogą, któryś ze znajomych językoznawców przekonywał mnie, że przymiotnik „nowohucki" jest potworkiem językowym, że jest utworzony wbrew wszelkim zasadom gramatyki języka polskiego.

AZ: Podoba się Panu odmalowywanie bloków na kolorowe barwy?

Nazwy

LM: Tutaj jest to do przyjęcia. W Centrum A i C raczej nie, bo to nie są historyczne kolory, ale tutaj z założenia nie było jakiejś powagi stylu. Te barwy mnie osobiście nie rażą, chociaż ich trwałość jest wątpliwa.

AZ: Na jakie kolory pomalowałby Pan bloki?

LM: Na neutralne, zlane z otoczeniem, to znaczy: szary i bury. Jasność w naszym klimacie nie przetrwa.

Kolory intensywne nie przetrwają zawieruch i ulew.

Te krytykowane postmodernistyczne bloki jako jedyne nadają się na ostrą kolorystykę. Mają wieżyczki, łuki, kolumienki, tam jest dość ozdóbek, więc może być dużo barw. Im starsze budownictwo, nazwijmy je: stylowe, tym powinno być surowsze w kolorystyce.

AZ: Jest jakaś nazwa, która się Panu nie podoba w Nowej Hucie?

Nazwy

LM: Nie podoba mi się nazwa ul. Bulwarowej, ponieważ jest to kpina z logiki, niedorzeczna zupełnie. Bulwar to z reguły rozległa arteria, jest reprezentacyjnym miejscem w mieście. Tam nie ma bulwaru, ale jest ul. Bulwarowa, która powinna biec wzdłuż rzeki (w domyśle: jest Dłubnia i Zalew w tle). Trochę mnie zawsze śmieszyła ta nazwa.

Zdarzają się perły

Praca

AZ: Nie wygodniej by było mieszkać tam, gdzie ma Pan pracę?

LM: To jest taka praca, że ja tam nie jestem cały czas, tylko, powiedzmy, nocuję 2-3 dni. Pracuję w domu nad książkami, praca z pisaniem związana. Dla mnie materia miejsca, czy materia otoczenia, to jest natchnienie w postaci bloku, który tutaj widzę przed sobą. Pracując, siedząc za biurkiem, tak jak tutaj widzisz, mam naprzeciw smętne 4 piętra bloku osiedla, pożal się Boże, Kolorowego, a w zasadzie jednokolorowego ostatnio, bo żółtego, który jest ożywieniem i zaczepieniem dla wzroku. To mi się kojarzy z pracą. Nie znam osobiście ludzi, którzy by pracowali w Nowej Hucie. Rzadko bywam w tej dzielnicy, poza tym dziedzina, z którą jestem związany, jest trochę inna niż przeciętnego mieszkańca Nowej Huty.

Twarz, którą pamiętam

Kiedyś miałem taką dziwną sytuację. Wsiadam do tramwaju i widzę, że na miejscu motorniczego, przy aparaturze pokładowej, siedzi mój kolega z klasy licealnej, z miasta, które jest ponad 100 km stąd. To było pierwsze spotkanie z człowiekiem, który pracuje w Nowej Hucie i jest mi bliski. Ani wcześniej (między maturą a spotkaniem), ani później (po spotkaniu) już go nie widziałem. On studiował na Akademii Rolniczej, a później podjął jakąś pracę dorywczą w charakterze motorniczego. Wielu przypadkowych ludzi w tych gorszych czasach podejmowało się takich dorywczych zawodów.

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

AZ: Mógłby Pan go opisać?

LM: Oczywiście. Brunet. Taki trochę przypasiony. Zadowolony z życia, jowialny, wesoły. Ale jeśli chodzi o twarze związane z Nową Hutą, to dla mnie twarzami charakterystycznymi byłyby twarze kolejnych dozorczyń tego bloku. Co najmniej kilka ich było. To są jakby postacie stróżujące nad naszym życiem i blokiem. Właściwie jeśli by mnie ktoś zapytał, która osoba mi się kojarzy z tą dzielnicą, oprócz twarzy Lenina, którą doskonale pamiętam (wyraz twarzy skupiony, poważny) i mojej rodziny (która jest wewnątrz w bloku i która jest też związana z Nową Hutą, ale inaczej), no to bym powiedział, że to jest ta grupa pań sprzątających. One nas odwiedzają jako pierwsze i czasem zamieniam z nimi powitalne słowa jako z pierwszymi osobami w ogóle.

AZ: To są sąsiadki?

LM: To można wyśledzić, ale w tym rejonie chyba raczej nie. Natomiast zdarzało się dawniej, że gospodarzem bloku był jeden z mieszkańców. Zresztą w jednym z seriali tak to zostało ujęte.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, pp. Skomorowscy

Czas, barwa, dźwięk

AZ: Zapach Nowej Huty to…

LM: Zapach śmietników z rozpadającym się odpadkiem danego dnia.

AZ: A jakiś miły?

LM: Z miłych zapachów… zdecydowanie bym niczego nie wyróżnił. Być może, jak wszędzie, na wiosnę, gdy są przeciągi wzdłuż ulic, to tchnie czymś spoza miasta i zielenią, która dojrzewa w tym mieście, ale to są takie banalne zapachy, które w każdym mieście istnieją. Może czasem zgnilizna od strony Łąk. Czasem miła zgnilizna panuje.

AZ: Słyszałam, że Pan się zajmuje antropologią śmieci. O co chodzi?

Materia

LM: Ja bym tego tak nie określił. Jak każdy obserwator tego, co w życiu przemija i jest pozornie niepotrzebne, także i śmieciom się przypatruję, a szczególnie odpadom wielkogabarytowym. Bardzo wielu jest teraz zbieraczy, co z tego żyją. Ja z tego nie żyję, ale

nie powiem, żebym przeszedł obojętnie wobec atrakcji meblarskiej,

którą ktoś pochopnie wystawił na widok publiczny, a nie została ona jeszcze wywieziona. Nie dlatego, żebym chomikował te rzeczy, ale pokazuje to przemijanie pewnych mód, awans społeczny tych, którym się wydaje, że wyrzucając rzeczy solidne, nabędą coś nowoczesnego. Ale te są wykonane często byle jak, z plastiku czy z drewnopodobnych materiałów, podczas gdy stare, solidne meble, aczkolwiek niemodne w kształcie, potrafią zachwycić oko, nawet w Nowej Hucie. Tutaj dostęp do śmietnika jest zewsząd i wszystko to widać. Kraków strzeże swoich podwórek bardzo pilnie – domofonami, kratami, godzinami otwarcia podczas wywozu śmieci.

AZ: Gdzie Pan gromadzi te rzeczy?

LM: Ja ich nie gromadzę. Parę razy znalazłem coś, co mi się przydało, podczas urządzania altanki na wsi głównie. Ale nie jest to jakaś systematyczna działalność, bo bym musiał mieć drugie życie i mnóstwo czasu, by zająć się tym poważnie. To absolutnie jakiemuś honorowi nie uwłacza, to odkrywanie rzeczy nie tyle cennych, co mających jakąś emocjonalną wartość, która zostanie zniszczona przez porąbanie, zniszczenie, spalenie. Oczywiście zdarzają się perły, tak raz w miesiącu jest na czym oko zawiesić.

AZ: Co to było ostatnio?

LM: Wiele rzeczy. Był kredens z lat 50., zakończony łukowato, z kolorowymi szybkami, który ktoś zachlapał trzykrotnie warstwą farby olejnej. I pewnie uznali, że bardziej się go opłaca wyrzucić. Był magiel zabytkowy wraz z wałkami, które kiedyś przepuszczały między sobą prześcieradła i poszwy. Z całym mechanizmem napędowym, z kołami zębatymi – oczywiście w złym stanie, podjedzony przez korniki. Widziałem miechy kowalskie…

fot. Anna Miodyńska

AZ: Jak to wygląda?

LM: Wyobraź sobie dzisiaj najmodniejszy gadżet, który z tym się może kojarzyć: takie urządzenie do rozdmuchiwania grilla. Skórzany woreczek, którym możesz dmuchać powietrze.

AZ: Słyszał Pan o tej akcji bezdomnych, którzy zbierają rzeczy po śmietnikach, naprawiają i sprzedają? Na os. Willowym.

LM: Tak, wiem o tym. Bardzo mi się podoba ten pomysł. Ktoś mi jeszcze opowiadał, że dawne czasy nie wrócą, że kiedyś tu nawet taki mit pokutował o znalazcy niekompletnego motocykla na śmietniku. To są oczywiście dla amatorów zjawiska. Cieszę się, że są panowie, którzy sami czują się przydatni. Mało, że innym pomagają, to mają jeszcze z tego jakiś zarobek.

AZ: Uznałby Pan bezdomnych za odpady naszego systemu?

LM: Raczej nie. Systemu o tyle o ile, kto to mierzył? Pewnie, że w czasach socjalistycznych oficjalnie bezdomni nie istnieli. Teraz oni istnieją oficjalnie i z pewnością jest ich więcej, i pewnie muszą być.

Odpady chwilowo niemodne

AZ: Co by Pan uznał za niepotrzebne i zużyte w Nowej Hucie? Za zużytą materię?

LM: Mogę nawiązać do wątku ulic. Miałem kiedyś taką przygodę. Przez przypadek byłem w Batowicach, bo miałem jakiś problem z samochodem, a tam był niedaleko warsztat. Miałem sporo czasu i wędrowałem po okolicy. Była tam składnica złomu i to był rok przełomowy w tym sensie, że zmieniły się nazwy ulic w Nowej Hucie i spora część tabliczek z napisami w rodzaju „Aleja Rewolucji Kubańskiej" itp. trafiła na złom. Pewnie dzisiaj miałyby wysoką cenę giełdową, ale wówczas nikt się tym nie przejmował. W tej składnicy, wśród pogiętych prętów i kawałków blach karoserii, leżały tabliczki z tymi napisami.

AZ: Nie wziął Pan?

LM: No nie wziąłem, a mogłem, chociaż był bardzo gburowaty właściciel. Żałuję do dziś. Ale wtedy jakoś zbyt świeża była ta sprawa zmiany nazw ulic, i to było też moralnie nie w porządku, żerowanie na tym, że może kiedyś uda się zarobić na gadżetach z epoki. W zasadzie nie myślało się wtedy tymi kategoriami. Leżało kilka sztuk i niektóre już były zardzewiałe i pogięte. Mimo, że minęło tylko kilka dni od ich zamiany.

AZ: Są jakieś odpady, które zostały zapomniane, a należałoby sobie o nich przypomnieć?

LM: Takie, że gdzieś leżą i należałoby je podnieść z ziemi? Raczej stwierdzam, że jest więcej takich rzeczywistych odpadów, tzn. powstających dlatego, że nasza cywilizacja produkuje śmieci masowo. I one rzeczywiście są odpadami, bo nie mają żadnej wartości. Są tworzone przemysłowo, po to, żeby się rozkładały przez tysiące lat, i są gdzieś magazynowane, w ukryciu przed ludzkim wzrokiem. Natomiast jeżeli można mówić o jakiś odpadach, które nie są doceniane chwilowo, to na pewno by tu należała cała ta materia techniczna, być może część urządzeń Kombinatu, które gdzieś tam rdzewieją i są zbyt ciężkie, by je jakoś przenieść, odnowić czy wyeksponować. To są te gigantyczne zakłady, w środku – dziady. Trzeba by powołać zastępy konserwatorów, nie jest to taki odpad, który nigdy nikogo nie zainteresuje. Te odpady są po prostu chwilowo niemodne, to jest coś, co przestało być ciekawe – tak samo, jak nowy model samochodu jest rzekomo ciekawszy i lepszy, mimo że stary istnieje i jeszcze jeździ.

AZ: Jak Pan myśli, czy Nowa Huta miała jakiś wpływ na Kraków?

LM: Na pewno. Nie będę się nad tym zastanawiał, ponieważ nie jestem krakusem. Być może większość krakusów stwierdzi, że miała i ma negatywny. Część z nich będzie miała rację. Nie da się tego oddzielić, jest to jeden organizm mimo wszystko.

fot. Anna Miodyńska

Czas, barwa, dźwięk

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

AZ: Czas w Nowej Hucie płynie inaczej niż gdzieś indziej?

LM: Na pewno wolniej. Chociażby dlatego, że jest ona wyludniona w godzinach przedpołudniowych, kiedy ci, którzy mają jeszcze przywilej pracy, wyjeżdżają, a ci, którzy zostają,

raczej się nie spieszą,

robią zakupy, nie chcę powiedzieć, że grają w szachy, ale i tacy się zdarzają. Później, w godzinach szczytu, czyli gdzieś tak między 14.00 a 16.30, tempo nagle wzrasta.

AZ: Gdzie i kiedy jest najwięcej ludzi w Nowej Hucie?

LM: Trudno mi powiedzieć. Nie byłem na stadionach, ale myślę, że tam. Dawniej kłębił się tłum pod bramą Huty im. Sendzimira i obecnie też, w godzinach, gdy zmiany się kończą, jest tam jakiś harmider. Jedni rozpoczynają pracę, inni ją kończą i to koncentruje się w tym jednym miejscu. Są oczywiście bramy boczne, ale tam, pod dyrekcją Huty, było zawsze to centrum komunikacyjne i widać było, ile osób tam pracuje. W ostatnich latach coraz mniej. Ja pamiętam jeszcze, że na początku lat 80. to tam rzeczywiście wrzało.

AZ: A gdzie jest najgłośniej?

LM: Jest problem, jak to określić. Chyba na placu targowym, dlatego że ten hałas dobiega z bliska. Głosy przekupek, kupujących, są zaraz przy twoim uchu, a wszelkie hałasy typu hałas samochodowy są równomiernie rozłożone na głównych arteriach. Sam Kombinat też pracuje głośno, ale tam się nie bywa z reguły, przynajmniej jak ktoś nie jest zatrudniony.

fot. Anna Miodyńska

AZ: Czy jest w Hucie jakaś oaza ciszy?

LM: Jeśli wziąć pod uwagę administracyjną Nową Hutę, na całej jej szerokości, to pewnie najdalej byłoby gdzieś do Kościelnik. Tam można pojechać i szukać ciszy. Nad Wisłą również, bo jest ona najniżej położona. Można przykucnąć nad wodą i niczego prócz wody nie usłyszysz.

AZ: Ale tam przecież most zbudowali.

LM: No tak, Lajkonik. Tam już nie ma ciszy. Są bardziej martwe rejony, choćby przy Lasku Mogilskim, albo dalej, w kierunku Niepołomic. Drugi brzeg Wisły jest zupełnie inny. W okresie, gdy penetrowałem te rejony, a mostu nie było, to był dla mnie świat niedosiężny. Zawsze mnie fascynowało, że tak blisko,

na wyciągnięcie ręki stoją chałupy i stodoły,

a żeby się tam dostać, trzeba by stracić ponad godzinę. Później czar prysł, bo wystarczyło przejść przez most, żeby stwierdzić, że tam dalej świat jest taki sam, jak gdzie indziej.

AZ: Dostaje Pan sztalugi i farby oraz polecenie namalowania Nowej Huty. Co znajdzie się na tym obrazie?

LM: Gdybym miał takie umiejętności, namalowałbym elementy architektoniczne pierwotnej epoki, bo one są wymowne. To tak, jak z twarzami: to, co dawne, co jakby wiąże się z pionierskością, jest czyste, krystaliczne i niczym nieskażone. Natomiast tożsamość ludzi z bloków z wielkiej płyty jest inna, i to

Z dzienników terenowych

16.04

Siedzę sobie i po raz ostatni czytam mój scenariusz. Trochę pokrywa się z tym pierwszym, pisanym dla Pana Waldemara, ale identyczny nie jest.

Jestem chyba mniej zdenerwowana, a na pewno podbudowana tym, że pierwszy wywiad wypadł nie najgorzej.

Po: Pan Miodyński jest strasznie sympatyczny. Uśmiecha się oczami. Niepewnie zerkał na dyktafon. Dopiero teraz poczułam, że to niewinne pudełeczko może kogoś blokować.

20.04

Mieliśmy się dzisiaj spotkać, ale muszę się zajmować mniej przyjemnymi rzeczami („nauka na pierwszym miejscu").

22.04

Przed: Siedzę na ławce w parku i dorabiam jakieś pytania do scenariusza, z którego ani troszkę nie jestem zadowolona. Zastanawiam się, jak powiedzieć panu Miodyńskiemu, że nasze dzisiejsze spotkanie nie ma sensu.

Po całym przeuczonym tygodniu nie ma miejsca w moim mózgu na abstrakcję i wyobraźnię.

Po: Przywitała mnie żona pana M., kazała ściągnąć ciężką torbę i nie przejmować się tak swoją rolą, bo jej mąż nie jest ciekawym respondentem (zapewniłam ją, że się myli). Dostałam herbatkę, która postawiła mnie na nogi po długim, szkolnym dniu.

Pan M. jest rewelacyjny! Być może wywiad nie będzie się wyróżniał niczym szczególnym, ale jego dzisiejszy opis kobiety – Nowej Huty poraził mnie. Przygotowałam parę pytań, które miały mu być pomocne w tym opisie, a on ich po prostu nie potrzebował. (AZ)

na twarzy widać. Jest jakaś chłopska solidność u tych pionierów, już dzisiaj emerytów. Im pierwszym przydzielono mieszkania i oni się tu czują gospodarzami, jak ich ojcowie wcześniej czuli się gospodarzami. To, co historia i demografia nam narzuciła, w nowych osiedlach sprawiło, że ludzie tutaj przyjeżdżali często z przypadku, podobnie jak ja. Takie migracje z przypadku, powiedzmy. I to z twarzy można wyczytać – oni są nijacy, wtłoczeni w te swoje małe mieszkanka i kolorowe balkoniki. Oni przybyli, jak ja, na gotowe.

AZ: Jakich barw użyłby Pan na tym obrazie?

LM: Wypadałoby szarej. Chciałoby się ten stereotyp zamazać kolorem czy zieloną kreską, bo innych kolorów tu raczej nie doświadczymy, chyba że na reklamach.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

AZ: Istnieje coś takiego, jak wspólnota sąsiedzka?

LM: Tak, ale to wynika z faktu, że większość mieszkańców tej klatki schodowej pracowała wcześniej w jednym miejscu. To były w dużej części mieszkania służbowe, później wykupywane. Ich losy splotły się poza klatką schodową. Tak było z rodziną mojej żony. Tutaj obowiązuje zasada bliższych i dalszych sąsiadów. Do tych dalszych się nie chodzi po nic, pośród tych bliższych wyróżnia się takich, z którymi by się nie bardzo chciało zaprzyjaźnić, ale gdy przyjdzie potrzeba, to sobie pomożemy. Te potrzeby są niezwykle rzadkie, nie było tu jeszcze wojny i bombardowania po 1952 r., ale kto wie, co by się okazało, może by się ludzka solidarność narodziła.

AZ: Czy Nowa Huta ma jakieś centrum kulturalne?

LM: Te, które są powołane z urzędu, czyli NCK czy Dom Kultury na os. Górali, nie chcę powiedzieć, że są wystarczające, ale nie obserwuję bardzo dużej presji społecznej, by do tej kultury się dostać. W dzielnicy jest dużo do zrobienia, jeśli chodzi o świadomość społeczną i kulturalną.

Zasada podstawowa: upodobnić się do otoczenia

AZ: Gdzie jest centrum Nowej Huty?

LM: Dla mnie to Plac Centralny, z racji nazwy i topografii.

AZ: Które miejsce, nazwa jest znana w Krakowie albo w innych miastach?

LM: Tak się składa, że w Krakowie mam mało znajomych. Ale nasuwa mi się wątek związany jeszcze z nazewnictwem. Byłem niedawno w Poznaniu, w rejonach rówieśnych Nowej Hucie. Jadę autobusem i spoglądam na nazwy osiedli: Oświecenia, Piastów, Młodości, Tysiąclecia. I zawahałem się przez moment, gdzie to ja jestem, Nowa Huta czy inny koniec Polski? Okazuje się, że inny koniec Polski, a nazwy te same i bloki bardzo podobne. W Warszawie, Gdańsku i innych większych miastach też występują masowo. Ta monotonia nazw jest deprymująca trochę.

Nazwy

AZ: Jakie nazwy nadałby Pan osiedlom, by poczuły się inne i wyróżnione?

LM: Nie ma słów, które by wyraziły klimat miejsca. Niczego oryginalnego się nie wymyśli. Niechby pozostały numery, oznaczenia cyfrowe, jak w miastach amerykańskich, może to byłby duch Nowej Huty. Zresztą znam także parę miast w Europie, które taki system przyjęły.

AZ: Jeśli miałby Pan być przewodnikiem turystycznym, to co by Pan pokazał w Nowej Hucie?

LM: Zależy, jakim turystom. Są turyści, którzy chcieliby obejrzeć miejsce, gdzie stał Lenin i zabytki socrealizmu, a są turyści, których będą interesowały bardziej specjalistyczne sprawy. Teraz turystyka się specjalizuje. Ktoś będzie chciał obejrzeć hałdę rewitalizowaną, kto inny jedyny użytek ekologiczny, wiadomo, chodzi o łąki. Ornitolog mógłby tam spędzić całą noc, by z rana obejrzeć swojego ulubionego gąsiorka.

AZ: A jest jakieś miejsce dla Pana ważne, o którym mógłby Pan powiedzieć: z tego miejsca jestem dumny?

LM: Też zależy, kto by się tutaj pojawił. Amerykanin byłby zainteresowany czołgiem rosyjskim stojącym na os. Górali. Pielgrzym chciałby zobaczyć Mistrzejowice i Arkę, a na pewno Mogiłę. Z pewnością to zestawienie: Mogiła a reszta okolic i zabudowa Placu Centralnego, tak blisko siebie, jest dla turysty ciekawe. A poza tym na pewno bym wsadził turystę na rower i przejechalibyśmy się w niedzielę rano tymi starymi osiedlami, podwórkami na przykład, żeby poznać rozplanowanie tej zabudowy, doświadczyć pędu powietrza, zapachu, powiedzmy koloru, bo chociaż jest szary, to jednak specyficzny dla tego miejsca.

AZ: Czuje się Pan bezpieczny, kiedy Pan jeździ po Hucie na rowerze?

LM: Całkowicie. Nie twierdzę, że jest idealnie, chociażby przez sam fakt, że tutaj mieszkamy w części bloku przyległej do terenów zielonych, czyli jesteśmy narażeni na hałaśliwe grupki młodzieży, to się tak pięknie określa, trzask butelek i jakieś nocne krzyki pijackie, ale to jest wpisane w pejzaż tego kraju w całości. Mniej pewnie czuje się o zmroku w wąskich uliczkach Krakowa, bo tam zagrożenia czyhają.

AZ: Czego by Pan nie pokazał turystom?

LM: Nie wiem. Może bym nie pokazał supermarketu. Nie twierdzę, że się go wstydzę, ale on szpeci otoczenie. Na pewno bym nie pokazał chaosu architektonicznego, przypadkiem stawianych bloków, np. z rejonu ul. Centralnej. Tam jest wspaniałe osiedle socrealistyczne przylegające do dawnej Fabryki Domów, sama ta Fabryka Domów, z symetrycznie rozplanowanymi bramami, jak przystało na siedzibę porządnego zjednoczenia przemysłowego… a dalej, gdzieś rejon ul. Sołtysowskiej, przypadkiem powtykane bloki, tak zupełnie bez wyrazu określona tożsamość miejsca. A dalej jeszcze są nowe salony samochodowe. To, co było na początku rozplanowane od zera, na surowym korzeniu zbudowane, między jedną a drugą epoką zeszpecono. Nie zdążono na szczęście zniszczyć wszystkiego.

AZ: Które miejsce jest najważniejsze dla osób tutaj mieszkających?

LM: Jeśli chodzi o wszystkich, to podejrzewam, że nie Nowa Huta, a Kraków jest najważniejszy (*śmiech*). A dla tych, którzy tu mieszkają, to pewnie ich sklepy, szkoły, dla wielu dwa szpitale. No właśnie, co się kojarzy z Nową Hutą – może Szpital Rydygiera? O tym szpitalu słyszę w wielu miastach poza Krakowem. Nie twierdzę, że jest słynny czy że ma wysoki poziom leczenia, ale po prostu jest taka informacja, przekazywana sobie od ucha do ucha przez chorych. A to też specyficzna grupa społeczna.

AZ: Oni go chwalą?

LM: Raczej mają dobre skojarzenia z tym szpitalem. Tak, jak kiedyś pionierzy Nowej Huty byli związani z budową jakiegoś czynnego obiektu, tak dzisiaj, po kilkudziesięciu latach, wielokrotnie słyszę na prowincji małopolskiej, w jakiejś wsi odległej, że ktoś budował Szpital Rydygiera.

To jest taki nowy mit.

Ta ślimacząca się latami budowa stworzyła etos dla tych, którzy przyjeżdżali do Nowej Huty jako pracownicy sezonowi.

AZ: Które miejsce jest niepotrzebne, które by Pan wyburzył?

LM: Nie byłbym taki radykalny, burzyć można tylko w marzeniach. Pewnie bym zostawił Nową Hutę w stanie z 1960-61 r., bo wtedy się urodziłem i ta idea jedności miasta była zachowana. Czas oszpecił obiekty. Plan przestrzenny powinien być czysty.

AZ: Do jakiego zwierzęcia porównałby Pan Nową Hutę?

LM: Nie wiem. Do jaszczurki. Ponieważ ona nie podniesie się zbyt wysoko, trzyma się blisko ziemi. Jest takim trochę błotnym zwierzęciem. Czasem grzeje się na słońcu. Jest reliktem innej epoki, który niewiele może.

AZ: A do jakiej maszyny?

LM: Do lokomotywy spalinowej. Zawsze była mi bliska metaforyka związana z koleją, więc to miasto, które zostało wybudowane dlatego, że inni tu przyjechali, także w ja-

Idea → Bogdan Zalewski, Roma Piejko

Błoto → Ewa Kaproń, Marianna Zając, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski

Awans → Bogdan Zalewski

kimś sensie powinno być pokazane jako miejsce docelowe, gdzie przyjeżdżano czym się dało. Lokomotywa spalinowa jeszcze przed wojną to był symbol awansu technologicznego, natomiast po wojnie tam, gdzie nie było trakcji elektrycznej, pojawił się symbol nowych czasów – lokomotywy radzieckie. To jest porównanie gorące.

AZ: Gdzie jest niebo w Nowej Hucie, a gdzie piekło?

LM: Dawniej sobie można było wyobrazić, że firmament niebieski wznosi się nad Placem Centralnym niczym tęcza. Dokładnie pod punktem kulminacyjnym tęczy znajdował się pomnik Lenina. Dla mnie

piekłem w sensie pejzażu był zawsze Meksyk,

okolice Pleszowa i wylot w kierunku północno-wschodnim miasta. Trudno myśleć w kategoriach niebiańskości o tym miejscu. Być może tam, gdzie jest najwięcej zieleni, bo dla mnie to jest taka ciepła tożsamość otoczenia. Planty nowe w Mistrzejowicach.

Praca

AZ: Widział Pan w Nowej Hucie jakiegoś kataryniarza czy ostrzyciela noży? Takie zawody przestarzałe.

Gitara → Augustyn Mirga, Niki Wiecheć

LM: Pan chodzący z tarczą ścierną i ostrzący noże to wydaje mi się, że tu bywał na początku lat 80. Na pewno mam takie wspomnienia ze Śląska. Natomiast pojawiały się orkiestry podwórkowe. Grali na gitarze, skrzypcach, akordeonie, pojawił się nawet saksofon. Kiedyś cyganie przydźwigali kontrabas, a niósł go jakiś mały pomocnik, który przytrzymywał instrument, gdy drugi grał. Było ich dwóch do jednego kontrabasu.

AZ: Tylko cyganie grali?

LM: Niekoniecznie. To jest ostatnio rzadkość. Jeżeli dwa, trzy razy do roku ktoś taki się pojawi, to już jest bardzo często.

AZ: Czy istnieje folklor nowohucki?

LM: Na pewno związany z tymi, którzy ją budowali. Wspomnienia, opowieści, przyśpiewki wywodzące się z chłopskiej kultury. Tylko ci pionierzy mogliby to kultywować, nowe pokolenie już nie.

AZ: Zna Pan jakieś piosenki czy wierszyki o Nowej Hucie?

LM: Poza jedną, „O Nowej to Hucie piosenka", nie znam nic. Wierszy kiedyś powstawały dziesiątki.

AZ: A ci, co budowali Nową Hutę, śpiewali tę piosenkę?

LM: Nie wiem, czy akurat ci, co ją budowali, czy napisali ją, gdy była już częściowo wybudowana.

fot. Anna Miodyńska

Zieleń posadzona moją ręką

AZ: Jak zareklamowałby Pan Nową Hutę?

LM: Znowu pytanie: komu? W Polsce trudno byłoby kogoś przekonać, żeby tu spędził wakacje.

AZ: Komuś, kto miałby tu zamieszkać.

LM: To sprzedaż wiązana, Nowa Huta jako dodatek do Krakowa. Z tego, co słyszałem, będziemy niedługo drugim miastem w Polsce, jeśli chodzi o liczbę mieszkańców. Mogłoby się okazać, że najbardziej atrakcyjne miasto w Polsce potrafi wchłonąć przybysza, gdy ten będzie mógł kupić sobie mieszkanie, a ta dzielnica jest zasobna w mieszkania i ceny mieszkań są tutaj niższe niż w Krakowie. Tutaj ludzi będzie przybywać.

AZ: Gdyby miał Pan stworzyć taki billboard, który miałby wisieć w Poznaniu albo Gdańsku i zachęcać ludzi do przybycia do Nowej Huty, co by się na nim znalazło?

LM: Trzeba by stworzyć jakieś sensowne hasło. Na tym plakacie musiałyby być jakieś elementy symboliczne, znów może Plac Centralny, ale jak ujęty? Na pewno MDM warszawski jest architektonicznie bardziej atrakcyjny niż Plac Centralny, przede wszystkim jest w lepszym stanie. Trudno tutaj kogoś zwabić perspektywą sąsiedztwa z Kombinatem, jakkolwiek by on nie był dzisiaj nowoczesny. Architektura mogłaby być tutaj wymowna, tylko że ta stara Nowa Huta jest mała w porównaniu z jej resztą, która jest pozbawiona wyrazu.

AZ: Jakie są wady mieszkania tutaj, a jakie zalety?

LM: Zapachy docierające z zakładów przemysłowych. Przy współczesnej świadomości ekologicznej, każdy jest na to bardzo wyczulony. Dzieciom bym polecał wychowywanie się w czystszej okolicy. A zalety są całkiem oczywiste. W porównaniu z Krakowem, co każdy chyba stwierdzał wielokrotnie, jest więcej miejsca, szersze arterie, więcej zieleni. Dzieci nie muszą być odprowadzane do przedszkola przez kilka skrzyżowań, bo mają przedszkola wewnątrz osiedli. Sklepy są przyzwoicie zaopatrzone.

AZ: Wyprowadziłby się Pan stąd?

LM: Dawniej mi się wydawało, że taka propozycja byłaby atrakcyjna. Dawniej, czyli w wieku, kiedy żądało się od życia atrakcji. Teraz wydaje mi się to zbędne, raczej bym się przeprowadził na wieś, gdyby taki wybór miał mnie dotyczyć.

AZ: Były jakieś kamienie milowe w przyzwyczajaniu się do tego miejsca?

LM: Musiałbym sobie przypomnieć. Mogłoby się to wiązać z mieszkaniem, z faktem, że się zdecydowało doprowadzić mieszkanie do lepszego stanu czy wykupić je na własność. Tutaj się urodziła córka. Ta zieleń dookoła była też moją ręką posadzona, czego teraz żałuje, bo tego się nie powinno robić tak chaotycznie. A podobno teraz nie można bez zezwolenia wyciąć drzew, nawet posadzonych z dobrej woli. Mieszkając na parterze zaczynam rozumieć emerytów, zrzędzących, że jest im za ciemno. Dawniej bym się nie zgodził, byłbym oburzony; teraz widzę, że w lecie trzeba świecić światło na parterze. W porównaniu z oficynami krakowskimi i tak jest jasno. Tam można mieć okienko na podwórko, śmietnik, kałuże moczu, okno sąsiada. Tutaj okno sąsiada mam, powiedzmy, 20 m od swojego, a nie 2 m.

AZ: Kiedyś się samodzielnie siało trawę i drzewa, a teraz już nie można?

LM: Nadal to robią, wystarczy spojrzeć przez okno. Jeżeli ktoś ma dużo czasu i pochodzi np. ze wsi, no to nieobce mu są prace ogrodowe. Tylko że w ostatnich latach nie widuję upraw typu szczypiorek czy marchewka, a zdarzało się to dość często na osiedlach pionierskich.

AZ: Taka marcheweczka była zdrowa?

LM: Bywały gorsze miejsca. Proszę zobaczyć, jak niektóre działki przylegają do Huty.

AZ: Trzy pierwsze skojarzenia z Nową Hutą…

LM: Tylko to, co się z nazwą kojarzy oraz z miejscem zamieszkania. Z miejscem zamieszkania, to mój blok, moje otoczenie, z nazwą, to Kombinat. Każdy mieszkaniec Nowej Huty ma skojarzenia związane z jego małą ojczyzną oraz z tą nazwą.

AZ: Jaką twarz ma typowy nowohucianin?

LM: Mnie się kojarzy z Nową Hutą sprzedawca na Tomeksie, który dla mnie jest uosobieniem niskiej, średniej klasy kupieckiej. Dla niego liczy się przebywanie wśród sobie podobnych, małe wygrane, udany interes. To jest takie charakterystyczne.

AZ: Nowa Huta jest kobietą czy mężczyzną?

LM: Dla mnie kobietą.

AZ: Jakie ma cechy kobiece?

LM: Jest przede wszystkim wrażliwa na obserwację, to znaczy dostarcza, hm, takich zaskoczeń. Jeżeli mężczyzna podziwia kobietę, to jest ciekaw, jakie ona jeszcze odkryje przed nim nowe cechy. Nowa Huta odkrywa wiele nowych cech, dla mnie to są peryferia, czyli te wszystkie przejścia z architektury wysokiej i oficjalnej w stronę tych dawnych elementów, jak np. bloki kolejowe w Wadowie, jak inżynieria wodna Dłubni. Jest też taki wspaniały budynek, tam mieści się chyba teraz Sanepid; mają obok mostek stylowy, jakby zupełnie nie odpowiadający specyfice otoczenia, wtłoczony w kontekst taki bardziej naturalny, bo to już jest przejście w strukturę łąk i sadów.

AZ: A jakieś męskie cechy ta kobieta posiada?

LM: Męskie to Kombinat. To zbrojne, stalowe ramię, muskuł miasta, chociaż sam Kombinat, po wieloletnim doświadczeniu z Hutą Katowice, z Kopalnią Kleofas czy z Hutą Jedność nie jest dla mnie żadnym zaskoczeniem. Tyle, że sam format Kombinatu, czyli jego rozciągłość w przestrzeni, to potrafi urzec. Natomiast trasa wzdłuż samego Kombinatu, tam, gdzie 15-tka jeździ do Pleszowa, i Pleszów zdewastowany, to też jest zjawisko samo w sobie. I hałda. Gigantyczny komin przy Igołomskiej, który praktycznie nigdy nie zamierał, no i odgłosy Kombinatu, bardzo męskie. Takie sapnięcia, dudnienia, stuknięcia, jakieś spusty surówki nocnej. No i zapach. W związku z tym, że doświadczenie miałem ze Śląska i byłem wyczulony na wszelkie smrody, zapach od huty był mi znany z dzieciństwa i nie reagowałem na to, ani pozytywnie ani negatywnie. Natomiast reagowałem na zapach zakładów tytoniowych, bo to jest coś zupełnie nowego. Niewiele jest miejsc w Polsce, gdzie taki zapach przemysłowy się unosi.

AZ: Opisze mi Pan tę kobietę?

LM: Dobrze. Zacznijmy od strojnego kapelusza. Kapelusz miasta to są strychy i pracownie na ostatnich piętrach, albo te podwyższane mieszkania, które nie wiadomo, czy powstały ze strychów czy były przebudowywane, w każdym razie prawie na każdym bloku, im bliżej placu Centralnego, są jakieś przybudówki. Ozdoby na tych kwiecistych kapeluszach to są anteny satelitarne. Można powiedzieć, że ona jest

nastroszoną kobietą, uczesaną do góry.

Oczy to są wszystkie okna, które się uśmiechają albo są zaświecone.

AZ: Jaki mają kolor?

LM: Zależy od zasłon. Wieczorem pewnie pastelowe kolory, więcej raczej zielonych i niebieskich niż czerwonych. W każdym razie jasne kolory. Skojarzenie następnie z powłoką cielesną. Raczej jest taką przysadzistą babą, zdecydowanie nie jest to strojnisia. Nosi kapelusz, ale ma taki gust plebejsko-szary, jest praktycznie elegancka.

AZ: W jakie sukienki się ubiera?

LM: Ciężkie. Krawiectwo ciężkie.

AZ: Jakie materiały?

LM: Ona w płaszczu chodzi (*śmiech*). Ona właściwie sukienki to pokazuje bardzo rzadko,

nawet w lecie chodzi w płaszczu, i to grubym dosyć. Być może ma czasem wyliniałe mankiety, jak starsze panie w kościele mają, czasem widzisz takie futrzane mankiety i kołnierze. Elegantka to z niej prowincjonalna trochę, ale Kraków też nie jest nowoczesny. Ona z Krakowem pod ramię paraduje i raczej do twarzy jej z takim partnerem. Ma w każdym razie ambicje bycia elegantką inną niż prowincjonalna, ale prowincja z niej wychodzi w każdym szwie.

AZ: Maluje się?

LM: Reklamami się maluje. Kolory reklam przyćmiewają kolor jej oczu. Krzykliwe, jaskrawe, nienaturalne.

AZ: Używa jakichś perfum?

LM: Dezodorant bezzapachowy wyłącznie. Praktyczny i pozwala się pozbyć brudu na wiosnę. Nie jest to kobieta, która lubi być adorowana. Ona jest dumna, wyniosła, zna swoją potęgę.

AZ: Na jakich mężczyzn działa?

LM: Na praktycznych, mających takie nastawienie, jak ona sama. Ma przyziemne cele życiowe, a równocześnie jest bardzo solidna, potrafi wzbudzić zaufanie partnera. Ma wiele cech rzetelnych, związanych z jej osobowością jako obywatelki, jako Polki, jako robotnicy. Myślę, że byłaby bardzo dobrą partią dla mężczyzn, nie dla wszystkich oczywiście.

AZ: A Pana oczarowała?

LM: Mnie oczarowała tym, że się nie afiszuje ze swą urodą, że pozostawia wyłącznie to, co jest w niej do odkrycia, w stanie surowym. Ta jej surowość też mi się podoba, można powiedzieć, że ona przyciąga tym, że nie chce pokazywać swoich wdzięków. Je jednak widać.

AZ: W jakim dziś jest nastroju Nowa Huta?

LM: Ona jest zmęczona tym wszystkim i czeka na lifting twarzy.

AZ: Wszystkim czyli czym?

LM: Tyloma przejściami życiowymi. Ona jeszcze nie jest taka stara, ale chciałaby poczuć się rześko, chciałaby, żeby ktoś tchnął w nią nieco energii, chciałaby odnaleźć sens egzystencji. Na razie jest na tych peryferiach i zarzucają jej, że jest sypialnią.

Sens → Roma Piejko, Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow

fot. Anna Miodyńska

fot. arch. Niki Wiecheć

Niki Wiecheć

Greczynka, a od 1959 r. także nowohucianka, matka dwóch córek. Przybyła do Nowej Huty jako dziecko i mimo wyjazdu rodziców do Grecji, Pani Niki w Nowej Hucie pozostała. Uczestniczyła w budowie dzielnicy, pracując niegdyś w cegielni jako brakarz. Teraz jest podinspektorem w nowohuckim Oddziale Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej.

Na pytanie, kim jest: Greczynką czy nowohucianką, uśmiecha się i mówi: Greczynką i nowohucianką. W Nowej Hucie ceni przestrzeń, więzi sąsiedzkie, a także wspomnienia związane z tym miejscem, które w ustach Pani Niki brzmią jak piękne greckie mity, może nigdy wcześniej nie wypowiedziane.

Pisząc o kimś, zawsze powinno się podawać wiek lub rok urodzenia, jednak w przypadku pani Niki Wiecheć, wydaje się, że wiek nie ma żadnego znaczenia. Gdy spogląda się na zdjęcia sprzed dwudziestu lat, na fotografiach bez problemu można odnaleźć ten sam uśmiech, jaki gości na jej twarzy dziś.

Rozmówczyni: Niki Wiecheć

Prowadzący rozmowę: Jacek Dargiewicz

Z ziemi greckiej do huckiej

fot. arch. Niki Wiecheć

JD: Czy Pani urodziła się w Nowej Hucie?

NW: Moje rodzeństwo i ja nie urodziliśmy się w Hucie, przyjechaliśmy tu z rodzicami i zamieszkaliśmy tutaj. Na początku, kiedy nie było domu, mieszkaliśmy u znajomych, którzy ściągnęli rodziców z Krościenka.

JD: W którym roku przyjechała Pani z rodzicami do Nowej Huty?

NW: To był 1959 r. Ja miałam wtedy 8 lat. Najpierw przyjechał tu ojciec. Jak już było mieszkanie, to sprowadził nas do Huty.

JD: Do tej pory nie wiedziałem, że Grecy byli w Nowej Hucie.

NW: Bo do Nowej Huty mało nas przyjechało. W ogóle w Krakowie bardzo mało Greków było. Większość społeczności greckiej skupiona była na zachodzie Polski. Jednak trzeba zaznaczyć, że Grecy byli wszędzie: w Bułgarii, Rosji oraz NRD [emigracja Greków miała miejsce po wojnie domowej w Grecji – JD].

JD: Nie chcieli wracać do Grecji?

NW: Pokolenie moich rodziców **cały czas żyło Grecją.**

Cały czas chcieli wracać do Ojczyzny – nawet na piechotę.

JD: Wrócili?

fot. arch. Niki Wiecheć

NW: Gdy przyszły lata 1976 i 1977, kiedy mogli już wrócić do Grecji, natychmiast powrócili. Wtedy powyjeżdżali wszyscy starsi Grecy i małżeństwa, które nie były „mieszane". Kawalerowie i panny – tak jak moje rodzeństwo – też wyjechali z rodzicami.

JD: Pani poślubiła Polaka.

NW: I długo wahaliśmy się, co zrobić, ale zostaliśmy w Polsce.

JD: I została Nowa Huta.

NW: Tu mieszkali rodzice. W tym samym, co ja teraz, mieszkaniu. Całe życie tu mieszkam. To znaczy, jak wyszłam za mąż za Polaka, to musiałam wyprowadzić się na chwilę do męża, jednak jak rodzice wyjechali, to się tu wprowadziłam.

JD: Porozmawiajmy o Pani pracy i doświadczeniach z nią związanych. Na początek chcę zapytać, jaką szkołę Pani skończyła?

NW: Ukończyłam technikum ceramiczne w Technikum Hutniczo-Mechanicznym nad Zalewem, wydział ceramiczny.

JD: A czemu akurat ta szkoła?

NW: Ceramika zawsze kojarzyła mi się z Grecją. M.in. stamtąd pochodzą najpiękniejsze wytwory ceramiki.

fot. arch. Niki Więcheć

JD: Wydział ceramiczny w THM-ie miał Panią nauczyć tworzenia waz?

NW: Chyba dlatego ten kierunek wybrałam. Ceramika kojarzyła mi się zawsze z czymś pięknym: talerzem, fajansem.

JD: Ale rzeczywistość w technikum trochę inaczej wyglądała.

NW: Kiedy tam poszłam, okazało się, że ceramika to bardzo szeroki zakres. Ta ceramika nastawiona była na Wydział Zakładów Materiałów Ogniotrwałych – to też jest ceramika. Nie wiedziałam, że cegła jest ceramiką, dachówki zresztą też. Tego dowiedziałam się w szkole. Prysły marzenia o tworzeniu porcelany, fajansów, delikatnych damskich rzeczy.

JD: A praktyki w technikum Pani miała?

NW: Praktyki? Oczywiście, mieliśmy. Na Kombinacie, gdzie nie robiło się nic.

Na piękne oczy się zdawało.

JD: Coś Pani z nich pamięta?

NW: Na praktykach nauczyłam się palić papierosy. To było najgorsze. Dziewczyny starsze o rok już popalały i też nas nauczyły. Praca w kombinacie jest ciężką pracą fizyczną. Co taka 17-, 18-letnia dziewczyna mogła robić? Mogła tylko patrzeć. Bali się nas dopuszczać do jakiejś pracy. Trzeba było dobrze patrzeć, obserwować, bo później trzeba było z tego napisać pracę. Dlatego właśnie mówię, że na piękne oczy się zdawało.

JD: Zostało Pani coś z tej wiedzy wyniesionej z Kombinatu?

NW: Nie, nic nie pamiętam. Ja się w ogóle nie nastawiałam na Kombinat. Jeżeli już, to chciałam szukać pracy w biurach na Hucie. Jednak znalazłam pracę w cegielni w Zesławicach.

JD: Dużo cegieł z tamtego zakładu posłużyło do budowania Nowej Huty.

NW: Tak. Tam zaczęłam staż i pracę i tam robiłam 12 lat. Pracowałam jako brakarz.

JD: Brakarz?

NW: Kontroler jakości.

JD: A na czym polegała praca brakarza?

NW: Sprawdzał on wszystko, począwszy od gliny, przez surową, wysuszoną, po wypaloną cegłę. Musiałam codziennie prowadzić dzienniczek.

JD: Można by rzec, że Pani budowała Nową Hutę.

NW: Zgadza się. I nie tylko tę dzielnicę. Wszystkie domy wokół są zbudowane z tej cegły. Na początku był w cegielni duży ruch. Jak odchodziłam, to już był mniejszy, ale teraz nie wiem, co tam jest. Za to z początku był taki ruch…

dobra, niedobra cegła – wszystko szło.

Jako brakarz nie powinnam dopuszczać, żeby te cegły opuszczały zakład, ale wiedziałam, jak duże było zapotrzebowanie. Wszystko wtedy było budowane z cegły. Pamiętam, że z Elektrociepłowni w Łęgu brało się popiół i dodawało do gliny.

JD: Pamięta Pani, jak się sprawdzało, czy cegła jest dobra?

NW: Oczywiście. Po wyglądzie. Jak najmniej powinna być popękana, dobrze wypalona, czyli kolor w miarę czerwony. Żeby sprawdzić, czy cegła jest cała, nie pęknięta i dobrze

Cegły → Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń, Marianna Zając

MATERIA

fot. arch. Niki Wiecheć

wypalona, to brałam śrubkę metalową i stukałam (zresztą do tej pory, jak kupuję ceramikę, to stukam w nią i sprawdzam). I słuchałam, jaki dźwięk wydaje. Jeśli był to dźwięk głuchy i ostry, to była dobra. Na oko również można było sprawdzić niektóre, patrząc na kształt, kolor, wymiary. Patrzyło się, ile było popękanych na 1000 cegieł, była pewna norma.

Pani podinspektor

JD: A jak Pani trafiła do MOPS-u?

NW: Po pracy w cegielni miałam trochę przerwy, bo urodziłam jedno dziecko, następnie drugie. Później zachciało mi się zmian. Miałam pracować w Szpitalu Żeromskiego, w księgowości. Lubiłam rachunki i matematykę. Zawsze z tego byłam dobra. Ale w tym czasie zaczęła się tworzyć opieka społeczna (MOPS). Były to dopiero jej zalążki i potrzebowali wtedy ludzi.

JD: To były lata…

NW: …80. Dokładnie 1982 r. Jak MOPS się formował, to był bardzo duży nabór. Ponieważ nie byłam po szkole pracowników socjalnych, zostałam przyjęta na inne stanowisko. Najpierw opieka społeczna miała swą siedzibę na os. Kazimierzowskim, w zwykłych mieszkaniach na parterze. W ciągu roku MOPS bardzo się powiększył. Przyjęto dużo dziewczyn. Pracownicy socjalni zaczęli urzędować w przychodniach, żeby być bliżej ludzi.

JD: Ale Pani nie chciała zostać pracownikiem socjalnym?

NW: Wyganiali mnie, żebym zrobiła tę szkołę. Nawet ją rozpoczęłam. Zrobiłam 1,5 semestru, ale zaczęły się pewne problemy i nie skończyłam jej. Pamiętam, kierowniczki chciały mnie zjeść, łącznie z dyrektor szkoły. Żałuję, że nie udało mi się jej skończyć.

JD: Na jakim stanowisku Pani pracuje obecnie?

NW: Jestem podinspektorem. Robię listy wypłat.

JD: Pamięta Pani jakieś ciekawe historie z pracy? Może jakieś osoby utkwiły Pani w pamięci?

Twarz, którą pamiętam

NW: Pamiętam dyrektora cegielni – Dyręgowskiego. Wspaniały człowiek. To on mnie zatrudnił. Nie wiem, czemu mnie przyjął, taką „zieloną" dziewczynę. Byłam dopiero po szkole, ale ciężko było w domu, więc trzeba było iść do pracy.

JD: Jakim był człowiekiem?

NW: Ten dyrektor to był taki spokojny, złoty mężczyzna. Mówię o nim, bo pracując już w MOPS mieliśmy podopiecznego o takim nazwisku. Zastanawiałam się, czy to tylko zbieżność nazwisk, czy też dotyczy tego dyrektora. Swego czasu słyszałam, że ma dziecko wymagające opieki. Kiedyś, w czasie pracy, wchodzi do nas on – pan dyrektor. Troszkę byłam zażenowana, bo to w końcu był mój dyrektor, zawsze miły, uprzejmy, wspaniały, delikatny, grzeczny. I do tej pory się nie zmienił. To spotkanie po latach przywołało wspomnienia. Od tej pory mogłam mu spłacić

dług wdzięczności

za to, że przyjął mnie wtedy do pracy.

JD: Jak Pani wspomina te pierwsze lata pracy?

Praca

NW: Pracować zaczęłam w wieku 19 lat. Byłam jeszcze zielona i głupiutka. Pamiętam, że ledwo zaczęłam pracować, a tu ząb mnie tak rozbolał, że musiałam iść na zwolnienie. Do tej pory się dziwię, że już wtedy miałam tę świadomość, że nie powinnam iść na zwolnienie. W końcu dopiero co zostałam przyjęta do pracy, a już muszę iść na zwolnienie. Oczywiście pierwsze lata pracy to również i ludzie, znajomi… W Zesławicach

do tej pory mam koleżankę, która również przyjechała do Huty. Z mężem wybudowali dom i mieszkają tam do dziś.

JD: Chciałbym teraz zapytać o drogę do pracy. Zarówno tę do cegielni, jak i tę teraz.

NW: Jak już tu mieszkałam, a jeszcze pracowałam w cegielni, zawsze dojeżdżałam autobusem. Problem w tym, że zawsze się na niego spóźniałam. A jak miałam na popołudnie, to musiałam uciekać wcześniej z pracy, żeby zdążyć na ostatni. Zawsze się bałam, że przyjdzie kontrola i mnie złapie.

JD: A teraz, w MOPS-ie?

fot. arch. Niki Wiecheć

CZAS, BARWA, DŹWIĘK

NW: A teraz chodzę sobie na nogach. Pracuję na os. Teatralnym, więc mam blisko. Nawet jak pracowałam na os. Szkolnym, chodziłam na nogach. W lecie podziwiałam tę naszą Nową Hutę. Na wiosnę, jak wszystko kwitnie, też jest ładnie. Mnóstwo zieleni. Wiele z drzew obok bloku posadził mój ojciec. Ale powycinali je już, bo się rozrosły i w mieszkaniach było ciemno.

JD: Nie było Pani żal tych topoli posadzonych przez Pani ojca?

NW: Nie. Już dawno chciałam, żeby je wycięli, bo było ciemno, pyłki latały.

JD: A czy pamięta Pani Nową Hutę „pachnącą nowością”?

NW: Jeszcze jak pamiętam! Tu przecież spędziłam dzieciństwo. I

MATERIA

przy mnie wszystko powstawało.

Pamiętam nawet jak tu nic nie było, szkoły, drzew, chodników ani ulic. Wtedy z innymi dziećmi bawiliśmy się gliną.

JD: Znowu ta glina…

NW: Tak. Myśmy tą gliną lepili sobie garnki.

JD: Ta Grecja jednak cały czas się gdzieś przewija… A czy w pracy też „zaznacza” Pani swoje greckie pochodzenie?

NW: Ponieważ do 8 roku życia mówiłam tylko po grecku, do tej pory nie potrafię wymówić niektórych wyrazów dobrze po polsku. Koleżanki do tej pory śmieją się, że np. zamiast wyrazu „drzwi” mówię „dźwi”. Musiały też przywyknąć do obchodzenia moich imienin 6 grudnia.

JD: Czemu?

NW: Imienia Niki nie ma w polskim kalendarzu. Ponieważ pochodzi ono od imienia Nikolas, czyli Mikołaj, obchodzę imieniny 6 grudnia. Chciałam wprowadzić zwyczaj, bym 25 marca miała wolne z racji święta narodowego Grecji, ale nikt mnie nie chce słuchać.

JD: Jeśli mówimy o pracy w PRL, nie mogę nie zapytać o „czyn społeczny”. Pamięta Pani?

PRACA

NW: Oczywiście, że tak. Kiedy pracowałam w cegielni, często popołudniami lub w niedziele w czynie społecznym sprzątaliśmy osiedla, sadziliśmy drzewa, przygotowywaliśmy coś przed 1 Maja lub na Dni Nowej Huty. Zawsze przy tym było wesoło, ponieważ wszyscy byliśmy młodzi. Później zbieraliśmy się w świetlicy, tam odbywały się próby zespołu big-beatowego, do którego nawet zostałam zaproszona, by śpiewać. Jednak muszę przyznać, że słoń nadepnął mi na ucho i nie mam talentu muzycznego.

JD: Dni Nowej Huty musiały być ciekawym wydarzeniem.

NW: No pewnie, że tak. Dni Nowej Huty odbywały się w maju. Uczestniczyło w nich wiele nowohuckich szkół. Również społeczność grecka była zapraszana. Wtedy zakładaliśmy

i uczestniczyliśmy w paradzie. Często również szłam w pochodzie razem z innymi uczniami THM. Mam nawet zdjęcie zrobione przed szkołą, przed wymarszem na paradę. Udział w Dniach Nowej Huty też był traktowany jako czyn społeczny. Taka przymuszona spontaniczność, ale jak się było młodym, to brało się w nich udział z ochotą. Szkoda, że te uroczystości nie są już organizowane. Przynajmniej coś się tu działo. W Grecji święto narodowe 25 marca jest obchodzone bardzo hucznie i kolorowo. Grecy bawią się przez trzy dni, dzieci i młodzi się przebierają, chodzą w paradach po ulicach. U nas w Nowej Hucie także mogłoby się coś takiego zorganizować.

Dobrze pamiętam twarze dozorców

JD: Jakie twarze Nowej Huty Pani pamięta?

NW: Doskonale pamiętam twarze ludzi z cegielni. Może przez to, jak oni mnie traktowali. Zawsze postrzegana byłam jako gwiazda, zapewne przez moje stroje. Dyrektor kiedyś zapytał o moje modne ubranie. Jak mu odpowiedziałam, że jestem modelką, uwierzył, ale szybko wyprowadziłam go z mojego żartu.

Dobrze pamiętam moją nauczycielkę z THM-u, profesor Kowalską, która uczyła przedmiotów zawodowych, m.in. ceramiki. Wspaniała osoba. Rozwichrzona, roztrzepana, wymagająca, ale była niepowtarzalna pod każdym względem. Był też pewien przewodniczący w zakładowym oddziale Partii, który był bardzo dobrym człowiekiem, jednak po przemianach ustrojowych, jakie zaszły w kraju, bardzo szybko zmarł na serce. Bardzo dobry człowiek, zapewne nie wytrzymał tej całej nagonki na ówczesny system. Mam go przed oczami do dziś.

JD: A czy jest twarz, która mogłaby się stać symbolem Nowej Huty?

NW: Ja myślę, że w Nowej Hucie jest mnóstwo wspaniałych ludzi, symboli tej dzielnicy. Wiele wyjątkowych osób już odeszło. Nowa Huta nie ma jednego oblicza. Jej oblicze to twarze tych budowniczych, którzy poświęcili swoją młodość i zostali do dziś.

Również wielu Greków, nie znając języka, środowiska, poświęciło się dla budowania Nowej Huty. Oczywiście musieli pracować, by utrzymać rodzinę, ale ich zaangażowanie było bardzo duże. Chociaż przez 26 lat myśleli, że lada moment wrócą do siebie, do kraju, to jednak poświęcali swe siły, życie, przy budowie Nowej Huty.

JD: A jakie twarze z życia codziennego Pani przychodzą do głowy?

NW: Na pewno koleżanki z pracy, zarówno z cegielni, jak i z MOPS-u. Oczywiście sąsiadki, z którymi do tej pory wspominamy dawne czasy. Mężem jednej zresztą był Grek, jednak już zmarł. Wybitnie nie służył Grekom tutejszy klimat, dieta, również ciężka praca zrobiła swoje.

Dobrze pamiętam również naszych dozorców. Szczególnie tych pierwszych. Dziwię się, że utrzymywali ład i porządek. Tu na początku mieszkały rodziny wielodzietne, tych dzieciaków to było multum. Stale ruch, szum. Do tej pory się zastanawiam, jak im się udawało wszystko utrzymywać w ładzie. Po nich przyszli dozorcy, którzy zawsze nas krytykowali i traktowali troszkę „z góry", jednak można było im to wybaczyć, ponieważ zawsze było bardzo czysto i do tej pory wszyscy ich dobrze wspominamy. Teraz nie ma dozorców. Wyprowadzili się. Wynajęta jest firma sprzątająca…

JD: Czy czuje się Pani bardziej Greczynką czy nowohucianką?

NW: Nowohucianka – ciekawe określenie. Jestem dumna z tego, że jestem Greczynką i nowohucianką.

Uwielbiam Nową Hutę ze względu na przestrzeń, za to też kocham Grecję.

fot. arch. Niki Wiecheć

Sąsiedzi → Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

Rozmowa Jacka Dargiewicza z Niki Wiecheć

fot. arch. Niki Wiecheć

JD: A czy coś w Nowej Hucie powinno się zmienić?

NW: Wydaje mi się, że ta przestrzeń Łąk Nowohuckich powinna być domknięta od strony Placu Centralnego i zagospodarowana. Chociaż słyszałam, że na łąkach stworzono rezerwat przyrody, to uważam, że miejsce między os. Centrum E a Nowohuckim Centrum Kultury powinno być lepiej wykorzystane, by stało się, jak za dawnych czasów, miejscem spotkań. Pamiętam, jak nasza rodzina chodziła tam razem z innymi Grekami spędzać letnie popołudnia.

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

Powinno utworzyć się ogródki sportowe, świetlice, w zimie odnowić lodowisko na Hutniku, by młodzież tutejsza mogła realizować swoje zainteresowania. Mówi się, że młodzież jest coraz gorsza. To nieprawda, młodzież po prostu nie może realizować swoich zainteresowań, bo to staje się coraz droższe.

JD: Czy jest coś, co można nazwać symbolem Huty?

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, Marianna Zając

NW: Arka jest symbolem zmian, jakie zachodziły w Nowej Hucie. Sama walka o wybudowanie tego kościoła jest dobrym przykładem, jak wiele znaczy on dla mieszkających tu ludzi.

JD: Oprócz Greków w Nowej Hucie byli również przedstawiciele innych narodowości?

NW: Oprócz Greków była również nieliczna społeczność Macedończyków, jednak oni byli „wrzucani do jednego worka" razem z Grekami. Jest to o tyle zabawne, że przecież historia stosunków Greków i Macedończyków jest dosyć burzliwa. Dlatego często dochodziło do sprzeczek, kłótni na tym polu. Jednak nie były to jakieś poważne spory, gdyż do tej pory mam tu w Hucie dwie koleżanki, które są Macedonkami.

JD: A Romowie?

NW: Z Romami spotkałam się podczas pracy w pomocy społecznej. Wtedy zobaczyłam, że są to bardzo

dobrzy ludzie o duszach artystów.

Są przy tym wyjątkowo rodzinni. W tej społeczności ważne miejsce zajmują osoby starsze, które do końca życia są otaczane opieką.

JD: W Nowej Hucie byli również radzieccy inżynierowie.

NW: Tak? Pierwszy raz słyszę. My, Grecy, byliśmy dość zamkniętą społecznością, która raczej nie utrzymywała kontaktów z osobami spoza naszej grupy. Najczęściej spędzali-

fot. arch. Niki Wiecheć

Gitara → Augustyn Mirga, Lech Miodyński

śmy czas z rodzicami lub innymi rodzinami greckimi, może dlatego nic o tym nie wiem.

JD: A czy przywiozła Pani do Huty wspomnienia o osobach, które nie są z tym miejscem związane?

Twarz, którą pamiętam

NW: Do tej pory pamiętam jednego młodego Greka, którego poznałam na jednym z seminariów greckich. Pamiętam go, bo oczarował mnie piękną grą na buzuki.

Myśl o powrocie

JD: Może wyjdę na ignoranta, ale co to jest buzuki?

NW: Nie jesteś ignorantem. Spotkałam się z osobami, które nie wiedzą, co to jest ser feta czy ouzo. Zaś buzuki to instrument grecki, podobny do gitary czy mandoliny.

JD: A ouzo to tradycyjny alkohol grecki?

Czas, barwa, dźwięk

NW: Tak jest. Ouzo to słodki alkohol, który jest obowiązkowo podawany na różnych imprezach. Jak tylko ktoś przyjeżdża do Polski, zawsze proszę o przywiezienie mi jednej butelki.

JD: Często ktoś przyjeżdża?

Ja i moje miejsce

NW: Czasami. Zawsze wtedy wcielam się w rolę przewodnika i oprowadzam Greków po Krakowie. Obowiązkowo na trasie wycieczek jest Wawel, Rynek i całe Stare Miasto, ale nie zapominam też o Nowej Hucie. Zawsze starałam się im pokazać wielki Kombinat metalurgiczny i zabrać na spacer po Placu Centralnym.

JD: A jaką reakcję wywołała decyzja, że zostaje Pani w Polsce, gdy Pani rodzice wracali do Grecji?

NW: Ja już wtedy byłam mężatką. Miałam męża Polaka, więc to była moja decyzja. Wyjeżdżali starsi, którzy marzyli od dawna o powrocie do ojczyzny, młode małżeństwa greckie oraz niezamężne i nieżonate młode osoby. Małżeństwa „mieszane” zastanawiały się, czy wyjeżdżać, czy zostać.

JD: Pani nie brała pod uwagę wyjazdu?

NW: Brałam, jednak związane z tym było bardzo dużo formalności. Do tej pory, jak jadę do rodziny, to namawiają mnie, żebym została. Zawsze wracałam do Polski z myślą, że będę załatwiać papiery, jednak jakoś nigdy się nie udawało. A kiedy moja najmłodsza córka urosła, stwierdziła, że ona nie chce się przeprowadzać stąd od koleżanek, przyjaciół. I tak zostało. Może jak przejdę na emeryturę, to się przeprowadzę.

JD: Grecy wyjechali z Nowej Huty, a czy pamięć po nich została?

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

NW: Myślę, że tak. Jeśli spotykam kogoś ze starszego pokolenia, kto dowiaduje się, że jestem Greczynką, często słyszę, że pracowali z Grekiem albo że znali Greka. Bardzo ich chwalą, mają dużo miłych wspomnień, mimo że często nie rozumieli Greków, a Grecy ich. Z tego wychodziły często zabawne sytuacje w pracy. Moi rodzice zresztą bardzo słabo znali polski i jeśli zaczynali mówić po polsku, to był śmiech na sali. Więc uważam, że pamięć po nich pozostała. Poza tym pozostawili po sobie następne pokolenie Greków w Hucie, które na pewno tradycje greckie kultywuje, by ta pamięć nie wygasła.

JD: W jaki sposób?

Ja i moje miejsce

NW: Na spotkaniach, imprezach. To, co w nas do tej pory pozostało, to muzyka. Przekazujemy również podstawowe greckie pojęcia – ot, choćby co to jest buzuki, czy kiedy są święta greckie – by czuli, że są Grekami, by mieli swoją świadomość. Stąd też imiona moich córek.

Rozmowa Jacka Dargiewicza z Niki Wiecheć

JD: A nie ma Pani żalu, że brak w Hucie miejsca, które by jakoś zaznaczało obecność Greków?

NW: Mieliśmy swoje świetlice. Pierwszą na os. Zielonym. Spotykaliśmy się tam, uczyliśmy się języka, odbywały się tam zebrania, imprezy. Później była piękna świetlica na Szkolnym. Z tą świetlicą to związana jest cała historia. Gdy już byłam nastolatką, organizowaliśmy tam piękne imprezy. Wszyscy młodzi, tzn. moje pokolenie, wspominamy tę świetlicę, jak się spotykamy. Ponieważ ja i całe to pokolenie greckie ma ogromny sentyment do tego miejsca, powinno się zaznaczyć, że Grecy tam właśnie urzędowali. Zresztą nie tylko Grecy. Później nawet zaczęli do nas przychodzić Polacy, by uczyć się greckiego.

JD: To miejsce można nazwać bliskim Pani. Są jeszcze takie miejsca w Hucie?

NW: Na pewno Zesławice. Tam poznałam męża, pierwsza praca, pierwsze kroki w wielki świat. Oczywiście cały mój blok, razem z sąsiadami, tymi dawnymi. I to chyba tyle. Tak, jak mówię: tu rodzina Greków, tam rodzina Greków. My tylko tak funkcjonowaliśmy. Młodym nie było wolno, rodzice też nie, ze względu na różnice kulturowe, językowe. Wszystkie bliskie miejsca związane są raczej z Grekami, niestety.

JD: Niestety?

NW: Grecy nie tworzyli Huty tak, jak inne osoby, które zaangażowały się w budowę tego miejsca. Trzymali się w zamkniętym środowisku, nie chcieli się wyróżniać. Czekali z roku na rok, kiedy będzie możliwy wyjazd. Byli pewni, że to nie potrwa dłużej niż pięć lat. My, młodzi, też byliśmy w zamknięciu. Nam nie wolno było z nikim się wiązać. Rodzice byli przekonani, że lada moment wyjedziemy. Żaden Polak, żadna Polka nie mogła się dostać do greckiej rodziny. Czasem, jeśli Grek poślubił Polkę (bo tylko taki układ wchodził w grę), to mu przebaczano. Ale nie zawsze.

JD: A Pani rodzice, jak przyjęli Pani decyzję?

NW: Dziewczyny, które wiązały się z Polakami (bo chłopcy już mogli), przeżywały tragedie. Dla ojców, dla matek to był szok.

Moi rodzice się mnie wyrzekli.

Z czasem to jakoś łagodniało, ale na początku wyrzekano się córek. Niejeden z ojców dostał zawału. Widzisz, jakim Grecy byli zamkniętym środowiskiem.

JD: Została Pani w Hucie, bo świadomie wybrała to miejsce. Które z miejsc jest tu najważniejsze?

NW: Aleja Róż przede wszystkim. Szczególnie ta ze wspomnień. Z klombami, ławeczkami, fontanną, przystankiem autobusowym w miejscu, gdzie stał Lenin. Tu wsiadałam, jadąc do pracy do Zesławic. W ogóle cały ten trakt Alei Róż, aż do stadionu Wanda. Tu odbywały się pochody, tu jest ładny park, teraz ze źródełkiem, tu też był Świat Dziecka, Galeria. Teraz zamiast klombów, fontanny, zieleni, mamy betonowy plac. Ale przynajmniej dzieci mają gdzie jeździć na rolkach.

JD: Podobają się Pani te zmiany?

NW: Nie. Coraz więcej betonu mamy wokół siebie, a Huta jest piękna przez to, że jest tu dużo zieleni.

JD: Teraz zrobiono dla równowagi rondo na Placu Centralnym…

NW: Ale nie podoba mi się to, kto robi w centrum ronda park? Przecież to nie jest gazownia. Gdzie tam będą siedzieć zakochani? Lepiej było jak było. Mimo że

szczury jeździły,

ale spełniało swoją funkcję. No i do tego jeszcze ta nazwa: plac im. Ronalda Reagana… Kto ją w ogóle wymyślił?

Z dzienników terenowych

Środowisko dorastania często staje się „mała ojczyzną", bez względu na to, czy jest to wiejski, sielankowy pejzaż, czy wielkie blokowisko. Człowiek zżywa się z miejscem, w którym żyje, wrasta w to miejsce.

Wiem, że jest wielu ludzi, którzy w NH znaleźli swoje miejsce. (SW)

fot. arch. Niki Wiecheć

JD: Może plac im. Greka Zorby?

NW: Nie. My jako Grecy naprawdę mało się udzielaliśmy w życie dzielnicy. W Zgorzelcu ta nazwa mogłaby się przyjąć. Tam życie społeczności greckiej kwitnie do dziś, jest tam np. Festiwal Piosenki Greckiej.

JD: Mówiliśmy już o miejscu bliskim, najważniejszym. A jakie jest najciekawsze?

NW: Na pewno kościół Arka Pana z pietami w podziemiach. Ktoś mówił, że one są jak pałace dożów. Każdemu je pokazuję i często słyszę pytanie, co ja w nich widzę, a mi się tak bardzo podobają. Nasz Teatr Ludowy też jest ciekawy, tylko że mało wyeksponowany. Uważam, że ten budynek ma ciekawą architekturę i warto go pokazać, tak samo jak dwa nasze kina, „Światowid" i „Świt".

JD: Kina? Przecież one są bardzo zniszczone?

NW: Właśnie dlatego. By pokazać, co zrobiono z takimi ładnymi budynkami, no i dlatego, że są to dwa identyczne budynki, tak samo zbudowane, to jest ciekawe.

Nazwy

JD: Mówiła Pani o nazwie Placu Centralnego im. Reagana jako tej, która Panią denerwuje. A czy jest jakaś nazwa w Nowej Hucie, która jest Pani ulubioną?

NW: Przede wszystkim nazwa „Aleja Róż".

JD: A pamięta Pani ul. Rewolucji Kubańskiej?

NW: Chwileczkę. Zacznijmy od tego, że Huta to przede wszystkim są osiedla. Często, gdy ktoś tu przyjeżdżał, pytał, gdzie jest ul. Handlowa albo ul. Zgody. Żadnych ulic, żadnych!

JD: Pytałem o tę nazwę, bo znana jest z tego, że przez lata „wędrowała" i była przypisywana coraz to nowym ulicom.

NW: Nie pamiętam. W Nowej Hucie operowało się tylko osiedlami, nikt nie wiedział, gdzie są jakie ulice.

JD: No właśnie, mówi Pani „operowanie" nazwami. „Dzielnicowa rada" to też taka nazwa, którą się operowało?

NW: Tak, funkcjonuje ona do dziś, choć jej tam przecież nie ma. Jak tłumaczę komuś, gdzie ma iść, to mówię: „no tam, gdzie Rada Dzielnicowa". Jak ktoś operuje nowym nazewnictwem miasta, to nie bardzo się kojarzy. I trzeba mu to tłumaczyć.

JD: Nazwą, którą się operuje w Nowej Hucie, jest zegar i umawianie się „pod zegarem”.

NW: Tak, tylko że w os. Centrum A, za apteką, była słynna knajpa „Pod zegarem”. I „spotkajmy się pod zegarem” oznaczało, że właśnie tam.

JD: A czy Grecy nadawali miejscom w Hucie greckie nazwy?

NW: Na pewno jakieś nadawali, ale nie kojarzę żadnej.

JD: Wiele nazw w ciągu ostatnich lat się pozmieniało. Czy są jakieś, których Pani brakuje?

NW: Pozmieniało się. Niektóre nie wiem, czemu. Np. os. XX-lecia na os. Albertyńskie – w ogóle nie rozumiem.

JD: Bo XX-lecia PRL.

NW: Ale to jakaś historia Polski, bądź co bądź. Czy była taka, czy taka, to zawsze historia. Na pewno te wszystkie zmiany nazw ulic mnie drażnią. Szczególnie to, że jest wiele ulic związanych z „Solidarnością” i świętymi rzeczami. To mnie drażni, że tak tu w Hucie na to stawiają. Najpierw była tak bardzo komunistyczna ta Huta i było źle, a teraz mnie drażni, że to wszystko idzie w drugim kierunku, żeby podkreślić, że są tacy.

JD: To pewien paradoks. Huta miała być miastem bez Boga i kościołów…

N.W: Ale nie można wpadać z jednej skrajności w drugą.

JD: Miastem handlowym została. Zmieńmy temat. Jakie jest Pani pierwsze wspomnienie z tego miejsca?

NW: Jak się tu wprowadziliśmy, pamiętam okolicę, puste bloki i przestrzenie. Nowy świat. Jak jestem w Grecji na jakichś blokowiskach, to przypomina mi się czasem Huta z początków jej istnienia. A z późniejszych czasów

pamiętam koncert Czerwonych Gitar

w hali obok Kombinatu. Co to się robiło, żeby się tam dostać… My, jako młodzież grecka, mieliśmy zakaz wychodzenia, ale raz, jak poszłam, to były niezapomniane wrażenia.

JD: A są miejsca, których Pani brakuje teraz?

NW: Na pewno świetlica grecka. Ale świetlicy już nie ma, bo Grecy w większości powyjeżdżali i odebrano nam ten lokal. Brakuje mi też Alei Róż z lat młodości.

JD: Zostały szerokie ulice i zieleń. Widziała Pani w tym roku przebiśniegi?

NW: Widziałam. A krokusów ile przed dzielnicową radą.

JD: Teraz?

NW: No pewnie. Tylko trzeba iść w południe, bo później one się zamykają. W Nowej Hucie wszędzie są kwiaty, bo dookoła bloków jest mnóstwo ogródków, w których na wiosnę, czy latem, jest kolorowo i pięknie. Mam koleżankę, która ma taki ogródek. Jak do niej chodzę, to widzę, jak się on zmienia w zależności od pory roku.

JD: Proszę powiedzieć w takim razie, z jakimi kolorami kojarzy się Pani Huta?

NW: Zieleń przede wszystkim. No i szarość bloków. Teraz je ocieplają i malują na kolorowo. A przy blokach kolory, jak już mówiłam, zależą od pory roku.

JD: Kolorów dodaje też pranie wieszane przed blokiem.

NW: Coraz mniej. Za to dużo osób wiesza na balkonach, co jest ozdobą, tak jak we Włoszech czy w Hiszpanii. No i pranie pachnie powietrzem, świeżością. Na starszych osiedlach, gdzie zabudowa jest zamknięta i wchodzi się przez bramy, rzeczywiście można zauważyć pranie między blokami.

JD: A jakie dźwięki kojarzą się Pani z Nową Hutą?

NW: Jeden dźwięk pamiętam – jak chcieli wysadzić Lenina. Huk straszny. Jak się w nocy obudziłam, to nie wiedziałam, co się dzieje. Dopiero rano, jak szłam do pracy, to się dowiedziałam, że Lenina chcieli wysadzić. Wszyscy o tym mówili. Jak byłam w Atenach, to raz było malutkie trzęsienie ziemi. Mówią, że ten dźwięk jest okropny. Ja myślę, że te dwa dźwięki są bardzo podobne.

Dźwięk tramwajów też. Zwłaszcza nad ranem, jak się budzę i słyszę tramwaj, to wiem, że już pora wstawać, a jeszcze jak jest w zimie ciemno, to tym bardziej. W lecie jest inaczej. Rano to słyszę ptaki, szczególnie gołębie. Dawniej ich tyle nie było.

JD: Jak rozmawiamy o doświadczeniach zmysłowych, to chciałbym zapytać o smak. Podejrzewam, że Pani kojarzy się z kuchnią grecką?

NW: Tylko kuchnia grecka! W domu wszystko było po grecku. Jedzenie też. To mi zostało do dziś.

JD: A ma Pani ulubione danie?

NW: Ja często robię pite. Są to przekładane „liście", czyli cienkie ciasto przekładane farszem. Musi być jajko, ser feta, mleko. Feta jest drogi. My zawsze mieliśmy swój, z Krościenka – owczy, solony. Grecy jeździli specjalnie z beczkami po ten ser. Z niego właśnie robi się fetę. Farsz może być warzywny albo na słodko, rzadziej z mięsem. Ja do farszu dodaję pory i przekładałam tym farszem ciasto.

JD: Ostatnia rzecz, o jaką chcę spytać: z czego, według Pani, stworzona jest Nowa Huta? Z cegły, która budowała, stali, która zapoczątkowała jej istnienie, czy zieleni, która tu tak bujnie rośnie?

NW: Przede wszystkim stal. Później budowa bloków z cegieł. To też było coś. No i na końcu zieleń, która tu jest wyjątkowo piękna.

Ziemia → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Franciszek Szafraniec, Augustyn Mirga

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

fot. Marcin Klag

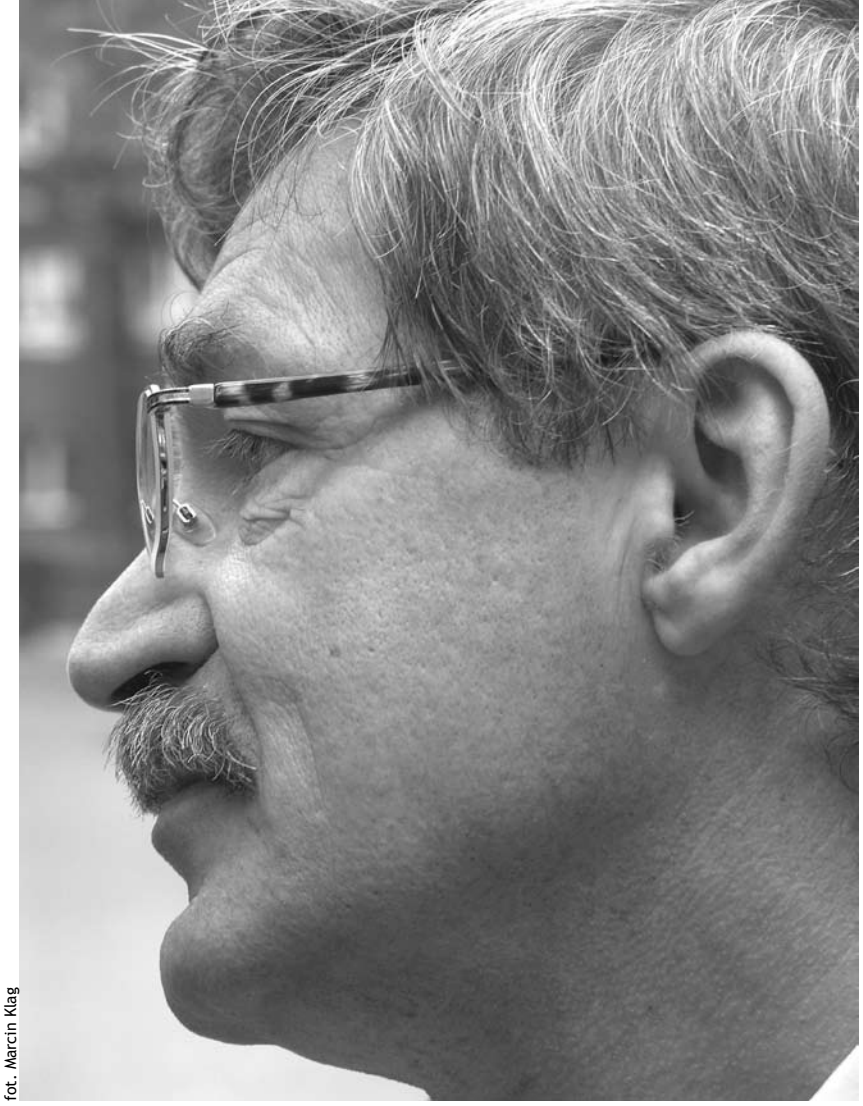

fot. Marcin Klag

Waldemar Cichy

W wypowiedziach Pana Waldemara odnajdujemy cenną relację z procesu wrastania w Nową Hutę rdzennego krakowianina. Wielu – zwłaszcza w ostatnich latach – przeszło taką integrację, choć nie była ona doświadczeniem łatwym. Skoro dla bohaterki dramatu Zapolskiej, pani Dulskiej, tragedią było już przeniesienie się na Dębniki (leżące ledwie 200 m od Wawelu), to za jakiż upadek poczytywano przeprowadzkę do Nowej Huty! A przecież wielu mieszkańców Krakowa w końcu tam się znalazło. Albo dostali tu swoje wymarzone, spółdzielcze mieszkania (w PRL długo się na nie czekało, więc nikt nie wybrzydzał), albo przyjeżdżali do pracy, albo w końcu zawierali małżeństwa i zostawali przy teściach w obszernych, socrealistycznych kamienicach. Gdy pod koniec lat 70. zaczęły się problemy z zaopatrzeniem sklepów, krakowianie gremialnie jeździli tu na zakupy, bo partia – aby nie rozjuszać robotników – dbała w tej dzielnicy o pełne półki.

Oddział Zaopatrzenia Robotniczego Kombinatu, w którym Pan Waldemar przez wiele lat pracował, odpowiadał za sadzenie drzew i trawy na osiedlach, co w efekcie przekształciło Nową Hutę w miasto-ogród (najlepiej widać to z okien helikoptera). Zieleń miała tu funkcję ochronną: w nocy Kombinat wypuszczał tysiące ton pyłu, które spadały na miasto. Wysokie drzewa wyłapywały przynajmniej część zanieczyszczeń, a ponadto dostarczały mieszkańcom tlenu. Najszybciej rosły topole, więc te sadzono najchętniej. Dziś jest z nimi kłopot, bo nie wpuszczają światła do okien, a poza tym same pylą, powodując choroby u alergików. Stąd obecnie masowo się je wycina.

Pan Waldemar do dziś pozostał krakusem. Najlepiej czuje się w ciasnych podwórkach-studniach i gęstej zabudowie Starego Miasta. Jednocześnie jednak, choć Nowa Huta nadal kojarzy mu się z hotelem-sypialnią, nie chce jej opuszczać. Przeszedł ewolucję, jaka stała się udziałem większości krakowian, których los tutaj rzucił. Mimo upadku Kombinatu raczej nie wyjeżdżają z Nowej Huty, a ci nieliczni, którzy przenieśli się do centrum Krakowa, przyjeżdżają tu na niedzielne spacery z rodziną i codzienne z psami. Dziwna jest magia tego miejsca, ale jest. Niekwestionowana.

Maciej Miezian

fot. Marcin Klag

Rozmówca: Waldemar Cichy – prezes klubu osiedlowego „Jędruś”
Prowadząca rozmowę: Aleksandra Ziemba

Wszystkie trzy spotkania, których efekt jest widoczny poniżej, odbyły się w klubie „Jędruś”. Siedziałam na miękkiej sofie, obitej czerwonym materiałem i starałam się nie okazywać rozmówcy swojego zdenerwowania. Od czasu do czasu popijałam herbatkę (bez cytryny), którą przygotował mi Pan Waldemar, oraz zerkałam, czy dyktafon ma zapaloną czerwoną żaróweczkę.

co to znaczy – przyjechać do Huty?

AZ: Jest Pan z Nowej Huty?

WC: Niestety nie jestem z Nowej Huty. Pochodzę ze Starego Miasta, ściśle mówiąc, z Kazimierza. Natomiast pracuję w Nowej Hucie.

AZ: Pan dojeżdża cały czas?

WC: Nie, nie jest tak źle, od kilku lat w Hucie mieszkam.

AZ: Dlaczego Pan się przeprowadził?

WC: Względy osobiste.

AZ: Jak Pan przyjechał do Nowej Huty, to jakie było Pana pierwsze wrażenie?

WC: Może sprostujmy, co to znaczy – przyjechać? Ja przyjeżdżałem do Nowej Huty mając już 5, 6, 7, 8 lat, bo tu mieszkała moja ciocia i tutaj spędzałem często wakacje. Huta tamtych lat była mi bliska.

AZ: Co się robiło w trakcie takich wakacji u cioci?

WC: Chodziliśmy na Jaz, nad Dłubnię, tam się kąpaliśmy. Tamte tereny były jeszcze niezabudowane, tam była piękna wioska, sady, zieleń.

AZ: Brakuje Panu tego?

WC: Jak każdemu brakuje dzieciństwa i sielanki z nim związanej.

AZ: Chodzi mi o to, że Huta się tak zmieniła.

WC: Huta się bardzo zmieniła, bo rozbudowała się niesamowicie. Myślę, że wychodzi jej to na korzyść.

AZ: A później, gdy Pan już zaczął doceniać walory architektoniczne, to co robiło na Panu wrażenie?

WC: Ja, jako człowiek urodzony i wychowany w Starym Mieście Krakowie, zawsze do Krakowa będę wracał i zawsze będę go kochał bardziej niż kocham te mury Nowej Huty. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy będę w stanie

w takim sensie je pokochać,

jak Stare Miasto. Zawsze te blokowiska były nam – miastowym – obce, były dziwne, były zbyt przestrzenne. Po prostu ja się tu nigdy dobrze nie czułem. I dalej się to ciągnie, aż to dzisiaj. Z tym, że w tej chwili łączą mnie tu inne więzy, w związku z tym wszystkie fobie łagodnieją. To normalne, człowiek się oswaja ze wszystkim, nawet tym niechcianym.

AZ: Jako dziecko czuł się tu Pan wyobcowany?

WC: Zawsze czułem się w Hucie nieco zagubiony, ponieważ przestrzenie, jakie tu są, odległości między blokami i ilość zieleni, robiły wrażenie ze względu na swoją wielkość. Ja byłem wychowany w kamienicy z ciasnym podwórkiem, tutaj się czułem jak w plenerze.

AZ: Ktoś Pana wytykał palcami? Chłopak z miasta, to z nim się nie bawimy?

WC: Dochodziło do takich starć, że ja z kuzynem nie jesteśmy miejscowi, ale żeby to było celowe? Na pewno nie. Mieliśmy krąg znajomych i z nimi się bawiliśmy, oni nas akceptowali. Natomiast przy okazji spotkań z obcymi to oczywiście, że tak. Wtedy się wyłapywało obcych na swoich osiedlach, tak samo, jak się wyłapywało na Starym Mieście Podgórzaków. Te animozje między dzielnicami w Krakowie a osiedlami tutaj zawsze były i zawsze chyba istnieć będą, bo zawsze istnieje pseudo-patriotyzm lokalny i chęć obrony własnego terytorium przed obcymi. To jest fakt.

Sukienki poza zainteresowaniami

AZ: Byłoby mezaliansem, gdyby dziewczyna ze śródmieścia wyszła za mąż za chłopaka z Huty?

WC: Niewątpliwie tak, ale dochodziło do takich mezaliansów. Ta miłość najpierw musiała przebrnąć przez wiele przeszkód, bo jeżeli się szło z dziewczyną po ulicy, to od razu zostawało się „napadniętym" i pytali, skąd się pochodzi. Wówczas bywało różnie. Człowiek często ryzykował dla dziewczyny zdrowie, nie powiem życie, bo aż tak źle nie bywało, ale zdrowie na pewno. Cały czas jest tak samo.

AZ: To Pan przywoził nowe zabawy, czy to Pana ich tu uczono?

Plac zabaw → Bogdan Zalewski, Bogumił Godfrejow

WC: Dzięki temu, że były tu duże przestrzenie i place zabaw, tu się człowiek inaczej bawił. Można było tu grać w piłę znacznie lepiej niż u nas, na ciasnych ulicach. Te zabawy nie były jakieś elitarne, żeby trzeba było się ich jakoś specjalnie uczyć. Grało się w piłkę, rzucało się nożem, bo to było modne swego czasu.

AZ: Jak ubierali się ludzie z Nowej Huty w czasach, gdy przyjeżdżał Pan tu na wakacje?

WC: Ho! Mogę pamiętać tylko to, jak ja się ubierałem, a raczej jak mnie ubierano, bo nie miałem na to najmniejszego wpływu. Ja sobie mogłem marzyć o jeansach za 20 dolarów, ale ubierany byłem w to, co było dostępne. Pamiętam rajstopy ze szwem

przez pierwsze lata mojej szkoły, takie dziergane. Do szkoły chodziło się w granatowych mundurkach.

AZ: A sukienek cioci Pan żadnych nie pamięta?

WC: Wtedy było to poza moimi zainteresowaniami. Z fotografii mogę powiedzieć, że były to sukienki lekkie i luźne, z paseczkami. Były modne takie garsonki i kapelusze, u mężczyzn płaszcze.

AZ: Wszędzie tak było, czy nowohucianie mieli jakiś specyficzny styl?

WC: Ja mówiłem o gronie moich krewnych, natomiast Nowa Huta nigdy nie słynęła z tego, żeby szła za modą. Ona żyła swoim życiem, życiem robotniczym. Tutaj na ulicach spotykało się robotników, często w ubraniach roboczych, bo nie wszystkim się chciało przebierać z kufajek i filcaków. Jak miał blisko do hotelu, to wracał z pracy tak, jak do niej wchodził.

AZ: Ma Pan jakiś schematyczny obraz nowohucianina w głowie?

WC: Pewnie się odkryję, ale taka była ocena zawsze z zewnątrz. Nowohucianin to jest wieśniak, którego wsadzono w miasto i on sobie nie bardzo może z tym wszystkim poradzić. Przez to jest nieprzyjemny, agresywny i nie da się z nim porozumieć. Był dla miasta zawsze wrogiem. Pamiętam, że jak były dyskoteki u nas, w Krakowie, organizowane i przyjeżdżali z Nowej Huty, zawsze musiało dojść do starć, do bójek.

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

AZ: W Nowej Hucie były organizowane dyskoteki?

WC: Były słynne zabawy w Meksyku, a więc koło cementowni w Nowej Hucie. To były z naszego, miejskiego punktu widzenia

typowe wiejskie burdy, które musiały się kończyć siekierami,

nożami itd.

AZ: Pan gdzie chodził?

WC: W Hucie nigdzie. To byłby strach, żeby ktoś z Krakowa w Hucie się zabawił.

AZ: Bał się Pan?

WC: Oczywiście, że tak. Ponieważ chodziłem z kuzynostwem, to byłem osłaniany, ale tak samemu chodzić, to był strach. Pewnie było w tym więcej fobii, ale też nie bez uzasadnienia, bo te konflikty były jasne i czytelne. Po prostu się ludzie sprawdzali, jak ktoś kogoś nieznajomego zaczepił na osiedlu, to po to, by sprawdzić, skąd on jest.

AZ: To tak, jak teraz.

WC: Właśnie. Tylko teraz na innym tle.

Bezpiecznie to się nie czuję

AZ: Co Pan myśli o sloganach typu: „Nowa Huta – centrum przestępczości”?

WC: Biorąc pod uwagę moje fobie z przeszłości, skłonny bym był się zgodzić, ale mam już na tyle krytycyzmu i obiektywnego spojrzenia, że absolutnie się z tym nie zgadzam. Nie ma tu większej przestępczości niż gdziekolwiek indziej, jakkolwiek zdawałoby się, że łatwiej byłoby tu o to. Sposób zabudowy, środowisko i źródło, z którego społeczeństwo się rodzi, ten tygiel kulturowy, wyobcowanie, strata pracy, to wszystko powoduje, że środowisko staje się bardziej kryminogenne. Statystyki jednak dowodzą, że nie jest tu gorzej niż w Rynku, tylko tu jest to bardziej zauważalne.

AZ: Czyli Pan czuje się bezpieczny?

WC: Tego nie powiedziałem. Bezpiecznie się nie czuję. Statystyki mówią, że jeżeli ma mi się coś przydarzyć, to z kolei nie przydarzy się wielu innym ludziom.

fot. Marcin Klag

AZ: Co pokazałby Pan turystom przyjeżdżającym zwiedzać Nową Hutę?

Pamiętać → Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

Atomowy → Bogdan Zalewski

WC: Wiadomo, że źródłem powstania Nowej Huty jako miasta było powstanie Kombinatu, więc niewątpliwie od tego trzeba by zacząć. Jest to jedyna potężna rzecz, która w tamtych latach była imponująca: ogromna budowa, która ściągnęła tu tysiące ludzi i dla tych ludzi trzeba było stworzyć noclegowisko. To była osada dla robotników, tam mieli swoje klitki. Na pewno Pani nie pamięta, no bo skąd. Może i Pani nawet nie wie, jak dawniej budowano. Ta część starej Huty jest budowana z trzech grup. To są budowle bardzo solidne, bardzo porządnie zrobione, ale tylko ta stara część, która jeszcze powstawała w początkach Huty, ze schronami atomowymi pod spodem. No bo w toku zimnej wojny jeszcze

broniliśmy swojej ziemi przed agresywnym kapitalizmem amerykańskim,

który mógł w każdej chwili nam bombę na głowę zrzucić. A potem dopiero zaczęły się blokowiska z wielkiej płyty. W tym wszystkim robotnik miał zapewnione luksusy socjalne. Dostawał mieszkanie, mieszkał sobie, miał pracę i uczestniczył w akademiach.

AZ: Jest jakieś miejsce, do którego jest Pan przywiązany w Nowej Hucie?

WC: Jest mi trudno takie miejsce wskazać. Ja tu widziałem tę część wiejską, bo ona była dla mnie atrakcyjna, jako dla chłopca z miasta. Ta część praktycznie przestała istnieć, tam powstały bloki i osiedla.

Jako dla chłopca z miasta

AZ: A Lesisko i Mogiła?

WC: Te tereny są dla mnie obce. Mogiła oczywiście była przedmiotem kultu, celem pielgrzymek, bo się chodziło do Mogiły na mszę. Pamiętajmy, że nie brakowało tutaj ludzi, a ludziom nie brakło motywacji, aby się mimo wszystko modlić, mimo indoktrynacji za-

Z dzienników terenowych

ON – Jestem z Kazimierza.
ONA – Jestem z Nowej Huty.

ON – Nowa Huta to noclegowisko.
ONA – Nowa Huta to moja Mała Ojczyzna.

ON – Bałem się.
ONA – Bałam się.

Bo różnica pokoleń i pochodzenie tak naprawdę nie mają znaczenia.

(AZ)

chować swoją wiarę. To miasto było zamierzone jako miasto socjalistyczne, wzorcowe, gdzie nie było miejsca na kościoły, gdzie nie miało być miejsca na krzyż. Nie wiem czy Pani słyszała o walce o krzyż.

AZ: Słyszałam. Brał Pan udział?

WC: (*śmiech*) Ja byłem wtedy paroletnim chłopakiem, więc udziału brać nie brałem, natomiast widziałem zamieszki.

AZ: Jakie wrażenia się pojawiły w głowie dziecka?

WC: To było szokujące. Dla mnie to była przygoda, bo tak na dobrą sprawę nie wiedziałem, o co chodzi. Bo te hasła nic nie mówiły dziecku. Natomiast było to fajne, bo coś się działo. Oczywiście było kupę grozy i strachu w tym wszystkim, baliśmy się wyjść na ulicę. To znaczy my byśmy tam wyszli, ale nas nie puszczali.

AZ: Może Pan opisać pielgrzymkę do Mogiły?

WC: Z os. Krakowiaków ja miałem kilkadziesiąt minut spaceru. Mówię pielgrzymki w sensie ilości ludzi, którzy się tam zbierali. Wówczas nie było innego kościoła.

AZ: Jakie wrażenie robiła Mogiła?

WC: Była imponująca, wydawała mi się czymś wyjątkowym. Ponieważ ja jestem ze Śródmieścia, to oczywiście nie jest to kościół, który by mi imponował wielkością czy bogactwem, ale atmosferą, która daleko się różniła od atmosfery kościołów w Starym Mieście. Była bardziej zbliżona do atmosfery panującej w kościółkach wiejskich, gdzie było po prostu cieplej i tradycyjnej, gdzie ludzie rzeczywiście z serca śpiewali i uczestniczyli w uroczystościach. Inaczej to wyglądało niż w mieście, niestety.

AZ: Czego Pan się wstydzi w Nowej Hucie?

WC: Ech.

AZ: Całej zabudowy?

WC: Całej nie, bo teraz, z perspektywy czasu, widzę pewne uroki tej zabudowy starej, ma ona swój styl. Natomiast wstydzę się tej części z lat 70. i 60., gdy zaczęto robić wielką płytę z ciemnymi kuchniami. Tam po prostu chodziło tylko o to, by zaspokoić potrzeby noclegowe. Wygoda sprowadzała się do podstawowych rzeczy. Co prawda łazienka była, co prawda kąt kuchenny był, ale to wszystko na małych przestrzeniach, bez żadnych luksusów.

AZ: Które to są osiedla?

WC: To są dalsze osiedla. Jak weźmiemy za Willowym i Stalowym, wszystkie te osiedla, poza Centrum B, C, D, były tak fatalnie, coraz gorzej budowane. Zaczęto tak koszarowo budować. Bo plan architektoniczny, samo zamierzenie budowy, było oparte na planie gwiazdy, zresztą to jest bardzo widoczne na zdjęciach z lotu ptaka, czy na planach. On potem został zupełnie zakłócony i zepsuty.

AZ: Podoba się Panu pomysł odmalowywania bloków na rożne kolory?

fot. Marcin Klag

WC: Tak, ponieważ jedno, co było straszliwie przygnębiające, to szarość, szarość i jeszcze raz szarość. Taki był nastrój Nowej Huty przez „iks" lat.

AZ: A teraz jest tęczowo…

WC: Popadamy ze skrajności w skrajność. Dawniej architekt miasta pilnował, czy można pomalować okno na zielono czy na biało. Wszystko było w jakiś sposób moderowane. Nie wiem, co się teraz dzieje. Bo gdyby tego wszystkiego jakoś estetycznie pilnowano, myślę, że byłoby bardzo pięknie.

Jak było koszarowo,

to teraz musi być tak, że od razu każdy po swojemu.

AZ: Pan na jakie barwy pomalowałby bloki?

WC: Na pewno na ciepłe. Żadnych szarości, zieleni, niebieskich. Wszystko od żółci do czerwieni.

AZ: Które nowohuckie miejsce jest znane na całym świecie?

WC: Kombinat.

AZ: Jakie miejsce jest ważne dla ludzi mieszkających tutaj?

WC: Trudno mi powiedzieć. Wiadomo, że gros z tych ludzi przyjechało tutaj w poszukiwaniu pracy. Osiedli tu, bo tu dostali pracę i mieszkanie. Dla nich to było wybawienie, odnalezienie nowej drogi, często ucieczka od nędzy i głodu. Dla nich wszystko, co tu jest, jest cenne i drogie, bo to im zapewniło byt i przyszłość. Natomiast, czy są jakieś szczególne miejsca? Dla wierzących będzie to ciągle Mogiła i klasztor Cystersów. Dla wierzących i niewierzących, ale pracujących, będzie to Kombinat, z którym nie bardzo wiedzą, co się dzieje. Jego losem są zawsze przejęci i zainteresowani, nawet gdy już nie pracują.

Ucieczka → Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Marianna Zając

AZ: Lubi Pan wyjeżdżać poza obszar Nowej Huty?

WC: Bardzo lubię.

AZ: Jak Pan wraca, obserwuje Pan, co się zmieniło?

WC: Te zmiany są, owszem, zawsze widoczne, ale człowiek się przyzwyczaja, że cały czas coś się zmienia, ale to już nie jest cecha charakterystyczna Nowej Huty, tylko nowej rzeczywistości.

AZ: Była jakaś zmiana w Nowej Hucie, która najbardziej Pana zabolała?

WC: Czy bolesna? Bolesna może nie, ale są pewne rzeczy, które w mniejszy czy większy sposób człowieka irytują czy drażnią. Nie do końca mi się podoba koncepcja Alei Róż. Ta kamienna przebudowa, która zastąpiła płyty betonowe zabezpieczające przed wysadzeniem Pomnika Lenina (*śmiech*). Zamieniono beton na piaskowiec, nie bardzo wiem, czemu. Ja pamiętam Aleję Róż pełną rzeczywiście róż, kwitnącą na początku cudownie. W tej chwili zrobiła się z tego niezbyt jasna koncepcja, czy grobowców, czy pomniczków, znowu kamiennych. W tym kamiennym świecie jeszcze więcej kamienia.

Beton fajny dla młodych

AZ: Kiedy Pan wraca z jakichś wakacji, to gdzie po domu kieruje Pan swoje pierwsze kroki?

WC: Nie ma tu miejsca, do którego można by kierować kroki, tak jak to jest w Krakowie (*śmiech*), że idzie się do Rynku. Na dobrą sprawę nie ma takiego miejsca. W tej chwili w obrębie Placu Centralnego jest restauracja „Stylowa" – jedyny funkcjonujący lokal. Kilka banków, które nie należą do miejsc chętnie odwiedzanych, które są odwiedzane z konieczności, bo oni człowiekowi siedzą w kieszeni i człowiek się tam bez przerwy tłumaczy. Nie za bardzo mi się podoba. To jest niby Plac Centralny, bo to nie jest plac, to jest po prostu pętla tramwajowa, przez którą bez przerwy przejeżdżają tramwaje i autobusy. Nie sprzyja to wcale chęci odpoczynku. Nawet to, że odnowiono środek placu, że go dość ładnie zrobiono, żadna przyjemność przecież iść, siąść i patrzeć na jeżdżące dookoła tramwaje. To jest brak przytulności. To jest w dalszym ciągu obce. Łącznie z tą betonową płytą, która fajna jest dla młodzieży, która ćwiczy na deskach i jeździ na rowerach, bo tylko do tego się w tym momencie nadaje.

Tramwaj → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

AZ: Czyli nie spędza Pan swojego wolnego czasu w Nowej Hucie?

WC: Dokładnie tak, szczerze mówiąc, wolę jechać do Rynku niż przemęczyć się tutaj.

AZ: Gdyby u nas zaczęto otwierać kluby, czy nie powtórzyłaby się historia dzielnicy, która była żydowska, a którą teraz wszyscy postrzegają jako klubową? Chodzi mi o Kazimierz.

WC: Kazimierz jest ewenementem, z tego względu, że wracają tam ci, którzy tam kiedyś mieszkali, czy których coś tam wiąże. Jest to dzielnica, która była zamieszkana przez Żydów i nie ma się co dziwić, że w tej chwili kwitnie. Ona ściąga ich jako turystów. W Hucie jest trudniej, nie ma do czego wracać. Huta dopiero się rodzi. Nie ma siły tradycji z przeszłości, że ktoś tam już był kiedyś. To jest zupełnie nowe miasto i trzeba mu nadać nowy charakter. Myślę, że niedobrze jest, że ten charakter idzie w kierunku wygładzania i betonowania, bo nie o to chodzi. Lepiej byłoby, żeby powstawały tu jakieś centra lub po prostu klubiki i kawiarenki, żeby ktoś mógł tu siąść i pod parasolami posiedzieć. Nawet na tych betonowych płytach, żeby to zagospodarować w jakiś sensowny sposób. Tylko jest to trudne z tego względu, że siąść i na co patrzeć?

AZ: Mógłby Pan określić rodziców Nowej Huty? Ma jakichś rodziców, którzy pomagają jej powstać?

WC: Nowa Huta zaczyna powstawać z okresu zapaści i marazmu. Myślę, że jest dużo ludzi dobrej woli, którzy starają się robić dobrze dla Nowej Huty, m.in. myślę o redaktorach „Głosu", o stowarzyszeniach, które teraz powstają, działających na rzecz Nowej Huty. Pan Kazimierski stara się stworzyć Muzeum Nowej Huty. Wiele działań kulturalnych ma na celu ożywienie Kombinatu, pamiętamy koncert Sacrum – Profanum, który odbył się na Walcowni. Coś się zaczyna dziać. Nowa Huta zaczyna być postrzegana nie tylko przez miejscowych, którzy o nią walczą, ale przez władze miasta, i to jest bardzo dobre.

AZ: Według Pana Nowa Huta posiada centrum kulturalne?

WC: Jeśli chodzi o centra, gdzie kwitnie działalność kulturalna, to jest to na pewno Nowohuckie Centrum Kultury z Domem Kultury im. Cypriana Kamila Norwida, ale one funkcjonują w zamknięciu. Rzadko kiedy dzieje się tu coś na zewnątrz. Nie ma tego, co jest na Rynku Głównym, gdzie są organizowane imprezy. To właśnie tam coś się dzieje: są kiermasze, występy, organizowane są najróżniejsze imprezy, które wychodzą do człowieka. Tu człowiek musi wchodzić w to Centrum Kultury i szukać kultury, bo na zewnątrz nie ma miejsca takiego jak Rynek. To miejsce tworzono po to, by coś się tam działo, ale widzimy, że są organizowane dwie czy trzy sporadyczne imprezy i na tym się to kończy. Nie nadaje się ono do tego, żeby coś tam stawiać. To jest oczywiście ze znakiem zapytania. Coś nie wypaliło w koncepcji.

AZ: Co się Panu najbardziej podoba w Nowej Hucie i dlaczego?

WC: Zawsze mi się podoba zieleń, abstrahuję od tego, gdzie, nie ma to najmniejszego znaczenia, że w Nowej Hucie. W Nowej Hucie szczególnie, bo jest tu w dalszym ciągu bardzo dużo zieleni, człowiek inaczej tu oddycha. Trzeba przyznać, że Nowa Huta ma mnóstwo przestrzeni i tym samym zapewnia sobie przewagę nad Krakowem.

AZ: Ma Pan moc Boga. Co Pan zmienia w Nowej Hucie?

WC: Jeśli chodzi o taką piękną wizję, to

wyburzyłbym bloki wychodzące poza gwiaździsty plan.

Zdaję sobie jednak sprawę, że jest to nierealne.

AZ: A teraz jest Pan człowiekiem, który dostaje fundusze na przeprowadzenie zmian. Co Pan robi?

WC: Warto by pomyśleć o centrach ogólnodostępnych, sportowo-turystycznych. Mamy podupadającą Krakowiankę, nie wiem, kto tam w tej chwili jest gospodarzem, ale coraz gorzej z nią. Dawniej ten cały obszar wokół Zalewu był intensywnie wykorzystywany, bez przerwy tam się coś działo. Jest parę miejsc, które można by pod tym kątem zagospodarować. Na Kolorowym mieliśmy swego czasu basen, została po nim niecka. Przeżywa to widoczny kryzys. Niegdyś były to bardzo fajne miejsca i bardzo uczęszczane. Zdaję sobie sprawę, że teraz jest o pieniądze trudno. Brak jest placów zabaw, wiosek indiańskich, a przecież te osiedla mają naturalne przestrzenie do wykorzystania.

AZ: Czyli Pan bardziej skupiłby się na potrzebach dzieci i młodzieży?

WC: Nie tylko dzieci i młodzież, bo i ławki dla starszych również, ogródki. Tu, gdzie są zaparkowane samochody, powinna być ziemia, a widzimy, co tu się dzieje. Totalny brak

fot. Marcin Klag

miejsc na garażowanie. Niestety nikt nie przewidział, że rozwój motoryzacji będzie tak ogromny, w związku z czym trawa jest zajeżdżona na śmierć i nikt już nawet nie interweniuje. Nikt nie wyciąga konsekwencji, nikt nie zmusza do prawidłowego parkowania, po prostu pogodziliśmy się z sytuacją. Nie jest to do zaakceptowania na dłuższą metę i tu trzeba znaleźć wyjście. Podziemnie garaże czy cokolwiek, po prostu jest to pierwsza rzecz do zrobienia. Jeżeli to się zrobi, to potem można te przestrzenie pięknie zagospodarować, niekoniecznie oddając je w użytkowanie samochodom.

AZ: Miałby Pan jakiś pomysł, by zachęcić ludzi do swojej idei?

WC: Myślę, że ludzie chętnie by wyłożyli pieniądze, gdyby mieli zapewnione bezpieczeństwo swoich samochodów, bo wiele samochodów stale znika. Samo umożliwienie ludziom uczestnictwa w czymś takim byłoby krokiem sensownym i na pewno nie brakłoby chętnych, którzy by się na to złożyli. Ludzie płacą ciężkie pieniądze, żeby swoje auto zamknąć w garażu o kilka osiedli dalej.

Ziemia → Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Augustyn Mirga

Nie tylko Lenin

AZ: Jaką twarz ma typowy nowohucianin?

WC: W przeszłości typowy nowohucianin był przygnębiony. Przesadzam oczywiście. Ja pamiętam różne twarze, ale generalnie pamiętam szarość w tramwaju, zmęczenie, zmarszczki, zarost, tak jak ja dzisiaj jestem. Szarość na ulicach, ponieważ tak się ubierano. W gruncie rzeczy u nas w domu było więcej radości, niż ja teraz widzę gdziekolwiek. Człowiek się cieszył wszystkim, było więcej rozmów, bo nie rozpraszały nas telewizory i komputery, mieliśmy więcej czasu dla siebie nawzajem. Byliśmy sobie życzliwsi i sąsiedzi byli dla siebie życzliwsi, nie było takiego wyobcowania, jakie jest teraz. To było wbrew logice, bo przecież było biednie, u mojej cioci masło było tylko w niedzielę, a tak to była tylko margaryna. Nie było tak dobrze, jak wszyscy mówią. Wszyscy mieli pracę, ale nie wszędzie było tak cudownie. Ogólnie panowała bieda, ale była to bieda powszechna, dlatego nie była taka dokuczliwa, większość była na podobnym poziomie.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

AZ: Jest jakiś człowiek, którego można by nazwać ikoną Nowej Huty?

WC: To jest poważna sprawa. Niewątpliwie były dyrektor Sendzimir był taką postacią. Ogromną rolę ma tu Pan Federowicz jako dyrektor Teatru Ludowego, który starał się propagować w środowisku robotniczym kulturę wyższą (*śmiech*). Podobnie można mówić o Panu Kazimierskim, który stara się stworzyć Muzeum Nowohuckie i który organizuje

fot. Marcin Klag

akcje mające na celu popularyzowanie Nowej Huty. Redakcja „Głosu" z Panem Franczykiem, oni tym żyją. Myślę, że takich ludzi znalazłoby się mnóstwo, na pewno nie będzie to jedna jedyna postać typu „Lenin wiecznie żywy". Tu jest wielka społeczność i wielu ludzi pracuje na jej wizerunek.

AZ: A wśród dzieci przebywających w klubie obserwuje Pan jakichś następców tych ludzi?

WC: Z tym jest trudno. W tej chwili występuje ogromny problem z tożsamością. Młodzi ludzie raczej wstydzą się Nowej Huty i to jest tragedia. Starają się zaprzeczyć swoim źródłom, stąd chyba ich bunt. Brak wzorców i autorytetów sprawia, że są zagubieni. Tym ważniejsze jest, byśmy zrobili jak najwięcej dla rozjaśnienia wizerunku Nowej Huty. To

ostatni dzwonek,

by to zrobić. Ci młodzi ludzie nie mogą się czuć źle we własnym mieście, a tak jest, oni są tu obcy. Jedyny patriotyzm, jaki w nich jest, to taki, że przeciwstawiają się ludziom z innych dzielnic. To jest wątłe. Jeśli dochodzi do dyskusji z młodym człowiekiem, z czego on jest w Hucie dumny, to okazuje się, że on się nie ma czym pochwalić, on zazdrości Krakowowi tego i tamtego. Trzeba robić wszystko, aby oni poznali swoją Nową Hutę z innej strony, że jest tu mnóstwo rzeczy godnych pokazania i chwalenia się.

AZ: Co Pan by zrobił, by uświadomić tych młodych ludzi siedzących na ławkach?

WC: Na siłę im się nic nie zrobi. Dla nich należy organizować imprezy, spotkania, wystawy. W ubiegłym roku dobrze się zaczęło od akcji Owsiaka. W tym roku się już nie udało. Niestety nadal nie jesteśmy konkurencją dla Krakowa. Myślę, że tu musi się coś ciągle dziać.

AZ: Była jakaś nieznana osoba, której twarz Pan zapamiętał?

WC: Powracają twarze, które człowiek spotyka, jeżdżąc do pracy. Jest coś takiego, gdy się lata jeździ tą samą trasą o tej samej godzinie, że powtarzają się osoby. Ten ktoś wrasta nam w krajobraz, a potem człowiek czuje brak. Czasem się człowiek dziwnie czuje, jak tej osoby nagle braknie. Tak jest wszędzie. Taka cykliczność pomaga zapamiętać.

AZ: Kojarzy Pan jakąś twarz związaną z Nową Hutą?

WC: Niewątpliwie Lenin w czapce. Jego chyba nikt nie zapomni, kto go widział. To była postać, która rzucała się w oczy każdemu, kto przyjechał do Nowej Huty, nie sposób było przyjechać do Huty i nie zobaczyć Lenina.

AZ: Brał Pan udział w obmyślaniu planów unicestwienia pomnika?

WC: Były różne próby, aby mu trochę zepsuć humor. Podstawiono rower i cholewy, a do tego był dołączony brzydki wierszyk, którego nie zacytuję. Próbowano go wysadzić, ale to nie wyszło.

Rower → Lech Miodyński, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

AZ: A Pan coś robił w tym kierunku?

WC: Ja nie brałem w tym udziału. Ja byłem człowiekiem z zewnątrz, więc nie byłem z tym środowiskiem jakoś ściśle związany. Te rzeczy wychodziły głównie ze środowisk robotniczych. Tu nie było środowiska studenckiego, inteligencji.

AZ: Czyli twarz, którą Pan pamięta, to Lenin?

TWARZ, KTÓRĄ PAMIĘTAM

WC: Oczywiście jeszcze rodzina. Były jeszcze twarze przodowników, ale to mnie mało interesowało. Zamieszczano takie duże portrety.

AZ: W gazetach?

WC: Na Kombinacie. To były powiększone zdjęcia.

AZ: Pan przecież nie miał wstępu na Kombinat…

WC: One wisiały przed Kombinatem. Na Kombinat żeby się dostać, trzeba było i trzeba nadal mieć przepustkę. Ja taką posiadałem.

Rozmowa Aleksandry Ziemby z Waldemarem Cichym

AZ: Pan pracował na Kombinacie?

WC: Oczywiście.

Normalne praktyki w socjalizmie

AZ: Jak Pan się czuje jako były robotnik?

WC: Nie psuje mi to samopoczucia, ale też nie jest to powodem do wielkiej dumy. Wtedy, kiedy ja pracowałem, to były lata 1975-76, to już przestało być atrakcją. Wcześniej robotnicy nowohuccy byli doceniani w sensie pieniężnym oraz w sensie różnych gratyfikacji, potem z czasem zmieniało się to na ich niekorzyść. Kombinat zaczął mniej wydalać. Pensje, które wcześniej były wiele wyższe od średniej krajowej, zaczęły się do niej zbliżać. W tych latach Kombinat zatrudniał około 30 000 ludzi, trzeba sobie zdać sprawę, że to jest średniej wielkości miasteczko. To jest ogromna ilość.

AZ: Pan pracował na stanowisku umysłowym?

WC: Oj nie, wtedy byłem robotnikiem.

AZ: Czyli co Pan robił?

WC: Pracowałem w Oddziale Zaopatrzenia Robotniczego – tak się to nazywało, potocznie był to Zieleniec. My jeździliśmy po Hucie, sadząc drzewka i trawę.

AZ: Zdarzały się przypadki, że ktoś zabierał do swojego ogródka trawę czy ziarna?

WC: (*śmiech*) Normalną praktyką w socjalizmie było, że człowiek sobie pomagał. Przeciętna zarobków nigdy nie była wielka. Zarobki zaspokajały podstawowe potrzeby, natomiast modą było, że człowiek sobie pomagał w ten sposób, że coś wynosił. Z biura wynosili długopisy, ołówki i gumki. Jak ktoś pracował w ślusarni, to wynosił śrubki. Jak ktoś pracował w kwiaciarni, to wynosił kwiaty. Taki jest bagaż komunizmu: przyzwolenie na cichą kradzież. Oczywiście nie oficjalne przyzwolenie, bo tego nigdy nie było, natomiast wtedy wyrobił się taki stereotyp: ten jest zaradny, kto więcej wyniesie.

AZ: Później te rzeczy się sprzedawało czy rozdawało się znajomym?

WC: To były rzeczy codzienne i nie w takich ilościach, żeby można było zarobić. Nie mówię o wypadkach skrajnych, gdzie dochodziło do jakiś większych złodziejstw i krętactw, tylko o powszechnej demoralizacji. Wtedy stracono szacunek dla własności, bo nie było własności, bo to była własność wszystkich, a własność wszystkich jest własnością niczyją. Pokutuje to do tej pory.

Demoralizacja →
Mateusz Kardas, Ewa Kaproń

AZ: Teraz, gdy ocenia Pan z perspektywy czasu swoją pracę na Hucie, to czuje się Pan bogatszy o jakieś doświadczenia?

WC: Ja akurat mam sporo satysfakcji, bo te wszystkie drzewka dookoła Nowej Huty to ja sadziłem. Cały wianuszek topoli, które teraz się namiętnie wycina, to moja robota.

AZ: Dlaczego topole?

WC: Przyjmowały się właściwie w każdych warunkach i błyskawicznie rosły. Można z nich było zrobić barierę ochronną. Oczywiście nie tylko topole, bo sadziliśmy brzozy, forsycje i krzewy. Mnóstwo różnych rzeczy.

AZ: Przed czym chroniła ta strefa ochronna?

WC: Chroniła przed zadymieniem i zaczadzeniem. Jeśli chodzi o pyły i ciężkie rzeczy, to one szybko się osadzały na topolach. Może nie pomagało to na jakąś ogromną skalę, ale zawsze coś. Przynajmniej było zielono.

AZ: Jaki był sposób, by te topole rosły tak równiutko w szeregu?

WC: Od wyznaczania miejsc do sadzenia był specjalny inżynier, który wyznaczał, w którym miejscu mamy sadzić. Owszem, były zabudowy szeregowe, ale niektóre większe przestrzenie sadziło się inaczej, według wizji inżyniera.

AZ: On wbijał patyczek, gdzie ma być drzewo?

WC: Dokładnie, chodził ze sztychówką, zaznaczał, człowiek od razu kopał.

AZ: Co Pan teraz czuje, gdy te topole wycinają?

WC: Akurat tych, co ja sadziłem, nie ścinają, te sadzone przeze mnie w dalszym ciągu rosną dookoła Kombinatu i nikt nie zamierza ich ścinać. Jeszcze mam satysfakcję, że coś po mnie zostało. Wycinane są te topole, które przeszkadzają wśród bloków.

AZ: Jak był Pan ubrany jako robotnik sadzący topole?

WC: My mieliśmy ubrania robocze obowiązkowe i na to nikt z nas nie miał wpływu. Na ciepłe dni mieliśmy spodnie i marynarkę drelichową. W czasie zimnych dni chodziliśmy w kompletach kufajkowych, kufajach tak zwanych, to były grube, watowane ubrania bawełniane. Bawełna teraz jest w cenie, wtedy była ubraniem robotników (*śmiech*). Oczywiście buty skórzane, pełne, sznurowane na co dzień. Na zimę były buciory filcaki. Jeszcze nosiło się takie rękawice ochronne. Wszystko było koloru granatowego.

MATERIA

Buty → Marianna Zając, Marcin Kostera, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

AZ: Wszystko fundował zakład pracy?

WC: Tak.

AZ: A jak się coś zniszczyło?

WC: To chodziło się w zniszczonych rzeczach. Wszystko było na pewien okres, przydziałowe. Buty bodaj na dwa lata, ferszalung roboczy codzienny na rok. Nikogo nie interesowało, że tobie zimno, bo masz dziurawe spodnie.

AZ: Co się jadło na robotniczej stołówce?

WC: To były posiłki regenerujące. Zupa z jakąś wkładką, za dobrych czasów była to kiełbasa, do tego pieczywo. Dostawało się napoje: oranżada, woda mineralna, kawa, herbata. Aaa, i każdemu przysługiwał litr mleka dziennie.

AZ: To jedzenie było smaczne?

WC: Jakoś nigdy nie narzekałem. Widocznie mi smakowało. Na pewno nie było to jedzenie domowe, ale jak człowiek ciężko pracował, to mu wszystko smakowało.

AZ: Pamięta Pan swojego szefa z Kombinatu?

WC: Pamiętam swojego brygadzistę i tego inżyniera od wyznaczania miejsca. Żądło się nazywał.

AZ: Między współpracownikami były dobre relacje?

WC: Powiedziałbym, że były bardzo zdrowe. Szczere i bezpośrednie, wtedy więcej było otwartości, gdy człowiek miał do kogoś pretensje, mówił to prosto w oczy. Tak jak wszędzie, w każdym środowisku, bywało różnie, kwestia charakterów i grupy, z którą się współpracowało. Ja brygadę miałem bardzo fajną i równą, natomiast różnie bywało z innymi. Na to akurat nic nie ma wpływu.

AZ: Chodził Pan z kolegami z pracy na piwo?

WC: Bardzo często. Zanim ja zacząłem pracować, to piwo było nawet na Kombinacie, jak ja już pracowałem, tego nie było, zaczął obowiązywać

sławetny zakaz picia alkoholu w pracy.

Dla dobra robotników ten przywilej zniesiono, bo jak wiemy, jak robotnik polski zaczął pić, to w tym dniu już nie kończył. Oczywiście po wypłatach chodziło się na piwo z kolegami. Ja się wkupywałem jako nowy pracownik i musiałem fundować to piwo, nie było wyjścia, to był taki rodzaj chrztu.

AZ: Gdzie się chodziło na piwo?

WC: Było więcej knajp. Tam, gdzie teraz jest Bank BPH, była knajpa. Ja do Meksyku koło Cementowni nie chodziłem, zresztą było mi to nawet nie po drodze. Było piwo przed bramą Kombinatu, tam jest taki lasek, tam często się siadało i było bardzo sympatycznie.

Z dzienników terenowych

24.03.05

Wywiad trwał ok. 1h i w tym czasie poznałam panią Ludmiłę, która przyniosła magiczny płyn na bóle (do użytku zewnętrznego) w buteleczce po spirytusie salicylowym. (…) Ja pana Waldemara nie męczę, nasze spotkania są krótkie i rzeczowe, a taśma się zapełnia. (AZ)

AZ: Z pracy Pan wracał na nogach?

WC: Nie, nie było potrzeby, jeździły tramwaje, chyba że człowiek chciał sobie pospacerować.

AZ: Zdarzało się spacerować?

WC: Tak. Ta cała trasa jest bardzo sympatyczna.

AZ: W tramwaju czuć było specyficzne zapachy każdej osoby?

WC: To były takie same zapachy, jakie towarzyszyły człowiekowi w robocie, po prostu smród. Muszę przyznać, że pod tym względem jest ogromna różnica w tej pracy i dzięki Bogu. Wtedy to było naturalne, raz przez ciężką pracę, a dwa przez straszliwe tłoki, jakie panowały w godzinach szczytów w tramwajach. Ludzie wisieli winogronami, my dziś narzekamy, jak się jeden o drugiego ociera, wtedy się wciskano na siłę, dopychało się siebie nawzajem, by postawić stopę choćby na stopniu. To były czasy, gdy drzwi się nie zamykały pneumatycznie.

AZ: Czego Pan się nauczył, pracując na Hucie?

WC: Akurat tam nauczyłem się niewiele. Koszenie trawy czy robienie łopatą na nic mi się teraz nie przydaje. Jeśli chodzi o pielęgnację kwiatów, to wykorzystuję to w domu. Akurat ten wydział, na którym pracowałem, nie przynosił bezpośrednich korzyści jeśli chodzi o doświadczenie.

AZ: Należał Pan do jakiegoś związku zawodowego?

WC: Tak, nie pamiętam nazwy, ale wtedy była moda na należenie do związków zawodowych, wręcz był to obowiązek.

AZ: Co zapewniały związki zawodowe?

WC: Spokój ducha (*śmiech*).

AZ: Ja myślałam, że one walczyły o prawa robotników…

WC: (*śmiech*) Na czym może polegać walka o prawa, kiedy właściwie nie ma o co walczyć. Człowiek ma zapewnione miejsce pracy, którego nikt nie może go pozbawić. Żadna decyzja z zewnątrz tego nie robiła. Człowiek jak już pracował i jako tako wykonywał swoje obowiązki, to miał zapewnioną pracę do emerytury. Bezpieczeństwo socjalne było zapewnione, można było jeździć na wczasy, które były dofinansowywane. Dostawało się posiłki regeneracyjne, ulgi na stołówkach, za które można się było tanio wyżywić. O co tu było walczyć? Walczono potem o wolne soboty, ale to już znacznie później. Dzień pracy był teoretycznie ośmiogodzinny, ale każdy robił wszystko, żeby był więcej-godzinny, bo wtedy płacono za nadgodziny dość dobrze. Na tym hutnicy się dorabiali, bo pracowali w dodatkowych godzinach, które były opłacane o 50, a czasami nawet o 100 procent wyżej niż normalne godziny.

AZ: Czyli po co człowiek należał do związku?

WC: Po to, by czuć się zorganizowanym, by czuć opiekę. Raz na jakiś czas dostawało się jakieś paczki czy zapomogę. Można się było zgłosić do związku o pomoc finansową, gdy zaszła taka potrzeba.

AZ: Brał Pan udział w jakiś strajkach?

WC: W strajkach tak, ale nie w Hucie.

AZ: Jak inaczej nazwałby Pan Nową Hutę?

WC: Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Są fakty, które człowiek łyka z mlekiem matki.

AZ: Jakie nowohuckie nazwy są najbardziej znane w Krakowie?

WC: W Krakowie? Plan Centralny na pewno.

fot. Marcin Klag

Jak się jedzie z Krakowa, pyta się, jak dojechać do placu Centralnego. Jest to punkt, od którego tłumaczy się dalszą drogę po Nowej Hucie. Kopiec Wandy na pewno też. Kombinat jako taki również jest znany ze stacyjek Walcownia i Cementownia. Zalew Nowohucki na pewno, ponieważ tu nawet Krakowianie często przyjeżdżali, tu były atrakcje, kajaki, rowery wodne, bez przerwy odbywały się jakieś imprezy.

Nazwy

AZ: Skąd brały się nazwy osiedli?

WC: Nazwy były nadawane przez władze lokalne, czym się kierowano, nie wiem. Na pewno w początkowym okresie nazwy wiadomo dlaczego powstawały, np. XX-lecia czy XXX-lecia PRL-u. Tworzono też nazwy cieplejsze, wzbudzające nadzieję, takie jak: Złotego Wieku…

(… W tym momencie weszła starsza Pani, nazywana Panią Ludmiłą. Powiedziała, że przyszła tylko na chwilę. Chwila ta trwała 10 minut. Później dowiedziałam się, że jest to Pani architekt, której Pan Waldemar robił wystawę. Pomyślałam o dobrej babci, która przynosi swoje magiczne eliksiry dla chorych. Na własne oczy przekonałam się, że w klubie panuje rodzinna atmosfera…)

AZ: Jaka nazwa się Panu nie podoba, którą by Pan zmienił w Nowej Hucie?

WC: W tej chwili mi się nie podoba rondo Ronalda Reagana. Mimo że byłem Solidarnościowcem, to uważam, że mamy tylu wielkich Polaków, że nie potrzeba nam popierać Amerykanów. Oni sobie doskonale dają radę bez nas. Z całym szacunkiem dla tego, co Stany Zjednoczone z Ronaldem Reaganem na czele dla nas uczyniły, to więcej oni nam zawdzięczają, niż my im. Pozostałe nazwy wrosły historycznie i powinny być.

AZ: A Aleja Róż? Róże już przecież nie rosną.

WC: Nazwa nie pasuje, ale dlaczego? Bo myśmy tę aleję zrobili betonową. Myślę, że lepiej zrobilibyśmy, sadząc tam na powrót róże, niż zmieniając nazwę na Aleję Betonową.

AZ: Są jakieś nazwy, które nadal funkcjonują, mimo że w dokumentach zostały już zmienione?

WC: Wiele nazw osiedli tak funkcjonuje. Choćby wspomniane XX-lecia i XXX-lecia funkcjonują wśród starszych ludzi. Jak ludzie przez 40 lat tak mówili, to im trudno się teraz odzwyczaić. Ja to rozumiem.

Wybielanie bloków

AZ: Jak się Panu mieszka w Nowej Hucie?

WC: Dobrze, aczkolwiek zawsze pozostanie świadomość, że jestem związany ze śródmieściem. Mieszkałem tam wśród ciasnych ulic i zabytkowych kamienic, tam otaczało mnie sacrum. Tu ja się w dalszym ciągu czuję jak w hotelu. Nigdy w bloku się nie poczuję jak u siebie. Tam człowiek żył z sąsiadami jak z rodziną, jak ktoś obcy wszedł do kamienicy, to był od samego dołu przepytywany, gdzie i do kogo przyszedł. Tylko sami swoi, życzliwi, którzy sobie wszystko pożyczali czy kwiatki podlewali. Tutaj jest większa obcość i alienacja. Sąsiedzi niechętnie wchodzą w bliższe związki. To wprowadzają blokowiska i to istnieje nie tylko w Nowej Hucie, bo mieszkałem na Prądniku Czerwonym. Ten system, gdzie jest za dużo ludzi na jednej przestrzeni, musi wywołać odruch obronny w postaci sztucznej bariery. Ja muszę chronić swoją prywatność, bo ten sąsiad jest za blisko mnie, bo ja go słyszę za ścianą. Paradoksalnie, im dalej jest sąsiad od sąsiada, tym są oni sobie bliżsi.

W co się bawiłem, będąc dzieckiem (nie tylko w Nowej Hucie).

W tramwaju

Tramwaje kiedyś dużo wolniej jeździły, a ich drzwi nie posiadały fotokomórki, czyli otwierać je można było samemu, kiedy się chciało. My, jako młodzi i spragnieni wrażeń chłopcy, wyczynowo wskakiwaliśmy i wyskakiwaliśmy z tramwaju. Teraz z perspektywy czasu nie pochwalam tych „wyczynów”.

Na wydeptanym miejscu, gdzie kiedyś była trawa

Na początku trzeba było zdobyć nóż. Niektórzy mieli swoje scyzoryki, a inni po prostu wynosili mamie z kuchni potrzebne ostre narzędzie. Rysowało się okrąg i dzieliło się go na równe części (ilość części podporządkowana była ilości graczy). Każda część była osobnym państwem (stąd nazwa gry, „państwa”). Rzucało się nożem tak, by wbił się w ziemię. Idąc za rączką noża wyznaczało się linie (granice) i odcinało się przeciwnikowi mniejszą część jego państwa. Wygrywał ten, do kogo należało największy obszar państwa.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

AZ: Jeśli myśli Pan o kolorach Nowej Huty, to jakie są to kolory?

WC: Niewątpliwie dominuje tu biel i zieleń.

AZ: Zieleń rozumiem, ale biel?

WC: (*śmiech*) Wybielam bloki.

AZ: Pan? Wybiela? Jak to się robi?

WC: Gdyby miał je komuś opisywać, to nie opisywałbym ich jako szarych, lecz jako białe.

AZ: Wstydzi się Pan, że one są szare?

WC: Nie, tylko tak bardzo bym chciał, żeby one takie były. Oglądałem mnóstwo starych czarno-białych fotografii Nowej Huty. Zawsze na czarnym tle pojawiały się białe bloki. Ten obraz tkwi mi w pamięci. Jakbym wyjechał do Stanów i opowiadałbym o Nowej Hucie, mówiłbym: dziesiątki białych bloków wśród zieleni.

AZ: A typowy nowohucki zapach?

WC: Ja miałem zawsze zapach kwitnącej łąki i lata, to mi zostało. Teraz pachną spaliny.

AZ: Gdzie w Nowej Hucie jest najgłośniej?

WC: Może tu być głośno wszędzie, bo jak ktoś sobie puści głośniej muzykę, to wszyscy słyszą. Głośno jest jedynie wtedy, gdy są tu jakieś koncerty, które odbywają się sporadycznie. Poza tym nie ma takich głośnych miejsc. Wykluczam tu dźwięk ciągów komunikacyjnych, który zagłusza świat wszędzie.

AZ: Jakie jest najcichsze miejsce?

WC: Tereny Zalewu czy Łąk Nowohuckich są bardzo ciche. Można pospacerować i odpocząć.

AZ: Ma Pan w głowie jakiś dźwięk związany z Nową Hutą?

WC: Kombinat, łomot, czy walcownię słychać było z kilometrów. Cykliczny dźwięk to przejeżdżanie tramwajów.

Tramwaj → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

AZ: Kiedy można spotkać najwięcej ludzi w Nowej Hucie?

WC: Zależy gdzie.

AZ: Plac Centralny.

WC: W dzień powszedni. Gdy zjeżdża zmiana, to jest większy ruch. Teraz jest mniejszy niż był dawniej. W niedzielę to właściwie

tutaj jest bezludzie.

Jeśli jest lato, to ludzie spacerują po parkach, park Żeromskiego przeżywa swój okres chwały. Na Placu Centralnym jest pusto, nie ma tu centrum, gdzie by można spacerować, takiego jak w Krakowie, gdzie Rynek jest zadeptany na amen.

AZ: Bardziej podoba się Panu dzień czy noc w Nowej Hucie?

WC: Mnie noc zawsze fascynowała i tak mi zostało. Noc, przez swoją tajemniczość, przez to, że wiele rzeczy znika, a wiele się pojawia, jest bogatsza. To jeśli chodzi o miasto. Inaczej jest w przyrodzie.

AZ: Nowohuckie noce też Pan lubi?

WC: Też. Uwielbiam. Staję na balkonie i patrzę, jak lampki błyskają, widać wtedy, że te blokowiska żyją.

AZ: Jakie pierwsze skojarzenie związane z Nową Hutą ma Pan w głowie?

WC: Teraz muszę się wyobcować i wrócić (*chwila ciszy*). Zawsze pozostanie ona blokowiskiem i to jest coś, czego ja się jako bagażu nie pozbędę.

AZ: Szarym czy już kolorowym?

WC: Teraz już weselszym. Może nie aż kolorowym, ale weselszym na pewno.

AZ: Są jakieś barwy czy dźwięki związane z Nową Hutą, które teraz się Panu z nią kojarzą?

WC: Zawsze zapach zieleni, bo jej tu nigdy nie brakowało. To było przyjazne i dlatego mogłem tu spędzać lato. Bo było gdzie uciec od miasta. Mimo tego, że było to ogromne blokowisko, jednak zawsze było ono osadzone w dużej ilości zieleni, czego brakuje niestety w śródmieściu. To była pozytywna strona: będąc w mieście, człowiek czuł się jak na prowincji.

AZ: Jak zmieniło się Pana postrzeganie Nowej Huty, odkąd Pan tu mieszka?

WC: Po prostu zacząłem ją rozumieć. Dawniej była ogromna i obca, dzika wręcz, teraz pracuję tu już mnóstwo lat i trochę mieszkam, więc inaczej ją postrzegam. Zacząłem odkrywać jej dodatnie strony i przyznawać, że one przeważają nad tymi negatywnymi. Myślę, że ja przeżywam coś, co powinno przeżyć to młode społeczeństwo. Trzeba im zmienić perspektywę.

AZ: Porównałby Pan Nową Hutę do zwierzęcia?

WC: Dokładnie tak! Dla mnie dawniej to był

jeżozwierz,

którego w żaden sposób się głaskać nie dało, którego obchodziło się dookoła i nie starało się z nim zaprzyjaźnić. Okazuje się, że zwierzątko nie jest aż tak kłujące.

AZ: Oswoił je Pan?

WC: To raczej ono oswoiło mnie.

AZ: Były jakieś kamienie milowe w Pana przyzwyczajaniu się do Nowej Huty?

WC: Raczej nie. To ma charakter ewolucyjny, w miarę poznawania okazuje się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. W ludziach jest jeszcze życzliwość, która urzeka.

fot. Marcin Klag

AZ: Gdyby dostał Pan ofertę przeniesienia się do innej pracy i innego mieszkania, poza Nową Hutą, opuściłby Pan to miejsce?

WC: Nie. Ja się już czuję się tak swojsko, że nie wyobrażam sobie, bym mógł się przeinstalować. Musiałbym się znowu zmienić. Ja pokonałem tu swoje fobie i samego siebie, przeszedłem tu wiele, to jest taka wielka ofiara, że teraz ja jestem winien coś Nowej Hucie i muszę nadrobić to, że swego czasu jej ubliżałem.

Kapliczki i krzyże nowohuckie

Antoni Łapajerski

fot. Antoni Łapajerski

Kapliczki przydrożne fascynują mnie od wielu lat. Są uroczymi perełkami sztuki ludowej w polskim krajobrazie. Choć w wielu przypadkach są arcydziełami lokalnego rzemiosła artystycznego, znikają na naszych oczach na skutek naturalnego zniszczenia, ale również z powodu obojętności, wandalizmu lub braku środków finansowych na ich ratowanie.

Fundatorami kapliczek przydrożnych byli mieszkańcy całych wsi, osiedli, ale równie często osoby prywatne. Stawiano je na skrzyżowaniach dróg, na rogatkach miast i przy wjazdach do wsi, przy mostach i na brzegach rzek, w centralnym punkcie wsi i w szczerym polu, w domowym ogrodzie i przy ulicy. Najstarsze, średniowieczne, lokalizowano przy pielgrzymich szlakach do klasztorów oraz przy cmentarzach i szpitalach zakaźnych, jako tzw. „latarnie umarłych". Miały one kształt słupów z małymi otworami w górnej części, gdzie zapalano olejowy kaganek.

Motywy i intencje budowy kapliczek miały najczęściej podłoże religijne. Fundowane były jako *votum* wdzięczności Bogu za ocalenie życia lub zdrowia, szczęśliwy powrót z wojny, za wysłuchanie próśb i uratowanie domu czy wsi od groźnego pożaru, powodzi, zarazy lub innej klęski. Intencją bywało też powierzenie rodziny opiece świętych patronów. Niektóre kapliczki i krzyże miały charakter pokutny – stawiano je jako swoiste wynagrodzenie za grzechy. Spotkałem się nawet z kapliczką ufundowaną „za bitkę" – postawioną przez dziedzica lubiącego się pojedynkować, który z kolejnego pojedynku ledwo co uszedł z życiem. W miejscach upamiętniających wydarzenia historyczne lub tragiczne, np. rozstrzelanie mieszkańców danej wsi, na samotnych mogiłach żołnierzy stawiane były drewniane lub kamienne krzyże. Jeden z „najmłodszych" krzyży w Nowej Hucie ufundowali w 1966 r. mieszkańcy os. Kujawy – z okazji milenium chrztu Polski. Na przytwierdzonym do niego ryngrafie wyryto piękne słowa: „Bogu na chwałę, cierpiącym na pociechę, błądzącym jako drogowskaz".

fot. Antoni Łapajerski

Wiosną 2004 r. podjąłem decyzję o założeniu strony internetowej poświęconej starym nowohuckim kapliczkom i krzyżom przydrożnym. Miałem wtedy sfotografowane zaledwie 34 tego typu obiekty, ale sądziłem, że brakuje mi jeszcze tylko kilku kapliczek. Po roku poszukiwań, penetrowania bocznych uliczek osiedlowych i dawnych zabudowań wiejskich odkryłem ich drugie tyle i nadal do końca nie jestem pewien czy znalazłem wszystkie. Wciąż wierzę, że jeszcze coś mnie zaskoczy. Czekam też np. na odkrycie historii kapliczki, która na starych mapach okolic Krakowa usytuowana była na niewielkim pagórku, przy drodze z Pleszowa do Luboczy, w miejscu, gdzie dzisiaj jest Kombinat. Mam nadzieje, że uda mi się znaleźć kiedyś osobę, która opowie mi, co się z nią stało, gdy zaczęto budować hutę, oraz wskaże, kto był wcześniej właścicielem działki, na której stała.

Czy kapliczki na terenie dzisiejszej Nowej Huty wyróżniają się czymś szczególnym? Czy można powiedzieć, że różnią się od innych, rozrzuconych na obszarze Krakowa czy nawet całej Małopolski? Oczywiście, pierwsza nasuwająca się odpowiedź jest negatywna. Są przecież tak podobne do innych krzyży przydrożnych, figur św. Floriana, Matki Boskiej, św. Jana Nepomucena, których szczególnie w południowej Polsce są setki. Jednakże

jedno na pewno odróżnia kapliczki nowohuckie od pozostałych: przetrwały kilkadziesiąt lat w miejscu, w którym powstawało wielkie, socjalistyczne miasto. Miasto, w którym miało nie być kościołów, kapliczek ani jakichkolwiek innych symboli wiary i tradycji religijnej naszych przodków. Nie wiem, czy to zasługa ludzi, którzy nie pozwolili ich zburzyć, czy świadomej pobłażliwości urzędników, czy może Opatrzności, ale w granicach dzisiejszej Nowej Huty zachowało się ok. 70 starych kapliczek i krzyży przydrożnych, znaków chrześcijańskiej pobożności. Ich pochodzenie datuje się często jeszcze na XIX w., a sześć z nich pochodzi nawet z wieku XVIII. Niektóre stare, drewniane krzyże zastąpione zostały nowymi, bo niekonserwowane drewno niestety zbutwiało, ale ważne, że są, że trwają w tym samym miejscu, i że ktoś czasem zapali przed nimi znicz lub postawi świeże kwiaty w słoiku.

Kiedyś kapliczki i figury świętych stanowiły drogowskazy i punkty orientacyjne: stały najczęściej na skrzyżowaniach dróg, przy wjeździe do wsi i w jej centralnym punkcie, przy mostach i nad brzegami rzek. Teraz otoczyły je nowe budowle. Czasami musiały być przenoszone o kilka metrów, gdyż ich usytuowanie kolidowało z nowo wytyczoną drogą lub budową kolektora kanalizacji. Tak było np. z figurą Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czyżynach na os. II Pułku Lotniczego, czy z kapliczką usytuowaną po drugiej stronie al. Jana Pawła II.

Najwięcej kapliczek zachowało się w miejscach, gdzie pozostały enklawy starej zabudowy podmiejskiej czy nawet wiejskiej. I chociaż wyrosły wokoło nowe domy, wille, to figurki otoczone niskim płotkiem lub niewielkim skwerkiem ze starodrzewem przetrwały. Przy niektórych z nich odbywają się jeszcze tradycyjne majówki. Np. przy maleńkiej kapliczce w Mogile przy ul. Odmętowej spotyka się co roku w maju chór „Albertinum", działający przy kościele św. Brata Alberta w Nowej Hucie: stają wśród czterech 100-letnich lip otaczających kapliczkę i odśpiewują pieśni maryjne. Innym zachowanym zwyczajem jest święcenie przy kapliczce pokarmów wielkanocnych. Kultywuje się go do dziś przy kapliczce stojącej nad brzegiem Wisły w Beszczu (koło Łęgu).

Najczęstszym przedstawieniem w nowohuckich kapliczkach jest postać Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej. Jest to figura Madonny stojącej na kuli ziemskiej oplecionej przez węża, którego głowę depce bosą stopą. Figury te ustawione są w Branicach, Czyżynach, Grębałowie (aż trzy), Kościelnikach, Łęgu i Wyciążu.

Jedną z najstarszych kapliczek na terenie Nowej Huty jest pochodząca z 1780 r. figurka św. Stanisława Kostki z Wadowa. Opiekujący się nią mieszkańcy, chcąc ją upiększyć, pomalowali kamienną postać świętego niebieskimi i żółtymi farbami olejnymi. Spowodowało to odspojenie związanej z farbą warstwy kamienia i liczne ubytki. Na szczęście znalazły się środki finansowe na jej konserwację.

Szczególne miejsce w krajobrazie Nowej Huty zajmują kapliczki św. Floriana, patrona wszystkich zawodów związanych z ogniem, m.in. hutników i strażaków. Gdyby dzielnica miała wybrać sobie jakiegoś świętego na patrona, na pewno powinien nim być św. Florian. Najcenniejszą figurą wzniesioną ku czci tego świętego jest kamienny postument w Mogile przy ul. Powiatowej, odnowiony – podobnie, jak figurka św. Stanisława – w 2004 r.

Obecność św. Jana Nepomucena w Hucie też ma swoje uzasadnienie. Jest on orędownikiem chroniącym od powodzi, patronem mostów. Usytuowanie jego kapliczek wskazuje miejsca zagrożone kiedyś wylewami Wisły. Figury tzw. Nepomuków znajdują się w Mogile, na obrzeżach dawnych rozlewisk rzeki stanowiącej w tym rejonie zagrożenie dla domostw.

Inni święci usytuowani we wnękach wielopiętrowych kapliczek to najczęściej patroni fundatorów i ich rodzin. Umieszczani są zwyczajowo na frontowych ścianach filarów. Gdy rodzina była liczna, to i świętych widać wielu, nieraz nawet sześciu. Podpisy z ich imionami są niekiedy zatarte, ale wówczas możemy ich rozpoznać po atrybutach.

Obok kapliczek szczególnym elementem architektury Nowej Huty są krzyże. Najpiękniejsze, te drewniane, ukazują umęczonego, ukrzyżowanego Chrystusa. Niewątpliwie do najcenniejszych należy tu przedstawienie Męki Pańskiej w Łuczanowicach oraz krucyfiks w Kościelnikach. Bogatsza w treści jest Pasja łuczanowicka: u podnóża krzyża stoją dwie figurki, po lewej stronie opłakująca śmierć Syna Matka Boska, a po prawej św. Jan Ewangelista.

Tzw. Boże Męki, przedstawiające ukrzyżowanego Jezusa oraz narzędzia i symbole jego męki, są częstym przedstawieniem wśród nowohuckich krzyży. W Pleszowie i Luboczy stoją podobne do siebie, drewniane krzyże, być może wykonane przez tego samego artystę. Kiedyś, gdy nie było jeszcze Kombinatu, stały one na końcach tej samej drogi wiodącej z jednej wsi do drugiej.

fot. Marcin Kłag

fot. Antoni Łapajerski

Antoni Łapajerski, znany niektórym jako Tosiek, przedstawia część swojej pasji, jaką są kapliczki nowohuckie. Można o nich przeczytać więcej na prowadzonej przez niego stronie internetowej **www.nhmz.go.pl**.

Tośka interesuje docieranie do ludzi, którzy mają coś do powiedzenia o dawnej Hucie. „Mam dużą satysfakcję z tego, że udaje mi się wydobyć z domowych archiwów stare, z pozoru ważne tylko dla ich właścicieli, zdjęcia. A gdzieś w tle często znjaduję jakieś fragmenty starej zabudowy i nieistniejące już widoki", mówi.

Artykuł o kapliczkach powstał z propozycji Tośka, entuzjastycznie przyjętej przez członków kolektywu tworzącego Księgę.

fot. Antoni Łapajerski

fot. Antoni Łapajerski

Najlepszymi przykładami tradycyjnej Bożej Męki na terenie Nowej Huty są drewniany krzyż w Zesławicach oraz kamienny postument pod żelaznym krzyżem w Mogile na Kępie. Krzyż zesławicki, pochodzący z 1906 r., posiada plaskorzeźbione symbole i narzędzia Męki Chrystusowej na trzech ścianach dolnego słupa. Jest pochylony, mocno zniszczony i wymaga pilnej interwencji konserwatorskiej. Miejmy nadzieję, że wkrótce znajdą się środki na jego uratowanie. Krzyż na Kępie odnalazłem stosunkowo niedawno. Jeszcze do końca lat 50. stał przy drodze z Mogiły do Pleszowa. Wtedy droga ta biegła prosto, starym traktem pomiędzy kopcem a poaustriackim fortem. Jednakże na początku lat 60., gdy rozpoczęto rozbudowę huty, przebudowano też węzeł dróg pod kopcem Wandy. Powstał nowy odcinek ul. Ujastek poniżej kopca oraz zmieniony odcinek ul. Igołomskiej, otaczającej po łuku powstający plac budowy slabingu. Kapliczka znalazła się w miejscu zaprojektowanych obiektów nowego wydziału huty. Aby ją uratować przed zniszczeniem, została wykopana przez Mateusza Kardasa, właściciela wywłaszczonego pola, i przewieziona na inną działkę – na Kępę, w pobliże Lasku Mogilskiego.

Szczególnie interesujący jest też unikatowy wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego, przedstawiony na blasze, do niedawna umieszczony na drewnianym krzyżu przy ul. Igołomskiej w Ruszczy. Obecnie, po konserwacji, znajduje się w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa.

Drugą moją fascynacją jest drewniana architektura Nowej Huty. Należy do niej kilka drewnianych kościołów, znanych i wymienianych w licznych przewodnikach i informatorach o naszej dzielnicy: XV-wieczny kościół św. Bartłomieja w Mogile, XVII-wieczny kościół Wszystkich Świętych w Górce Kościelnickiej i przeniesiony w 1983 r. z Jawornika do Krzesławic, XVII-wieczny kościół pod wezwaniem Znalezienia i Podwyższenia Krzyża Świętego.

Zachowało się też na terenie dzisiejszej Nowej Huty wiele drewnianych domów. Niektóre z nich pochodzą jeszcze z XIX w., co potwierdzają daty na belkach tragarzowych pod powałą. Najwięcej starych domów przetrwało w Krzesławicach, Bieńczycach, Mogile i Pleszowie. Wyjątkowy urok mają zabudowania przy ul. Wańkowicza. Jeden z domów przy tej ulicy pochodzi nawet z czasów Kołłątaja. Część z nich ma jeszcze klasyczny dla typu wiejskiego układ: w połowie dłuższej ściany znajduje się wejście do sieni zajmującej środek domu, tu często stoi piec ogrzewający sień i tzw. białą izbę oraz schody na strych. Po obu stronach sieni mieszczą się izby mieszkalne, a w północnej, najzimniejszej części domu – tzw. komora z małym okienkiem wentylacyjnym.

Zabudowania te mogłyby stanowić swoisty skansen drewnianego budownictwa podmiejskiego. Niestety właściciele, budując nowe domy, często wyburzają stare. Tracimy w ten sposób cenne zabytki podmiejskiej architektury drewnianej.

fot. Antoni Łapajerski

fot. Antoni Łapajerski

Maciej Miezian

Kapliczki

Potężne państwa znikają z mapy świata, ogromne gmachy rozpadają się w pył. Fakty i zdarzenia zacierają się w pamięci ludzkiej o wiele szybciej niż byśmy sobie tego życzyli. Najdłużej przemianom opierają się nazwy, drogi oraz miejsca kultu. Ich trwałość sprawia, że stają się one ważnym elementem pamięci każdego miejsca.

Kapliczki nowohuckie istniały jeszcze w czasie, gdy nie było tu osiedli ani Kombinatu. Większość przetrwała czas ich budowy. Ich przyszłość zależy teraz od opieki ludzi, bo żadna władza państwowa nie może ustawić przy nich specjalnego strażnika i ich pilnować. To od mieszkańców nowohuckich osiedli zależy, czy przyszłe pokolenia będą mogły podziwiać te miejsca kultu, ciekawe wyroby dawnego i obecnego rzemiosła, pamiątki zdarzeń, a także… drogowskazy. Bo zanim ludzie nauczyli się czytać, zanim powstały mapy i GPS-y, to właśnie kapliczki, widoczne w terenie ze znacznej odległości, informowały podróżnych, gdzie mają się kierować – stawiano je bowiem z reguły przy drogach, mostach i skrzyżowaniach.

W kapliczkach sytuowanych przy mostach i przejściach przez rzekę umieszczano patronów związanych z wodą: św. Floriana i św. Jana Nepomucena. Pierwszy był rzymskim żołnierzem, któremu do szyi przywiązano kamień młyński i wrzucono do rzeki. Drugi, na rozkaz okrutnego króla Wacława IV, został zepchnięty z praskiego Mostu Karola do Wełtawy za to, że nie chciał zdradzić, co powiedziała królewska małżonka podczas spowiedzi. Jeśli wędrowiec widział z daleka posąg Nepomuka lub św. Floriana, znaczyło to, że czeka go zmoczenie odzieży… W dawnej Polsce mosty miały bowiem tak fatalną opinię, że bezpieczniej było przekraczać rzeki brodem. Krążyło nawet powiedzenie dotyczące nieostrożnych optymistów: „widzi, że most, a jedzie!”. W tym miejscu mógł też czatować zbójnik lub niewiele od niego lepszy poborca myta. Było więc o co się modlić do świętych męczenników.

Przede wszystkim są jednak kapliczki pamiątką po dawnych drogach. Przez dzisiejszą Nową Hutę biegły dwie o znaczeniu międzynarodowym, obie na Ruś, do Kijowa. Zaczynały się u wylotu ul. Mikołajskiej i wiodły obok kościoła św. Mikołaja, by po jakimś czasie rozdzielić się na dwa osobne trakty (dzisiejsze ulice Jana Pawła II i Kocmyrzowska). Oprócz nich istniały drogi lokalne, łączące cztery najważniejsze centra kultowe na tym terenie, czyli kościoły w Raciborowicach, Mogile, Pleszowie i Ruszczy. A wreszcie były i takie, które biegły z wioski do wioski lub łączyły zagrody.

fot. Antoni Łapajerski

Kapliczki były też miejscem zgromadzeń okolicznej ludności. Zbierano się tu nie tylko na nabożeństwa majowe, lecz także po to, aby poplotkować czy posłuchać wieści z wielkiego świata. Tu odczytywano zarządzenia władz, odbywały się sądy i modły w chwilach trwogi. A chwil takich nie brakowało – susza, pomór, powódź czy pożary były w dawnych czasach na porządku dziennym. Dlatego nie można patrzeć na kapliczki pod kątem ich doskonałości warsztatowej czy walorów artystycznych. Wszystkie one są świadkami historii, miejscem ważnych zdarzeń i znakami tradycji. Należy się im ochrona i pamięć, niezależnie od formy i materiałów, z których zostały zrobione.

fot. Marcin Klag

Ewa Kaproń

Pani Ewa Kaproń nie jest pionierem, ale pamięta „starą” Nową Hutę z czasów, gdy wieś przenikała się z budowanym tutaj nowym miastem. Pierwszy raz odwiedziła Nową Hutę w połowie lat sześćdziesiątych. Wkrótce zamieszkała tu na stałe. Przez wiele lat pracowała jako „ksiądz” i udzieliła około tysiąca ślubów w Urzędzie Stanu Cywilnego na osiedlu Zgody. Obecnie cieszy się urokami życia i korzysta z wolnego czasu na aktywnej emeryturze.

Rozmówca: **Ewa Kaproń**
Prowadzący rozmowę: **Sebastian Wacięga**

fot. Marcin Klag

Chciałam się tu znaleźć

SW: Kiedy znalazła się Pani w Nowej Hucie po raz pierwszy?

EK: Pierwszy raz przyjechałam tu jako chrzestna dziecka szwagra. Szwagier był tu od początku istnienia Nowej Huty, budował ją. Nowa Huta od razu mi się spodobała. Wszystkie budynki były nowe, ładne. Było tu już sporo zieleni, choć wiele roślin dopiero świeżo zasadzono.

SW: I jak doszło do tego, że Pani tu zamieszkała?

EK: Na początku lat 70. rodzice znaleźli i kupili nam tu mieszkanie. Poza tym od zawsze marzyłam o Krakowie, stolicy kultury polskiej, jego zabytkach, teatrach, kinach. Chciałam się tu znaleźć.

SW: Bardzo Nowa Huta zmieniła się przez czas Pani pobytu tutaj? To zmiany na lepsze?

EK: Nową Hutę cechuje stałość, mało się tu zmienia. To stałość i jednoczesne starzenie się budynków i ludzi. Nowa Huta stała się sypialnią, bo podupadł Kombinat i ludzie szukają pracy w Krakowie.

Konkretni ludzie w konkretnych gospodarstwach

JA I MOJE MIEJSCE

SW: A Pani ulubione miejsca?

EK: To „stara" Nowa Huta, Plac Centralny, klasztor w Mogile, os. Jagiellońskie, gdzie mieszkam. Nie zapuszczam się w głąb, mieszkam przy głównej drodze, ale lubię je.

SW: Jakie są miejsca, których Pani tu brakuje? Pani miejsca utracone?

EK: Kiedy zaczęłam pracować w Nowej Hucie, widziałam gminy, wójtów, sołtysów. Teraz nie ma już tych budynków, bo powstały osiedla, powstały drogi, sklepy, a tam mieszkali ludzie, konkretni ludzie w konkretnych gospodarstwach: na Mistrzejowicach, tam gdzie jest os. Oświecenia, w Zesławicach, w Łęgu. Wtedy te wszystkie osiedla były rolnicze. Często się łączą z ludzkimi tragediami. Jeden z tych ludzi wybudował dom koło Łęgu,

który zajęli mu pod budowę ronda i nie przeżył tego. Tak emocjonalnie był związany… Pod presją sytuacji serce nie wytrzymało – zawał.

SW: Jakie wydarzenia z Nowej Huty szczególnie mocno utkwiły w Pani pamięci?

EK: Stan wojenny pod oknami mojego bloku. Gazy, zamieszki, walki z tego okresu. Mój ojciec mówił, że

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, Marianna Zając

tak wyglądała wojna,

tylko że wtedy po drugiej stronie byli Niemcy, a teraz to robią swoi. To było złe, bolało, ale najsilniej się odcisnęło w pamięci. Wozy bojowe, czołgi, przemarsze robotników. Dzieci widziały w telewizji, jak mówią, że „milicja, jak co dzień w Nowej Hucie, kieruje ruchem ulicznym" i pokazują spokojne ulice z milicjantem w białych rękawiczkach. Dosłownie w tym samym czasie za oknem trwały walki, unosiły się gazy… I moje małe wówczas dzieci pytały: mamusiu, co oni mówią?

Ślub bez łańcucha

PRACA

SW: Jakie to uczucie, wyprawiać ludzi na nową drogę życia?

EK: Czułam się jak ksiądz, nawet mówiłam o sobie, ze „jestem księdzem", rodzice przedstawiali mnie innym jako księdza. Z różnych powodów wielu ludzi brało w tamtych czasach tylko ślub cywilny. Czułam, że muszę nadrobić ten brak, moja rola, misja była przez to ważniejsza, poważniejsza. Ważny był dla mnie dobry kontakt z ludźmi. W domu zawsze pełno było kwiatów z uroczystości. Zdarzało się, że przychodzący do urzędu mówili: ooo, baba! Ale potem dziękowali. Czułam się jak aktor na scenie. Nigdy nie wyzbyłam się tremy.

fot. arch. Ewy Kaproń

SW: Zdarzyły się pary, które zapomniały o obrączkach albo uciekająca panna młoda?

EK: Raz zdarzyło mi się udzielać ślubu bez łańcucha, bez niego byłby nieważny. Nie mogłam przerwać ceremonii i wyjść na zaplecze. Na szczęście nasz fotograf zauważył problem i w odpowiedniej chwili wszedł z łańcuchem, który „uroczyście" założył mi na szyję. Improwizacja się udała, ślub został zawarty, wszyscy zadowoleni.

SW: Jakie jeszcze obowiązki spełniała Pani w pracy?

EK: Ciekawa była obrzędowość świecka. Odbywały się chrzty świeckie, wygłaszałam wtedy formułkę o tym, że nadanie imienia jest ważnym wydarzeniem… Byli obecni rodzice i świadkowie. Raz zdarzyła się taka zbiorowa uroczystość dla milicjantów. Był ich naczelnik, wygłaszał przemówienie, a pod ścianą leżała

góra becików milicyjnych dzieci.

W Urzędzie odbywały się też uroczystości, np. rocznice małżeństw, ale także uroczystości rocznicowe związane z Nową Hutą. Chodziłam także z wizytami do sędziwych mieszkańców Nowej Huty: z okolicznościowym dyplomem, kwiatami i życzeniami. Raz trafiłam do żwawej, 100-letniej staruszki, która całe życie chodziła po Hucie pieszo (np. do Mogiły), nawet gdy pojawił się już transport miejski. Miała swoje trasy. Mówiła, że syn jej nie może pomagać, bo już jest stary (miał 80 lat, był słaby i schorowany).

Po wioskach, wojskowym dżipem z obstawą

SW: Czy była w Urzędzie jednostka partyjna? Czym oni się zajmowali?

EK: Podstawowa organizacja partyjna czuwała i kontrolowała. Raz okazało się, że zostałam wyznaczona przez komitet do podjęcia studiów na WUML-u (Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu). Tłumaczyłam, że już kończyłam jedne studia, poza tym mam dzieci i udało mi się tego uniknąć.

Komitet → Bożena Kutrzeba-Nikiel, Bogumił Godfrejow

SW: Pamięta Pani okres stanu wojennego w Urzędzie?

EK: Tak. Urząd dostał komisaryczny zarząd wojskowy. Jeździliśmy w teren po okolicznych wioskach wojskowym dżipem z obstawą i odwiedzałyśmy rolników, żeby spisać, jaką część plonów mogą oddać dla państwa. W sklepach brakowało wtedy wszystkiego.

SW: Coś jeszcze się Pani przypomina z okresu „Solidarności”?

EK: W czasie stanu wojennego, żeby pomóc ludziom, starałyśmy się w Urzędzie wydawać jak najwięcej pozwoleń na przemieszczanie się.

Pisanie ulotek

z prawdziwymi informacjami lub ulotek opozycyjnych było niebezpieczne, dlatego najłatwiej było to robić w czasie pracy. Wtedy trwała intensywna wymiana informacji między ludźmi, ludzie słuchali Wolnej Europy, wymieniali się spisanymi informacjami.

Jagiellońskie osiedle i te wszystkie uliczki

Nazwy

SW: Czy nazwa Pani osiedla wywołuje jakieś emocje, skojarzenia?

EK: Lubię ją. Cieszę się, że mieszkam na takim osiedlu. To się wiąże z Krakowem. Mnie się Kraków podobał od zawsze. I teraz czuję, że mieszkam nie tyle w Nowej Hucie, co na os. Jagiellońskim. Tak. Jagiellońskie osiedle i te wszystkie uliczki…

SW: Jak zmieniły się nazwy miejsc w Nowej Hucie?

EK: Na początku nazwy były nadawane według kolejności, to było A, B, C, A1, B1 itd. To były takie budowlane nazwy i długo funkcjonowały. Kiedy już byłam w Hucie na stałe, to ciągle się używało tych nazw, jak np. B1, teraz już nie. Każdy teraz wie, na jakim osiedlu mieszka, to Przy Arce, to na Jagiellońskim.

Od pewnego czasu mamy w Hucie ul. Obrońców Krzyża, co oczywiście jest dobre, ale Majakowskiego mi szkoda. To był przecież dobry poeta. Mógłby zostać, a część tej ulicy można by przemianować na Obrońców Krzyża.

Majakowskiego → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski

SW: Zna Pani jakieś nazwy potoczne, używane przez mieszkańców w życiu codziennym? Nazwy wymyślane, przekręcane, zniekształcane przez mieszkańców?

EK: Pamiętam, jak do mojego szwagra przyszedł sąsiad, który prosił, żeby szwagier poszedł i pomógł mu „klamrę do kunina” przyczepić. Pytałam szwagra: po coś ty tam poszedł? A to chodziło o przypięcie anteny do komina. Ja myślę, że to są takie naleciałości, ponieważ ludzie z różnych stron przyjeżdżali i przywieźli ze sobą swoje nazwy. Ludzie przywozili gwary z różnych okolic, a potem przeżyli 20, 30, 50 lat, więc tu jest ich dom. Przywozili swoje nazwy, ale się rozumieli.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

Jak pan zapyta o Meksyk, to do dziś starsi mieszkańcy będą wiedzieć, gdzie to jest. W Pleszowie. Były tam słynne hotele robotnicze. Znam to miejsce z opowieści szwagra, który tam żył. Budował Hutę w młodości, miał 17 lat, jak tu przyjechał, a później dostawali mieszkania. Ale on już nie żyje.

fot. Marcin Klag

SW: Szwagier miał ciężkie warunki w tym hotelu, gdzie mieszkał?

EK: Z opowieści wiem, że to takie męskie warunki, bo

tam był różny element,

Demoralizacja → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas

tacy, co przyjechali popić i pobarłożyć. Szli do pracy z butelką i wracali z butelką, jak to na budowach, a ten kto chciał i dziś kto chce się czegoś nauczyć, coś zrobić, to musiał trochę cierpieć i szukać innego wyjścia. Więc byli tacy, co szukali swojego towarzystwa do picia i byli tacy, co szukali towarzystwa, żeby poczytać książkę. Słyszałam o różnych rzeczach, bijatykach. Ale ja tego nie doświadczałam, a opowieści uciekają z pamięci. Nie było kiedyś tych podziałów.

SW: Zna Pani jakieś nazwy-zawołania, np. „my ze Szkolnego”?

Rower → Lech Miodyński, Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, pp. Skomorowscy

EK: W moim otoczeniu nie. To chyba raczej wśród młodzieży, która nie bardzo wie, co ze sobą robić. Nie było kiedyś tych podziałów, ludzie przyjeżdżali tu z różnych stron, ale nie było takich podziałów.

SW: Zna Pani jakieś wiersze, powiedzonka na temat Nowej Huty?

Buty → Marianna Zając, Waldemar Cichy, Marcin Kostera, pp. Skomorowscy

EK: O Leninie, ale to jest brzydki wierszyk i wszyscy go znają… o tym rowerze, „masz tu buty i… z Nowej Huty”. Natomiast „O Nowej to Hucie Piosenka” była, jest i będzie. Robiliśmy różne spotkania w pracy, w Urzędzie, niektórzy pisali na melodię tej piosenki teksty na temat pracowników. Dobrzy organizatorzy tych spotkań zadbali o to, żeby każdy uczestnik miał karteczkę z aktualnym tekstem okolicznościowym tej piosenki.

Takie jakieś... leniny

SW: A do których nazw jest Pani osobiście przywiązana?

EK: Mogiła. I moje os. Jagiellońskie, bo ten okres w historii Polski był bardzo ciekawy. I to mnie ciągnęło do Krakowa, bo Kraków mnie interesował od małego. Uniwersytet i historia Jadwigi. To, że tu mam dom. I tu mi jest dobrze.

SW: Których nazw Pani szczególnie nie lubiła przed 1989 r.?

EK: Wszystkie były takie jakieś… leniny. Pomnik Lenina niech by sobie był, tylko akurat tak w samym środku? Aleja Róż była ładna i powinna zostać. Nawet gdyby Lenin stał na Placu Centralnym, byłoby lepiej, bo tam jest ten styl budowy, ale tam byłby bardziej zagrożony (wcześniej by musiał z tej Nowej Huty wyjść).

Te wszystkie nielubiane nazwy pozmieniano. Były te XXX-lecia PRL-u, XX-lecia PRL-u, wszystkich PRL-ów lecia, lecia, aż w końcu ktoś spytał o os. Tysiąclecia PRL-u – bo jest os. Tysiąclecia – czy tam też jest PRL-u?

SW: Podobają się Pani nazwy wprowadzone po 1989 r.?

EK: Tak. Chociaż Plac Centralny z tym Reaganem… Mnie nie przeszkadza Reagan, ale… Plac Centralny jest Plac Centralny. Widziałam, że nazwa została: Plac Centralny im. Reagana. Tylko że historycznie Plac Centralny był zawsze Centralnym, nawet nie był Lenina. Więc czy będzie miał imię czy nie, dla mnie będzie zawsze Centralnym.

fot. Marcin Klag

Duży, roślinożerny dinozaur

SW: Gdyby Pani miała nazwać Nową Hutę mianem zwierzęcia, jakie by Pani wybrała?

EK: Jakieś duże. Duży, roślinożerny dinozaur, bo jest tu dużo zieleni. Huta już nie jest Nową Hutą jak w piosence, kiedy się budowała. Wtedy miała być pewną przeciwwagą dla Krakowa. Teraz ona taka nie jest, nie ma tego zaplecza Kombinatu, żeby ściągać ludzi. Teraz się stała trochę jak zabytek do gabloty.

SW: A do jakiej maszyny albo samochodu porównałaby Pani Nową Hutę?

EK: Kombajn. Wielka maszyna. Sam kombinat to jest szkielet. Tak sobie wyobrażam, że ten kombajn jedzie i funkcje różne wykonuje, tu sypie, tam zbiera, tu snopki wiąże. Więc Kombinat tak działał, stal się lała, coś się ruszało, a ludzie wchodzili i wychodzili o jakichś porach i jednocześnie coś wywozili i wwozili.

Więcej młodości...

SW: A czy kombajn Nowej Huty jedzie teraz w słusznym kierunku?

EK: To nie jest starość czy schyłek, ale trzeba by zagospodarować, usprawnić, żeby to było dostosowane. Jak próbują z tym Kombinatem coś zrobić. Trzeba stworzyć coś takiego, żeby przyciągnąć ludzi, stworzyć miejsca pracy, żeby coś się zaczęło dziać, nawet te kulturalne inicjatywy. To jest bardzo dobre, to powinno wciągać. Trzeba to odnowić i użyć do innych celów. Nieraz jak widzę, jak rdzewieją szkielety hal itp., to myślę, że tak nie powinno być. Tak sobie kojarzę, że jest os. Młodości w Hucie i dobrze, że jest. Tylko chciałabym, żeby tej młodości tam było więcej, tzn. żeby się więcej działo w tych nowohuckich osiedlach.

Przywiozłam tu twarze rodziców

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

TWARZ, KTÓRĄ PAMIĘTAM

EK: Pamiętam dawne, wiejskie enklawy w Nowej Hucie, Czyżyny, jak jeszcze nie należały do Krakowa. Ja znałam ludzi z Kościelnik, z Pleszowa, z Ruszczy, mieli kółka, koła gospodyń wiejskich, one prężnie działały w różnych kierunkach spotkania, przyśpiewki… Te osoby tam ciągle mieszkają – jeśli żyją, bo różnie się losy toczą – ale myślę, że do wielu by można dotrzeć i powspominać. Można by było nawet imiennie zapraszać na spotkania, to jest takie miłe, że ktoś o mnie pamięta. To ludzie związani z Hutą z lat, kiedy była nowa.

SW: Czyją twarz przywiozła Pani ze sobą do Nowej Huty?

EK: Zabrałam ze sobą rodziców. Najpierw mi ich brakowało, przywiozłam tylko ich twarze, a później ich ściągnęłam. Więc nie musiałam ich mieć w wyobraźni, mój brat też przyjechał i tu wszyscy zostaliśmy. Z tym, że mama w tej chwili tęskni do swoich rodzinnych stron, ona się tutaj nie zasymilowała, ojciec bardziej, ale już nie żyje. Dla mnie nie jest tak ważne, gdzie jestem, ale z kim jestem, dlatego tęskniłam często za szkołą, za koleżankami. Ale rodzice byli dla mnie tak ważni, że jak ich miałam tu ze sobą, to miałam wszystko.

SW: A jakie twarze osób, które Pani spotykała, odcisnęły się najmocniej w Pani pamięci?

EK: Pan dyrektor szkoły w Bieńczycach, pan Salwiński. Jak mówię o historii Huty, to są tu opowieści o człowieku z marmuru, żelaza, ale osobisty kontakt to właśnie ten człowiek, bardzo kulturalny, wspaniały gawędziarz, snujący najrozmaitsze opowieści. Bardzo pogodny, starszy człowiek, uśmiechnięty, z różnymi przeżyciami. Zawsze był bardzo grzeczny, podziwiałyśmy jego kurtuazję, aż przyjemnie było popatrzeć. Jak słuchałam jego i jego opowieści, to kojarzyłam wtedy mojego tatę i jego historie.

SW: Twarz sąsiada, sąsiadki?

EK: Bardzo dobrze nam się żyło od początku. Zawsze można było zapukać, uzyskać pomoc. Mam też zdjęcia dzieci z mojej klatki, którym udzielałam ślubów. Ktoś ostatnio wspominał, że wszedł do czyjegoś mieszkania i na biurku stało zdjęcie i kogo zobaczył? Parę ślubną, która była wówczas młoda i mnie na tym zdjęciu. Udzieliłam ok. 1000 ślubów. I jako publiczna osoba zostałam czasami przypadkiem utrwalona.

SW: Twarze ze sklepu za rogiem?

EK: Twarz Pani z kiosku. Nie wiem, jak się nazywała, tylko widzę jej twarz i uśmiech. Miałam małe dzieci i ona zostawiała mi „Burdę" – to był niemiecki magazyn z wykrojami ubrań. Raz

uszyłam dla dzieci ubrania. Były wtedy takie ściereczki lniane w krateczkę czerwoną i taka sama była forma w „Burdzie”. I taką formę zrobiłam dla swoich dzieci. I jakaś Pani powiedziała wtedy (bo nie czytała „Burdy”): słuchaj, ona jest chyba strasznie biedna, bo

ze ściereczek uszyła ubrania... To miał być taki krzyk mody, ale nie wyszło.

SW: Pamięta Pani jakieś twarze z plakatów, telewizji albo z ważnych wydarzeń w Nowej Hucie?

EK: W moją pamięć najbardziej zapadł ks. Jerzy Popiełuszko, jak był na solidarnościowych spotkaniach w Mistrzejowicach, i ksiądz Jancarz, który je prowadził. Dlatego, że to był okres, kiedy nie było wolno, „Solidarność” była „zamknięta”. Stan wojenny. Tu były te spotkania, tu przyjeżdżał też Wałęsa. Przypominają mi się też wszystkie osoby, które przyjeżdżały do tego kościoła, pokazywały się, dawały nadzieję, np. Mieczysław Gil. Były też osobne pochody pierwszomajowe obok oficjalnych i przemarsz do kościoła w Bieńczycach. Papież, który przyjeżdżał. Szłam wtedy z młodzieżą z Błoń do kościoła w Mistrzejowicach, nie widziałam nawet, kiedy doszłam, chociaż jestem słabym chodziarzem. Jak papież lądował helikopterem na stadionie Wandy i jego przejazd w otwartym wtedy *papa mobile*. I dzieci, mówiące: „mamo, papież mówił «Bóg zapłać»”.
I to zostaje, wiem dokładnie, w którym miejscu, przy którym słupie oświetleniowym. I to było w Hucie.

Papież → Bogumił Godfrejow, Waldemar Cichy

Ale żyją dalej tutaj...

SW: Widziała, znała Pani Cyganów, Greków, inne grupy mniejszościowe w Nowej Hucie?

EK: Mieszkała u nas na osiedlu Cyganka, która miała półroczną córkę. Mama chodziła z radyjkiem, a ta maleńka dosłownie tańczyła w rytm tej muzyki, to było wspaniale, ja pamiętam, jak ją podziwiałam. A później chciała się zamienić – swoją córkę na mojego syna. Wtedy się bałam i pilnowałam dziecka. Ona miała potem dużo więcej dzieci niż ja, chociaż ja miałam trójkę, częściej jej się zdarzały. A teraz patrzę na chłopców z tamtych lat i widzę, że jakoś tak postarzeli…

SW: To już nie chłopcy, tylko mężczyźni…

EK: Dokładnie, ale dla mnie to chłopcy. Jak ci młodzi chłopcy są teraz siwymi panami, to sobie myślę – o, chyba trochę czasu już minęło. Ale żyją dalej tutaj.

SW: Jaka twarz najlepiej wyraża charakter Nowej Huty? Jaka jest ikona Nowej Huty?

EK: Dla mnie Birkut z filmu to jest postać Nowej Huty, kiedy ona się zaczęła budować. Młody człowiek, jak Radziwiłowicz go grał – prężny, wie czego chce, staje do tych 200 procent normy. To, że on się zestarzał, to już jest osobny rozdział. Ale Nowa Huta to jest taki człowiek żylasty, silny, z jakąś kielnią, tak ją odbieram. Może dlatego, że tak ją widziałam na początku.

Dla mojego pokolenia jest już za późno

SW: Co to jest materializm historyczny i z czym się Pani kojarzy?

EK: W szkole miałam obowiązkowe zajęcia na ten temat i musiałam wtedy czytać jakieś książki Lenina. Lenin sam nie mówił takich złych rzeczy, ale to działanie później nie wyszło.

SW: System komunistyczny mocno się odcisnął się w umysłach mieszkańców Nowej Huty?

EK: Nie tylko w świadomości nowohucian, w ogóle się odcisnął. Nowa Huta była historycznie przeciwwagą dla intelektualnego Krakowa i jego historii. W ogóle część mojego

i wcześniejszego pokolenia moich rodziców mówi: komuno wróć, bo np. wczasy były za darmo, bilety do kina czy teatru. To było w moim odczuciu złudne, bo rzeczywiście dostawało się bilety do teatru, kina, na jakieś występy, wyjazdy, wczasy, ale poziom tego wszystkiego był taki, jak w przysłowiu: czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy. Nie było bezrobocia, każdy coś robił, tu się zwalniał, tam się zatrudniał, nie było takich problemów, jak dziś. Ale czy to było dobre? Najlepszym dowodem jest to, że gospodarczo jesteśmy po 15 latach zmian znacznie bardziej rozwinięci. Starsi ludzie często tęsknią za tamtymi czasami, ale mi się wydaje, że oni bardziej tęsknią za swoją młodością.

Kto był u władzy, temu było lepiej, ale dyrektywy przychodziły odgórnie, człowiek się nie angażował. Brak samodzielności, teraz dopiero musimy się uczyć. Dla mojego pokolenia jest już za późno, ale ja próbuję.

SW: Czym się przejawia komunizm w świadomości ludzi?

EK: To brak zaradności. Nawet pójście do wyborów czy organizowanie się… ludzie tego nie umieją. Tylko „Solidarność" jakoś wyszła oddolnie. Dawniej wychylać się nie opłacało. Były profity za bycie w partii. Ale jak ktoś samodzielnie coś zorganizował, to miał z tego tylko tyle, że się przy tym więcej napracował. I starsze pokolenie, nie nauczone aktywności, jak choćby prowadzenia firmy, nie umie przekazać tego młodym.

SW: Ma Pani jakieś broszury, materiały propagandowe, sprawozdania z posiedzeń itp.?

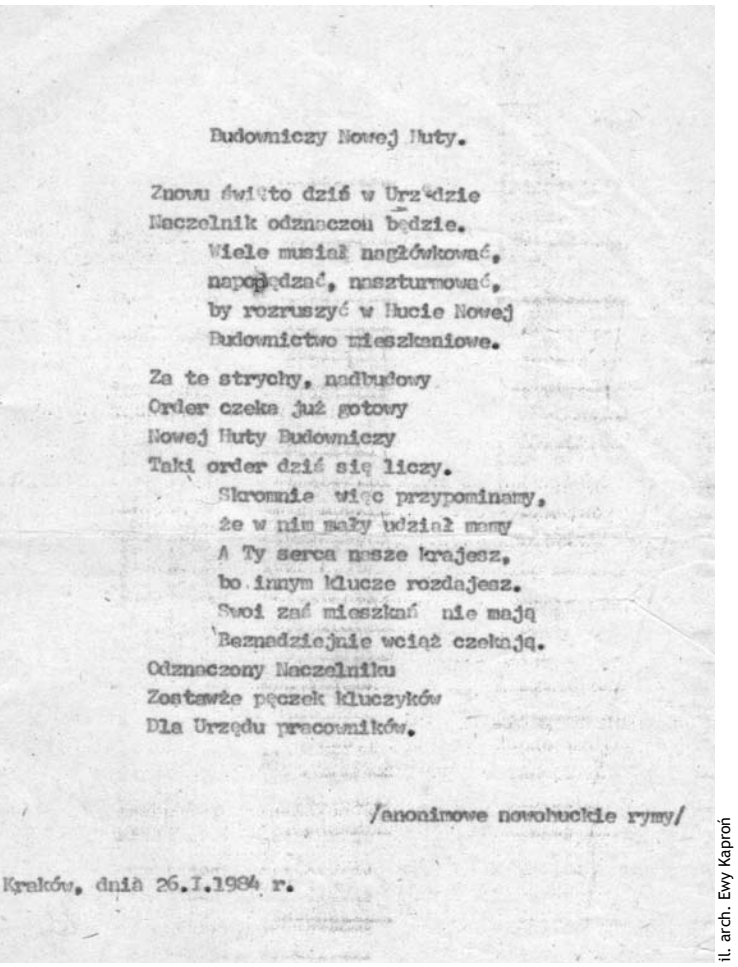

Budowniczy Nowej Huty.

Znowu dziś to dziś w Urzędzie
Naczelnik odznaczon będzie.
Wiele musiał nagłówkować,
napopędzać, naszturmować,
by rozruszyć w Hucie Nowej
Budownictwo mieszkaniowe.

Za te strychy, nadbudowy
Order czeka już gotowy
Nowej Huty Budowniczy
Taki order dziś się liczy.
Skromnie więc przypominamy,
że w nim mały udział mamy
A Ty serca nasze krajesz,
bo innym klucze rozdajesz.
Swoi zaś mieszkań nie mają
Beznadziejnie wciąż czekają.
Odznaczony Naczelniku
Zostawże pęczek kluczyków
Dla Urzędu pracowników.

/anonimowe nowohuckie rymy/

Kraków, dnia 26.I.1984 r.

il. arch. Ewy Kaproń

EK: Jak nastała „Solidarność", koleżanka przyniosła do pracy instrukcję partyjną, jak należy rozbijać „Solidarność" od wewnątrz,

metodą szpiegowską.

Do „Solidarności" mógł wstąpić każdy, nie brało się pod uwagę przynależności partyjnej. Kiedyś dostałam niesprawiedliwie naganę z wpisaniem do akt, ponieważ kontrolujący się nie znał na geodezji i nie mógł się doliczyć. I ciekawe jest to, że jak była amnestia dla więźniów politycznych, mnie też objęła i mam czyste akta, a tę naganę w domu.

SW: Widziała Pani Nową Hutę w okresie, kiedy miasto przenikało się ze wsią. Jak wyglądały te dwa światy obok siebie? Były ostre kontrasty?

EK: Tak. Tramwaj dojeżdżał do Ronda Kocmyrzowskiego, a obok były szczere pola. Obok os. XX-lecia, przy Domu Towarowym Wanda, moje osiedle – to był wielki plac budowy. Błoto po kolana i tam nikt nie wchodził.

Taka-taka-taka!

SW: Jeździły po Hucie furmanki, pojazdy rolnicze?

EK: Tak. Mój około półtoraroczny wówczas syn, podczas śniadania zaczynał wołać: taka-taka-taka! Ja jeszcze nie słyszałam, a on już traktor słyszał. Wiedziałam, że będzie traktor, on biegł do okna, brałam go na ręce i za jakiś czas traktor przejeżdżał. Furmanki jeździły.

W blokach było widać wpływ wsi. Często sam wygląd, ubiór, chustka od razu mówiły o wiejskim pochodzeniu. Ludzie przywozili też po weekendzie jakieś wiktuały, a to kosze z jajami, a to drób. A na wesela przywozili też przyśpiewki. Dziś te uroczystości są bardziej kameralne, mniej widoczne.

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marcin Kostera

Błoto → Marianna Zając, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

SW: A jak wyglądał proces zaniku wsi i pojawiania się osiedli? Widziała Pani burzenie domów, koparki i spychacze wdzierające się na zaorane pola?

EK: Jest takie miejsce koło kościoła Bieńczycach, gdzie jeden człowiek był wywłaszczany parę razy i odwłaszczał się, nie chciał dać swojego domu. Koło Arki jest parking samochodowy, były parking ZOMO. Na rogu, jak się kończą hotele na Złotej Jesieni, jest stara stodoła, rozwalająca się, ogrodzona, nic tam nie rośnie.

On tam trwa, w tym swoim domu.

A tutaj plany urbanistyczne pozmieniano. Jest nowy budynek, a jego druga część, która ma być symetryczna, stoi niedokończona. Tam jest jego rodzinny dom, stara stodoła i wszystko zarośnięte. Nie wiem, czy on tam ciągle mieszka. Niektórzy tracili życie, a on był uparty i nie odpuszczał. Szkoda tego terenu, żeby tam chociaż coś rosło.

fot. Marcin Klag

„Ooo, strzygłaś się w Nowej Hucie!”

SW: Moda w Nowej Hucie. Były jakieś charakterystyczne okresy? Co się zmieniło?

EK: Bardzo długo poznawali w Krakowie po fryzurze, że ktoś jest z Nowej Huty. Nie umiem tego określić, jak się różniło, ale uczesanie było inne. „Ooo, strzygłaś się w Nowej Hucie!”

SW: I to brzmiało pejoratywnie?

EK: Huta w ogóle w Krakowie była postrzegana jako gorsza. W Krakowie byli intelektualiści, a Huta widziana była jako przylepiona, zlepek ludzi ze wsi.

SW: Widziała Pani w Nowej Hucie ostrzycieli noży, reparatorów pończoch itp.? Jak wyglądał ich ekwipunek, jakie dźwięki towarzyszyły tej pracy?

Praca
Czas, barwa, dźwięk

EK: Ostrzyciele chodzili, każdy miał na pasku ostrzałkę z pedałem, jak przy maszynie do szycia – okrągły, kręcący się kamień. Stukał pod blokiem w osełkę i krzyczał, ludzie schodzili. Reparacja też była. Samemu się robiło specjalną igłą do pończoch. A w punktach, często przy sklepach, siedziały panie. Była tam lampka, żeby dobrze widziała. Jeszcze roznoszenie mleka. Większe i mniejsze butelki. Kefir i mleko roznosili rano mleczarze. Stukanie butelek. Samochód podjeżdżał, oni brali skrzynki na wózek i rozwozili. Do dziś przetrwała sprzedaż ziemniaków przez rolników. „Ziemniaaak! Ziemniaaak!”.

Kolorowa Huta

SW: Hasło: „odpady i śmieci”, zużycie materiału. Coś się Pani z tym kojarzy?

Materia

Żużel → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, pp. Skomorowscy

EK: Hałdy żużla w Pleszowie. Czarny, wypalony, porowaty węgiel. Ogromne, parujące, śmierdzące zwały, często tak wielkie jak kilkupiętrowy budynek. Chodziliśmy do ludzi, którzy jeszcze mieszkali w gospodarstwach otoczonych hałdami. Byli tacy, co nie chcieli się stamtąd wynosić i mogli tam mieszkać.

SW: Czy można mówić o „odpadach ludzkich”, ludziach odrzuconych, niepotrzebnych, zmarginalizowanych?

EK: To jest ciekawe, znam wiele osób w Hucie, którzy przechodzili na emeryturę i zaraz potem umierali. Czy ma to jakiś związek z tym, że wiele osób tak przeżywa odejście na

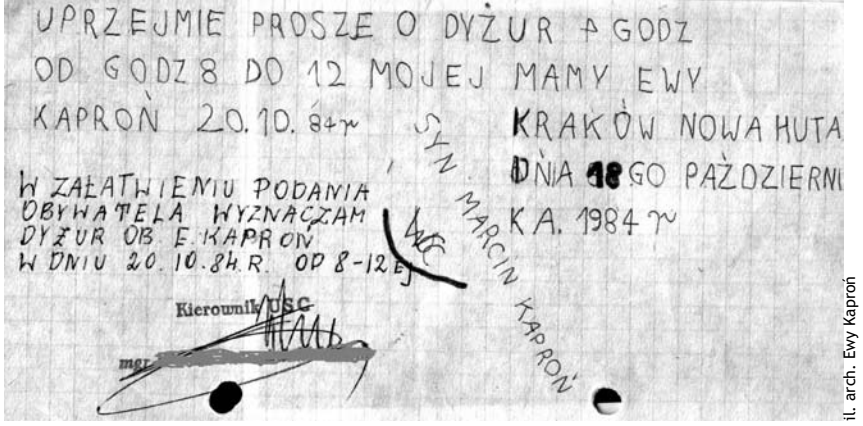

il. arch. Ewy Kaproń

emeryturę? Może to jest już dla nich pewien koniec i załamują się? Czy może dlatego, że pracowali ciężko, bo przecież budowali… taczki, cegła, kopanie dołów, być może nasz organizm jest wtedy tak wyeksploatowany? A może, dopóki Kombinat działał, ludzie nie czuli się odrzuceni?

SW: A może dlatego, że człowiek pracujący jest jak maszyna w ciągłym ruchu, która – kiedy przestaje być używana – zaczyna się psuć, rdzewieć?

EK: Ja poszłam z wyboru na wcześniejszą emeryturę, ale mnie się nic nie dzieje, odpukać, bo przecież nigdy nie wiadomo… Ale są osoby, które nie mają tego wyboru, czują się balastem, odpadem, nie są gotowi. A jeśli w rodzinie taki człowiek też się czuje niepotrzebny, to się załamuje.

SW: Widziała Pani jakieś nowe hałdy, wysypiska w Nowej Hucie?

EK: Jest straszne śmietnisko, widziałam, przy Kombinacie, chyba ul. Mrozowa. Tam jest strefa ochronna, między hutą a Zalewem, zagajnik. Tam jest straszny brud. Ludzie dostają niedaleko zasiłki na Wąwozowej. Nie można tego zagrabić, uprzątnąć? Walające się butelki, papiery, nie zgrabione liście. Teraz jest kilka firm w Hucie, ale każda dba tylko o swój teren. Nie dziwię się, że nie chcą ponosić dodatkowych kosztów, ale dziwię się, że się nikt tym nie zajmie.

SW: To znaczy, że w Nowej Hucie jest brudno?

EK: Nie. Woda jest o wiele czystsza. Od dawna mam filtr, w którym co tydzień musiałam wymieniać wkładkę, tak była pokryta tłustą sadzą, smarem. Dalej używam filtru, ale już tak często nie wymieniam. Kiedyś myłam okna, parapety i rano już była sadza. To było normalne, że nocą otwierano kominy i wszystko opadało do rana. Teraz jest zdecydowanie czystsze powietrze. Kiedyś było czarno i szaro przez te dymy. Teraz są odnawiane elewacje, piękne, kolorowe. Teraz robi się wszędzie pięknie, nie tylko samo os. Kolorowe, ale i Huta się może się nazywać Kolorowa.

Cegły → Niki Wiecheć, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Marianna Zając

Człowiek wracający się wyluzowuje

SW: Ile czasu zabierała Pani praca w Urzędzie?

EK: Ta praca zajmowała mi dużo czasu, zdarzało się, że nawet od 8.00 do 20.00, pracowałam także w soboty i niedziele. Ślubów udzielałam od godziny 12.00. Bardzo ważna była pomoc moich rodziców i męża w zajmowaniu się dziećmi. W okresie, kiedy bardzo dużo czasu spędzałam w Urzędzie, mój pięcioletni syn pewnego dnia namawiał mnie, żebym nie szła do pracy. Tłumaczyłam, że muszę pracować, że nie mam zwolnienia, a on na to, że mi je napisze. I rzeczywiście napisał, pokazałam go kierowniczce w pracy, która je zatwierdziła i kazała iść do domu.

SW: A obecnie jakie jest tempo życia w Nowej Hucie? Jak tu upływa czas?

EK: Żyje się w Hucie wolniej, ponieważ stała się sypialną. Do Krakowa jedzie się do pracy, a do Huty wraca się do spania. W związku z tym człowiek wracający już się wyluzowuje. Wracam do domu, to już się nie muszę spieszyć. A rano pędzę do pracy.

SW: Czyli czas w nowej Hucie to taki spokojny czas domowy, w odróżnieniu od czasu pracy toczącego się w pędzie?

EK: Ja bym to jeszcze podzieliła na okresy dnia. Rano ludzie wychodzą do pracy. Od południa wychodzą babcie, wnuczki, pieski…

SW: Czyli mamy kilka czasów: domowy, biegu do pracy z Huty, czas samej pracy i czas w sensie etapów życia… młody, który się wszędzie spieszy…

EK: Starsza osoba, która już się nie spieszy, bo nie musi. Jedna jest rozżalona, że nie musi, a druga się cieszy, że już się napracowała, to teraz sobie odpoczywa, ma czas na to czy tamto…

SW: Jaki zapach kojarzy się Pani z Nową Hutą?

EK: Zapach zakładów tytoniowych. A najbardziej, to gazy ze stanu wojennego. Łzy w oczach, chustki przy oczach. Bo mieszkam w takim newralgicznym punkcie, między kościołami. Gazy przenikały do domu. Dzieci wywoziłam do Krakowa i do koleżanek, a sama wracałam. Chciałam widzieć. Milicyjne pociski, petardy też wpadały do mieszkań. Sąsiadce zapalił się dywan i wyrzucałyśmy go przez okno, żeby mieszkanie nie spłonęło.

ZOMO kogoś goniło, a obok przechodził chłopak. Pięciu zomowców z pałami nie mogło złapać ściganego, więc zaczęli okładać tego chłopaka. Otworzyłam okno, odwróciłam ich uwagę i chłopak zdążył uciec. Wybite szyby, okna. I „jechanie" reflektorami po oknach. Silnym snopem światła z opancerzonych samochodów. Tuż przed stanem wojennym

Ucieczka → Waldemar Cichy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy, Marianna Zając

mrówki faraona wędrowały od bloku do bloku.

Jak się w stanie wojennym zaczęły te gazowania pod moim blokiem, to mrówki wyszły. To był jedyny plus tego gazowania.

To taka atmosfera bloku

SW: Pomówmy o przyjemnych zapachach Nowej Huty, pór roku w Nowej Hucie.

EK: Kiedyś mi się bardzo podobała aleja Róż, jak jeszcze nie było Lenina. Był piękny zapach róż, alejki, ławeczki i moja młodość. Zapach topól.

SW: Ale zima to chyba nie pachnie…

EK: Też pachnie. Jak jest Boże Narodzenie, to pachną na klatce potrawy przyrządzane przez sąsiadów. Jak się idzie klatką przed świętami, tu coś się piecze, tu czuć bigos… Tam też jest taka atmosfera bloku. Jak się mieszka dłużej, to po samym zapachu można poznać, co kto gotuje.

SW: Jakie charakterystyczne dźwięki są słyszalne teraz w Pani otoczeniu?

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

EK: U mnie słychać, jak w sąsiednich akademikach jest sesja. Jak jest sesja, to studenci oblewają albo zdane, albo niezdane egzaminy, są śpiewy i muzyka. W sesję jest głośniej niż w innych okresach. Słychać też telewizory sąsiadów, bicie kościelnych dzwonów o różnych porach, fajerwerki z różnych okazji, no i karetki, bo mieszkam koło szpitala. Najgorzej, jak milknie sygnał karetki.

SW: Co to znaczy?

EK: To znaczy, że najpewniej przyjechała do naszego bloku.

SW: Jaka muzyka towarzyszyła Pani dawniej, w dniu codziennym?

EK: Radio. Zawsze było w pracy i puszczało ówczesne przeboje: różne Krawczyki, Jantar, Czerwone Gitary, Niemen. Miałam takie dziwne zbiegi okoliczności. Jak słyszałam w radiu Niemena, to za każdym razem mój brat przyjeżdżał. I to nie raz, nie dwa, nie pięć. Za każdym razem. Brat też zawsze lubił Niemena.

SW: A jakie dźwięki towarzyszą Pani obecnie?

EK: Dziś też sobie puszczam w pracy radio. Tworzę taką otoczkę, żeby móc się skupić na pracy. Jak nie ma radia, to nasłuchuję rozmów współpracowników.

SW: Jakie dźwięki są typowe dla Nowej Huty?

EK: Tramwaje i autobusy. Ruch uliczny. Dzieci pod blokiem. Granie w piłkę. Tak jak wróble ćwierkają, tak dzieci też mają swoje typowe głosy.

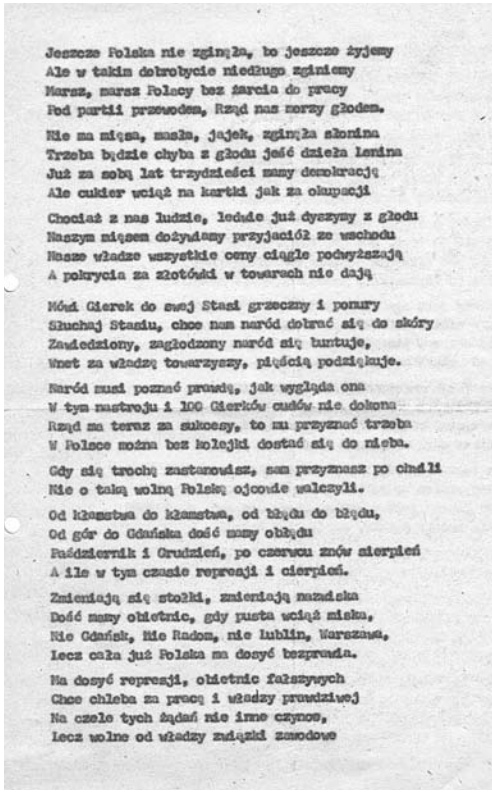

Jeszcze Polska nie zginęła, bo jeszcze żyjemy
Ale w takim dobrobycie niedługo zginiemy
Marsz, marsz Polacy bez żarcia do pracy
Pod partii przewodem, Rząd nas morzy głodem.

Nie ma mięsa, masła, jajek, zginęła słonina
Trzeba będzie chyba z głodu jeść dzieła Lenina
Już za sobą lat trzydzieści mamy demokrację
Ale cukier wciąż na kartki jak za okupacji

Chociaż z nas ludzie, ledwie już dyszymy z głodu
Naszym mięsem dożywiamy przyjaciół ze wschodu
Nasze władze wszystkie ceny ciągle podwyższają
A pokrycia za złotówki w towarach nie dają

Młud Gierek do swej Stasi groźny i ponury
Słuchaj Stasiu, choć nam naród dobrać się do skóry
Zadłużony, zagłodzony naród się buntuje,
Wnet za władzę towarzysze, pięścią podziękuje.

Naród musi poznać prawdę, jak wygląda ona
W tym nastroju i 100 Gierków cudów nie dokona
Rząd na teraz za sukcesy, to mu przyznać trzeba
W Polsce można bez kolejki dostać się do nieba.

Gdy się trochę zastanowisz, sam przyznasz po cichu
Nie o taką wolną Polskę ojcowie walczyli.

Od kłamstwa do kłamstwa, od błędu do błędu,
Od gór do Gdańska dość mamy obijdu
Październik i Grudzień, po czerwcu znów sierpień
A ile w tym czasie represji i cierpień.

Zmieniają się stołki, zmieniają nazwiska
Dość mamy obietnic, gdy pusta wciąż miska,
Nie Gdańsk, nie Radom, nie Lublin, Warszawa,
Lecz cała już Polska ma dosyć bezprawia.

Na dosyć represji, obietnic fałszywych
Chce chleba za pracę i władzy prawdziwej
Na czele tych żądań nie inne czynnos,
Lecz wolne od władzy związki zawodowe

fot. Marcin Klag

SW: Jakie dźwięki w tym miejscu lubi Pani najbardziej?

EK: Jak sąsiedzi, którzy mieszkają daleko, puszczają głośną muzykę. Wtedy ten dźwięk roznosi się, odbija się od sąsiednich bloków. Lubię takiej muzyki słuchać. Jak jest mecz i my wygrywamy, to jest piękne, jak całe osiedle krzyczy: goool! Dawniej te mecze z Niemcami, Tomaszewski, Lubański, Lato i inni… Podobnie i dziś całe akademiki i całe osiedle krzyczy razem. Te

wszystkie nasze święta narodowe

tak powinny wyglądać, żeby ludzie się tak cieszyli.
Pamiętam, jak usłyszałam o siódmej w radiu, że Karol Wojtyła został wybrany na papieża. Wiedziałam, że rodzice nie będą oglądali telewizji. Pobiegłam do nich do domu i mijający się obcy ludzie wołali: mamy papieża! I to jeszcze z Krakowa! I to było piękne. Powinniśmy tak umieć się cieszyć razem.

SW: A które dźwięki są dokuczliwe, nieprzyjemne?

EK: Awantury sąsiedzkie. Ordynarne krzyki za oknem, siedzących na ławkach i pijących, w nocy też. Trudno nawet zwrócić komuś uwagę, bo jeszcze gorsze wiązanki lecą.

SW: Muzyka w Nowej Hucie. Słyszała Pani jakieś zespoły podwórkowe, grajków ulicznych, zespoły ludowe w Nowej Hucie?

EK: Krakowska Szmelcpaka chodzi w okresie świąt, długich weekendów. To uliczna muzyka. Ubrani w andrusowskie stroje. Czapka, marynarka w kratkę. Kiedyś chodzili też Cyganie, ale nieczęsto. Zwykle grali na skrzypcach i akordeonie. A przy tych wiejskich osiedlach były zespoły ludowe, ale oni raczej występowali głównie na akademiach, zorganizowanych wieczorkach.

SW: Jakie były przełomy, kamienie milowe w Pani życiu w Nowej Hucie?

EK: Gdy dzieci się rodziły, to pierwszy. Małe dzieci to inne obowiązki i wysiłek. Później dzieci dorastające to już bardziej partnerzy do obowiązków, do rozmowy.

I teraz, etap, kiedy jest dobrze.

Bo dawniej trzeba było się dzielić swoim czasem z dziećmi. Nie tylko obowiązki względem siebie w małżeństwie, ale jeszcze czas dla dzieci. A teraz jest czas dla siebie, który też dzielę z innymi. Dzieci ciągle potrzebują pomocy, bez względu na wiek. Moja mama pod opieką – to też jest obowiązek, ale odczuwam ten komfort, że mam czas dla siebie. Mogę wybierać zajęcia, wyjść, wyjechać. To mi się podoba. Jestem panią swojego czasu.

SW: A to ciekawe, nie myślałem w ten sposób o jesieni życia…

fot. arch. Ewy Kaproń

EK: Tak, Pan jest teraz na zupełnie innym etapie. Teraz zakładanie rodziny, szukanie sposobu na życie… A ja już tego życia nie będę kształtować, ja się temu poddaję. Jestem na tym etapie, że wiem, że były dzieci, że była rodzina, praca, to wszystko już mam, osiągnęłam. I może dlatego, że to mam, inaczej, spokojnie patrzę… Niektórzy na starość gorzknieją, bo czegoś w życiu nie osiągnęli. Ja też czegoś nie osiągnęłam – planowałam, inaczej wyszło. Teraz patrzę, dzieci rosną, wnuki, a ja jeszcze mogę się śmiać, obserwować, jestem zdrowa. Ja aż się boję o was, młodych, że wy to macie wszystko przed sobą, a jest tak trudno o pracę, o mieszkania, ja już mam z głowy, udało mi się w pewien sposób.

SW: A kamienie milowe w życiu samej Nowej Huty?

EK: Budowa to pierwszy etap, później, że rozrastała się – wzrost, bo ściągała ludzi, nie tylko Kombinat, ale też cała infrastruktu-

fot. arch. Ewy Kaproń

ra. A teraz… Dalej jest… jak to nazwać? Nie ma już siedmiomilowych kroków. Może stagnacja. Nie ma pracy w Hucie, choć ona istnieje i będzie istnieć, bo tu są domy, natomiast nie ma tego motoru. To nie upadek, ale to jakaś stagnacja, normalizacja, a może stabilizacja?

Czas, barwa, dźwięk

SW: Jakie charakterystyczne odgłosy, dźwięki pamięta Pani z pracy?

EK: Marsze Mendelssohna. Stukające maszyny do pisania, jak się zostawało po godzinach coś napisać. Były już puste pokoje i jak ktoś pisał, to było słychać na trzech piętrach. Podobnie było z dudnieniem obcasami po pustym korytarzu.

SW: A z domu?

EK: Typowe dziecięce nocne płacze, bo

wychodzące ząbki...

SW: Czy przypomina Pani sobie jakiś smak tego, co Pani jadła w Nowej Hucie?

EK: Bardzo przyjemny smak dożynkowych wiktuałów. Prawdziwych kiełbas, prawdziwych pieczonych chlebów z pieca chlebowego, prawdziwe masło, winka, nalewki. Gospodarze przynosili nam do urzędu po dożynkach, albo jedliśmy na dożynkach. Wiejska, zdrowa, dobra kuchnia. Zapachy i smaki świąteczne. Degustowanie, wymiany przepisów z sąsiadkami.

Wódka z okresu, kiedy była wszędzie, bo były te kartki. Kupowało się, zawsze stała w domu i częstowało się gości, tak jak dzisiaj kawą. Jak człowiek kończył 18 lat, to dostawał kartki na wódkę, wtedy nie można było zamieniać wódki na czekoladę. Jak już były kartki, to kupowaliśmy tę wódkę. I powiem Panu, że chyba, jak w każdym domu wtedy, nie piliśmy nigdy więcej, jak w okresie kartkowym, bo wódka ciągle była pod ręką. Jakby nie kartki, nie kupowaliśmy tego alkoholu.

SW: Dźwięki procesji, uroczystości kościelnych, procesji Bożego Ciała, innych?

EK: Śpiewy kościelne słyszane przez mikrofony. W okresie stanu wojennego widziałam panie, które służbowo, z urzędu, jako obserwatorzy, notowały, kto był na procesji Bożego Ciała. Osoby partyjne miały wtedy dyżury. Ja osobiście nie spotkałam się z represjami.

Śpiewy na osiedlu z okazji imienin, szczególnie często na Józefa. Dawniej śpiewy robotników w hotelach robotniczych, po wypłatach i z okazji imienin.

SW: A jak wyglądał Urząd Stanu Cywilnego?

EK: To sala ślubów na III piętrze Urzędu. Budynek jest taki, jak stara Nowa Huta, biurowiec. Odbierałam tę salę jak sklep rybny. Bo tam jest taka mozaika ułożona w latach 60. ze szkiełek… Cała ściana ze szkiełek. Ekran, stół „księdza", foteliki i sprzęt grający.

SW: Jaki budynek lub miejsce w Nowej Hucie podoba się Pani najbardziej?

EK: Centrum. Cała jego zabudowa i jego gwieździste założenie. Przejrzyste.

SW: A jakie wnętrze się Pani najbardziej podoba w Nowej Hucie?

EK: Dworek Matejki. Ja zawsze dopisuję sobie całą historię dawnych ludzi, czas, kiedy gospodarz tam był, atmosferę tamtych lat. Ta atmosfera mi się udziela. To pewno przez moją wyobraźnię. Lubię to wnętrze.

Ryby → Mateusz Kardas, Bożena Kutrzeba-Nikiel

fot. arch. Ewy Kapron

fot. Marcin Klag

Zdjęcia Ewy Kaproń i Sebastiana Wacięgi wykonano w Dworku Matejki w Krzesławicach

Roma Piejko

Urodzona w Nowej Hucie, należy do młodego pokolenia tej dzielnicy. Absolwentka Liceum Technicznego przy Zespole Szkół Budowlanych, obecnie studentka dwóch kierunków: filologii polskiej oraz filozofii. Jako mieszkanka Nowej Huty, nabrała do niej dystansu i krytycyzmu. W Nowej Hucie – jak sama mówi – tylko mieszka, a swojej przyszłości nie wiąże z tym miejscem. Jest kosmopolitą, człowiekiem, który patrzy w przyszłość a nie ogląda się za siebie. Pasją Romy od dziecka są książki.

Rozmówca: Roma Piejko
Prowadzący rozmowę: Jacek Dargiewcz

JD: Przypominasz sobie, kim chciałaś zostać w dzieciństwie?

RP: Chciałam zostać archeologiem, ale później mi przeszło.

JD: Archeolog w Nowej Hucie miałby sporo zajęć, bo jest tu wiele wykopalisk archeologicznych, np. obok Szpitala Żeromskiego.

RP: Nie wiedziałam o tym. Pamiętam też, że oprócz archeologii chciałam zdawać na prawo. Ale nie robiłam nic w związku z tym. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli nie ma się prawnika w rodzinie, nie ma się szans na aplikację.

JD: Jak wspominasz dzieciństwo?

RP: Miałam pogodne dzieciństwo. Nabiło się siniaka tu czy tam, pokłóciło się, później były wielkie przyjaźnie. Mile wspominam swoje dzieciństwo.

JD: Utrzymujesz do tej pory kontakty z koleżankami, kolegami z dzieciństwa?

RP: Tak. Z jedną koleżanką z osiedla i z drugą z osiedla obok.

JD: Jaką szkołę kończyłaś?

RP: Zespół Szkół Budowlanych, Liceum Techniczne.

JD: Co cię skłoniło, by tam pójść?

RP: Ciekawość, jak jest. Poza tym chciałam zdobyć zawód.

JD: Ale zamiast na AGH czy Politechnikę poszłaś na polonistykę na AP.

RP: Tak się złożyło.

JD: Co dało Ci liceum?

RP: Nauczyło mnie samozaparcia, walki o swoje i przede wszystkim pracowitości, bo oprócz przedmiotów ogólnokształcących mieliśmy kilkanaście technicznych, matematyczno-fizycznych. Musiałam sporo czasu poświęcać na naukę.

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Marianna Zając

JD: A skąd twoje zainteresowanie polonistyką?

R: Ja zawsze czytałam książki.

JD: Ale idąc do Liceum Technicznego brałaś pod uwagę, że zawód, jaki będziesz wykonywała, z polonistyką będzie miał mało wspólnego?

RP: Jak zdawałam do tej szkoły, miałam 15 lat. Chciałam uzyskać świadectwo dojrzałości. A książki czytałam od zawsze.

JD: Jakie zawody kojarzą Ci się z Nową Hutą?

PRACA

RP: Kiedyś praca na Kombinacie. Teraz trudno powiedzieć. Cementownia splajtowała. Huta Sendzimira zwolniła setki pracowników… Nowa Huta kojarzy mi się z bezrobociem, ze stagnacją.

JD: Mi chodziło o zawody w sensie: wykształcenie.

RP: Wykształcenie jest zróżnicowane. Wiadomo, większość osób ma wykształcenie zawodowe i średnie techniczne, bo to wynikało z pracy na Kombinacie. Są również absolwenci szkół wyższych. Przeważa jednak wykształcenie zawodowe i średnie techniczne.

JD: Mówiłaś, że jest ciężko, jeśli chodzi o zaplecze.

RP: Tak, panuje tu duże bezrobocie.

JD: Jeśli tak wygląda Nowa Huta, to powiedz mi, czy praca ludzi, którzy budowali to miejsce, poświęcając zdrowie, a często życie, miała sens?

RP: Miała sens. Ale czasy się zmieniły. Wyroby metalurgiczne ze wschodu i zachodu zalewają nasz kraj, miażdżąc przy tym rodzimych producentów. Błędy w zarządzaniu cementownią doprowadziły do jej bankructwa…

Sens → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Lech Miodyński

JD: Co byś powiedziała tym wszystkim starszym ludziom, którzy siedząc na ławeczkach patrzą, jak to dzieło ich życia upada? „Wasza praca poszła na marne”?

RP: Ja bym im tego nie powiedziała. To jest przykre. Czy praca poszła na marne? Ja myślę, że jest jeszcze szansa na uratowanie tego miejsca i doprowadzenie go do stanu świetności, ale jak powiedziałam, trzeba wykwalifikowanych osób, trzeba pracy.

JD: Uważasz, że praca dla tej dzielnicy ma sens?

RP: Ma sens. Ale do tego potrzebne są inwestycje i doskonały organizator.

JD: A czy ludzie mieszkający tutaj daliby się „porwać” takiej idei?

RP: Myślę, że tak. Bo to są bardzo dobrzy ludzie.

JD: A to, co się dzieje na osiedlach?

RP: To, co się dzieje, jest wynikiem stagnacji. Każdy dobry człowiek potrafi zejść z prawej drogi, jeśli nie ma co robić, nie ma z czego utrzymać rodziny. Czy w Nowej Hucie, czy w Los Angeles. Proste.

JD: W takim razie masz jakieś pomysły na to miejsce?

RP: Należałoby umocnić stanowisko Huty Sendzimira na rynku krajowym i zagranicznym. Wtedy znalazłyby się miejsca pracy. Powinno się także zorganizować zajęcia sportowe, by młodzież miała co robić.

JD: Proste.

RP: Tak, ale trzeba dobrych chęci i osób, które się na tym znają. Trzeba specjalistów, a nie partaczy. Trzeba przełamać stereotypy, że w Nowej Hucie nic się nie da zrobić, nic zmienić. Ja myślę, że wszystko się da.

JD: Próbowałaś?

RP: Ja nie. Nawet się nad tym nie zastanawiałam. Teraz tak sobie myślę na głos. Wszędzie się da.

JD: Ale Nowa Huta to dosyć specyficzne miejsce. Osoby z wyższym wykształceniem w większości pracują poza Hutą. Ludzie, którzy tu przebywają cały czas, to osoby z niższym wykształceniem, często bezrobotni, którzy nie mają perspektyw.

RP: Ci ludzie kształciliby się, gdyby wiedzieli, że znajdą pracę po tym, czego nauczą się w szkołach.

JD: To znaczy, że praca dla dzielnicy to tylko praca zawodowa?

RP: Na razie tak. Musi powstać baza ekonomiczna, by myśleć później o kulturze i innych dziedzinach. Bo żeby je rozwijać, potrzebne są pieniądze.

JD: Pieniądze wszystko załatwią?

RP: Są one motorem napędowym.

JD: Chciałabyś pomóc w zmienianiu tego miejsca?

Idea → Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

RP: Ja nie jestem społecznikiem. Nie interesuje mnie praca dla jakiejś idei.

JD: A praca u podstaw, praca organiczna?

RP: Nie interesuje mnie. A co tu się będzie działo… Mam nadzieję, że dobrze.

JD: Nie wiąże Cię nic z tym miejscem?

RP: Sentyment. Tu spędziłam 23 lata swojego życia.

Moje miejsce w świecie

JD: Po 23 latach życia tu podoba Ci się dzielnica?

RP: Jest to piękne miejsce. Zawsze podobała mi się architektura Nowej Huty.

JD: A co szczególnie?

RP: Okolice placu Centralnego, Aleja Róż. Pamiętam, jak byłam mała, w parku przy Alei Róż odbywały się koncerty muzyki poważnej. Nie było mowy wtedy o żadnej przestępczości. To było piękne, zielone, słoneczne miejsce. Nie działo się źle.

Pamiętać —> Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

JD: Muzyka poważna interesowała ludzi?

RP: Przychodzili emeryci, renciści, ludzie młodsi siedzieli. Interesowali się muzyką poważną na swój sposób.

JD: A co z tą architekturą, o której wspomniałaś – co Ci się w niej podoba?

RP: Przepaściste bramy, wielkie łuki na Centrum, duże okna, przestronne mieszkania. Struktura zabudowań nie przytłacza. Bloki nie przypominają pudełek od zapałek.

JD: Nie przytłacza, jest pięknie… Skoro to miejsce jest piękne, przestronne, to powiedz mi, czemu tak się tu dzieje, jak mówisz?

RP: Nie mam pojęcia, dlaczego.

JD: Chcesz wyjechać, a planujesz wrócić?

RP: Zobaczymy. Raczej nie, nie planuję.

JD: Mówienie „jest niebezpiecznie" to stereotyp?

RP: Dla mnie absolutnie nie. Nie wyszłabym po 22.00 z mieszkania. Po prostu się boję.

JD: Ja często wychodzę po 22.00 z domu.

RP: Gratuluję odwagi.

JD: Powiem Ci, że bardzo dużo tracisz. Gdybyś poszła w nocy na Łąki Nowohuckie i zobaczyła księżyc w górze, a w dole skarpy przykryte mgłą łąki, poczułabyś się, jakbyś była nad chmurami.

RP: Tak, ale z Łąk trzeba jeszcze wrócić do domu. Bierzesz to pod uwagę?

JD: Wracam.

RP: A ja bym się bała.

Nazwy

JD: A na jakim osiedlu mieszkasz?

RP: Na Uroczym.

JD: Jak myślisz, skąd się wzięła nazwa Twojego osiedla?

RP: Zapewne, gdy powstało, wydawało się urocze.

JD: A teraz?

RP: Urocze miejsce to pojęcie względne. Moje osiedle jest zaniedbane. Wymaga renowacji.

JD: A czy według Ciebie to miejsce jest urocze?

RP: Tak. Mnie się kojarzy z dzieciństwem, więc tak.

JD: Identyfikujesz się z tym miejscem?

Ja i moje miejsce

RP: Ja nie jestem człowiekiem, który przywiązuje się do miejsc.

JD: Nic Cię z nim nie łączy?

RP: Jest jedynie miejscem, w którym mieszkam.

JD: A jeśli miałabyś komuś powiedzieć coś na temat tego miejsca, to co byś powiedziała?

RP: Suche fakty. Ja staram się nie wartościować i nie narzucać swojego zdania danej osobie. Przyjedź i zobacz, jak jest, pomieszkaj.

JD: Przyznajesz się do tego, że jesteś z Nowej Huty?

RP: Zawsze mówię, że jestem z Nowej Huty.

JD: Nie wstydzisz się tego?

RP: Nie. Kiedyś zapytano mnie skąd jestem. Odpowiedziałam, że z Krakowa-Nowej Huty. Usłyszałam wtedy: A to jesteś z Nowej Huty.

JD: Dotknęło Cię to?

RP: Miałam wrażenie, że pytający uznał mnie za kogoś gorszego i tak właśnie się poczułam.

JD: Jakie miejsce mogłoby powiedzieć najwięcej o nowohucianach?

RP: Nie ma jednego konkretnego. Cała Nowa Huta musiałaby się wypowiadać. Plac Centralny i nieodżałowany pomnik Lenina. Centrum Administracyjne Huty Sendzimira. Pierwsze os. Wandy. Właśnie te miejsca.

JD: Co mogłyby powiedzieć?

RP: Centrum Administracyjne – o ciężkiej pracy włożonej w powstanie dzielnicy. Plac Centralny i pomnik Lenina o urzeczywistnieniu idei, pierwsze osiedle – symbol powstawania Nowej Huty jako miejsca życia ludzi.

JD: Powiedz, jakie jest Twoje ulubione miejsce w Nowej Hucie.

RP: Dworek Matejki, tereny przemysłowe za cmentarzem gręboławskim i plac w Bieńczycach.

Nazwy

JD: Co łączy nazwy w Nowej Hucie?

RP: Wydaje mi się, że nazwy związane są z pierwszymi mieszkańcami nowohuckich osiedli. Os. Stalowe było prawdopodobnie zamieszkiwane przez pracowników stalowni. Nazwa os. Krakowiaków czy os. Górali wiązała się z teatrem.

JD: Pierwsze przedstawienie wystawione w „Ludowym" to „Krakowiacy i górale". A czy chciałabyś zmienić jakieś nazwy w Nowej Hucie?

RP: Zmiana nazw jest fałszerstwem historii. Pomnik Lenina powinien nadal stać na placu Centralnym. Był on świadectwem socrealistycznych korzeni Nowej Huty. Jego likwidacja wypaliła dziurę w dziejach naszej dzielnicy.

JD: Czyli upamiętniać takie osoby, jak Lenin?

RP: Ktoś ten pomnik postawił za czyjąś zgodą. Był on świadectwem zniewolenia przez naszego Wielkiego Brata.

Z dzienników terenowych

NH to ciągła walka, kiedyś z komunizmem, dziś ze stereotypami. Choć robi wrażenie miejsca zamkniętego, nic bardziej mylnego. Ona zaprasza do działania. Slogan „Nowa Huta miastem ludzi młodych" wiecznie żywy. (JD)

JD: Myślisz, że teraz wyglądałby tak pięknie, jak wtedy?

RP: Dlatego, że nie wyglądałby tak, powinien zostać.

JD: Niektóre nazwy się jednak pozmieniały. Brakuje Ci jakichś?

RP: Brakuje mi tych miejsc. Brakuje mi księgarni, która mieściła się kiedyś na moim osiedlu… No i Cepelia ma teraz mniejszy lokal, a sklepu ze szkłem w Centrum już nie ma.

JD: Jest Plac Centralny im. Ronalda Reagana.

RP: Z tym się nie mogę zgodzić, bo uważam, że powinna zostać pierwotna nazwa. Tamtej mi brakuje. Uważam, że koniunktura polityczna nie powinna wpływać na fakt historyczny. Jest on bowiem obiektywny sam w sobie. Próba zafałszowania go jest niedorzeczna.

JD: Niektórych nazw już nie ma: „Świat Dziecka", składnica harcerska…

RP: Brakuje mi tych miejsc też. Brakuje mi księgarni u nas, na Uroczym. Zawsze spoglądałam na nią, przechodząc tamtędy. No i Cepelia ma teraz mniejszy lokal, a sklepu ze szkłem w centrum już nie ma.

JD: Tam powstał bank.

RP: To chyba znak czasu.

JD: Dobrze, źle?

RP: Że księgarnie bankrutują, to na pewno źle. Mamy kapitalizm. Jeżeli dana jednostka nie potrafi się utrzymać, ginie i nikt nie rozpacza. Takie jest prawo obecnej koniunktury.

JD: Nie można tworzyć skansenu o nazwie Nowa Huta.

RP: Nie, dlatego że tu żyją ludzie. To nie jest cmentarz.

JD: Ale skansen nie sprawdziłby się?

RP: Myślę, że nie. Dlatego, że tu żyją ludzie, tu się rodzą ludzie.

Rozpacz → Mateusz Kardas, Marianna Zając

JD: Dalej by żyli, tyle że podglądani np. przez turystów.

RP: Turyści mieliby patrzeć na nowohucian jak na małpy w zoo?

JD: Ale to też jakaś szansa dla tego miejsca. Pewnie byłoby to pierwsze takie miejsce na świecie.

RP: Bycie małpą w zoo to nie jest chyba najlepszy pomysł.

JD: Czy są jakieś jeszcze nazwy, które Ci się podobają?

RP: Ze względu na osobę patrona, podoba mi się nazwa Ośrodka im. Cypriana Kamila Norwida.

JD: A nazwa Teatru Ludowego?

RP: Jak najbardziej. Tu przecież mieszkał lud pracujący, a to był teatr dla ludu pracującego. Czyż nie? Nazwy były bardzo adekwatne, wbrew temu, co się wszystkim wydaje. Powinny takie zostać.

JD: Nawet kino „Sfinks" jest nazwą adekwatną?

RP: To coś jak os. Krakowiaków i Górali. Taka inwencja twórcza. Powinno pozostać.

JD: A „Światowid"?

RP: Nie ma już przecież tego kina. Jest tylko budynek.

JD: To dobrze czy źle?

RP: Źle, bardzo źle.

JD: Wiesz, business is business.

RP: No właśnie, niestety.

JD: Wszyscy woleli jechać do kin w Śródmieściu.

RP: Bankructwo kin studyjnych jest ogólnokrajowym zjawiskiem, więc nie demonizujmy Nowej Huty. Mam znajomego, który pracuje w „Sfinksie". Są tam organizowane spotkania filmowe DKF-u. Przed południem odbywają się seanse dla emerytów i rencistów. Sala jest zawsze pełna. Nie wiem, jak jest z projekcjami w innym czasie.

JD: Jak ja chodzę do „Sfinksa", popołudniami na seansach jest 4–5 osób.

RP: Może starsi ludzie bardziej się interesują filmem.

JD: A może, że seans jest przed południem, kiedy to ludzie nie boją się wychodzić?

RP: Nie wiem.

JD: Co Ci się kojarzy z Nową Huta? Stal, zieleń, cegła, a może kamień księżycowy?

RP: Architektura Placu Centralnego i pozostałych osiedli. Także Centrum Administracyjne Kombinatu.

JD: Czyli budynki?

RP: Tak.

JD: Szarość?

Czas, barwa, dźwięk

RP: Kojarzą mi się jako piękne, monumentalne. Jestem zachwycona architekturą starszej części Huty.

JD: No i dużo zieleni.

RP: Chyba najwięcej w Krakowie.

JD: To jaki ma kolor Nowa Huta?

RP: Szarozielony.

JD: Jeżeli mogłabyś nadać tytuł książce opowiadającej o Nowej Hucie, to jaki miałaby tytuł?

RP: „Przodownik pracy" albo „Przodownicy pracy". Tak, „Przodownicy pracy".

JD: Liczba mnoga ma jakieś znaczenie?

RP: Nową Hutę stworzyło kilka tysięcy osób. „Przodownik pracy" kojarzy się z wybitną jednostką, z jakimś nadczłowiekiem. A Nową Hutę budowała przecież rzesza zwykłych ludzi.

JD: A co byłoby na okładce?

RP: Plac budowy osiedli nowohuckich albo odlewnia na Kombinacie.

JD: Dlaczego odlewnia?

RP: Bo to jest symbol: odlewanie czegoś z formy, metalu z formy, czyli kształtowania czegoś, bycie kreatorem czegoś. Ci ludzie byli kreatorami tego miejsca.

JD: Ci ludzie tez byli takimi odlewami?

RP: Oni odlewali z formy i byli odlewani. Oni byli gorącym metalem socrealizmu i oni tworzyli odlewy dla całej dzielnicy i kraju.

JD: A czy my jesteśmy odlewami?

RP: MY nie jesteśmy odlewami, nasi rodzice nie są odlewami. Jesteśmy ludźmi wolnymi. Żyjemy w kapitalizmie, robimy, co chcemy. Socrealizm odszedł, przeminął z wiatrem, a pozostała dzielnica.

JD: Czemu tak się dzieje?

RP: Nowa Huta jest przecież bardzo osławionym miejscem, wbrew temu, co wszyscy sądzą. Nowa Huta jest takim zalążkiem socjalizmu.

JD: Produktem, dzieckiem?

RP: Oczywiście. Poza tym Nowa Huta staje się trendy. Sam fakt, że siedzisz ze mną i ze mną rozmawiasz o Nowej Hucie. To jest pewna forma skansenu. Mówimy o skansenie. Nową Hutą się kiedyś nie interesowano.

JD: Ja na przykład chciałbym coś zrobić dla tego miejsca, by nie stało się ono skansenem.

RP: Przyjmuję to do wiadomości, ale to wciąż jest za mało. Zobaczysz, Nowa Huta stanie się skansenem. To jest tylko kwestia czasu.

JD: Zobaczymy, jak się spotkamy za kilka lat.

RP: Chciałabym się mylić, że Nowa Huta stanie się skansenem. Mam sentyment do tego miejsca.

JD: Masz tylko sentyment?

RP: Tylko, mnie już nic tu nie wiąże. Moje życie jest w Śródmieściu, tam się toczy.

Czas, barwa, dźwięk

JD: A jakim dźwiękiem opisałabyś Nową Hutę?

RP: Odgłosami pracujących maszyn, dźwiękami młotów pneumatycznych, silników samochodów, okrzykami z placów zabaw.

JD: Denerwują Cię one?

RP: Przyzwyczaiłam się.

JD: Chciałbym zapytać o odgłosy kojarzące się z pracą, pracą maszyn.

RP: Tam, gdzie mieszkam, nie słychać odgłosów maszyn. Natomiast często wybierałam się na wycieczki rowerowe w rejon Kombinatu. Nie pamiętam dźwięków (pewnie jakiś huk), ale robiła na mnie wrażenie cała jego konstrukcja: gigantyczny stelaż, kominy, maszyny… Przypominał baśniowego potwora.

Rower → Lech Miodyński, Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

JD: Ten potwór miał jednak ludzkie oblicze.

RP: Pracowało tam tysiące osób. Kombinat był organizmem, który żył własnym życiem…

JD: To są dźwięki, które można tylko tu usłyszeć?

RP: Teraz już nie ma takich. Wszędzie coś się dzieje, wszędzie są samochody, wszędzie są krzyczący i rozmawiający ludzie. Tylko w Nowej Hucie z większym natężeniem.

JD: Głośniej?

RP: Myślę, że głośniej. Tak jak mówię, wszędzie się te dźwięki słyszy, ale nie z takim natężeniem.

JD: Mówisz, że głośniej, a czy w Nowej Hucie jest szybciej?

RP: Nie, w Śródmieściu jest szybciej.

JD: Spokojnie, ale głośno?

RP: W Nowej Hucie jest wolniej, powiedziałabym tak.

JD: Głośno, ale wolniej…

RP: Można tak powiedzieć.

JD: Podobają Ci się graffiti na murach?

RP: Nie.

JD: A czy to są wartościowe rzeczy?

RP: W pewnym sensie tak, bo to jest głos młodych.

JD: „Kocham Jolkę”.

RP: Ostatnio miałam do czynienia z takim napisem, cytuję: „Najpiękniejsze w życiu jest nierobienie labiryntów intelektualnych z rzeczy prostych”. „Kocham Jolkę” też jest w jakiś sposób wartościowe. Ktoś chciał uzewnętrznić swoje uczucia.

JD: Pisałaś coś po murach?

RP: Nie miałam nigdy takiej potrzeby. Na chodnikach rysowałam grę w klasy.

JD: A w co się bawiłaś w dzieciństwie, oprócz gry w klasy?

RP: Zabawa w chowanego, jakieś takie typowe zabawy.

JD: Mówiłaś, że czas w Nowej Hucie płynie wolniej. A czy coś się tu zmienia?

RP: Remontuje się dużo, np. Rondo Kocmyrzowskie.

JD: A w ludziach?

RP: Ludzie są tacy sami, jak gdzie indziej.

JD: Jeśli miałabyś spojrzeć na Nową Hutę z perspektywy czasu, to jakie okresy mogłabyś wyróżnić? Niektórzy określają to podziałem na takie kamienie milowe.

RP: Pionierski, czyli budowa całej dzielnicy – zresztą całego miasta, bo to miało być oddzielne miasto – stabilizacja i upadek. Może stagnacja zamiast upadku, bo tu się nic nie dzieje.

JD: „Upadek” to za mocne słowo?

RP: Dlatego się poprawiłam. Stagnacja, czyli zastój.

JD: Który wg Ciebie okres jest najważniejszy, który miał największy wpływ na dzielnicę?

RP: Z wymienionych trzech, ostatni. Dlatego że jeśli dalej będzie trwał, to Nowa Huta się zdegeneruje.

JD: No właśnie, mówisz o Nowej Hucie jako o sypialni. A czy w Nowej Hucie da się wypoczywać?

RP: Da się. Ja swój wolny czas spędzam w Śródmieściu.

JD: Jeździsz z Huty do Śródmieścia, przy okazji grzęznąc w korkach. Czemu?

RP: Bo tam są miejsca i rozrywki, które mnie interesują.

JD: Na przykład?

RP: Kina, kawiarnie, ludzie…

JD: W Nowej Hucie jest kino „Sfinks”

RP: Tak, bywam tam.

JD: Są biblioteki…

RP: Tak, są. Korzystam prawie wyłącznie z nowohuckich bibliotek.

Zob.: http://www.ekslibrisNH.prv.pl/

Z dzienników terenowych

Czy były takie miejsca w NH, których już nie ma, a które chciałbyś przywrócić? TAK! Na pewno jest takim miejscem fabryka wafli na os. Willowym. Co to był za zapach, świeżo upieczonych wafli, stanie obok krat godzinami, może jakaś pani, pakowaczka wafli, da kilka odpadków, kilka kawałków chrupiących jeszcze, może nawet świeżych wafli. Mogliśmy tak stać wieki. Czasem z kolegami, czasem z innymi nieznajomymi dziećmi ustawialiśmy się w kolejce po litość pań waflarek. Do tej pory pamiętam huk maszyn do wyrobu i przekładania wafli.
I te małe dziurki w zakratowanych oknach, przez które panie waflarki dawały nam ukradkiem (żeby nikt nie zauważył) popękane wafle. Wafle były, jak te kraty, tylko, że okrągłe. (JD)

JD: Jest poza tym teatr, są parki, znajomi. Da się w Hucie spędzić wolny czas.

RP: Da się, ale ja nie lubię siedzieć w jednym miejscu. Dlatego robię, jak robię.

JD: A w Śródmieściu też jesteś w jednym miejscu?

RP: Jestem w wielu miejscach.

JD: Skoro jest kino, są dobrze zaopatrzone biblioteki, teatr, monumentalna architektura, dużo zieleni, to co jest nie tak z tym miejscem?

RP: To miejsce mi się już przejadło.

JD: A byłaś np. w ogrodach w Mogile?

RP: Byłam, ciekawe miejsce.

JD: A na Łąkach Nowohuckich?

RP: Bardzo często tam bywam z moim psem.

JD: To co jest nie tak z tym miejscem?

RP: Ja nie mówię, że z tym miejscem jest coś nie tak. Mówię, że to miejsce mi się już przejadło.

Twarz, którą pamiętam

JD: Powiedz, czy są osoby, które można nazwać ikonami Nowej Huty?

RP: Znam jedną taką osobę. To jest moja nauczycielka od historii, z Zespołu Szkół Budowlanych. Poświęcała się. Jeszcze tylko w tym roku uczy historii i WOS-u. Prowadzi zajęcia z wiedzy o Unii Europejskiej. Dzięki niej szkoła wygrywała międzynarodowe konkursy historyczno-unijne. Jest laureatką nagrody ministra edukacji.

JD: Jest surowa?

RP: Nie, nie jest surowa

JD: Myślisz, że Twoja twarz mogłaby być ikoną Nowej Huty?

RP: Nie, ponieważ nie utożsamiam się z tym miejscem.

JD: Ale trochę tam siebie zostawiłaś…

RP: Ale mimo to nie utożsamiam się z tym miejscem.

JD: A ukształtowało Cię to miejsce? Mówiłaś o szkole…

RP: Ukształtowała mnie placówka oświatowa. Ale czy miejsce? Nie sądzę. Ukształtowanie to była praca nad samą sobą. A miejsce? Nie.

JD: To powiedz na koniec, jak byś określiła twój stosunek do Huty.

RP: Określiłabym go jednym słowem: sentyment.

Vlepki „Hutnika”

Vlepki „Hutnika”

fot. Marcin Klag

Marcin Kostera

Marcin Kostera, rocznik 1980 — obrońca Hutnika, student geografii i przyrody. Jest rodowitym nowohucianinem i lokalnym patriotą. Jak mówi, w jego życiu istnieją trzy pasje: Kasia, piłka nożna i Nowa Huta. Kasia jest jego dziewczyną, boisko miejscem codziennych zmagań, a Nowa Huta jego małą ojczyzną. Swoje zamiłowanie do tej trzeciej zrealizował ostatnio, pisząc pracę licencjacką na temat atrakcji turystycznych Nowej Huty.

Rozmowa Sebastiana Wacięgi
z Marcinem Kosterą

Rozmówca:
Marcin Kostera – rodowity nowohucianin, obrońca Hutnika, student geografii i przyrody. Nowa Huta jest jego małą ojczyzną. Obecnie pisze pracę licencjacką na temat jej walorów turystycznych.
W tle rozmowy słychać również głos Kasi Iskrzyckiej, dziewczyny Marcina.

Prowadzący rozmowę: Sebastian Wacięga

moje miejsce

SW: Mieszkasz w Nowej Hucie od urodzenia?

MK: Tak. Mieszkam na os. Strusia. To nie nowe, ale i nie stare osiedle. Lata 70. Mieszkam tam od dziecka.

SW: Co pamiętasz z dzieciństwa, jakie masz pierwsze wspomnienia z os. Strusia lub z Huty?

MK: Najbardziej pamiętam, jak… chodziliśmy na sanki. Górka u nas jest na osiedlu zrobiona, taka nieduża, tam się chodziło i zjeżdżało, na sąsiednie osiedla też. Duże górki to były w Mistrzejowicach, w parku.

SW: Tyle lat tu mieszkasz, czy Huta bardzo się zmieniła przez ten czas?

MK: Na pewno się zmienił Plac Centralny. Teraz jest dojście na sam środek, można usiąść na ławeczce. Przedtem tego nie było, były klomby, kwiaty. Co jeszcze pamiętam?… No, pomnik, to wiadomo, że nie ma Lenina.

fot. Marcin Klag

SW: A pamiętasz Lenina, widziałeś go?

MK: No, byłem nawet na strajku. To znaczy przez chwilę, zobaczyć.

SW: Jako dziecko byłeś na strajku?!

MK: Nie byłem jako uczestnik, tylko przechodziliśmy i widziałem. Miałem jakieś 9 lat, to było w 1989 r. Widziałem pomnik i policja stała. Ludzie coś krzyczeli, obrzucali pomnik farbą chyba. Ciekawe, mnie się podobało.

SW: Pamiętasz, co wtedy czułeś?

MK: Zaciekawienie. Chciałem tam iść, ale rodzice tylko: chodź, chodź do autobusu!

SW: Rozmawiałeś wtedy o tym z rodzicami, pytałeś ich o te wydarzenia?

MK: Nie, czytałem sobie później w „Głosie Huty" i dowiadywałem się, co się tam działo. Wiedziałem, że są jakieś przemiany w Polsce.

SW: Czy tu w Hucie jest bezpiecznie?

MK: Ja bym powiedział, że jest niebezpiecznie. Pamiętam, że dawniej można było sobie spokojnie iść na osiedle i nikt nie zaczepiał, a teraz to ciężko.

SW: A dlaczego tu jest niebezpiecznie?

MK: Nie ma bata, że ktoś coś zrobi i jakaś kara jest za to. Zrobię coś i nic z tego nie będzie, żadnych konsekwencji. Bezkarność.

SW: I wszędzie w Hucie jest tak samo?

MK: Tu, na Skarpie, jest bezpieczniej, tak mi się wydaje.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

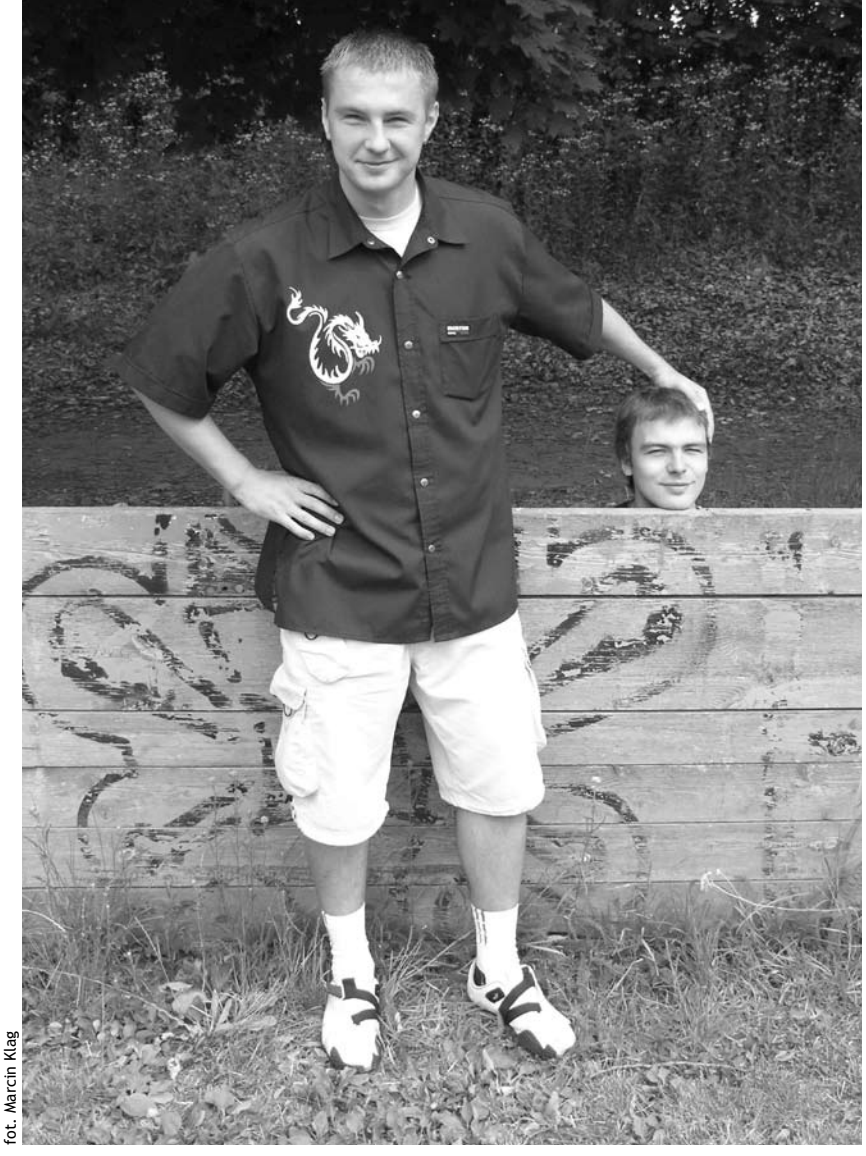

fot. Marcin Klag

Tu mieszkanka jest, może powiedzieć.

Ale na innych osiedlach, tam, gdzie Piastów, to już w ogóle. Nawet w dzień można dostać, a wieczorem to już…

SW: Lepiej się tam nie zapuszczać?

MK: Jeszcze są tak zwane wjazdy kibiców. Można ich spotkać i być Bogu ducha winnym…

SW: To tu w Hucie nie wszyscy są za „Hutnikiem”?

MK: Właśnie nie. „Hutnik” jest w mniejszości. Wydaje mi się, że mniej niż kibiców „Wisły” i „Cracovii”. Około 300 000 ludzi ma dzielnica, a kibiców jest bardzo mało.

SW: A które osiedla kibicują „Hutnikowi”?

MK: Mniej więcej w tej starszej części, i oczywiście pojedyncze, np. Piastów. Piastów jest w ogóle specyficzne, to duże osiedle – tam są trzy kluby. Są też pojedynczy kibice rozsiani. Moje osiedle kibicuje „Wiśle”. Oświecenia „Cracovii”, chociaż są tam oczywiście jednostki za „Hutnikiem”. Dywizjonu raczej „Wisła”, a 2. Pułku – „Cracovia” i „Wisła”, ciężko wyczuć. Kalinowe też „Wisła”. Jak się mieszka w Nowej Hucie, to się powinno być za „Hutnikiem”, prawda?

SW: To czemu nie ma takiego patriotyzmu lokalnego?

MK: Właśnie, powinien być. A dlaczego, chyba tradycja, tak mi się wydaje. Są starsze kluby.

SW: A Ty czujesz taką więź z „Hutnikiem”, mieszkałeś tu i świadomie go wybrałeś?

MK: Tak. Wybrałem ten klub, od razu do „Hutnika” chciałem iść. Mimo, że grał w drugiej lidze. „Wisła” i chyba „Cracovia” były w pierwszej.

SW: Czy Nowa Huta jest ładna?

MK: Bardzo ładna. Bardzo ładna, tylko trzeba patrzeć nie na to, że są same bloki.

SW: Ale co ja mam tu widzieć? Bo ja nie wiem, co mam tu widzieć?

MK: Co można widzieć? Sama zabudowa Nowej Huty ma kształt miasta-ogrodu. Jej zabudowa, plan. Dużo zieleni. I ci, co tu mieszkają, często nie wiedzą, że są w Nowej

Hucie zabytki, które można oglądać. Ja też się dowiedziałem niedawno, bo na temat Nowej Huty

pracę licencjacką piszę.

Sam nie wiedziałem, przyznam się szczerze, że aż tyle można było zobaczyć.

SW: Piszesz o tych zabytkach?

MK: O walorach turystycznych. Że tak powiem, pisze się ciężko, ale w lecie zrobiłem tak, że objechałem wszystko, żeby zobaczyć.

SW: Z przewodnikiem?

MK: Sam byłem sobie przewodnikiem, sterem i okrętem. Na podstawie przewodnika pana Mieziana.

SW: Co Ci się nie podoba w Nowej Hucie? Co jest złe? Co można by zmienić?

MK: Co można by zmienić? Ja myślę, że powinno się odnowić tę starą część, żeby po prostu przyciągnąć ludzi. Żałuję, że nie ma pomnika Lenina.

SW: Żałujesz?

MK: Tak, to by była atrakcja turystyczna, która mogłaby przyciągnąć turystów przyjeżdżających do samego Krakowa. Przyjeżdżaliby, fotografowaliby się. Myślę, że tego brakuje.

SW: Czyli patrzysz pod kątem turystyki, żeby wszystko odnowić?

MK: Tak. I jeszcze poprawić bezpieczeństwo, bo jak będzie niebezpiecznie, to nie będzie turystów. I zrobić jakieś kawiarenki w centralnej części Nowej Huty.

SW: A czy jest takie miejsce, gdzie można pójść z dziewczyną na randkę, czy nie bardzo?

MK: Kilka może tak. Jest niby „Laguna", na Placu Centralnym, ale (*śmiech*) to jest…

KI: …dobra kawa mrożona…

MK: Taak, można też piwo wypić. A dyskoteki, to jest niby „Ideal", ale lepiej tam nie chodzić. Na os. Niepodległości nie zawitałem ani razu. Zła sława. Lepiej się tam nie wybierać. Można iść nad Zalew albo umówić się pod zegarem na Placu Centralnym.

KI: Nawet jak zegar nie chodził, to można się było umówić pod zegarem.

SW: On był kiedyś nieczynny?

MK Tak, po prostu kasy nie było. Jak go nie było, to jakoś… dziwnie. Jak się było na placu, zawsze się spojrzało. A jak go nie było, to tak głupio. Dobrze, że go uruchomili z powrotem.

SW: A z lokali jest jeszcze jest „Stylowa", byłem tam na obiedzie…

MK: To jest dla starszych ludzi, ale jest od początku Nowej Huty, ona nie zniknęła. Tam moi rodzice idą się pobawić, tam są dancingi itd. I jest już wpisana w krajobraz Nowej Huty. I jeszcze jest lokal na os. Na Skarpie. Tam jest cicho, raz tylko byłem. Wszedłem do środka i mówię: no nie,

czas tu się zatrzymał gdzieś w latach 70.!

I pani też chyba z czasów tamtych, jak sprzedawała, tak sprzedaje.

SW: Jak wyobrażasz sobie Nową Hutę w przyszłości? Za 20-30 lat?

MK: Z tego, co widać, to miejsce może się rozwinie. Ale może przez to, ze nie ma bezpieczeństwa, że cały czas w tych rankingach dzielnic wypada strasznie.

KI: Nie jest na pierwszym miejscu.

Drużyna, w której Pan Marcin gra na pozycji obrońcy, nie ma w Nowej Hucie tylu wielbicieli, ilu należałoby się spodziewać. Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, „Hutnik" jest dość młody. Ma dopiero 50 lat, co w porównaniu ze krakowskimi klubami „Cracovią" i „Wisłą" stanowi wiek mizerny. Po drugie, drużynie finansowo nie wiedzie się najlepiej. Wreszcie konsolidację kibiców utrudniają historyczne podziały między wsiami. Dawne wsie – zwłaszcza te sąsiadujące ze sobą – od wieków rywalizowały ze sobą w różnych dziedzinach. Jeżeli jakieś bloki zasiedlono ludźmi z tej samej okolicy (a zdarzało się to dość często), to dawne bójki pomiędzy wsiami dziś manifestują się jako starcia kibiców. Na trwałe pogodzenie się nie ma co liczyć, bo animozje sięgają niekiedy jeszcze czasów średniowiecza.

Maciej Miezian

MK: Może nie. Nie wiem, jak jest, ale umówmy się – w czołówce jest, na podium. Mieszkam tu, więc wiem (*śmiech*). Jak kamery zainstalowali, to od razu bezpieczeństwo się poprawiło na Placu Centralnym. A Huta jaka będzie w przyszłości? Może się rozwinąć, a może być tak, że nic z tego nie wyniknie i pozostanie na uboczu, tak jak jest.

SW: To Huta jest na uboczu?

MK: Tak mi się wydaje, że jest troszkę… była spychana na margines. Teraz się ruszyło, teraz się ruszyło, dużo nowych akcji odnośnie Nowej Huty. Otwarto Galerię na Placu Centralnym, pojawiły się pokazy filmów o Nowej Hucie w „Sfinksie". Mają otworzyć muzeum w Nowej Hucie. Robiono ciekawe pokazy obrazów na budynkach Placu Centralnego. Wielką Orkiestrę Świątecznej pomocy przenieśli do Huty. Już w lecie był taki autobus, ogórek czerwony, który obwoził po różnych miejscach, gdzie podawano wodę z syfonu, i w ogóle dania z PRL-u. Nie przejechałem się, żałuję, ale może będzie jeszcze.

fot. Marcin Klag

SW: A przedtem Kraków był takim miejscem, gdzie się jeździło?

MK: Tak, a nikt raczej do Nowej Huty. Jeżeli już jechali do Nowej Huty, to jechali zobaczyć kościół – Arkę. I nic więcej poza tym.

SW: A co z Kombinatem, praca będzie, czy odejdzie w przeszłość?

MK: Nie. Myślę, że Nowa Huta zawsze będzie z hutą kojarzona. Nie pozwolą po prostu… Tak, jak jest huta, tak będzie.

SW: Masz wpływ na Nową Hutę?

MK: Mam wpływ. Chcę ją właśnie rozpropagować. Specjalnie wybrałem sobie taki temat pracy. Chciałbym ją pokazać. Naprawdę dużo osób nie wie o Nowej Hucie praktycznie nic. Nawet wśród mieszkańców! Nieraz się pytałem: Wiesz, gdzie co jest, znasz jakieś zabytki? – „Zabytki? W Nowej Hucie?" (*śmiech*).

SW: À propos bezpieczeństwa. Czy ty jako piłkarz możesz być osobą uprzywilejowaną, możesz czuć się bezpieczniej?

MK: To nie jest tak…

SW: …bo grasz w niewłaściwej drużynie?

MK: (*śmiech*) Tak. Mało znanej i nie jestem znanym piłkarzem, może dlatego.

SW: A gdybyś grał w tej drużynie, której na osiedlu kibicują, to byłoby lepiej?

MK: Nie. Na osiedlu to ja nie mam problemu. Tam się znam. Ale na inne osiedle można iść i oberwać.

SW: Jakie miejsca w Nowej Hucie chciałbyś pokazać turystom?

MK: Pokazałbym na pewno kościoły: Arkę, kościół w Mogile. Co jeszcze… dworki! A przede wszystkim zabudowę – Plac Centralny, że miał być ratusz, też bym opowiedział, i że tu stał pomnik Lenina.

SW: A czego byś nie chciał pokazywać przyjezdnym?

MK: Blokowisk na pewno. Nie ma tam nic do pokazywania. I szmateksów.

SW: Twoje ulubione miejsca w Nowej Hucie.

MK: Na pewno Plac Centralny – to jest przede wszystkim. I moje osiedle.

fot. Marcin Klag

SW: Osiedle?

MK: No tak, bo tam zawsze byłem, wychowałem się. Przeważnie się było na tym osiedlu. I w piłkę grało. Inne ulubione to Łąki, teraz, od niedawna. Zrobili park.

SW: Łąki Nowohuckie?

MK: Właśnie przed Łąkami jest skarpa, koło Szpitala Żeromskiego. Tam są zrobione alejki wzdłuż skarpy, ławeczki są.

SW: Gdzie można wypocząć, zrelaksować się w Nowej Hucie?

MK: Nad Zalewem. Można tam na rowerkach jeździć. To jest sztuczny zalew. Ale nie nadaje się do kąpieli. Można też wypocząć w Przylasku, można się wykąpać. Dużo ludzi tam chodzi. To jest alternatywa dla Kryspinowa, i bliżej przede wszystkim. Ludzie wypoczywają też w parkach. Na każdym praktycznie osiedlu jest jakiś park.

SW: Jaki park? Wiem, że koło AWF-u jest duży park. Każde osiedle ma park, jak to?

MK: To są takie parki osiedlowe. Dawniej, jak chodziliśmy do kościoła do Arki, bo nie było u nas na osiedlu, to się szło wzdłuż alejki, wszędzie drzewa, i szło się wzdłuż, i to się nazywa park.

SW: Czyli tych drzew jest dużo i na ulicy jest park?

MK: Tak, o to chodzi. Alejki są, nie chodnik, można posiedzieć, pojeździć na rowerze.

SW: A jakich miejsc brakuje w Nowej Hucie?

MK: Dyskoteki, żeby się pobawić. Jeżeli Kazimierz potrafił otworzyć jakieś knajpki, gdzie ludzie się mogą bawić, to dlaczego nie w Hucie… Była dyskoteka kiedyś, „Rico”…

KI: …była i było bezpiecznie.

MK: Ale Huta to jest specyficzne miejsce.

SW: Czemu nie ma, jak była bezpieczna i wszystko działało?

MK: Mi się wydaje, że się tutaj nie przyjmie.

KI: Kawiarnie tak, dyskoteki nie. I tak ludzie wolą do Krakowa. Tam jest większy wybór i w ogóle. Ile tutaj mogą zrobić, jedną, dwie?

MK: Jedną porządną.

SW: Jakby przy Placu Centralnym zrobili?

MK: To już jest, „Stylowa” (*śmiech*).

KI: Nie pasują dyskoteki do Huty, no gdzie?

Kawiarnie tak, dyskoteki nie!

MK: No chyba tak. Dlatego jest jedna – „Ideal”.

SW: Nowa Huta to…

MK: …moja mała ojczyzna.

SW: O, mocno powiedziane!

MK: Aj, piękne słowa – literackie (*śmiech*). Jest to miejsce… nawet nie wiem, czy bym mógł gdzie indziej mieszkać. Albo w Hucie, albo przynajmniej pobliżu gdzieś. Tu się wychowałem, tu mieszkałem, dalej żyję i jest dobrze.

Miał być obelisk albo fontanna

SW: Bez jakich miejsc Huta by nie była sobą?

MK: Bez Placu Centralnego przede wszystkim to nie byłaby Huta. I tyle.

SW: I to jest najważniejsze miejsce Nowej Huty?

MK: Tak. I właśnie zbeszcześcili je, nadając nazwę Ronalda Reagana, które nie jest związane z Nową Hutą, z tym Placem. Dlaczego Rynku nie nazwali? Dla nas, dla Nowej Huty, Plac Centralny to jak dla Krakowa Rynek Główny.

SW: Właśnie, Rynek nie ma patrona, bo jest po prostu Rynkiem…

MK: Jest Rynkiem, tak jak Plac Centralny jest Placem Centralnym. A najgorsze jest to, że radni, na których ja nawet głosowałem z Nowej Huty, wystosowali taki wniosek o zmianę nazwy Placu Centralnego. Pytanie, dlaczego tak zrobili?

SW: Ten Reagan nie ma żadnych związków z Hutą?

MK: On był aktorem. Można by nazwać Sylwestra Stallone, prawda? I chcieli mu obelisk jeszcze postawić.

SW: Szkoda, że nie pomnik, taki jak Lenina stał… (śmiech).

MK: To już w ogóle był poroniony pomysł, ale odstąpili od niego. Bardzo dobrym pomysłem była fontanna. Na samym środku Placu Centralnego. Miał być obelisk albo fontanna.

SW: Są miejsca w Nowej Hucie, gdzie się można rozerwać, zabawić ze znajomymi?

MK: Raczej trzeba jechać do Krakowa.

SW: A jak mówisz: „do centrum" czy „do Krakowa"?

MK: „Do Krakowa" zawsze mówię. To jest dla mnie normalne. I zawsze mówiłem: „jadę do Krakowa". Nie mówiłem: „na Rynek", tylko „do Krakowa". I tak zostało. Nawet niektórzy się pytają: „no jak do Krakowa? – przecież w Krakowie jesteś!"

SW: Pamiętasz jakieś ważne wydarzenia w Nowej Hucie?

MK: Jak usunęli ten pomnik [Lenina]. Zmiana Placu to już w ogóle mnie poirytowała, to było ważne wydarzenie dla mnie. I ważnym wydarzeniem dla Nowej Huty był awans Hutnika-Kraków do pierwszej ligi w 1990 r. To było bardzo ważne wydarzenie.

SW: Słynni ludzie z Nowej Huty, ludzie, którzy zapadli Ci w pamięć.

MK: To mi się piłkarze kojarzą (*śmiech*). Piłkarz Mirosław Waligóra, piłkarz „Hutnika", był królem strzelców, z tego okresu, kiedy ja się zapisywałem.

praca

SW: Jesteś zawodnikiem etatowym czy z pasji?

MK: Lubię to, co robię, i za to jeszcze płacą (*śmiech*). To jest mój zawód. Od początku grałem pod blokiem i przyszedł czas, że się zapisałem do „Hutnika". W pewnym momencie stwierdziłem, że będę piłkarzem.

SW: Jak dużo trenujesz?

MK: Codzienne są dwa treningi, albo jeden. Jak są dwa treningi, to od rana do wieczora. Koło 13.00 ma się chwilę czasu, je się obiad i o 15.00 idzie się na kolejny trening.

SW: Czujesz się zawodowcem?

MK: Nie. Czuję się kopaczem.

fot. Marcin Klag

SW: A Twoi koledzy z pierwszych treningów, do dziś z Tobą grają?

MK: Jak zaczynałem, było kilka grup wiekowych: „Hutnik 1", „Hutnik 2", „Hutnik 3", „Hutnik 4", i później, nie wiem za ile, połączono, wyselekcjonowano i stworzono jeden zespół: rocznika 80.

SW: Jaka była atmosfera w drużynie? Zgrany zespół?

MK: Zgrany. Ciężko było później, jak już była wyselekcjonowana, żeby ktoś z zewnątrz wszedł. Jednostki musiały się wkupić. Ale przychodzili, kilku było.

SW: A trener jaki był?

MK: Dużo się darł. Tyle (*śmiech*). Też chwalił, ale się darł dużo. To zapamiętałem, to jest szczegół, który go wyróżnia.

SW: Jaka jest różnica między meczem u siebie, na boisku „Hutnika", a meczem wyjazdowym?

MK: Wiadomo, ciężej jest na wyjeździe, bo to inna atmosfera, kibice, otoczka meczu. Zawsze się mówi, że sędziowie przynajmniej 5% więcej sprzyjają gospodarzom.

„Ściany pomagają",

się mówi, że sędziowie. Swoich kibiców nie ma albo jest bardzo mało. U siebie czuje się to boisko.

SW: A kibice są potrzebni, pomagają?

MK: Pomagają. A zdarza się też, że gwiżdżą: „Ee, grajcie!". Taki jest kibic, chce pomóc, ale też wymaga. Mało jest kibiców, cóż, my ich też nie rozpieszczamy. Jak się wygrywa, to kibic przyjdzie.

SW: A u siebie, co najbardziej pomaga, co jest najlepsze?

MK: Zna się boisko, czy szerokie czy wąskie. Kopnie się piłkę i na wyjeździe można nie wyczuć na początku tego boiska.

SW: Ale teoretycznie każde boisko powinno być takie samo?

MK: Tak. Ale na przykład murawa, jak gdzieś się pojedzie, jest nierówna. Ostatnio byliśmy na wyjeździe, to specjalnie na „Hutnika" nie skosili trawy, nie zwalcowali, nie wyrównali, żebyśmy nie grali po ziemi, krakowską piłką, podaniami.

SW: A jakie to uczucie, kiedy się uda strzelić bramkę?

MK: Ale to niewłaściwe pytanie do niewłaściwej osoby. Jestem obrońcą, bramek za dużo nie zdobyłem. Ale strzeliłem, zdarzyło się. Rzadko się zdarza, tym bardziej obrońcom. Czułem się wtedy bardzo dobrze.

SW: Jak reaguje publiczność? Jak się zachowuje?

MK: Graliśmy z „Cracovią" 2 lata temu. Przegrywaliśmy do przerwy 2:0, a wygraliśmy mecz 5:2. Wtedy „Cracovia" wywalczyła awans do II ligi. I euforia kibiców, chyba każdy wspomina ten mecz, i będzie długo zapisany w historii klubu. Potrafiliśmy w 10 minut strzelić cztery bramki, później jeszcze dorzuciliśmy tę piątą. Dziękowali nam, jeszcze na stojąco klaskali nam po meczu. Zrobiliśmy rundkę honorową. Podlecieliśmy do nich, piątki przybijaliśmy. Krzyczeli, dziękowali nam. Taki mecz może się już nie powtórzyć, może jeszcze będzie jakiś, ale to się wspomina.

SW: Pamiętasz swój najlepszy, najciekawszy, najważniejszy mecz?

MK: Ten z „Cracovią". I pamięta się debiut, wiadomo. I jak się strzeliło bramkę. Te mecze się najbardziej pamięta. Np. Puchar Ligi w Polsce. To była pierwsza bramka po awansie do II ligi. Pierwszą bramkę zdobyłem.

KI: I grałeś w szczęśliwej koszulce.

Walka → Wlademar Cichy, Bogdan Zalewski

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

MK: Tak.

SW: Są przesądy wśród piłkarzy?

MK: Są. Każdy ma coś swojego, co mu przynosi szczęście. Może być koszulka, może się nie golić przed meczem, różnie. Zdarzają się też tacy, co nie mają.

SW: I ty masz koszulkę?

MK: Wtedy akurat założyłem (*śmiech*). Kasia zrobiła, mówię: może się uda strzelić. I wtedy strzeliłem.

SW: Ciężko pogodzić studia z piłką?

MK: Był trzydniowy wyjazd terenowy z uczelni. Zwiedzaliśmy różne miejsca w Małopolsce. Niestety połączył się z terminem meczu, ostatniego meczu w sezonie. Pojechałem na tę wycieczkę, a pan doktor stwierdził, że mnie nie puści, że mi nie zaliczy, jak pojadę. To ja sobie pod Kielcami poszedłem na dworzec i pojechałem na mecz. Ale na meczu niestety kontuzja, noga do szyny i co zrobić, przecież pozna, że coś się stało. Pojechałem z powrotem, ubrałem szerokie spodnie, żeby nie było widać szyny. Pojechałem do nich pod Częstochowę, w szerokich ortalionowych spodniach. Najgorsze było, że przyjechaliśmy, a wszystkie wejścia do ośrodka były pozamykane. No to wpadli na pomysł, że wyciągną bramę z zawiasów. Nie mogli, to mnie zaczęli przenosić. Podnieśli mnie na szczyt bramy i na drugą stronę… Wszystko się i tak wydało, bo trzeciego dnia wycieczki były wejścia pod górę, a noga – ciężko było. Na początku próbowałem to kryć, schowałem się w paprociach. Inni poszli na górę i czekałem na nich. Schowałem się w paprociach i jak schodzili, to dołączyłem szybko do nich. Ale przyszedł czas, że za daleko było do chodzenia i musiałem się ujawnić.

SW: A jakbyś nie pojechał na mecz, miałbyś kłopoty w klubie?

MK: Ale wybrałem mecz.

nazwy

SW: Jak się mówi: „Hutnik Kraków” czy „Hutnik Nowa Huta”?

MK: Śpiewa się „Hutnik Kraków” albo „Hutnik Nowa Huta”. „Hutnik Nowa Huta” to bardziej do dzielnicy. Dawniej się nazywał „Hutnik Nowa Huta” i jeszcze niektórzy woleliby, żeby się tak nazywał. Ja mówię „Hutnik Kraków”.

SW: Skąd się wzięła nazwa osiedla, na którym mieszkasz?

MK: Dokładne się nazywa Józefa Strusia, ale się mówi: Strusia. Józef Struś był lekarzem w Nowej Hucie.

SW: Które nazwy w Nowej Hucie najbardziej Ci się podobają? I dlaczego one?

MK: Strusia. To moje osiedle, to musi się podobać. Na Skarpie (*śmiech*). Nazwa stąd, że jest na Skarpie, a niżej są łąki.

SW: Czy pozostały nazwy miejsc, których już nie ma?

MK: Tak, B1. Sklep niemiecki – spożywczy. Zawsze się mówiło: idę do niemieckiego. Obok os. Strusia.

SW: Znasz jakieś nazwy w Nowej Hucie pochodzące od przeszłości miejsca?

MK: Tak, na przykład Bieńczyce.

KI: A wasz stadion?

MK: Suche Stawy, rzeczywiście, bo po prostu tam były stawy, które zostały osuszone. Dlatego na zawodników „Hutnika” mówi się – gumiory, gumiaki. Świat Dziecka – sklepy na os. Zgody, tam były kiedyś sklepy dziecięce i teraz tak się mówi.

SW: Jakie są najważniejsze nazwy w Nowej Hucie?

MK: B1, Plac Centralny, Arka, Aleja Róż. Widziałem zdjęcia niedawno, tam rzeczywiście dużo róż było. Zresztą większość nazw jest związana z czymś, co tu było. Na przykład obok nas jest os. Młodości, to na cześć młodych, którzy budowali tę Hutę.

SW: Są nazwy, których Ci brakuje? Które chciałbyś wprowadzić?

MK: Było os. XX-lecia dawniej, a teraz jest Albertyńskie. Chyba od Brata Alberta. Dlaczego zmieniali? Mnie się ta nazwa z niczym złym nie kojarzyła. Nazwa jak nazwa. Źle by mi się kojarzyła, gdyby było os. Lenina. A XX-lecia? Nie było XX-lecia PRL, ale XX-lecia.

SW: Nazwy, które Ci się nie podobają?

MK: Reagana, bo Plac Centralny zawsze będzie Placem Centralnym. Nie ma dwóch zdań.

SW: Do którego piłkarza porównałbyś Nową Hutę? Jaki piłkarz oddaje charakter Nowej Huty?

MK: Pierwsze pomyślałem o Bońku. Dlaczego Boniek? Przebojowy był, ale jak to z Hutą połączyć? Przebojowy, nie odpuszczał… i może Huta też jest uparta, dopomina się o swoje.

SW: A jakim zwierzęciem jest Huta?

MK: Jakimś połączeniem kilku. W nocy podobna do hieny może, a w dzień łagodna jak baranek.

twarz, którą pamiętam

SW: Twarze osób, które w Nowej Hucie szczególnie zapamiętałeś. Co w nich było szczególnego?

MK: Pamiętam ze szkoły, z podstawówki, jedną panią. Chodziła zawsze na czarno i jak tylko się coś tam zrobiło, to brała za włoski przy uchu, tam, gdzie najbardziej bolało, i ciągnęła. Zdenerwowała się na kogoś i „chodź tu, chodź tu!”, i wyciągała. Miała z nami zastępstwa i na przerwach też łapała.

SW: A sąsiedzi, sąsiadki?

MK: Sąsiada. Nie pozwalał nam grać w piłkę przed blokiem, bo miał swój ogródek zrobiony przed oknem. Oczywiście dostał przezwisko Fasola. I od razu z nim wojna. Tu nasyłał nam jakąś straż miejską, darł się, że mu do ogródka piłka wpada, tu się skarżył, dzwonił do administracji. Jak graliśmy znowu z boku bloku, na trzepaku, to piłka obijała się o ścianę bloku, to następny, że mu przeszkadza. Miał taką fryzurę zaczesaną do tyłu i wyglądał groźnie. On był starszy i dostał przezwisko Lucyfer. Tak był zaczesany, że mu się włosy układały w rogi.

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

SW: Znasz Cyganów albo Greków mieszkających w Nowej Hucie?

MK: Ta część osiedla, gdzie mieszkają Cyganie, nazywa się Kamerun.

KI: A Cyganie ciągle jeszcze robią imprezy, na boisku ogniska palą i z gitarą śpiewają. Nie wiem, czy byś mógł się dołączyć, ale są.

MK: Osobiście nie znam, ale widzę Cyganów. Są złe skojarzenia. Chodzą z dywanem, niby, że go chcą sprzedać. Zawsze mi mama mówiła, nie otwieraj drzwi… Skojarzenia, że coś mogą oszukać, okraść. A ostatnio Cygan chodził i proponował antywłamaniowe drzwi (*śmiech*). Chodziło też dwóch facetów z jedną babką i jajka sprzedawali. W trzy osoby chodzą i mają paletę jajek, dziwne.

SW: Gdyby stworzyć portret pamięciowy Nowej Huty, to junak czy kobieta pracująca?

MK: Jak się mówi: Nowa Huta, to ona, kobieta.

SW: Rysujemy portret pamięciowy. Kobieta, lat…

MK: Młoda. Młoda kobieta.

SW: Karana?

MK: (*śmiech*) Młoda kobieta, i ciałem, i duchem.

SW: Czy jest piękna?

MK: Tak, piękna. Bardzo piękna. Niektórzy nie dostrzegają jej piękna.

SW: To piękno wewnętrzne? Takie piękno, którego nie można dostrzec na pierwszy rzut oka?

MK: O, właśnie, trzeba się przyjrzeć bardziej, żeby zobaczyć. Trzeba poznać. Piękna też jest w ogóle. A to piękno się jeszcze bardziej odkrywa, jak się ją coraz lepiej poznaje.

materia

Materia

SW: Co to jest materializm historyczny? Z czym Ci się kojarzy?

MK: Materializm historyczny to… (*śmiech*)… historia w wydaniu szkolnym. Od razu mi się kojarzy z materią i z fizyką.

SW: A jakie materiały pamiętasz z dzieciństwa? Jakiś Ci utkwił w pamięci?

MK: Piłka, pamiętam, taka śmieszna była, bo wiązana. Nie była cała, jak teraz są piłki, że się napompuje i już jest. Widać było balon i żeby ten balon nie wychodził, to tak jak buta się wiązało – sznurówką. To było kupione u ruskich. Była lekka, nie zawsze dochodziła do celu, ale się grało, nie przeszkadzało.

SW: To ona się musiała nierówno toczyć?

MK: Różnie to było. I jeszcze moja pierwsza piłka. Wpadła pod samochód. Zapamiętałem, że to była syrenka. A piłka biedronówka. Pierwsza piłka, syrenka jechała i strzeliło.

SW: A pierwsze korki, pierwsze buty?

Buty → Marianna Zając, Waldemar Cichy, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

MK: To były takie zwyczajne trampko-korki. Były produkowane przez Stomil z takiej zwykłej gumy. Jeszcze buty Fabosy. Były toporne, miały dramatycznie twardą skórę, strasznie niewygodne.

Charakterystyczne, stare dresy „Hutnika". Barwy klubu są biało-błękitno-niebieskie, a my mieliśmy barwy kawy z mlekiem, wyglądały jak z lat 60. Byliśmy w nich nawet w Francji.

Pamiętam smak misi ze śmietaną. To u babci, jak byliśmy na wiosce, to robili te misie. Ta wioska jest zaraz za Hutą, jak się jedzie na Proszowice, Prusy.

Czas, barwa, dźwięk

SW: Moda w Nowej Hucie? Były jakieś charakterystyczne okresy? Co się zmieniło?

MK: Mówi się, że Nowa Huta to

wioska olimpijska.

Dlaczego? Bo wszyscy chodzą w dresach.

Jest dużo dresiarzy. Dawniej było strasznie dużo flejersów. To był *boom* straszny.

SW: Czy dresiarza, blokersa, można rozpoznać po ubiorze?

MK: Niekoniecznie, bo mówi się, że jak emeryci siedzą, to też są blokersi, bo siedzą przy bloku (*śmiech*). Przesiadują na tej ławce przed blokiem.

Praca

SW: Czy zawodowe uprawianie sportu to też zużywanie materii?

MK: Mówią, że sport to zdrowie. W każdym sporcie może być kontuzja. Gramy w szachy,

wkurzę się, wezmę pionek, rzucę w kogoś i też będzie kontuzja. Każdy sport ma jakieś tam ryzyko.

SW: A w piłce to chyba wyjątkowo dużo, bo jest dużo kontaktu nożnego?

MK: Przeważnie skręcenia kostek, źle się skoczy, źle się spadnie i dużo z mięśniami – naderwania, naciągnięcia, i oczywiście kolana, naderwanie wiązadeł… widziałem kolegę, jak kolano miał z boku.

SW: Czy po tym masz jeszcze siłę po treningu, żeby robić coś innego?

MK: Można coś robić. Ale po meczu czujesz się zmęczony, jeszcze jak 30ºC, słońce świeci, to już w ogóle nie chce Ci się nic.

SW: Jakie masz sposoby na regenerację?

MK: Dużo pić i leżeć. Ja muszę mieć przynajmniej godzinkę.

SW: Jak długo w sporcie można być aktywnym?

MK: Różnie może być. Kontuzja przerywa. A bez kontuzji do trzydziestu paru lat. Od trzydziestki, jak trójka na przodzie, znaczy, że już sportowiec jest starszy. Mówi się: doświadczony.

SW: W wieku trzydziestu lat jest już „doświadczony" i kończy grę?

MK: Jeszcze grają dłużej. Zależy, bramkarz może grać najdłużej, mówi się, jak wino, im starszy, tym lepszy. Inni też, nie przeszkadza jak ktoś ma 35 lat i jest dobry, to dlaczego ma nie grać. Nawet 37, 39, jak ma zdrowy organizm. Ktoś może w wieku 35 lat biegać lepiej niż ktoś, kto ma 28. Ale przeciętnie gra się do 35 lat.

SW: A co się robi po odejściu ze sportu?

MK: Tak się dzieje, że ktoś w pewnym wieku mówi: ja już nie potrzebuję, już nie daję rady, odstawiam. I zajmuje się… nie wiem… właśnie, trzeba coś mieć. Ktoś np. zostaje trenerem. Nasz trener jest byłym zawodnikiem. Po prostu kontuzja kręgosłupa uniemożliwiła mu w wieku dwudziestu kilku lat kontynuację gry i został trenerem. Od najmłodszych, młodszych juniorów, aż wreszcie przyszedł czas na seniorów. Tak po kolei. Jeszcze jak byłem mały, to on też mnie prowadził. Można pozostać w sporcie jako trener albo grać w niższej lidze, zostać komentatorem, dziennikarzem.

SW: A Ty byś chciał coś takiego kiedyś robić?

MK: Chciałbym. Już mam „Instruktora Piłki Nożnej" po to, żeby się czymś kiedyś zająć. Ale można też mieć hurtownię i guziki sprzedawać (*śmiech*).

SW: Hasło: odpady, hałdy, wysypiska. Widziałeś je w Nowej Hucie? Jak wyglądały?

MK: Hałda. Chciałem ją odwiedzić, niestety nie wpuszczono mnie na ten teren. W Pleszowie jest bardzo duża, powoli znika, w którymś roku ma całkowicie zniknąć, bo te odpady są ładowane w drogi itd., zużywane ponownie. Chciałem ją zobaczyć, bo w opisie przeczytałem, że wygląda jak księżycowy krajobraz.

SW: Hałdy jedna rzecz, a druga to śmieci i wysypiska? Widziałeś takie miejsca w Hucie?

MK: Naprzeciwko bramy, jak się wchodzi do Kombinatu, jest taki lasek między Zalewem a Hutą, i tam hutnicy, a może mieszkańcy pobliscy, w lesie piją po prostu. Tam jest strasznie dużo, śmieci, puszek, papierków…

Twarz, którą pamiętam

SW: A widziałeś ludzi grzebiących w śmietnikach, żyjących ze sprzedaży złomu itp.?

MK: Widzę, w bloku koło śmietnika, już nawet poznaję te osoby po twarzach. Chodzą, najczęściej z siatkami. Kobietę taką kojarzę. Chodzi z dwiema siatkami zawsze. Takie siatki z PRL-u. To starsza kobieta. Nie przyglądam się za bardzo. W chusteczce chodzi.

SW: Dużo jest takich ludzi w Nowej Hucie?

MK: Ja widzę często, u siebie na osiedlu przynajmniej.

SW: Wielu ludzi ma działki w Hucie?

MK: Tak. My też mamy działkę w Hucie, na obrzeżach, ale w granicach Huty.

SW: Regularnie tam bywasz?

MK: Nie, już teraz nie, nie ma czasu. Ale dawniej, jak jeszcze do podstawówki chodziłem, to rodzice coś ciągle robili, sadzili na działce i to się później sprzedawało w Bieńczycach, na placu. Cukinie, koperek, marchewkę. Ostatnio coś z Kasią próbowaliśmy sadzić: słoneczniki i kwiaty. Jedna porzeczka przyjęła się. Dała trzy czarne porzeczki. Nie zrywałem nawet. I pigwa, te żółte kulki.

KI: To się wciera zamiast cytryny do herbaty.

MK: Trzeba było przekopać trochę i nasionko wrzuciliśmy, niech rośnie. Był taki okres, że ogórki były strasznie tanie, nie opłacało się sprzedawać, wtedy w domu słoików z ogórkami było tyle, że nie dało się zjeść.

fot. Marcin Klag

czas, barwa, dźwięk

SW: Jakie jest tempo życia w Nowej Hucie? Jak tu upływa czas?

MK: Powoli. Powoli. Spokojnie. Jak się pojedzie do Krakowa, do Rynku, to wszędzie ruch. Jest różnica.

SW: Gdybyś miał określić Hutę jakimś kolorem, jaki byś dla niej wybrał?

MK: Szary. Bo Huta zawsze mi się z tym kolorem kojarzyła. I z zielonym, bo jest dużo zieleni. Szare były szczególnie bloki. Teraz odnawiają osiedla, to się różne kolory pojawiają. Kremowy, brązowy jakiś.

SW: Czy jakiś zapach kojarzy Ci się z Nową Hutą?

MK: Tytoniu. Stacji benzynowej. Może teraz już nie, ale dawniej zawsze było dla mnie wiadome, kiedy cysterna przyjechała. Bo mieszkam w bloku przy stacji. Albo jak się

wyjeżdżało i wracało od babci, to jak się przejeżdżało koło Huty, to czuć było nieprzyjemny zapach.

Zawsze zatykałem sobie nos.

Nie wiem, jak teraz. Dawno nie byłem.

SW: Czy jakieś zapachy pór roku kojarzą Ci się z Nową Hutą? Np. na wiosnę?

MK: Drzewko bzu. Przed blokiem jest dużo białych bzów. Teraz trochę powycinali. A jesienią zapach mokrych liści.

SW: A latem? Sianokosy w Hucie?

MK: Ja nie pamiętam, ale mi tato mówił, że jak się wprowadzili, to dalej już nie było bloków, tylko łany zboża, normalne pola, więc także zapachy wiejskie mogły być.

SW: Dźwięki na boisku?

MK: Jak się mało dzieje, jest cisza. Nam jeszcze nie idzie, początek meczu, marazm. Teksty rzucane z trybun: Graajcieee! Zmień tego a tamtego! Albo, jak stracimy bramkę, już są hasła pojedyncze rzucane. Kibice nic wtedy nie śpiewają, i jak ktoś ma donośny głos, to go słychać. Różne teksty.

SW: A jak wygrywacie?

MK: Publiczność jest głośniejsza. Jak przegrywamy, to jest mało aktywna, słychać pojedyncze głosy, ale jak idzie dobrze, mobilizuje ich to do śpiewu. Im idzie lepiej, tym więcej śpiewają.

fot. Marcin Klag

SW: Znasz jakieś przyśpiewki, piosenki na temat Nowej Huty?

MK: Pewnie – „O nowej to Hucie piosenka". Refren: „O nowej to Hucie piosenka, o Nowej to Hucie melodia, jest taka piękna i …" – dalszego tekstu nie kojarzę, ale melodia znana. Jest jeszcze jeden zespół, „Kieleckie Scyzoryki", tak się nazywali, a o Nowej Hucie śpiewali. W 1994 r. chyba kupiłem tę kasetę, bo tam jest o Krakowie i o Nowej Hucie. Nie wiem, dlaczego tak się nazywają. Trudno wyczuć. Mam do tej pory w domu: „Nowa Huta – miasto skurwielów…" – że często można spotkać gości w glanach, że można dostać, że tam jest dużo łysych.

SW: To oni są z Krakowa?

MK: O Krakowie śpiewali, że

„Kraków jest stolicą mego kraju, tylko tu mogę czuć się jak w raju"

– taki refren był. To były takie początki hiphopu, rapu w Polsce.

SW: Widziałeś albo słyszałeś może wędrownych grajków, kapele uliczne w Nowej Hucie?

MK: Często było tak, że przed blokiem grali i się rzucało monetę zawiniętą w papierek. Jednakowo byli ubrani, w marynarkach. Dwa lata temu czy w zeszłym roku też się pojawili, już starsi goście, więc pewnie ci sami, co kiedyś. Moja mama rzuciła bilon. Już teraz rzadziej, ale ciągle chodzą.

SW: Wracamy do piłki. Jakie dźwięki towarzyszą meczowi piłkarskiemu – jeszcze w szatni?

MK: Krzyk trenera. Jakaś odprawa jest zawsze przed meczem: jaka taktyka, o przeciwniku, itd. Już jesteśmy przebrani, po odprawie, i każdy się jakoś wycisza. Jeden się może śmiać i nic sobie nie robić, jeden się skupia i myśli, jeden weźmie gazetę i zacznie czytać. Też przed meczem puszczamy sobie muzykę. Ja myślę tylko o meczu.

SW: A potem wychodzisz na stadion i co wtedy słychać?

MK: Oklaski.

SW: A na gościnnym meczu tak samo, czy różnie to bywa?

MK: Wychodzą zawsze dwie drużyny naraz, więc klaszczą. I gwizdek sędziego.

SW: A publiczność?

MK: Zależy od tego, jaki to mecz. Czy derby, czy gramy z drużyną, gdy nie ma ani jednego kibica przyjezdnych. Zależy ilu kibiców jest, czy im się chce, czy jest niedziela, słoneczko świeci i gramy tzw. mecz piknikowy i nikomu nic się nie chce, tylko sobie przyszedł pooglądać, nie chce mu się krzyczeć na przykład. Mecze piknikowe to, można powiedzieć, o nic. Ostatni mecz i nikt nie spadnie, nie awansuje żadna drużyna, tylko o punkty walczymy. Takie mecze się najfajniej gra, bo na luzie.

SW: Jakie dźwięki pojawiają się, kiedy nasi strzelili gola?

MK: Drą się: „Jeeee!”. Tego typu. I przyśpiewki: „Jeszcze jeden!”. Robi się huk, radość, brawa. I serpentyny. Teraz kibice przygotowują całą oprawę meczu, różnokolorowe kartony trzymają w górze, napisy. Jedni maja niebieskie, inni błękitne, inni białe, albo baloniki biało-błękitno-niebieskie. Kolorowe świetlne petardy.

SW: Jakie dźwięki, kiedy ktoś zmarnował akcję?

MK: Jak to nazwać, takie „uuuuu!”, albo cichsze: „k…a!”. Taki pomruk.

SW: A jakie dźwięki słychać, kiedy nam strzelili gola?

MK: Pojawiają się gwizdy jakieś.

SW: A po co się jeździ walcem po murawie?

MK: Żeby wyrównać teren. Kiedyś na „Hutniku” była jedna z lepszych w Polsce muraw, można powiedzieć stół. Murawę trzeba codziennie nawadniać. Jak świeci słońce i jest ciepło, to nawet rano i wieczorem. A jak leją wodę i jest ciepło, to trawa gęstnieje, po prostu nie czuje się nawet tej ziemi, tylko trawę. Wtedy piłka inaczej… nie podskakuje i zdecydowanie lepiej się gra.

SW: Widziałeś w Nowej Hucie ginące zawody? Ostrzycieli noży albo reparatorów pończoch?

MK: Mleczarzy widziałem. Pamiętam ich metalowe wózki na dwóch kółkach. A pończoch nie reperowałem.

SW: Każde miejsce ma swoje typowe dźwięki. A co słychać w Nowej Hucie?

fot. Marcin Klag

MK: Kasia by powiedziała, że karetki słychać i tramwaje. W mojej klatce co mieszkanie, to jakiś pies, normalnie jak zwierzyniec. Mnie sam pies nie przeszkadza, ale jak zostawią go w domu i on mi wyje, a ja muszę tego słuchać przez ileś tam czasu, to się staję naprawdę nerwowy. Wyje, skomle. Na dole był taki pies, co w nocy nawet wył. Tamta babka spała, ja nie wiem jak. Była w domu. Trzeba było walić, żeby się przebudziła i uspokoiła tego psa. Denerwuje mnie jeszcze, jak się zacznie sezon i te samochodziki z lodami. To już jest skandal!

Ja ostatnio rzadko bywam na osiedlu. Bardziej mogę powiedzieć o dźwiękach Na Skarpie. Ale tu nie ma dźwięków. Tu jest taka spokojna okolica i nic się tu nie dzieje.

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio

Czas, barwa, dźwięk

SW: A jakie dźwięki słychać rano, jakie wieczorem?

MK: Rano, na wiosnę, bardzo fajnie mi ptaszki śpiewają. A wieczorem szpaki, o rany, jaki huk! I wtedy się strzela albo klaszcze tak, żeby odleciały. To jakieś okresowe i zawsze o tej samej porze. Piąta po południu i przylatują. Dramat.

SW: Który budynek albo miejsce jest w Nowej Hucie najbrzydsze?

MK: Nie podoba mi się tu blok odnowiony na zielono, groszkowo. Na Ogrodowym. Strasznie to wygląda, mnie się nie podoba. Pistacja bardziej. To tak pstrokato. Za chwilę będzie kawowy, brązowy…

SW: To lepszy byłby odnowiony kolorowy czy stary szary?

MK: Odnowiony na szaro.

SW: Jakiej materii jest najwięcej w Nowej Hucie?

MK: Betonu i zieleni. To się pokrywa z kolorami: szarości i zieleni.

SW: Czy „Hutnik" ma swoją maskotkę albo gadżety?

fot. Marcin Klag

MK: Maskotki nie ma. Ale gadżety są. Długopisy, koszulki, czapeczki, bluzy. Kibice sobie zrobili, tzn. gdzieś zamówili. Dużo szalików.

SW: Jakie są barwy klubowe „Hutnika"?

MK: Biało-błękitno-niebieskie. Może dlatego, że tam, gdzie gramy, była kiedyś woda niebieska. Właśnie te barwy są jedyne w swoim rodzaju, nie ma drugiego takiego klubu, z takimi barwami.

SW: A czy „Hutnik" ma swoją gazetkę?

MK: „Tylko Hutnik" się nazywa. To było co miesiąc, a nie wiem, jak teraz. Ostanie numery to już była zwykła kartka, brak kasy. Sprzedają to na meczu.

SW: Mecz trwa półtorej godziny. Jak płynie czas na meczu?

MK: Trwa od pierwszego do ostatniego gwizdka sędziego. Zależy, czy się prowadzi, czy przegrywa, czy się gra, czy siedzi na ławce, czy z trybun, czy mecz jest ciekawy, szybki, czy nuda. Jak się wygrywa, to powoli leci, chciałoby się jak najszybciej zakończyć. A jak się przegrywa, to czas przyspiesza, strasznie szybko ucieka. Bo się goni, żeby strzelić bramkę, wyrównać, potem strzelić jeszcze jedną. Jak jest ważny mecz, to czas też bardzo szybko ucieka. Bo nie ma przerw, dużo akcji, więcej się dzieje.

Zdjęcia Marcina Kostery i Sebastiana Wacięgi wykonano na stadionie „Hutnika"

Kelnerki z kasyna HiL wraz ze swoją szefową Leoną Motykową – rok. ok. 1970 oraz oryginalne naczynia z kasyna Kombinatu.

fot. arch. Leony Motylkowej

fot. arch. Leony Motylkowej

fot. arch. Leony Motylkowej

Moje wspomnienia budowy Huty im. Lenina

Mój Ojciec dowiedziawszy się, że rozpoczyna się budowa Kombinatu metalurgicznego i miasta Nowej Huty pod Krakowem, postanowił pracować w Hucie im Lenina. Był to rok 1949, pracował przy betonowaniu wykopów pod Kombinat. Mieszkał z innymi pracownikami w barakach w miejscowosci Ruszcza i do tych baraków sprowadził całą swoją rodzinę, ponieważ osiedli miasta Nowej Huty jeszcze nie było, na tych terenach była jeszcze produkcja rolna i gospodarstwa domowe.

Pracownicy z Ruszczy byli dowożeni do pracy samochodami ciężarowymi, wywrotkami, a także doprowadzani przez Milicję, Ormo, gdyż rolnicy broniąc swojej ziemi, napadali na robotników dochodzących do pracy, nie chcieli dopuścić do budowy Kombinatu na swojej ziemi.

Ja w wieku 16-17 lat pracowałem także z Ojcem przy betonowaniu fundamentów pod różne budowy i hale. Praca była bardzo ciężka i w trudnych warunkach w błotach gdzie nogi wpadały po kolana (gumiaki zostawały w błocie) Ziemi z wykopów była wywożona wywrotkami, oraz kolejkami wąskotorowymi na wysypiska, jak również po tych torach jeździły t. zw. koleby gdzie się ładowało łopatami ziemię w te koleby i były pchane przez ludzi na

wysypiska. Następnie pracowałem z Ojcem przy wykopach i betonowaniu fundamentów pod piece Martenowskie. Ojciec mój razem ze swoją grupą w której ja także pracowałem, wyrabiali wysoką normę za co został odznaczony orderem budowniczego Nowej Huty.
Dla mnie jako młodego pracownika, praca ta była bardzo ciężka nie dorównywałem pozostałym pracownikom na dowód załączam zdjęcie z tej budowy.
Kierowcy pracujący przy tejże budowie widząc moją ciężką pracę namówili mnie abym ukończył kurs kierowcy w Nowohuckim Przedsiębiorstwie Transportowym. Po ukończeniu tegoż kursu jeździłem traktorem Ursus dowożąc różne materiały do budowy Kombinatu, oraz cegłę na budowę pierwszego Osiedla mieszkaniowego Nowa Huta Osiedle A-1.
Na tym osiedlu pierwszy blok dwupiętrowy był przeznaczony dla Romów i tam mój Ojciec wraz z rodziną zamieszkał. Bloki były wyposażone tylko w wodę zimną i piece do palenia i ogrzewania drzewem. Ponieważ były trudności z opałem, mieszkania dewastowano, podłogi i drzwi wewnętrzne były brane na opał.
Połączenia komunikacyjnego N. Huta - Kraków nie było. Ludzie do pracy byli dowożeni ciężarówkami, wywrotkami, jedyne połączenie

Kraków wieś Mogiła był pociąg osobowy, a później i transport towarowy.
Transport przeładunkowy mieścił się na terenie obecnego placu Centralnego Nowej Huty gdzie można było po godzinach pracy dodatkowo pracować przy rozładunku wagonów towarowych i dodatkowo zarobić
Sklepów jako takich jeszcze nie było, natomiast były stawiane kioski zaopatrujące w żywność.
Dopiero w późniejszym terminie budowy bloków parter był przeznaczany na różnego rodzaju potrzebne placówki handlowe.
Po kilku latach pracy w Nowohuckim Przedsiębiorstwie transportowym na ciągniku Ursus zacząłem odczuwać bóle żołądka przeniosłem się do pracy do Przedsiębiorstwa Geodezyjnego dowożąc geodetów do pracy na Kombinat do różnych hal budowanych.
Wieczorami uczęszczałem do Szkoły Muzycznej i ukończyłem Szkołę Podstawową Muzyczną.
Grałem w Zespole Krakowskim „Roma" jak również innych Zespołach muzycznych w nocnych restauracjach. Ostatnie 12 lat grałem w Zespole „Centusie". Obecnie prowadzę Zespół Emerytów i Rencistów w Hucie przy Klubie „Miraż" osiedle Bohaterów Września.

fot. Anna Miodyńska

Augustyn Mirga

Augustyn Mirga przyjechał do Nowej Huty w 1949 r. wraz z rodzicami i rodzeństwem. Jego ojciec, słowacki Rom, wcześniej trudnił się kowalstwem w Łapszach Niżnych. Rodzina zasiliła liczną romską społeczność, której asymilacja w pokazowym socjalistycznym mieście miała przebiegać również pokazowo. Utalentowany muzycznie nastolatek szybko poznał blaski i cienie tej asymilacji. Muzyka pomagała mu przetrwać lata ciężkiej pracy, potem była dodatkowym źródłem dochodu, a w ostatnim okresie stała się pociechą w chorobie.

Pamięć Pana Augustyna przechowała kadry rzadko przywoływane przez historyków Nowej Huty: rozróby w „Gigancie", dancingi w „Arkadii" i kapele podwórkowe grające między blokami. To te oblicza Nowej Huty, które należą już do przeszłości, podobnie jak awangardowi artyści i ich pracownie na nowohuckich osiedlach.

Muzyka w jego opowieści jest zawsze na pierwszym planie; dzięki niej gdzieś w tle łagodnieje obraz wszystkich złych doświadczeń. Pan Augustyn grał przez wiele lat w kapeli „Centusie", a obecnie prowadzi śpiewaczy zespół seniorów „Lajkonik".

fot. Monika Szmyt

Rozmówca: Augustyn Mirga

Prowadząca rozmowę: Anna Miodyńska

Chłopak z gitarą

Gitara → Niki Wiecheć, Lech Miodyński

AM: Jak to jest u Pana z tą gitarą?

AuM: Moja pierwsza żona to się po prostu bała, że od tej gitary dostanę fisia.

AM: Znaczy, że ciągle Pan grał?

AuM: Nie było wolnej chwili, ciągle.

AM: Kiedy pan zaczął grać? Kiedy dostał Pan pierwszą gitarę?

AuM: Sam sobie kupiłem. Ale od początku to było tak… trudno teraz po kolei sobie przypomnieć…

Jak napisałem w swoim życiorysie, do Mogiły [z Ruszczy – AM] chodził pociąg, a ja chodziłem do szkoły w Mogile, tam naprzeciw „Hutnika". Szedłem ze szkoły i szedł facet torami, a ja za nim. Facet szedł sobie, grał i śpiewał, i tak mi się to strasznie spodobało… Strasznie chciałem tak grać. Od tej pory zacząłem szaleć za gitarą. Ale mój ojciec był, tak można powiedzieć, ostry i chciał, żebym ja grał na akordeonie. Ale ja chciałem na gitarze i nawet kłopoty z tego miałem ze strony ojca. Nawet do ubikacji z gitarą chodziłem.

AM: Grał Pan ze słuchu czy z nut?

AuM: Z nut też, ale nuty szybko poszły w kąt. Ja zawsze wiedziałem, że człowiek, który gra z nut, nie jest dobrym artystą. Dam Pani przykład: w „Centusiach" [kapela, w której grał Pan Augustyn, styl miejsko-podwórkowy – AM] był akordeonista, który zawsze musiał mieć nuty. Ale raz mu te nuty spadły z pulpitu i przerwał granie. A to było na występie, na dożynkach w Kłaju. Tak, dla mnie to gitara była wszystkim…

AM: Jakich ludzi Pan zapamiętał szczególnie z czasów swojej młodości?

AuM: Powiem pani taką rzecz, ten facet [Pan Augustyn pokazuje zdjęcie 4-osobowej kapeli „Centusie"] grał 20 lat w operetce, a potem 10 w filharmonii. Na emeryturze przyszedł do nas grać. Na kontrabasie i skrzypcach. I on mi powiada: przyjdź na próbę naszego zespołu (w klubie seniora), bo im powiedziałem, że przyprowadzę gitarzystę, co cały wasz koncert zagra ze słuchu, bez nut. No i przyszedłem, i co zaczynali śpiewać, to grałem.

A był tam akordeonista ślepy,

Piotr Kubiszewski, i on, cwaniaczek, zaczął mnie próbować: zaczął w c-moll, ja za nim, potem z c-mollu wchodzi na F – ja za nim, potem znów zmienia, a ja za nim. I tak w kółko. On potem podobno nic na mnie nie mówił, a na wszystkich innych narzekał, nawet na tego z filharmonii.

fot. arch. Augustyna Mirgi

AM: To ja mam takie pytanie: Pan grał z różnymi muzykami, który z nich był najlepszy?

AuM: O, proszę Panią, tyle ich było…

AM: Ale mi chodzi o jednego, nawet nie o talent, ale osobowość. Duszę w graniu.

AuM: Był akordeonista, mówili na niego Bubuś, bo był malutki, grał z nami w Centusiach. Bardzo dobry muzyk. Ale wpadł pod pociąg i ucięło mu rękę. Był też saksofonista w Arkadii, i skrzypek, z którym grałem, wujek znanego Gustka Gabora. Kiedy trzy palce od grania mu sztywniały (mnie też już się zaczyna to dziać) i grał jednym palcem, to nikt się nie zorientował, że jeden palec gra. I on miał cechę wielkiego muzyka – jak ktoś z nim grał, a grał źle, to on go nie poniżał. Andrzej Gabor się nazywał – jego z filharmonii przychodzili słuchać. Są muzycy, którzy złośliwie pouczają tych gorszych. A Gabor był bardzo delikatny. Ale akordeonista i gitarzysta zwłaszcza musieli u niego czysto grać, i on wystarczy, że spojrzał. Ja też mam tę metodę – jak ktoś u mnie fałszuje, to wystarczy, że spojrzę, ale nie przerywam. Dopiero jak skończymy śpiewać, to wtedy mówię, co było źle.

Absolutny słuch

AM: Ale „Lajkonik" [zespół, któremu szefuje Pan Augustyn] dobrze śpiewa…

AuM: Ale coś takiego zaobserwowałem, ciekawa rzecz, bo nigdy się wcześniej z tym się nie spotkałem. Zawsze stoję przed zespołem albo z boku. A raz stanąłem na koncercie w rzędzie z nimi i tak fałszowali potwornie, bo nie słyszeli mojego głosu.

AM: Musi Pan mieć absolutny słuch…

AuM: Tak też uważa mój zespół. Mam w zespole 9 osób, oni śpiewają i ja też. Ale słyszę, jak kto robi błąd.

AM: To nie mają z Panem łatwo?

AuM: Ja nie jestem ich kierownikiem, jestem ich przyjacielem. Ale też wiedzą, że jak coś powiem, to musi być wykonane. Jak ktoś fałszuje, to ja to wiem, choć nikt inny nie wie. I wystarczy, że znacząco spojrzę.

AM: Czy ktoś z Pana rodzeństwa miał też taki słuch?

AuM: Tak, brat. To wybitny akordeonista był. Poza tym brat na skrzypcach i jeden na kontrabasie, ale ten od skrzypiec za wcześnie frazę kończył. Całe życie mu tłumaczyłem, ale do śmierci nie zrozumiał, że nierówno gra…

AM: A ojciec?

AuM: Podobno tam na Słowacji grał na kontrabasie – ale czy to prawda jest…

AM: Dawniej po osiedlach chodziły kapele podwórkowe i cygańskie. Pan też chodził?

AuM: Tak, z „Centusiami". Jak nie mieliśmy występów, to chodziliśmy po osiedlach.

AM: Jak to było z Pana edukacją muzyczną?

AuM: Do szkoły muzycznej przymusił mnie ojciec. Szkoła mieściła się w Domu Kultury na Willowym, chodziłem tam 2 lata, początkowo na akordeon, ale ciągnęło mnie do gitary i nauczyciel, widząc to, zmienił mi instrument. Byłem też w zespole pieśni i tańca oraz grałem w teatrze – za murzyna. Potem szkoła, a właściwie ognisko muzyczne, przeniosło się na Centrum B, a miejsce szkoły zajęła poczta. Chciano mnie posłać dalej do średniej szkoły na fagot, bo filharmonii krakowskiej fagocistów brakowało, ale mnie fagot nie interesował.

pojawiły się korzenie

AM: A praca w Hucie?

AuM: Jako 16-latek zacząłem pracę wraz z moim ojcem na Kombinacie. Mieszkaliśmy wtedy w barakach w Ruszczy, Nowej Huty jako miasta wtedy nie było – tylko pola uprawne. Zaczęto wywłaszczać ludzi. Pierwszą budową były wielkie piece. Z Ruszczy dowożono ludzi na Kombinat. Ojciec pracował jako betoniarz przy wykopach – został za to odznaczony Medalem Budowniczego Nowej Huty. Pracowałam początkowo w ekipie ojca, ale to była za ciężka praca dla mnie, zwłaszcza przy kolebach, gdzie ładowało się ziemię łopatami, 2-3 kubiki ziemi. Tę ziemię podawało się jeden drugiemu z wykopu, kolebę pchało się po szynach na wysypisko. Ciężka praca. Ktoś namówił mnie na kurs kierowców. Na początku jeździłem ciągnikiem, ale bolał mnie żołądek od wstrząsów. Potem przeniosłem się do geodezji i tam jeździłem. To w dzień, bo wieczorami graliśmy w knajpach. Najpierw grałem w „Gigancie". Potem przenosiliśmy się z jednej knajpy do drugiej. Grałem też w zespołach cygańskich, 12 lat grałem w „Centusiach", a teraz od 2 lat prowadzę zespół emerytów „Lajkonik".

Ziemia → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec

AM: Dlaczego „Gigant" tak zszedł na psy? Rozróby, pijaństwo…

AuM: Bo ludzie zaczęli więcej pieniędzy zarabiać i każdy myślał: co to nie ja! Jak „Gigant" zlikwidowano, to zaczęliśmy grać w innych lokalach i znów było fajnie.

AM: Tak, „Arkadia" już była eleganckim lokalem…

AuM: Nie było już takich bójek, to znaczy były, ale nie takie, jak w „Gigancie"… Ale do czego zmierzam: lata 60. i 70. zbliżyły do siebie ludzi w tej Hucie. Już wszyscy dostali mieszkanie, już w tych rozumach ludzkich było to, że osiedliliśmy się tu na stałe, pojawiły się jakieś korzenie u tych, co ze wsi przyjechali. Zaczęli się odwiedzać, a nawet pomagać sobie. Pamiętam, że jak ktoś ze wsi przyjeżdżał i mięso przywoził, to zaglądał do sąsiadów i pytał, czy nie chcą kupić.

AM: A jak Pan sobie radził z pracą i graniem w lokalach? Jak Pan rano wstawał do pracy?

fot. Monika Szmyt

AuM: Mnie wystarczyło pięć godzin snu…

AM: Poważnie?

AuM: Człowiek jak był młody, to inaczej na świat patrzył. Ja zresztą nigdy spać nie lubiłem, nie rozumiem, jak ludzie śpią tak do dziesiątej, jakbym tak spał, to byłbym chory. Ja 25 lat w Przedsiębiorstwie Geodezyjnym pracowałem i nawet pięciu minut spóźnienia nigdy nie miałem. Byłem zawsze w pracy przed innymi kierowcami. Teraz też, prowadzę zespół i zawsze jestem pół godziny wcześniej. Niepotrzebnie… Czasem w lokalu, gdzie grałem, zdarzały się imieniny kierownika albo kierowniczki. Wtedy jak się coś wypiło, to trochę ciężej było wstać. Poza tym nam,

muzykom, nie wolno było pić w pracy,

nawet jak ktoś z gości stawiał, to kelner mówił, żeby raczej dać butelkę na wynos, bo tak, to nam pić nie wolno.

fot. arch. Augustyna Mirgi

Kapela Pana Augustyna Mirgi, lata 50., gospoda w Czyżynach

Z dzienników terenowych

luty

Czym jest dla mnie NH? Białą plamą na mapie mojego umysłu. To przede wszystkim Plac Centralny, otoczony morzem osiedli. Jest tam jeszcze Kombinat, który powstał, jak cała dzielnica, aby „osłabić" inteligencki Kraków. Pamiętam o tym rodowodzie, choć wiem, że nie ma on już większego znaczenia. Współcześnie politykę i historię można zostawić na boku i spojrzeć na nie taką nową, ale pięćdziesięcioletnią Hutę z perspektywy „zwykłych" ludzi, którzy w niej mieszkali i mieszkają, ludzi, którzy widzieli jej powstanie od pierwszych cegieł, i ludzi młodszych, żyjących w niej współcześnie. (SW)

Konie → Mateusz Kardas, Marianna Zając, pp. Skomorowscy, Franciszek Szafraniec

Ucieczka → Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Marianna Zając

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

AM: Jak Romowie zadomowili się w Nowej Hucie?

AuM: Pierwsze osiedle to Willowe zbudowano, gdzie blok 13 był cały romski. To byli ludzie kiedyś wędrowni, ale nie wszyscy – ci z gór, jak moja rodzina, nie wędrowali. Ojciec w Łapszach Niżnych był kowalem. Tamci wędrowni Romowie byli łapani przez milicję, sprzedawano ich konie i wozy, i w zamian dawano mieszkania. Musieli jakoś w piecach palić, a drewna nie było – więc palili podłogi i drzwi. Wielu nie potrafiło się przyzwyczaić i uciekło z Nowej Huty. Ci Romowie z gór dobrze się zaaklimatyzowali, zwłaszcza ci, co się potem tu urodzili.

Przyjechałem do Huty jako 9-latek. W barakach w Ruszczy nie było dzieci, prawie wyłącznie samotni, mało rodzin. Nudziłem się. A ci, co byli, ludzie ze wsi, czasem byli uprzedzeni do Romów, nie pozwalali się dzieciom bawić z Cyganami.

Ale na Willowym byli i dobrzy sąsiedzi. Jedna rodzina zapraszała mnie do siebie

i uczyłem się modlić z ich dziećmi.

Nie chciało mi się, ale nie wypadało się modlitwy nie nauczyć, bo potem odpytywali. Na dobre mi to chyba wyszło.

Jak miałem 42 lata i jeździłem jako kierowca w Hucie Katowice, zrobiłem zawodówkę mechaniczną. Myślałem o technikum, ale zacząłem chorować.

AM: Jaka była Pana rodzina, sąsiedzi?

AuM: Mieliśmy różnych sąsiadów na Willowym, zbieranina z całej Polski. Była tam rodzina, co handlowała psim mięsem, ale jak się wydało, musieli się wynieść, bo nie mieli już życia wśród sąsiadów. Ale w sumie dobrze się mieszkało – moi bracia też po szkołach muzycznych: akordeon, kontrabas, gitara. Granie było dobrą odskocznią od pracy.

Pamiętam oczywiście ojca, był apodyktyczny i lubił zjeść i wypić. Mama i dzieci głosu nie mieli, decyzje ojca były jedynie słuszne. Jeśli ktoś się nie zgadzał – przemawiał do niego pas. Ojciec nauczył mnie uczciwości. Jak raz ukradłem jajko, to tak mnie zbił, że już nic nigdy nie ukradłem. Może to źle, bo ci, co kradli, mają, a ja nie. Mam 780 zł renty, ale się cieszę, bo inni i tego nie mają.

AM: Gdzie Pan mieszkał w Nowej Hucie?

AuM: Mieszkałem na Willowym, potem z żoną na Ogrodowym u brata, jako sublokator. Ciasno było, bo jeden pokoik. Napisaliśmy o przydział mieszkania, ale okazaliśmy się za bogaci, o 5 zł przekroczyliśmy. Bo z początku to było tak, że Romowie dostawali mieszkania za darmo od Dzielnicowej Rady. Ale potem, jak spółdzielnie powstały, to nas przerzucili do spółdzielni Hutnik. Dużo mi pomogło przedsiębiorstwo, w którym pracowałem. Dostałem najpierw mieszkanie na poddaszu, na tarasie bloku 15 [os. Jagiellońskie – AM].

AM: A tam się fajnie mieszkało? Bo ja zawsze chciałam tak mieszkać, na takim dachu bloku.

AuM: Bardzo fajnie! W niedzielę cały dzień na tym tarasie można było, stolik, kawa… Ale wie Pani, nie było widać, co się dzieje na dole.

AM: A po co Panu widzieć, co się dzieje na dole?

AuM: Widać było tylko centrum i Kombinat, a co pod blokiem, to nie. No i rozkład tego mieszkania niedobry. Bardzo mała kuchenka, bo to wcześniej była suszarnia. Spółdzielnia potem chciała nam zamienić to mieszkanie, proponowali dwa pokoje z kuchnią, ale to za drogo było. I tak mamy jeden pokój z kuchnią. Niby starczy dla dwóch osób, ale jestem schorowanym człowiekiem i drugi pokój by się przydał czasem. Można zamienić na większe, ale to są koszty. Rentę mam małą, bo choć dobrze zarabiałem to rentę nalicza się od gołej pensji, a ta była mała. No i za młodu to nawet jak człowiek dobrze zarabiał, nie myślał o starości. A teraz mam pierwszą grupę. Od kardiologa wczoraj wykupiłem przepisane lekarstwo – sto złotych…

AM: Z tego, co Pan mówi, to najlepsze lata dla Huty to 50. i 60. Interesuje mnie, jak się wtedy Hutę budowało. Jaka była atmosfera na tych budowach i na ile rzetelnie te domy wtedy stawiano?

AuM: Jeśli chodzi o budowę Nowej Huty z cegły, bo jeździłem jako kierowca w Nowohuckim Przedsiębiorstwie Transportowym, obecny Transbud. Miałem kursy do Zesławic, tam jest cegielnia i tam woziłem cegły ciągnikiem z trzema przyczepami. Ten Ursus nazywano bombowcem, zapalało się go kierownicą i przez cały dzień silnik jego chodził. No i ta

Cegły → Niki Wiecheć, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń, Marianna Zając

fot. arch. Augustyna Mirgi

Augustyn Mirga w latach 50. w Pleszowie

cegła była idealna.

Bloki budowane z cegły były stawiane przez murarzy fachowców, nie było jeszcze wtedy takiego dziadostwa budowlanego. Byli tacy wybitni majstrzy budowlani, że za byle jaką robotę potrafili kopnąć w tyłek i wylać z pracy. Tak były stawiane bloki w starej Hucie, te nowe to już dziadostwo.

AM: No, jak na moim osiedlu: pomieszanie płyty z cegłą i supremą…

AuM: Nawet mówiono, że jak będzie trzęsienie ziemi, to one się od razu rozpadną.

AM: A skąd się wzięło dziadostwo budowlane?

AuM: Spieszyli się. Taki blok z wielkiej płyty szybko stawiali, ale długo trwała wykończeniówka. Usprawniali te wielkie płyty, ale to już nigdy nie było to, co cegła. Mówią, że ludzie, jak się do tych wielkich płyt przeprowadzali, to chorowali.

fot. arch. Augustyna Mirgi

Brygada budowlana, w której pracował Pan Augustyn Mirga

AM: A podłogi?

AuM: Na Willowym były podłogi z desek.

AM: A potem zaczęto kłaść te płytki PCV, brzydkie, ale dobrze się trzymały…

AuM: Eee, u mnie już dwa razy były wymieniane…

AM: Jestem ciekawa, jak to z komunikacją w latach 50. było?

Dworzec → Lech Miodyński, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy

AuM: Stacja końcowa pociągu była w Mogile i tym pociągiem się do Krakowa z Huty jeździło, potem przystanek autobusowy przed pocztą na Willowym zrobili, wtedy już pociąg nie był potrzebny i linie skrócili. Stacja przeładunkowa jeszcze potem jakiś czas tak trochę za Placem Centralnym była, tak jakby koło dzisiejszego kina „Światowid".

AM: Już nie ma kina, meble tam teraz są…

AuM: No tak, tam stacja była i na rozładowywaniu i załadunku wagonów można było trochę zarobić.

AM: Jak długo ten pociąg jeździł?

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

AuM: Wie Pani, nie pamiętam dokładnie, ale jak Plac Centralny już był, to jeszcze ten pociąg jeździł, jeszcze te tory są gdzieniegdzie.

AM: A tramwaj kiedy pierwszy pojechał?

AuM: Dokładnie nie powiem, ale wcześnie, zaraz po autobusach. Jak te autobusy zaczęły jeździć, to drogi były takie wiejskie jeszcze, kurzyło się jak diabli. Potem dopiero położono kostkę i środkiem tej brukowanej drogi szedł tramwaj. Potem wyasfaltowali.

AM: Dziękuję za wszystko, co mi Pan powiedział. Wyłączam dyktafon, ale chciałam jeszcze zapytać…

Z zielnika Łąk Nowohuckich

ŻYWOKOST LEKARSKI

Okłady przy złamaniach i stłuczeniach

Wyciągi z korzenia żywokostu lub alantoina są składnikami kosmetyków poprawiających stan skóry oraz past do zębów. Roślina miododajna. Żywokost w ilości 10% jest dodawany do karmy młodych zwierząt gospodarskich w celu pobudzenia ich wzrostu. Dodaje się go także do karmy kur, co zwiększa ich nośność i wpływa korzystnie na wybarwienie żółtek jaj.

(AZ)

Z zielnika Łąk Nowohuckich

JASNOTA BIAŁA

Jasnota jest byliną na pierwszy rzut oka przypominająca pokrzywę, lecz nie parzy. Stad zapewne wzięła się jej druga nazwa – głucha pokrzywa.

Znana była już w XV wieku. Wspominają o niej Dioskorides, Lonicer i Matthiolus. Wykorzystywano nie tylko jej właściwości lecznicze, ale i barwiące – z ziela otrzymywano barwnik żółty. Do celów leczniczych służą głównie kwiaty. Suszy się je w temperaturze nie przekraczającej 30°C.

(AZ)

Z zielnika Łąk Nowohuckich

SKRZYP BŁOTNY

Nie ma kwiatów, tylko zarodniki. Medycyna ludowa uważała skrzyp za cenny lek w przewlekłych zapaleniach oskrzeli, a także polecała go do płukania ust i gardła w stanach zapalnych lub do pielęgnacji włosów w przypadkach łysienia. Cyganie używali skrzypu jako leku przeciw padaczce.

(AZ)

fot. Antoni Łapajerski

Franciszek Szafraniec

Pana Franciszka Szafrańca poznałem latem 2004 r., gdy szukałem najstarszego mieszkańca Mogiły. Zaskoczyło mnie, że mimo swojego podeszłego wieku, był w znakomitej formie. W czasie kilku spotkań, jakie z nim odbyłem, zawsze był pogodny i dowcipny. Niepojęte było dla mnie, że pamiętał jeszcze tyle szczegółów ze swojego barwnego życia.

Z zawodu listonosz, z zamiłowania muzyk. Przed wojną grał w orkiestrze strażackiej w Mogile, w orkiestrach w Bieńczycach i Przewozie. Po wojnie grał w orkiestrze pocztowej. „Najlepszy nowohucki listonosz" – pisało o nim „Echo Nowej Huty" w lipcu 1953 r.

Zmarł w miesiąc po naszej ostatniej rozmowie, we wrześniu 2005 r.

Rozmówca: Franciszek Szafraniec – ur. w kwietniu 1910 r. w Mogile.
Prowadzący rozmowę: Antoni Łapajerski
Rozmowa została przeprowadzona w styczniu 2005 r., uzupełniona w czerwcu 2005 r. W rozmowie towarzyszył nam Pan Stefan Żelichowski (74 lata) – też od urodzenia mieszkaniec Mogiły.

Oglądamy z Panem Franciszkiem jego zdjęcia przechowywane w tekturowym pudełku. Są tu fotografie z lat 30-tych przedstawiające różne orkiestry w których grał oraz zdjęcia z lat 50-tych, gdy był listonoszem w Nowej Hucie.

Urodziłem się w 1910 r. w Mogile, pod zaborem austriackim

AŁ: Zapewne jest Pan jednym z najstarszych mieszkańców Nowej Huty.

FS: Czy całej Nowej Huty, to nie wiem, ale w Mogile to tak. Urodziłem się w 1910 r. w Mogile, pod zaborem austriackim, ale mam obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej. Takie dostałem świadectwo obywatelskie, jak szedłem do pierwszej pracy.

AŁ: Z zawodu jest Pan listonoszem, był Pan też strażakiem, ale Pana pasją była podobno muzyka.

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 1

FS: Najpierw byłem strażakiem, a potem listonoszem. Remizę strażacką mieliśmy najpierw w starej Mogile, pod Kopcem, w baraku obok ochronki prowadzonej przez siostry. Tam niedaleko od bardzo dawna jest figura św. Floriana, patrona strażaków. Ten barak jeszcze chyba istnieje – obok dawnej gwoździarni (to ten duży budynek), później, ale jeszcze przed wojną, zamienionej na młyn. W baraku mieliśmy wóz strażacki konny, bo dawniej konikami się jeździło, a motor, czyli motopompa, był przenośny. Motopompa była później, przed samą wojną. Na wozie ją wozili, ale z wozu się ją zdejmowało i do rzeki wsadzało. Węże się podłączało

Konie → Mateusz Kardas, Marianna Zając, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga

i „woda do przodu!”

SŻ: Po wojnie, jak już się nie używało konnego wozu strażackiego, to strażacy ze Zgody chyba wzięli ten wóz i teraz stoi przed ich budynkiem.

FS: To była Ochotnicza Straż Pożarna. Było nas może piętnastu, może i dwudziestu. Później remiza była w starej szkole w Mogile. Stała ona w miejscu, gdzie teraz jest warsztat naprawy samochodów, na rogu Klasztornej i Ptaszyckiego.

SŻ: To był budynek murowany, wysoki, piętrowy. Gdy wybudowali nową szkołę po drugiej stronie ulicy, to w tym budynku była policja i Urząd Gminy. Na piętrze miał mieszkanie komendant policji.

A nową szkołę budowali, jak wójtem był Tomasz Broda. To była 7-klasowa Szkoła Podstawowa w Mogile im. Królewny Wandy. W 50-tym którymś roku, gdy powstała Nowa Huta, to chcieli ją zburzyć, ale nie zgodził się Kuba Broda, bo szkołę postawili rolnicy z własnych oszczędności za pożyczki, które zaciągnęli w banku u Prażmowskiego i w Kasie Stefczyka. To wtedy dali tam dzieci upośledzone. Przed wojną i po wojnie wszystkie głosowania i wybory to się tam odbywały.

AŁ: Wróćmy do czasów strażackich Pana Franciszka.

Dostałem waltornię zwaną rogiem

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 2

FS: W 1928 r. zacząłem grać w orkiestrze Ochotniczej Straży Pożarnej w Mogile. Zbiórki i próby mieliśmy w starej szkole. Na tym zdjęciu [zob. fot. 2] orkiestra strażacka prowadzi pogrzeb księdza Siedleckiego. On był szambelanem papieskim, dziekanem i proboszczem w Mogile. Idziemy drogą od kościoła parafialnego św. Bartłomieja na cmentarz. Na froncie jest Broda Teodor, oficer strażacki. Ja też jestem w tej orkiestrze. To było w 1935. Na pogrzebach graliśmy „Nad grobem matki", „W mogile ciemnej śpij na wieki" i marsz żałobny Chopina. Ja to ćwiczyłem z ludźmi przez 2 godz. przed pogrzebem.

Orkiestra w Mogile utrzymała się od 1928 r. aż do wojny, potem ludzie poodchodzili. Kiedyś powiedziałem, że podejmę się, żeby chłopców tu zwerbować, ale muszę mieć pieniądze, bo przecież trzeba kupić nuty. Instrumenty były jeszcze dobre.

Na zdjęciu orkiestry w Mogile z 1930 r. też jestem, ten młodzian [zob. fot. 3], pierwszy po lewej w górnym rzędzie, to ja – miałem wtedy 20 lat. W straży grałem na tenorze, ale jak przyszedłem na pocztę, to z braku laku, bo tenory były już zajęte, jak się przyjmowałem, no to brałem to, co było. To jest instrument trudny do opanowania. A w ogóle to w domu grałem jeszcze na innych instrumentach – trąbka, mandolina.

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 3

AŁ: A na tym zdjęciu znowu jakiś pogrzeb.

fot. 4

fot. arch. Franciszka Szafrańca

FS: To jest pogrzeb w Mogile mojego kolegi z orkiestry [zob. fot. 4]. Zmarł syn Brody Tomka (on był wójtem), a jego syn, Karol, grał w orkiestrze. To zdjęcie ktoś robił od strony klasztornego muru, to jest pod Spółdzielnią. Ona była naprzeciw figury, co stoi koło klasztoru. To jest rok 1933.

Z orkiestrą chodziliśmy grać na Zmartwychwstanie w kościele Bartłomieja w Mogile. Wtedy grali Stelmachowski Władek, dwóch Marcinków, Wąsikowski Józek, Antoni Wąsikowski, Wach Kaziu, Bolek Skiba, Mędrecki Heniu, Makuła Jan i jeszcze inni. Grali też bracia Stefańscy – takie małe chłopaczki, co ich wszystkiego nauczyłem, nuty też, bo nie znali. W starej szkole mieliśmy instrumenty, tam się próby odbywały, a ja już

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 5

wtenczas orkiestrą dyrygowałem. Ja się posługiwałem ołówkiem do dyrygowania, to mi jeden z tych Stefańskich kupił

taki elegancki ołówek w prezencie.

Jak kościół w Czyżynach przed wojną budowali, to myśmy też tam grali mszę Haydna na poświęcenie kościoła.

W Bieńczycach też była orkiestra, mieli instrumenty i parę starszych ludzi, ale to było w rozsypce. Kiedyś, jak wróciliśmy z mszy po Zmartwychwstaniu, to graliśmy jeszcze na podwórku przy szkole. Podeszło do nas dwóch z Bieńczyc, jeden z nich to był Ciepiela, i spytali, który tu kapelmistrz. A Kaziu Stefański odpowiedział, że my nie mamy kapelmistrza. No to kto was uczy? Ano pan Franek. Podeszli do mnie, że chcą porozmawiać, abym przyszedł do nich i skompletował zespół. No to mówię, że w któryś dzień przyjadę do nich na rowerku, bo nie będę tu w Wielką Niedzielę rano rozmawiał i targował się z nimi. No i tych chłopaczków z Bieńczyc też wyuczyłem grać. Na tym zdjęciu, chyba z 1936, jest ta orkiestra w Bieńczycach [zob. fot. 6]. Ten gość w środku, taki grubszy, to Ciepiela, a obok, w płaszczu, to ja. Ciepiela był później wójtem w Bieńczycach, a w czasie wojny w Mogile.

Rower → Lech Miodyński, Waldemar Cichy, Roma Piejko, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

AŁ: A potem Pan wrócił do swojej orkiestry w Mogile?

FS: No to ja i na Przewozie jeszcze byłem w orkiestrze. Grałem w trzech orkiestrach naraz: w Mogile, w Bieńczycach i w Przewozie. Mostu wtedy na Wiśle nie było, tylko łódka. Jeden przewoźnik był na Przewozie, a drugi tutaj. I przepływałem do nich grać. Z orkiestrą z Przewozu grałem też w Staniątkach na festynie. Na tym zdjęciu mnie nie ma [oglądamy zdjęcie orkiestry z Przewozu – AŁ], bo ja tylko ich wspomagałem. Oczywiście jak była okazja, to mogłem coś dorobić, bo płacili mi za granie na takim festynie 8 lub 10 zł, różnie. A mój brat, który woził wtedy piasek na budowę os. Oficerskiego w Krakowie, to też zarobił 10 zł, ale za cały dzień wożenia.

AŁ: Tu piękne zdjęcie cyklisty, chyba jeszcze przedwojenne **[fot. 5]**.

FS: To ja, jak uprawiałem sport.

U nas w Mogile na odpuście był fotograf, to zrobiłem sobie to zdjęcie z rowerem, na tle maty. Spodnie pompy – na rower były dobre. Do tego sweterek.

AŁ: Wróćmy do orkiestr.

FS: Jak byliśmy w orkiestrze w Bieńczycach, to się kolegowaliśmy z Kotyzą, bo on należał do KSM.

SŻ: KSM czyli Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży.

FS: Ja nie należałem, ale tam byli m.in. Kazek Broda, Tomek Broda, Stefan Żelichowski.

SŻ: Niemcy rozpirzyli wszystko. Po 1945 r. KSM znowu powstał, były punkty w Bieńczycach, Czyżynach, Mogile. Działał do 1950 r. Podobno Kaziu Stelmachowski miał schować sztandar KSM-owski, ale z nim się już nic nie zgada.

FS: Straż pożarna też miała sztandar – był u Brody Teodora, a teraz u jego zięcia, Zawady, powinien być. U niego też jest sztandar PSL, zielony.

Cisza na poczcie i partyzantka

AŁ: Jak wyglądały pierwsze dni wojny na poczcie w Mogile?

FS: Na poczcie zacząłem pracować w marcu 1939 r. Najpierw w urzędzie w Mogile. Jak wybuchła wojna, ja miałem klucze od poczty. Gdy przyszedłem do urzędu, było cicho, telefony nie dzwoniły, nikt nie przyszedł do pracy. Na trzeci dzień przyszedł Niemiec. Ja

po niemiecku nic nie umiałem. Porozumiewaliśmy się na migi i dzięki panu Kędzierskiemu, który był nauczycielem i umiał po niemiecku. Niemcy wezwali wszystkich pracowników do pracy. Po wybuchu wojny pracowałem jeszcze trzy miesiące jako listonosz. Potem zwolniłem się z poczty. Później moja historia wiąże się z Kotyzą, który organizował partyzantkę i był naszym komendantem.

SŻ: Pan Kotyza skończył szkołę oficerską przed samą wojną. Przed wojną pracował w kurii. Gdy wrócił z frontu, organizował ruch oporu na tym terenie. I ja się wciągnąłem do tej organizacji. Tam był Marcinek, Staszyszyn, Malina. Ten Jan Kotyza studiował w czasie okupacji i po okupacji skończył. Po studiach był w stopniu porucznika.

FS: On nas uczył przysposobienia wojskowego. Szkoda Kotyzy, jego tak męczyli, tak chodzili koło niego z UB. Ja się z nim później kontaktowałem, bo chciałem, żeby mi potwierdził moją działalność. Było tego 4 lata i 7 miesięcy. Działałem w Batalionach

fot. 6

fot. arch. Franciszka Szafrańca

Chłopskich od czerwca 1940 do stycznia 1945.

AŁ: Gdzie ta partyzantka działała?

FS: U Strychalskiego mieliśmy bibułę, chyba tam drukowali. Ten dom już nie istnieje.

SŻ: Telefon był u Lelity, bo w każdym młynie był telefon, u Staszyszyna. Stójka była pod Staszyszynem. Jak Niemcy jechali od Krakowa do klasztoru, to u Wieczorka z domu widziało się ich. U Wieczorka nie było telefonu, tylko podwórkami od domu do domu przechodzili do Staszyszyna, a od Staszyszyna dawali wtedy znać telefonicznie do Lelity.

Ucieczka → Waldemar Cichy, Augustyn Mirga, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Marianna Zając

FS: Za okupacji w 1942 r. zafasowałem wyrok. Siedziałem w Nowym Wiśniczu dwa lata. Ponieważ pochodziłem z roli, to pracowałem w stajni. Spod celi wychodziłem do pracy. Ciężkie więzienie. Ucieczka przed końcem już, potem wąchałem trochę partyzantki. Z więzienia uciekło nas trzech ale już przy końcu, jak Ruski byli w Łańcucie. Jak Rosjanie podeszli do Łańcuta, to cały majątek stamtąd Niemcy przewozili do Wiśnicza. Krowy, barany, świnie.

AŁ: Na innym zdjęciu tez orkiestra.

FS: To mój pierwszy występ, jak przyjąłem się do pracy na poczcie w Krakowie, w 1946 r. Rozpocząłem pracę 1 kwietnia,

a 1 maja poszedłem grać na defiladzie,

w orkiestrze pocztowej. Orkiestra miała specjalne mundury wyjściowe, do występów, na akademie, pogrzeby, defilady. Tu stoimy przed gmachem Urzędu Pocztowego na Wie-

ryc. 1

lopolu [zob. fot. 6]. To będzie początek mojej pracy, czyli 1946 lub 1947. Nie wiem, co to za uroczystość była, chyba zbierali pieniądze na odbudowę Warszawy.

Chodzi o ten przerzut poczty

AŁ: A kiedy Pan wrócił do pracy w Mogile?

FS: No to ja jeszcze trochę popracowałem w Krakowie. Proszę przeczytać [Pan Franciszek pokazuje mi swój przebieg pracy na poczcie, napisany przez Wojewódzki Urząd Poczty]: „…Po zakończeniu działań wojennych na nowo podejmuje pracę w resorcie łączności i pracuje w Urzędzie Pocztowym Kraków 1, pełniąc jednocześnie społeczną funkcję członka orkiestry przy Urzędzie Pocztowym Kraków 2…”

Dworzec → Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

AŁ: A dlaczego Kraków 2?

FS: Bo my najpierw byli na dwójce, przy Dworcu Głównym, w pałacyku, tam próby były. Bo to było tak, w tym nieszczęsnym roku. Wszyscy doręczyciele mieli być blisko dworca. Chodzi o ten przerzut poczty, żeby to bliziutko było. Tam przy dworcu był budynek i my, listonosze, mieliśmy się tam mieścić. Nas na dworcu było przecież ze 120 osób. Tego budynku chyba teraz już nie ma. I był taki wypadek, że zaczęli remontować, bo tam mieliśmy mieć salę doręczeń. I proszę Pana, już było prawie przygotowane, meble zaczęli zwozić, mieliśmy się wprowadzić – i zawalił się dach. I co by było? Całe szczęście żeśmy się jeszcze nie przeprowadzili.

[Czytam dalej przebieg pracy Pana Franciszka:] ***„…W roku 1953 otrzymał przeniesienie służbowe do Urzędu Pocztowego Kraków Nowa Huta, gdzie pracuje do chwili obecnej. Przez cały okres zatrudnienia jest pracownikiem wzorowym, dba o właściwe stosunki międzyludzkie wśród doręczycieli, jest inicjatorem różnego rodzaju czynów społecznych i zobowiązań. […] Z jego inicjatywy zostaje utworzona Pracownicza Kasa Zapomogowo-Pożyczkowa przy Radzie Zakładowej przy OUPT Kraków 28, gdzie przez kilka lat jest jej przewodniczącym Zarządu. Przez kilka lat kadencji był***

mężem zaufania grupy związkowej na sali doręczycieli.

Za zasługi dla Nowej Huty zostaje przyznana mu Odznaka Budowniczego Nowej Huty. Za osiągnięcia w pracy zawodowej dostaje odznakę 400 lat Poczty Polskiej, srebrną i złotą odznakę Przodownika Pracy Socjalistycznej, następnie zostaje odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Za aktywną pracę w Związkach Zawodowych otrzymuje honorową Odznakę Zasłużony dla ZZPŁ”.

Poczta na Willowym

AŁ: Czy poczta na Willowym była jedyną pocztą na całą Nową Hutę?

SŻ: Tak, to była pierwsza poczta w Nowej Hucie. Wcześniej w Mogile była poczta w murowanym domu przy placu targowym. Nie w tym pierwszym, tylko w drugim, dom ma arkady. To było u Kędzierskiego, a Kędzierska była nauczycielką. Jeszcze wcześniej poczta była u Józka Wąsikowskiego – z drugiej strony obecnej ul. Bulwarowej. Ten dom jeszcze jest.

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Roma Piejko, Marianna Zając

Między tymi domami była kiedyś karczma żydowska, w domu kołodzieja, co koła robił. Nazywał się Kawaler. Kościuszko tam zbierał chłopów mogilskich i namawiał ich do walki z Ruskimi. Chłopaki mówili, że w tej karczmie był na łańcuszku miedziany garnek i jak ten Żyd przychodził, to mówił, żeby mu piwa nalać. Budynek ten już nie istnieje.

AŁ: Na tym zdjęciu jest jeszcze nieotynkowany budynek poczty na Willowym.

FS: Tu stoją doręczyciele Urzędu Pocztowego w Mogile, tam już na Wandy [por. fot. 10]. Wtedy całe to osiedle nazywało się Wandy. Trzeci z lewej to ja. Wcześniej tam był Dom Kultury na piętrze, a poczta była tylko na dole. Ale w tym domu u Kędzierskiego było coraz więcej listonoszy i mało miejsca, więc Gmina wyprowadziła Dom Kultury i przeka-

fot. 7

fot. arch. Franciszka Szafrańca

zała nam piętro. Na dole już była poczta, więc wzięliśmy resztę. To było ok. roku 1953. Na piętrze było też mieszkanko, pokój służbowy. Mieszkał tam jeden z listonoszy, który pracował też jako stróż.

AŁ: A tu budynek poczty, ale już otynkowany. Na który rok Pan to ocenia?

FS: To zdjęcie było robione może w 1955 r. [por. fot. 11]. Na tym zdjęciu ja jestem trzeci z prawej. A ta jedyna doręczycielka to Tosia.

fot. 8

AŁ: Tu jest kilkudziesięciu pracowników na sali. Tylu ich było na całą Nową Hutę?

FS: W Krakowie było nas wtedy 110 na sali, a tu jak przyszedłem do Huty, to było siedmiu. To jest sala na piętrze i tu było nas siedemnastu, to

z Krakowa przeszedłem tu jak do nieba.

Był taki cichy spokój.

Jak z Krakowa przyszedłem do Huty, to moja pierwsza robota była przy przegródkach.

Listy przychodziły do Urzędu w worku. Wysypują na stół i dzielacze wybierają listy, czytają adres i kładą do odpowiedniej przegródki w „szachownicy" podzielonej na osiedla. Listonosz, który chodzi na to osiedle, bierze sobie ze skrytki listy, które do niego należą.

fot. arch. Franciszka Szafrańca

[Inne zdjęcie:] To już było, jak przyszedł dyrektor Leja. Też jestem tutaj. Ten przemawiający. Byłem przewodniczącym Rady Zakładowej. To jest tak. W 1977 r., ostatniego kwietnia, przeszedłem na emeryturę, a w październiku dostałem zaproszenie na odznaczenie złotą odznaką za pracę dla miasta Krakowa. Tu dekoracja się odbywa.

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 10

202 procent normy

AŁ: A to gazeta z artykułem o Panu? Echo Krakowa z 20 lipca 1953 r. – dodatek: „Echo Nowej Huty”.

FS: A jest. A jakże.

AŁ: *[Czytam z gazety:] „Najlepszy nowohucki listonosz – Franciszek Szafraniec. Osiągnął on w I kwartale br. – przy doręczaniu przesyłek w swym rejonie – 202 % normy. Nie wystarczyło mu to jednak. Zobowiązał się więc podnieść w następnym okresie wydajność pracy o dalsze 3 proc. I zobowiązanie to przekroczył – wykonując średnio 208% normy! Nie tylko w ten sposób zasłużył Szafraniec na uzyskanie odznaki przodownika pracy. Zaprojektował on także pomysłowe i usprawnienie, polegające na stosowaniu specjalnej pieczątki, która przyczyniła się do dokładnego adresowania przesyłek, usprawniła doręczanie i zmniejszyła ilość zwrotów. Szafraniec wyróżnia się również dużą ilością pozyskanych przez siebie prenumeratorów prasy i przoduje w pracy społecznej”.*
Na czym polegało przekraczanie normy przez listonosza?

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 9

FS: Listonosze dzielili się na miejskich i wiejskich. Ja byłem listonoszem miejskim. 2000 mieszkańców to była norma dla listonosza miejskiego. A na os. Zielonym było wtenczas 4000 mieszkańców, więc to już jest 200 procent. Ja byłem źróbek młody, chciałem zarobić przecież. Jeszcze doszły urzędy, sklepów też było dużo. Jako listonosz pracowałem 24 lata na os. Zielonym. Nosiłem listy z Urzędu na Willowym. Na początku była jedna poczta na całą Nową Hutę. Na początku, jak przyszedłem tu do pracy na Wandy, to było siedmiu listonoszy. Na poczcie co trzy lata przenosili listonoszy na inny rejon, żeby nie było kumoterstwa. To potrafili z Komitetu Osiedlowego przyjść do dyrektora z prośbą, żeby „naszego” listonosza nie przenosić.

AŁ: Na Zielonym jeszcze nie było wtedy poczty?

FS: Na Zielonym była poczta, ale ona zajmowała się tylko pocztą przychodzącą. Nasza poczta była oddawcza. Jak przychodziły listy ze świata, to na Willowe, bo u nas była rozdzielnia. Na Zielonym nie było listonoszy, oni tylko przyjmowali pocztę.

AŁ: Jakie Pan ma jeszcze dokumenty z tamtych czasów?

FS: Dyplom z okazji 10-lecia Huty Lenina. No cóż, tyle dorobiłem się na poczcie. Odznaka Budowniczych Nowej Huty, Srebrny Krzyż Zasługi, Złota Odznaka za pracę społeczną dla miasta Krakowa.

Życzenia od Związku Kombatantów, byłych więźniów politycznych – 2001 r.: „Potwierdza się, że pan Franciszek Szafraniec w latach walki zbrojnej z najeźdźcami, z honorem pełnił żołnierską powinność i uzyskał prawo do zaszczytnego tytułu «weteran walk o wolność i niepodległość ojczyzny»” [por. ryc. 1].

Tyle się człowiek nauganiał, a teraz to wszystko za późno dla mnie. Tyle, że przynajmniej pamiętają. Cóż mi to daje, jak już człowiek nad grobem. Ani już gdzie pojechać.

Przed epoką Kombinatu

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 11

AŁ: Proszę coś jeszcze opowiedzieć o Mogile z czasów przedwojennych.

FS: Ja kiedyś mieszkałem w lesie, bo tu lasy wycięto dopiero w 1918 r.

Konie → Mateusz Kardas, Marianna Zając, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga

Tu był wszędzie las,

a te tereny były klasztorne. Mój pradziadek miał tę działkę nadaną przez Cystersów. Nazywał się Szabelski. Służył na dworze przy klasztorze, bo przy klasztorze Cystersów był dwór, czyli majątek. Stary Marcinek opowiadał, że klasztor miał 1000 mórg pola, a cała Mogiła jako wieś miała 1001 morga. Czyli Gmina miała o 1 morg więcej? On to wszystko wiedział, bo był radnym w Gminie.

Ziemia → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga

SŻ: Oni mieli majątek wszędzie. Folwarki mieli w Czyżynach, w Łęgu, od Bieńczyc te pola, to było wszystko klasztorne. W Pleszowie też coś było. W pałacyku były siostry.

Od Dąbia, od ul. Cystersów aż tu do Mogiły ciągły się pola klasztorne. I to było tak. Po drugiej wojnie światowej zostały zabrane im majątki, bydło, konie. I klasztor, chcąc żeby to ruszyło naprzód, no to musiał chłopom pomału dawać, i tak wysprzedawali ludziom ziemię. Dali Cystersi te 2 morgi, 3 morgi, 5 morgów, a gospodarz im dawał konie, krowy, cielęta, żeby wzbogacić majątek klasztorny.

FS: Jak byłem jeszcze chłopaczkiem, to pamiętam, jak górale, najczęściej z okolic Limanowej, przyjeżdżali na pielgrzymkę i przeprawiali się Wisłą od Przewozu na nasz brzeg. To były grupy 20 do 30 osób. Jak wyszli na brzeg to zatrzymywali się na Błoniach Mogilskich, które są przy drodze, kładli się krzyżem i witali kościół.

Największe pielgrzymki to były we wrześniu, na święto Podniesienia Krzyża Świętego.

Wtedy z Krakowa dużo ludzi przyjeżdżało. Do stacji w Mogile 3, 4 dodatkowe pociągi z pielgrzymami przyjeżdżały. Też dużo przybywało z kieleckiego, pińczowskiego. W to święto tłumy były takie, że cała ul. Klasztorna była zabita ludźmi, od gościńca, czyli tej drogi głównej, aż po Błonia. Kramy stały wzdłuż ulicy Klasztornej, różne orkiestry grały. To jeszcze po wojnie, pamiętam, tak bywało.

SŻ: A stacja kolejowa w Mogile stała trochę przed cmentarzem, na wysokości dzisiejszego banku. Z tego miejsca, od stacji, zaczynała się droga do Bieńczyc, która szła po skosie, koło starej prochowni, aż do drogi kocmyrzowskiej. Tu gdzie teraz jest os. Szklane Domy, zaczynała się prochownia. Od drogi w kierunku zachodnim szły wały otaczające prochownię i dochodziły aż do dzisiejszego Martena. Po prawej stronie drogi był krzyż, tam gdzie „szwedzki blok". Pod koniec I wojny był wybuch w prochowni. Wtedy tylko ten krzyż ocalał, co go w czasie drugiej wojny Ruski zwalili. Później Hajto z Bieńczyc zrobił nowy.

Cegły → Niki Wiecheć, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając

W Bieńczycach między blokami, przy drodze z Mogiły, ale jeszcze przed Kocmyrzowską, stała kapliczka. Sawicki się nazywał gościu, który mieszkał przy tej kapliczce. Tam był straszny raban, bo wyrzucili go z domu, gdy chcieli budować bloki. Kapliczki dobrze nie pamiętam, ale był ceglany cokół i chyba 4 świętych, i krzyż na górze.

FS: Córka Sawickiego pracowała z panem Żelichowskim. Opowiadała, że nie chcieli się wyprowadzić, bo to był nowy dom. Ale ojca zamkli, a dzieci były małe.

AŁ: A jaka jest historia tej kaplicy w Lasku Mogilskim?

FS: Po wojnie z Krakowa jakiś facet przyjeżdżał co niedziela do Lasku Mogilskiego, pan Tadeusz, nazwiska nie pamiętam. Upatrzył sobie najpierw wieszać obraz Matki Boskiej za ocalenie Krakowa i jego, w 1945 r. Przed wojną był obraz, taki zadaszony na drzewie. Ten pan Tadeusz był bardzo bogobojny i uczciwy. On zrobił małą drewnianą kapliczkę na drzewie, na dębie. Potem z dębu ją zdjął, na swój koszt odnowił i zrobił małą kapliczkę wolnostojącą, niedużą, ok.1,5 m wysokości, z obrazem Matki Boskiej. I tam z niemiec-

Realizują zobowiązania

Pierwsze obliczenia wyników pracy wg nowych norm wykazały poważny wzrost wydajności pracy wśród budowniczych Nowej Huty. Oto kilka przykładów: Tynkarze brygady Stanisława Brożka, pracujący przy mechanicznym tynkowaniu, podnieśli ostatnio swą wydajność do 316 proc. Murarze Piotra Pyry, zatrudnieni na odcinku II osiedla B—2 osiągają do 235 proc., a brygada stolarzy Stanisława Mudryka z Biura Produkcji Pomocniczej ZBM NH uzyskała w ciągu ostatnich 2 tygodni, 277 proc. zamiast dawnych 238 proc.

Trzeba dodać, że wszystkie wyżej wymienione brygady zrealizowały już w poważnym stopniu zobowiązania produkcyjne, podjęte dla uczczenia Święta 22 Lipca. (em).

Echo Nowej Huty

Najlepszy nowohutnicki listonosz

...to Franciszek Szafraniec. Osiągnął on w pierwszym kwartale br. — przy doręczaniu przesyłek w swym rejonie — 282 proc. normy. Nie wystarczało mu to jednak. Zobowiązał się więc podnieść w następnym okresie wydajność pracy o dalsze 3 proc. i zobowiązanie to przekroczył — wykonując średnio 286 proc. normy!

Nie tylko w ten sposób zasłużył Szafraniec na uzyskanie odznaki przodownika pracy. Zaprojektował on także pomysłowe usprawnienie, polegające na stosowaniu specjalnej pieczątki, która przyczyniła się do dokładnego adresowania przesyłek, usprawniła doręczanie i zmniejszyła ilość zwrotów.

Szafraniec wyróżnia się również dużą ilością pozyskanych przez siebie prenumeratorów prasy i przoduje w pracy społecznej. (wa)

Stanisław Dymek...

...to brygadzista, wyrabiający wraz ze swoją brygadą po 380 proc. normy.

Do Nowej Huty przybył zaraz po tym, gdy do jego rodzinnej wioski, w Rzeszowskim doszła wiadomość o zaczynającej się budowie.

A później stawiał pierwszy dom osiedla. [...] rarzem i betoniar[...] kursach uzupełnił [...] czasowe wiadomości [...] lifikacje, aż wreszcie awansował na bryg[...] i dziś należy on d[...] dujących budownicz[...] ty. (ir).

Brr... jak zimn[...]

Może zwrócili[...] na niebieskie bulle[...] sem „Nowa Huta"? [...] rają one tlen [...] przez jeden z najmł[...] wydziałów Kombin[...] tlenowinę.

Mało zapewne kto [...] tym, że przy wytwi[...] tlenu musi się osiągn[...] peraturę (minus) 183 [...]

Na samą tylko myśl [...] robi się zimno! (h-ry)

20.07.1953 r.

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. 12

kich pocisków artyleryjskich zostały zrobione dwa wazony na kwiaty z wygrawerowanym napisem: „Za ocalenie Krakowa". Ta kapliczka zrobiona przez niego była dość długo, aż on zmarł. Ponieważ to był las klasztorny, to klasztor się nią zaopiekował. W czynie społecznym robiliśmy tę dużą kaplicę, która jest teraz. Nie pamiętam, w którym roku zaczęli ją robić. To mogło być w 1976 lub 1978 r.

A tu obok na Habinach, koło jeziorka, gdzie kiedyś była cegielnia, stoi kapliczka, a wokół niej cztery stare lipy. W lecie, przeważnie niedzielami, majówki się tam odbywają.

Z kolei bliżej klasztoru jest figura św. Jana – ta jest stara. Broda Teodor, dyrygent orkiestry opowiadał, że kiedyś zatrzymał się u niego pątnik, który powiedział, że pod tą figurą były zakopane pieniądze. Jeden z sąsiadów się dowiedział i którejś nocy chyba kopał pod nią, ale czy coś znalazł? Później Tadek Stelmachowski zrobił tę betonową kapliczkę wokół figury św. Jana.

Tu tu tu- i tak to się zaczęło...

Na koniec naszej rozmowy Pan Franciszek wyjął trąbkę, założył ustnik i poprosił, żebym spróbował coś zagrać. Ku mojemu zdziwieniu, mimo dmuchania w instrument nie wydobywał się z niego żaden dźwięk. Wtedy pokazał mi i udzielił kilku wskazówek:

FS: Wargi trzeba wyćwiczyć. Ustniczek jest taki malutki. Język pracuje: tu tu tu tu, tu tu tu. Ja długo grałem i wyważyłem sobie przednie zęby, wyruszały się. Bo na siedząco to się dobrze gra, ale jak się maszeruje… no to zależy, gdzie się maszeruje, jaka droga. jak się idzie, to jednak ten ustnik bije po zębach. Kto by nie miał zębów i języka, to nie będzie grał. A wargi to się ma takie twarde. Żadna dziewczyna nie lubiła, jak się ją całowało (*śmiech*). Żartuję.

AŁ: W czasie całej naszej rozmowy zawsze jest Pan taki pogodny, wesoły. Skąd u Pana tyle radości, optymizmu i pogody ducha?

FS: To już jest coś w człowieku, takie mam usposobienie. Ja się od młodości interesowałem muzyką. Muzyka zawsze dawała mi ukojenie. Pamiętam, kiedy byłem małym chłopcem, z ojcem zbieraliśmy siano na łące w sobotę przedodpustową. Łąkę mieliśmy w Czyżynach przy drodze. Kompania ludzi szła na odpust w Mogile, a prowadziła ich orkiestra. Ta muzyka mnie podnosiła. Wieczorem poszedłem pod klasztor, pod dom, w którym zamieszkali ci z orkiestry. Tam stałem i słuchałem, a do domu wróciłem o wpół do dwunastej w nocy. Gdzie byłeś? – spytał ojciec. Byłem muzyki posłuchać – odpowiedziałem. Ojciec mi nie uwierzył i przyłożył trzy razy pasem.

Ale ojciec ze mnie muzyki nie wybił.

fot. 13

Muzyka całe życie była we mnie.

fot. 14

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. arch. Franciszka Szafrańca

fot. Marcin Klag

Bożena Kutrzeba-Nikiel

Jest rodowitą nowohucianką. Ojciec Pani Bożeny był zaangażowanym budowniczym Nowej Huty, a ona sama chętnie podtrzymuje rodzinną tradycję, włączając się w działania na rzecz dzielnicy.

O Nowej Hucie mówi: „to jest takie moje miejsce”. Z przyjemnością powraca we wspomnieniach do czasów dzieciństwa i niedzielnych spacerów z tatą i siostrą na kopiec Wandy. Ale Pani Bożena widzi Hutę nie tylko przez pryzmat przeszłości. Najważniejszy jest dzień dzisiejszy i dalsze losy dzielnicy, a te zależą według niej od aktywności mieszkańców tego miejsca. Była członkiem grupy inicjatywnej tworzącej Muzeum Nowej Huty, a dziś pracuje w Nowohuckim Centrum Informacji i działa w Forum dla Nowej Huty oraz w Stowarzyszeniu na Rzecz rozwoju Nowej Huty. Stara się pomagać wszystkim, którym zależy na poprawie wizerunku i jakości życia w Hucie.

Rozmówca: **Bożena Kutrzeba-Nikiel**
Prowadząca rozmowę: **Basia Rostek**

kiedy wszyscy byliśmy rodziną...

BR: Pochodzi Pani z Nowej Huty?

BK: Tak, urodziłam się w Nowej Hucie, mieszkałam na os. Na Skarpie z rodziną. Mój tatuś przyjechał z Jasła – do wszystkich miejscowości w Polsce wysyłano ofertę o budowie Huty Lenina i przyjeżdżali do pracy ludzie, którzy chcieli coś osiągnąć. Tutaj tato zaczął uczyć się w szkole, poznał moją mamę, tutaj osiedli i urodziłyśmy się my z siostrą, Alicją.

BR: Jakie ma Pani wspomnienia z dzieciństwa związane z Nową Hutą?

BK: Pamiętam Dni Młodości, to była bardzo fajna impreza dla dzieci, szczególnie szkolnych, bo te starsze to się tak bardzo może nie bawiły. Pamiętam, że w szkole przygotowywaliśmy się dużo wcześniej, robiliśmy różne dziwne ubrania, kwiaty, fartuszki, każda klasa coś innego chciała zaprezentować. Było bardzo dużo szkół, które brały udział w Dniach Młodości, a każda szkoła szła pod swoją tarczą, zrobioną z kartonu, na której był numer szkoły. Szli nauczyciele, dzieci. To była bardzo miła impreza i szkoda, że jej tak łatwo zaniechano.

BR: Pewnie, jak to w przypadku dzieciaków, każdy chciał się jak najlepiej zaprezentować?

BK: Tak, były różne przebrania, stroje, to było coś, co bardzo łączyło. A poza tym to w tamtych czasach mieszkańcy całkiem inaczej się przyjaźnili, nawet dzieci z danego osiedla. Wydaje mi się, że to były przyjaźnie długotrwałe, bo potem szło się razem do średniej szkoły. Wspólne dzieciństwo i już ta więź, która powstawała, łączyła. Nie było takiej segregacji, jak w tej chwili, wszyscy byli tacy sami, mieli te same warunki, nie było widać podziału na bogatych i na biednych, wszyscy byli równi, bawiliśmy się razem w klasy na podwórku. Starsi ludzie traktowali całość jako jedną, wielką rodzinę. Jak moja mama szła do pracy, to sąsiadka zajmowała się innymi dziećmi, brała pod opiekę dwoje, troje i patrzyła, co się dzieje na podwórku. Było bardziej rodzinnie. W tej chwili to zanika całkowicie, teraz każdy sobie, nie ma takiej więzi sąsiedzkiej. Czy ty też jesteś z Nowej Huty?

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

BR: Nie, ja jestem z podobnego miasta do Nowej Huty, ze Stalowej Woli, która ma bardzo wiele powiązań z Nową Hutą. To trochę takie bliźniacze dusze.

BK: O, no proszę, są bardzo podobne.

BR: Jak się Pani mieszka obecnie w Nowej Hucie?

BK: Obecnie mi się mieszka bardzo źle. Mieszkam na os. Kombatantów, to osiedle graniczy akurat z os. Kalinowym, na którym

ostatnio były zajścia,

gdzie zaatakowali chłopca siekierą. Mam syna dorastającego w wieku 16 lat, jedynaka, i obawa o niego jest niesamowita. On staje się chłopcem samodzielnym, chodzi od drugiej klasy szkoły podstawowej na treningi jujitsu, chce się jakoś umieć obronić, nie mieć strachu wewnętrznego, żeby wyjść na ulicę czy na podwórko.

Strach → pp. Skomorowscy, Bogdan Zalewski, Waldemar Cichy

BR: Czy mieszkańcy sami próbują przeciwdziałać przemocy, mają pomysły, jak z nią walczyć?

BK: Tak, chcą, żebyśmy wspólnie zaczęli działać przeciwko przemocy, żebyśmy jako biuro lokalne ustalili program. Mówią, że pomogą, że chcieliby uczestniczyć w różnych akcjach. Np. przyszła kiedyś 5-osobowa grupa mężczyzn, mieszkańców w wieku 50-60 lat, którzy chcieli zorganizować na osiedlu komitety blokowe, tak żeby był ktoś ze straży miejskiej albo z policji i dwóch mieszkańców tego komitetu. Wydaje się, że to nas bezpośrednio nie dotyczy, ale często ludzie po prostu nie chcą widzieć tego problemu. A on jednak ist-

Komitet → Bożena Kutrzeba-Nikiel, Ewa Kaproń, Bogumił Godfrejow

nieje. Rzecznik prasowy szpitala Żeromskiego zrobił nam zestawienie z 2004 r. i okazało się, że było 1034 przypadków pobić, ugodzeń ostrymi narzędziami. To jest nieprawdopodobne, bo to jest tylko jeden z dwóch szpitali w Nowej Hucie.

BR: Kiedyś było inaczej?

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

BK: Było inaczej. Nie zapomnę takiego zdarzenia: miałam 18-19 lat, byłam dorastającą dziewczyną. Jechaliśmy tramwajem w Krakowie. Do tramwaju weszło kilku wyrostków pod wpływem alkoholu i zaczęli rozrabiać w tramwaju. Proszę sobie wyobrazić, że wstało trzech mężczyzn i wyrzucili ich z tramwaju. Najpierw ich uspokajali, ale jak nie pomogło, to ich wyrzucili. I cała reszta klaskała, bo to było zachowanie takie, jakie powinno być. W tej chwili to już zanika. Myślę, że jak się będziemy poddawać, jak wszyscy będziemy udawać, że nic się nie dzieje, to doprowadzimy do takiej sytuacji, że będzie godzina 18.00-19.00 i nikt nie wyjdzie z domu. Już tak jest na niektórych osiedlach, szczególnie tych starszych.

BR: Są takie miejsca, które pokazałaby Pani ludziom, którzy zupełnie nie znają Nowej Huty, nigdy tu nie byli?

BK: Takim bardzo charakterystycznym jest opactwo Cystersów, wiekowe, niepowtarzalne, z piękną historią. Przepiękny jest również obok kościółek św. Bartłomieja. Również dworek Matejki, w którym kiedyś kustoszem był pan Maciej Miezian, ogromny miłośnik sztuki, historii, który umiłował sobie Nową Hutę.

BR: Miałam przyjemność poznać pana Maćka.

BK: Jest wspaniałym człowiekiem, który cudownie potrafi przekazać młodzieży wiedzę, zainteresować sprawami Nowej Huty, pięknie opowiadać różne ciekawostki. Na wykładach Maćka – a nie na jednym byłam – to młodzież pyta, jest zainteresowana. A na innych zasypia. Takich ludzi brakuje, dlatego ja się strasznie cieszę, że on będzie w powstającym muzeum Nowej Huty. Myślę, że bardzo się tam nadaje, jest jedyną osobą, która to rozpropaguje, nie tylko tutaj, w Krakowie, ale i dalej. Tak już się dzieje, tym bardziej, że Maciek bardzo dużo zawsze robił dla promocji Nowej Huty, przecież on zawsze twierdził, że Nowa Huta jest starsza od Krakowa. Młodzi powinni znać historię swojej dzielnicy. To nie jest tak, jak przedstawiają ją ci, którzy tej Nowej Huty nie czują.

Poranki w Światowidzie, spacery na Kopiec

BR: Więc jakie są prawdy o Nowej Hucie, o ludziach, którzy ją tworzyli?

BK: Nie jest tak, że przyjeżdżali ludzie i hodowali kury na balkonie. Może i były takie jednostki, ale ja pamiętam, że był duży kontakt z kulturą, był teatr, pracownicy w Hucie Lenina dostawali bilety zniżkowe czy darmowe do teatru, do kina, na koncerty. Był Dom Kultury im. Cypriana K. Norwida, który kiedyś był Domem Kultury Huty Lenina, zakładowym domem kultury. Tam odbywały się wszystkie imprezy andrzejkowe, wręczenia różnych odznaczeń dla zasłużonych pracowników huty. Huta bardzo zbliżała ludzi.

BR: A wracając do tych miejsc?

BK: Myślę, że ważny jest kopiec Wandy, który niszczeje, a jest bardzo fajnym miejscem. Z początków budowy to ja pamiętam, że były spacery właśnie na kopiec Wandy, bo tam był piękny widok. To świetne miejsce na imprezy plenerowe. Pamiętam, że jak byłam dzieckiem, chodziłam z ojcem najpierw na poranki do kina „Światowid", a potem szliśmy spacerkiem właśnie na kopiec Wandy i wracaliśmy do domu. I moja starsza siostra śmiała się, że jak przychodzi niedziela, to zawsze jest to samo, zawsze to samo. Ale tak właśnie wyglądały nasze niedzielne poranki.

BR: A jak wygląda sytuacja z kinami obecnie?

BK: Teraz prawie żadnego kina nie ma. Kino „Światowid" było przepiękne, a teraz jest tylko „Sfinks",

fot. Marcin Klag

fot. Marcin Klag

i to mała sala. Ale bardzo dobrym pomysłem jest kronika nowohucka, wyświetlana przed każdym seansem.

BR: Czy ma Pani miejsce w przestrzeni Nowej Huty, które istnieje tylko dla Pani, które lubi Pani odwiedzać?

JA I MOJE MIEJSCE

BK: Bardzo lubiłam Łąki Nowohuckie, od samego początku. Jak mieszkałam na Skarpie i byłam dziewczyną, to razem z siostrą i z psem, którego wtedy miałyśmy, chodziłyśmy właśnie tam.

Wtedy mówiło się po prostu: łąki.

To było takie relaksujące miejsce. Wtedy nie było telewizji, więc brałyśmy książki, koc i szłyśmy tam. Więc Łąki i kopiec Wandy to są te dwa miejsca chyba najważniejsze dla mnie. Jak się przeprowadziłam na os. Kombatantów, to nie mogłam się tam w ogóle znaleźć. Te blokowiska… Tutaj jednak są dwupiętrowe bloki i wszystko inaczej wygląda, a tam wieżowce i brak zieleni. Trudno mi było to zaakceptować, i nawet teraz, jak wracam do rodziców – bo oni tutaj mieszkają na os. Na Skarpie dalej – to jakoś człowiek inaczej oddycha. A oni tak wrośli w to miejsce, bo to się tak wrasta. Jak ktoś przyjeżdża i tu zamieszka, to w pewne rzeczy nie wierzy, np. że starsi mieszkańcy bronili Placu Centralnego. Mieliśmy pielgrzymki, jak zmienili nazwę, a właściwie dodali do „Plac Centralny" – „im. Ronalda Reagana".

NAZWY

Decyzje, które bolą

BR: Opowie Pani tę historię związaną ze zmianą nazwy Placu Centralnego?

BK: Były bardzo duże pielgrzymki, szczególnie mieszkańców, którzy budowali Nową Hutę, że to oni nadali mu nazwę Placu Centralnego i że jak tak można zmieniać. Mieli dużo racji, ponieważ rozmowa z mieszkańcami została całkowicie zaniechana, a jednak w Nowej Hucie, jeśli chce się doprowadzić do jakichkolwiek zmian w różnych miejscach, to konsultacja z mieszkańcami jest najważniejsza. Niech oni się mogą wypowiedzieć, niech mają swoje zdanie, czy zostanie to nadane czy nie, to już trudno, ale to oni tworzą tę swoją dzielnicę, to małe miasteczko przecież jest ich.

BR: Podobna historia jest z pomnikiem „Solidarności"?

BK: Ma być przeniesiony pomnik „Solidarności" ze Zgniatacza – piękny, w kształcie litery V. Tam się zaczęła „Solidarność" w Hucie. I też są protesty hutników, a decyzja „Solidarności" również, jako zarządu, jest taka, aby przenieść pomnik do centrum Nowej Huty. Mieszkańcy, związkowcy, członkowie „Solidarności" uważają, że powinno to się odbywać w innym charakterze, że można np. zrobić replikę pomnika. I tutaj również uważam, że mają rację.

BR: Bo to tak, jakby wyrwać z korzeniami coś, co głęboko tam siedzi.

BK: Są tam związkowcy, którzy strajkowali, którzy to czują, tam się odbywają wigilie co roku, mają tam kolebkę swojej „Solidarności", spotykają się tam, dostają zaproszenia również ci związkowcy, którzy rozjechali się z Nowej Huty w różne strony, zmienili swoje miejsca zamieszkania, ale na spotkania jednak wracają. Najgorsze są takie decyzje, które później ludzi niesamowicie bolą.

BR: Jaki charakter ma pani praca?

BK: Moja praca polega na tym, że przychodzą do nas mieszkańcy z różnymi sprawami, a ja każdego muszę wysłuchać. Jeden przychodzi z czymś małym, drugi z czymś dużym, a dla każdego to jest ważna sprawa. Tutaj była taka starsza pani, która przyszła, żeby jej pomóc, bo jej dach przecieka i ona już nie ma siły, wszędzie dzwoni, chodzi i nic. I stanęłam przed dylematem. W końcu zadzwoniłam do spółdzielni, żeby jej pomogli, że jest już starszą osobą, niedołężną, i już zdrowotnie nie potrafi przetrzymać pewnych odmownych decyzji. A my jako biuro chcemy wszystkim pomagać i ze wszystkimi współpracować. Naprawili ten dach, a ja nic nie wiedziałam. I jak przyszła ta Pani mi podziękować, to sobie najpierw pomyślałam: „O Boże, pewnie nic z tego nie wyszło". A tu się okazało, że jej pomogliśmy. I to jest fajne.

Pomagamy ludziom, którzy chcą coś robić.

Popieramy niektóre bardzo dobre pomysły mieszkańców. Jest np. organizacja bezrobotnych, która wchodzi w Forum dla Nowej Huty. Pomogliśmy im założyć pierwszą spółdzielnię socjalną w Polsce. Popieramy różne inicjatywy, nie zostawiamy żadnej organizacji czy nawet osoby bez pomocy. Działamy z jednej strony jako biuro lokalne dla mieszkańców, a z drugiej strony jako Forum dla Nowej Huty czy Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Nowej Huty. Pomagamy instytucjom, małym firmom, ludziom, którzy chcą coś robić. Była np. telewizja kablowa „Dami", pierwsza telewizja w Nowej Hucie, i jak oni się rozwiązywali, to zadzwonili do naszego stowarzyszenia i przekazali nam bardzo dużo taśm z całej swojej działalności. Ja oglądałam niektóre z nich i to są naprawdę pocieszne rzeczy, i jak się ogląda te kasety, to się przypomina cały ten okres. Można fajne filmy zrobić z wielu lat i pokazywać młodzieży, bo tak, to nie będzie wiedzieć, a jak zobaczy utrwalone na taśmie, to może jednak uwierzy, jak to było naprawdę. Mieszkańcy są bardzo otwarci, mówią o swojej Nowej Hucie, przychodzą do nas i otwarcie mówią, co im się podoba, a co by chcieli zmienić. Przyszli np. z bardzo dobrym pomysłem dotyczącym rugby. Przeczytałam w gazecie, że zawiązała się w Hucie drużyna rugby i zbiera wszystkich chłopców, którzy chcieliby w tej drużynie grać. A w zeszłym roku przyjechali nasi przyjaciele z Rotterdamu, z którymi współpracujemy, i stwierdzili, że integracja z mieszkańcami jest ważna i że trzeba zrobić na stadionie pokazowy mecz. Pytają, czy mamy drużynę rugby, a ja mówię, że tak. I nawiązaliśmy taki kontakt, że nasi w tej chwili pojechali do Anglii się szkolić. Niektóre sytuacje są po prostu nie do uwierzenia, a dzieją się naprawdę. Tam w Anglii zadeklarowali, że będą ich szkolić, a tutaj dzięki temu zmniejszy się przestępczość wśród młodych, bo każdy taki kapitan drużyny, po przeszkoleniu w Anglii, będzie mógł razem ze szkołą wynająć salę raz, dwa razy w tygodniu, i zwerbować młodzież z osiedla. Niech z takiej grupy 30-osobowej, która stoi przed blokami, skorzysta trzech, to już będzie sukces.

To są nasze marzenia na razie, ale może się uda...

Szansa → Hania Tucznio, Roma Piejko

jeśli inne rzeczy się spełniają, to może i takie? Chodzi nie o to, aby powiedzieć, jak jest źle, bo my wiemy, jak jest źle, ale chodzi o to, co my możemy zrobić, aby było lepiej. Wiem, że nawet powstaje zespół raperski i piękne piosenki o Nowej Hucie, więc myślę, że młodzież chce coś robić, tylko trzeba dać jej szansę. Może akurat ten chłopak, co stoi pod blokiem, znajdzie coś, co polubi, pokocha. Jak nie, to może nawet do tragedii doprowadzić. A my sobie nie zdajemy z tego często sprawy. Trzeba głębiej spojrzeć i coś zrobić, żeby nie było za późno.

BR: Miejsca, które widzi Pani oczami wyobraźni za 10, 20 lat, jako stały, niezbędny element Nowej Huty…

Zegar → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Piotr Wołkowski, Marcin Kostera

BK: Myślę o Placu Centralnym, który jest niezagospodarowany, a tworzy wizerunek Nowej Huty, jest jej etykietką. Mieszkańcy bardzo krytykowali, kiedy nie było zegara, z którym byli bardzo związani. Kiedyś spotykali się pod zegarem, który jest ważnym punktem tego miejsca. Myślę, że jednak ten Plac Centralny bardzo łączy. Kiedyś stał tu Lenin, wiadomo, ale również odbywały się wszystkie ważne uroczystości. Teraz nie ma już MPiK-u, starsi mieszkańcy mówią, że to było miejsce, gdzie można było wypić herbatę,

Z dzienników terenowych

06/03

Czy może istnieć wiele prawd o NH?

Tytuł projektu „Szukamy prawd o Nowej Hucie…"

Bóg istnieje – prawda. Zjadłem bułkę na śniadanie – prawda.

Czy to są dwie prawdy?

A może te dwa stwierdzenia są prawdą? (JD)

fot. Marcin Klag

przeczytać gazetę, spotkać się ze znajomymi, wspominają go bardzo pozytywnie. Młodzież narzeka na brak kawiarni, są jedynie mordownie, nie ma miejsca, gdzie można zaprosić młodą osobę, porozmawiać, brakuje takich miejsc, jak w centrum. Nie ma miejsc cichutkich, skromniutkich, przytulnych.

BR: Jest restauracja „Stylowa" z komputerem wmontowanym w szafę grającą.

BK: Naprawdę? Muszę tam zajrzeć.

BR: Nie chcę Pani łapać za słówka, ale zwróciłam uwagę, że Pani często mówi: „do Krakowa". Czy to znaczy, że nadal jest w świadomości ludzi, że tam jest Kraków, a tu jest Nowa Huta – osobne miasto? Myślałam, że teraz już mówi się: „do centrum".

BK: Młodzież już mówi: „do centrum", ale ja jeszcze mówię: „do Krakowa". Dla mnie ta

Nowa Huta to było wszystko

kiedyś, w tej chwili też, ale inaczej patrzę z perspektywy czasu. Bardzo broniłam zawsze Nowej Huty, młodzieży, nawet tych blokersów, starałam się nie narzekać, że są tacy źli, ale zawsze starałam się znaleźć przyczynę, dlaczego tak jest. Bo teraz trzeba walczyć i szukać rozwiązań, żeby było lepiej, żeby młodzież miała szansę.

BR: A jak wyglądał w Pani dzieciństwie model rodziny? Dzieci były w przedszkolach i kobiety pracowały?

BK: Tak, ale były również i takie sytuacje, że żona nie pracowała. I w tej chwili żyją np. z jednej emerytury. Pamiętam, że w hucie kobiety pracowały bardzo ciężko, m.in. jako suwnicowe, ale wszystkie chciały pracować. Chciały się usamodzielnić, przyjeżdżały tu, aby podnieść swoje kwalifikacje i zacząć życie na nowo, wyjeżdżały z małych miejscowości i przecież nie decydowały się od razu na małżeństwo. O wielu rzeczach decydował los, że przez pewien czas nie pracowały, bo dzieci, dom.

BR: Czy widzi Pani jakieś oznaki tego, że Nowa Huta staje się miejscem atrakcyjnym dla przyjezdnych, którzy decydują się tutaj osiedlić? Np. dla obcokrajowców?

BK: Obcokrajowcom bardzo się podoba Nowa Huta, z tego, co słyszę, to zainteresowanie jest duże. Wiem, że jako miejsce zamieszkania wybrał Nową Hutę zastępca dyrektora Muzeum Historycznego. Ale nie blokowiska, tylko te osiedla willowe, gdzie mieszkają osoby wysoko postawione, bo tam jest typowe zacisze. Obcokrajowcom bardzo się tu podoba. Zawsze chcą zobaczyć wnętrze Huty Sendzimira, to jakieś maniactwo, wszyscy chcą zobaczyć dwa budynki przy bramie głównej, jako typowo socrealistyczne.

BR: Czy Pani pamięta, jak wyglądała praca rodziców?

BK: Mój tato przyjechał i pracował w Hucie Lenina w charakterze elektryka ruchu zmianowego, czyli na zmiany na wielkich piecach. Ciężka praca. I tam już został, tam kończył szkołę, dokształcał się i tam pracował, do odejścia, po 30 latach pracy, na emeryturę. Z tego, co pamiętam, to pracownikom huty nie było lekko, ale wszyscy byli bardzo dobrze zorganizowani i wrastali w Nową Hutę. Bardzo dużo opowiadał: że coś powstaje, że coś nowego wprowadzili. To jakoś wszystkim pracownikom huty dawało duże zadowolenie. Choć pamiętam, że mamy to specjalnie nie interesowało, bo mama pracowała w krwiodawstwie w Szpitalu Żeromskiego i to są dwa różne indywidua o różnych zainteresowaniach. Natomiast słuchała bardzo grzecznie i my również. Wypytywałyśmy się nawet o pewne sprawy z siostrą, tato nam tłumaczył o różnych maszynach, a to była totalna abstrakcja, bo nikt z nas nie wiedział, jak to coś wygląda (*śmiech*). Teraz tego nie ma, ale wtedy ludzie przeżywali, że powstaje nowy wydział, że coś się zmienia, dzieje. Każdy widział, że tam leży jego przyszłość i był zadowolony, że „jego" huta się rozwija.

BR: A jak wyglądały wówczas relacje między pracownikami?

BK: Kontakty pracowników były bardzo rozwinięte – wycieczki, wyjścia do teatru, oni po prostu żyli wspólnie. Pamiętam, że przychodzili koledzy, znaliśmy się rodzinami, nie

Z dzienników terenowych

Odkryłam w Nowej Hucie Stalową Wolę. Coraz więcej podobieństw łączy te dwa miejsca: bo Huta ma stalową wolę, bo Stalowa Wola ma hutę.

*dla niewtajemniczonych: stalowa wola to nie tylko określenie mocnego i zdecydowanego charakteru, ale również (a może przede wszystkim) nazwa mojego rodzinnego miasta. (ED)

było tak, że miałam koleżanki czy kolegów tylko na podwórku. Poznawaliśmy się przez pracę taty i mamy. Bardzo długo przyjaźniliśmy się z niektórymi osobami i to zostawało. Inna była też opieka, tato opowiadał, że jak miał w pracy młodego chłopaka, którego przyuczał do zawodu, to starali się pokazać pewne rzeczy z jak najlepszej strony. Integracja, chęć pokazania wszystkiego, takie oddanie pracowników, żeby kogoś nauczyć. Wiadomo, że jak młodzi ludzie przychodzili do pracy, to mieli te naście lat i nie chcieli jeździć ze starszymi, bo to obciach. Ale po jednym wyjeździe byli bardzo zadowoleni. Takie przyjaźnie naprawdę się zawiązywały, nawet ze starszymi pracownikami. Pamiętam ogniska na wyjazdach, bo one zawsze były najlepsze: wszyscy siedzieli w kole, śpiewali piosenki o Nowej Hucie, a inni się śmiali, że jak przyjadą ci z Nowej Huty, to od razu wszyscy inni dookoła muszą o tym wiedzieć (*śmiech*). Bardzo miło to wspominam, a jak rozmawiam z siostrą czy z rówieśnikami, to wszyscy mają bardzo podobne odczucia. Jak przyjeżdżali ci robotnicy pracować w Hucie, to przecież oni wszyscy wchodzili w inne życie, byli z jakiś małych miejscowości, przyjechali najpierw, żeby budować Hutę, a potem żeby tu zostać, założyć rodzinę, kształcić się, osiedlać i po prostu tu żyć. Każdy miał tę perspektywę, że jeżeli Huta będzie dalej istnieć, będzie się dalej rozwijać, to jest przyszłość dla niego przede wszystkim.

BR: Czyli rytm pracy bardzo wpływał na rytm życia, na to, jak wyglądało życie codzienne?

BK: Tak, praca była najważniejsza, dla mojego ojca i mamy praca była najważniejszym celem w ogóle. Nie było czegoś takiego, że można było nie iść, istniała taka samodyscyplina wewnętrzna i wydaje mi się, że to pokolenie bardzo się utożsamiało z pracą, z jej rytmem.

BR: W PRL-u nie było praktycznie bezrobocia. Czy pamięta Pani zawody, których teraz już nie ma?

BK: Były różne zawody dla tych osób, które były niechętne do pracy. Ci, którzy ostrzyli noże, tłukli się różnymi narzędziami, nożyczkami, nożami, mieli swój warsztat ze sobą. I to było na porządku dziennym. Ale pamiętam też takich, którzy przyjeżdżali sprzedawać garnki gliniane. Tych, którzy stali pod sklepami, którzy byli zawsze na nie i nie chciało im się nic kompletnie, nazywano

„niebieskimi ptakami”.

To było widać, że ten ktoś nie ma już żadnej perspektywy, niczego się go już nie nauczy, on wybrał i nic mu nie pomoże. Ja nie wiem, czy to był zły system, może był faktycznie zły, natomiast uczył pracy i uczył szanować pracę. I wydaje mi się, że pod tym względem to było dla młodzieży bardzo korzystnie i teraz jest mi bardzo żal dzisiejszej młodzieży, która kończy szkołę i nie ma perspektyw.

BR: A jeżeli chodzi o życie po pracy? Gdyby Pani miała porównać: wtedy i teraz?

BK: Teraz to człowiek jest zabiegany, zaganiany i nie ma na wiele rzeczy czasu. Ja jestem szczęśliwa, jak przyjdę do domu wieczorem i mam chwilę, żeby poczytać jakąś książkę. Telewizja to raczej już działa mi na nerwy, natomiast często słucham Kroniki Krakowskiej lub zaszywam się gdzieś w kącie z książką. Dużo chodzimy na różne spotkania dotyczące Nowej Huty, otwarcie wystaw, prelekcje do NCK-u czy do Ośrodka Kultury Norwida.

Jadą czołgi

BR: Chciałam zapytać panią o twarz Nowej Huty. Czy jest jakaś postać integrująca bądź dzieląca jej mieszkańców? Taka, która jest w ich wspomnieniach?

BK: Lenin – jako symbol. Postać księdza Jancarza również. Można to podzielić na dwa etapy: 1. Lenin na placu, 2. Okres „Solidarności” i właśnie ksiądz Jancarz, który pod-

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

trzymywał na duchu w czasie strajków, sam w nich uczestniczył. Ja również brałam w nich udział, to były straszne przeżycia naprawdę. Byłam młodą dziewczyną i wszyscy rozmawiali o tym, że zostają, że będą bronić. Związki zawodowe, stan wojenny. Zeszli się z biura wszyscy (ja wówczas pracowałam w zakładzie mechaniczno-hutniczym), był ksiądz, odbyła się msza i nikt nie wiedział, co dalej. Wszyscy się jednoczyli w tej hali, wśród maszyn, spowiadali się robotnicy, a te maszyny miały okropny wygląd, przygnębiający. Bardzo się jednoczyli wszyscy. I w pewnym momencie widzę, że jadą od bramy czołgi. Nikt nie wiedział, co będzie, czy zaatakują, czy wkroczą, to było po prostu niesamowite, wtedy pierwszy raz przeżyłam niemoc, i widziałam przerażenie we wszystkich tych osobach. Później udało nam się kanałami przedostać do biurowca. Pamiętam, jak mój tata przyszedł po mnie, pamiętam, że zobaczyłam nie wiem kogo, po prostu najukochańszą osobę, która mi się właśnie ukazała. Wziął mnie za rękę i powiedział: „Idziemy do domu". I wtedy już poszłam na zwolnienie lekarskie. Do pracy nie wróciłam.

BR: Teraz powiedziała Pani o takiej bardzo ważnej twarzy, twarzy taty, takiej indywidualnej, istniejącej tylko dla Pani w tamtym momencie.

BK: Tak, moja osobista twarz, to pamiętam najbardziej, jak tato przyszedł, to byłam szczęśliwą, chyba najszczęśliwszą osobą na świecie. Dopiero wtedy, jak dotarliśmy do domu – po długim czasie, bo nic nie jeździło, ani tramwaje, ani autobusy – to wreszcie udało mi się osiągnąć wewnętrzny spokój.

BR: Jaką twarz ma Nowa Huta dziś?

BK: Wydaje mi się, że ma dwa oblicza. Jedno to są ci, którzy są bezrobotni, nie mają środków do życia, którzy się borykają z codziennością. A druga twarz to są młodzi ludzie, którzy jednak coś chcą dla Nowej Huty zrobić, mają różne pomysły na wyjście z kryzysu, różne projekty. Licealiści, gimnazjaliści, którzy nie traktują tego, że mieszkają w Nowej Hucie, jako brzemienia, ale jako coś dobrego. Widzą swoją przyszłość,

widzą Hutę jako coś, czym nawet można się pochwalić.

BR: A co można dziś wyczytać z twarzy starszych mieszkańców Nowej Huty?

BK: Oni chyba żałują tamtego okresu, tego zrywu, tego, co się dzieje teraz z Hutą Sendzimira. Tak nie powinno być, że pracy nie ma dla dzieci, a oni to budowali i kiedyś dzielnica była prężna. Mówię o mieszkańcach, którzy żałują, że budowali Hutę i chcieli, żeby to zostało, żeby jak najwięcej osób pracowało, żeby to dawało lepszy byt, żeby Huta się rozwijała. A tutaj mamy zwolnienia i młodzi ludzie szukają pracy gdzie indziej. Ale myślę, że mój tata niczego nie żałuje. Są mieszkańcy, którzy są dumni z tego, że budowali Nową Hutę, że doprowadzili do rozwoju różnych gałęzi i wydaje mi się, że bardzo ciepło to wspominają. Wiem, że dziadkowie wybierają się z wnuczkami na otwarcie muzeum, żeby im pokazać to, z czego są po prostu dumni.

BR: Czy Nowa Huta wiąże się dla Pani jeszcze z jakimiś szczególnymi sytuacjami, wspomnieniami?

BK: Pamiętam swój pierwszy dzień w pracy, właśnie w hucie, bo to była moja pierwsza praca. Zaczęłam pracę w biurowcu, w dziale ekonomiki. Byłam wtedy przerażona, wiadomo, pierwsza praca, nie mogłam spać itd., ale jak już dojechałam pod hutę, to czułam tę hutę po prostu. Może nie te kominy, to co się tam wydobywało, ale widziałam, jak wychodzili ci robotnicy, nieprzebrani, niewykąpani, ale właśnie wychodzili umorusani strasznie. I z jednej strony się cieszyłam, że idę do tej pracy, a z drugiej miałam straszny opór. Tato się zawsze śmiał, że jak on odchodził na rentę, to ja zaczynałam pracę w hucie i że ja podtrzymałam tradycję: ojciec był hutnikiem, a później córka zaczęła pracę w hucie. Myślę, że w tamtych czasach to się bardzo liczyło. A drugie, to pamiętam, że jak chodziłyśmy z tatą na kopiec Wandy, jak byłam dzieckiem, i tata opowiadał nam o swojej pracy, to widziałyśmy te kominy, i były takie typowo hutnicze zapachy. A, i pamiętam jeszcze takie bułeczki cieplutkie, które kupowałyśmy z siostrą w sklepie spożywczym. Miałam wtedy 6-7 lat…

Z wywiadu wyłaniają się dwa najważniejsze problemy tej części Krakowa: sprawa bezpieczeństwa oraz promocji Nowej Huty. Pani Bożena aktywnie działa na rzecz ich rozwiązania – i takie podejście bynajmniej nie jest w tej dzielnicy wyjątkiem.

Biuro Lokalne, w którym pracuje Pani Bożena, wzorowane jest na podobnej placówce, która niegdyś przyczyniła się do ożywienia krakowskiego Kazimierza. Ta dawna dzielnica żydowska, jeszcze kilkanaście lat temu zaniedbana i pogardzana, dziś stała się salonem Krakowa i z powodzeniem konkuruje o turystów z Rynkiem. Nowa Huta startuje z o wiele wyższego pułapu. Właściwie brakuje jej tylko odmalowanych fasad i odważnych ludzi z pomysłami. By wypromować Nową Hutę, trzeba się zmierzyć ze stereotypami i nie bać narażenia na śmieszność.

Osobnym zagadnieniem poruszanym w rozmowie jest kwestia sytuacji nowohuckiej młodzieży, która – pozostawiona opieki i zainteresowania dorosłych – wysiaduje pod blokami. Opisany przez Panią Bożenę przypadek nowo powstałej drużyny rugby, zaproszonej do Wielkiej Brytanii, by tam doskonalić swe umiejętności, ukazuje, jak wielką rolę może w tej dziedzinie odegrać odrobina inicjatywy i zaangażowania.

Maciej Miezian

Rozmowa Basi Rostek z Bożeną Kutrzebą-Nikiel

fot. Marcin Klag

Dużo zieleni i karetki

BR: A jeśli chodzi o barwy, z którymi kojarzy się Pani Nowa Huta?

BK: Zawsze z zielenią, bardzo dużo zieleni. Os. Na Skarpie to były zawsze nasze rejony – Łąki Nowohuckie – wszyscy mieszkańcy kierowali się na spacery albo tam, albo do Lasku Wolskiego. I jeszcze z tatą na ryby chodziłam, wtedy jeszcze można było łowić ryby i jeść, jak miałam 6 lat, to tato zabierał mnie z lalką i z kocem na ryby. To pamiętam bardzo dobrze.

Ryby → Mateusz Kardas, Ewa Kaproń

BR: A jest jakiś dźwięk nowohucki, który słyszy Pani w głowie?

BK: Mnie się przypomina cały czas dzwon w Mogile, na długo mi to zostało później. Jak się przeprowadziłam na os. Kombatantów, to brakowało mi tego dzwonu. Zawsze o 6.00 rano w Mogile dzwoniono. Utkwiły mi bardzo w głowie syreny w okresie stanu wojennego, ale to było przerażające. Natomiast z wesołych głosów, to swojego czasu młodzież bardzo lubiła słuchać głośno muzyki przy otwartym oknie. To było okropne (*śmiech*). Pamiętam, jak siedziałam z moim Łukaszem na ławce pod blokiem, to były lata 90., i okna były pootwierane, a z 5 okien każdy puszczał co innego.

BR: Czy dzisiaj ma Pani takie szczególne dźwięki?

BK: Dzisiaj to mnie przerażają karetki pogotowia, mam takie dziwne skojarzenia, jak słyszę karetkę, to aż mnie zatyka. A coraz częściej te karetki słychać, coraz intensywniej jeżdżą po Nowej Hucie.

Jest dobry czas dla Nowej Huty

BR: Czy czas płynie szybciej czy wolniej tutaj w Nowej Hucie? Jakim rytmem biegnie życie?

BK: Każdy może powiedzieć oddzielnie. U mnie biegnie tak, że mi czasu brakuje, ale to zależy od charakteru pracy i człowieka. Znam bardzo dużo rencistów, emerytów, którzy chcą się włączać w różne działania, którzy sobie nie wyobrażają, żeby mieli siedzieć w domu, założyć nogę na nogę albo wyjść na ławkę. Oni chcą działać. Ja myślę, że każdy mieszkaniec Nowej Huty, który był w jakiś sposób aktywny, przekłada teraz tę aktywność w różny sposób na inne dziedziny. Przychodzą mieszkańcy do biura i chcą się włączać. A młodzież nowohucka jest wspaniała, tylko my tego nie dostrzegamy, nie widzimy ich zapału, ich talentów.

BR: A jeśli chodzi o zegar w Nowe Hucie, to czy on ma duże znaczenie?

Zegar → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Piotr Wołkowski, Marcin Kostera

BK: Ma bardzo duże znaczenie. Odkąd pamiętam, to młodzi ludzie umawiali się zawsze pod zegarem na placu Centralnym. Jak nie był czynny przez dłuższy czas, to wszyscy upominali się o zegar. Uruchomili go w tej chwili na dobre i wydaje mi się, że jest on takim punktem znaczącym w Nowej Hucie. Na centrum pod zegarem, zawsze tak było. Księgarnia ma również swoje znaczenie, tam były Dni Książki, pamiętam, że chodziliśmy z tatą i tam mieli promocje książek, więc wychodziło się z książką do mieszkańców. Pamiętam, że bardzo dużo się czytało wtedy, bajki, przygodowe książki, u nas książka była na bieżąco. Myślę, że to wszystko będzie prezentowane na tej wystawie i na pewno starszych mieszkańców ucieszą te pierwsze fotografie. Pamiętam, jak moi rodzice ostatnio wyciągnęli zdjęcia – ile śmiechu, wspomnień było przy tym, sama byłam zaciekawiona tymi zdjęciami. To były nasze rodzinne zdjęcia z tamtego czasu, lata 50., 60. Tak wyglądały osiedla, zalew, tak chodziliśmy na spacery. Czyli obraz Nowej Huty również.

BR: Czas działa bardziej na korzyść czy niekorzyść Nowej Huty?

BK: Ja myślę, że ona jednak się rozwija, nie można powiedzieć, że stoi w miejscu. Są plany budowy skateparku, wiem, że są projekty ciekawe dla młodzieży, które odpowiadają obecnym czasom. Młodzież za wszelką cenę idzie do przodu, miasto dużo robi. Trzeba przyznać, że to jest dobry czas dla Nowej Huty, ten czas, który jest obecnie, dużo się rzeczy dzieje. Trzeba tylko tę Nową Hutę pokazać z bardzo dobrej strony. Myślę, że wszyscy ci, którym nie jest obca Nowa Huta, będą dążyli do tego, żeby tak ją pokazać, i obcokrajowcom, i przyjezdnym, turystom. Chcemy tu wydać trasy rowerowe, piesze, wodne, konne, wszystkie razem w jednym folderze – właśnie dla młodzieży.

BR: Czy to nie jest tak, że ci, którzy nie darzą sympatią Nowej Huty, uznają, że te stare miejsca, które Pani wymienia, które istniały zanim jeszcze powstała Nowa Huta, nie są częścią Nowej Huty tak naprawdę? Że Huta to blokowiska i to, co zbudowano 60 lat temu?

NAZWY

BK: Może i są takie głosy, ale Cystersi wrośli w Nową Hutę. Jak się mówi o Szlaku Bursztynowym, o trasach rowerowych, mówi się: „trasa nowohucka – Cystersi", i nie mówi się: „w Krakowie" tylko „w Nowej Hucie". Kiedyś miało to być osobne miasto, bo tak budowano na początku i mieszkańcy żyli w takim przeświadczeniu. To, że później to zmieniono i że Huta stała się dzielnicą Krakowa spowodowało tarcia Kraków – Nowa Huta. Ale jak była sama Nowa Huta, było w porządku.

BR: Czy są jakieś rzeczy, przedmioty, które kojarzą się Pani z ważnym momentem w przeszłości i które Pani trzyma, np. jakiś kamień, kawałek starej sukienki, którą ubrała Pani w ważnym dniu?

BK: Fartuszki, fartuszki, fartuszki szkolne z białymi kołnierzykami i tarczą na ramieniu, takie charakterystyczne. Niesamowicie obchodzono dzień 1. Maja, z chorągiewkami dla dzieci, a także Dni Młodości w Nowej Hucie. Przebieranie w różne sukienki, to było ważne dla dzieci, młodzieży, dla rodziców również, bo szyli te stroje. Pamiętam, że wiecznie siedzieliśmy w bibule, i kwiatki z bibuły były robione na okrągło, i spódniczki… wiązaliśmy kokardy i pięknie to wyglądało.

Nowa Huta to całe moje życie

BR: Czym byłoby to miejsce dziś, gdyby 60 lat temu nie powstał plan budowania Nowej Huty?

JA I MOJE MIEJSCE

BK: Pewnie łąki i pola. Mój ojciec przyjechał z Jasła, pewnie moi rodzice w ogóle by się nie poznali, gdyby tutaj nie przyjechali. Może nas by nie było, a nawet jakbym miała być, to byłabym w innej części Polski. Myślę, że każdy wyniósł coś dobrego z tej Nowej Huty, tak jak moi rodzice – możliwość rozwoju, dalszego szkolenia się, jakąś perspektywę na dalsze życie. I to było bardzo cenne. Myślę, że nasze dzieci też mają podobne odczucia. Jak rozmawiam z synem, to on ma niesamowite marzenia, które mam nadzieję, że mu się spełnią. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, jak oni tutaj przyjechali. Było w tym niesamowicie dużo optymizmu. Niepowodzenia to były błahostki, które można było pozałatwiać. To nie są te tragedie obecnych mieszkańców Nowej Huty. Tam szło się do przodu i zostawiało się kłopoty gdzieś z tyłu. Rozwijali się, a przy okazji i tę dzielnicę, czy to miasto: Nową Hutę. I to jest cenne bardzo.

BR: A gdyby miała Pani dokończyć takie zdanie: „Dla mnie Nowa Huta to…"

BK: … to całe moje życie, od początku do końca. Bardzo dużo rzeczy zawsze chciałam zrobić dla tego miejsca, chciałam pomóc mieszkańcom. Teraz mam okazję, bo akurat pracuję w takim miejscu, że mogę się wykazać. I bardzo mi zależy, żeby każdy mieszkaniec Nowej Huty był wysłuchany i do tego dążę, aby nie odszedł bez informacji, bez jakiejkolwiek pomocy.

BR: Czyli Nowa Huta jest już Pani własnym, oswojonym miejscem?

BK: Tak. Nie wyobrażam sobie żebym miała mieszkać w centrum teraz, chyba bym się nie przestawiła. Wrosłam w tę Nową Hutę i mimo, że są często sytuacje niebezpieczne, umiem się tu poruszać i czuję się bezpiecznie. Czuję, że to jest takie moje miejsce.

Rozmowę przeprowadzono w Nowohuckim Centrum Informacji

fot. Marcin Klag

Rozmowa Basi Rostek z Bożeną Kutrzebą-Nikiel

fot. Marcin Klag

Hanka Tucznio

Jest uczennicą klasy IIf VIII LO w Krakowie. Od urodzenia mieszka w Nowej Hucie i chociaż teraz większość spraw i zajęć (szkoła, projekt wydawania młodzieżowego miesięcznika, harcerstwo…) wiążą ją z centrum Krakowa, to do Nowej Huty ma dalej najwięcej sympatii. Wie, że jeśli kiedyś miałaby zajmować się „polityką", to tylko na szczeblu lokalnym, czyli najchętniej jako radna dzielnicy (no, najwyżej miasta), bo „jest najświęciej przekonana, że ludzie za mało wierzą w swoją samorządność i za mało ją wykorzystują, a najważniejsze jest przecież, żeby to swój ogródek uprawiać". Poza tym jej głównym marzeniem i planem na przyszłość jest knajpa na Placu Centralnym, ale taka naprawdę porządna i z klimatem, i taka, do której nawet z centrum będą ludzie przyjeżdżać! Poza tym jej marzeniem jest jeżdżenie po Nowej Hucie na rowerze a skrytą fascynacją – Dwór w Kościelnikach.

fot. Marcin Klag

Z Hanią Tucznio rozmawiał Antoni Łapajerski.
Kraków, 19.03.2005.
Rozmowa spisana przez Ulę Majkę.

Otworzyć knajpę w Nowej Hucie.

AŁ: Czemu spotkaliśmy się w Rynku? W Nowej Hucie brakuje miejsc, żeby się spotykać?

HT: (*śmiech*) Nie, po prostu tak mi pasowało. Jestem prosto ze szkoły, a potem muszę jechać na Kurdwanów. Ale to prawda, że w Nowej Hucie brakuje takich miejsc. Taki jest mój plan życiowy, żeby otworzyć knajpę w Nowej Hucie. Najpierw miałam plan na knajpę, teraz się trochę zmodyfikował – nie do końca knajpa, teraz będzie to kino, choć nie do końca, taka kiniarnia. Coś takiego jak ta na Jana, ale bardziej na przykład jak w „Re" na Krzyża. To jest taka jakby bardziej knajpa, tylko jest tam ekran i czasem wyświetlają filmy. Takie to będzie. Z dużym ekranem, normalnie knajpa i koncerty, i takie rzeczy. Chciałabym robić tematyczne cykle, związane na przykład z różnymi kulturami, konkretnymi okazjami, albo na przykład połączyć koncerty z filmami. I przede wszystkim to, co jest pomysłem mojej mamy, żeby puszczać lektury przed okresem matur zekranizowane, z omówieniem. Ja to już widzę: cała klasa przychodzi do kawiarni! Każdy przed maturą ma jakieś braki lekturowe, a tutaj z omówieniem, wszystko podane, projekcja jakiejś polonistki… A poza tym, to byłyby tam kanapki, które będzie robił mój brat. On robi różne wymyślne kanapki. Łączy takie rzeczy, że ja bym nigdy to tym nie pomyślała – imbir z serem żółtym na przykład! A ponieważ ja uwielbiam zupy, mogłabym żyć samymi zupami, to będą tam najróżniejsze. Chociaż do końca to nie wiadomo, jak ja to jeszcze połączę. Chciałabym na Placu Centralnym. Miałam upatrzone, ale obecnie wszystkie są zajęte. Najbardziej marzyłam o tym, gdzie były kryształy, naprzeciwko „Papirusa", teraz jest tam Deutche Bank.

AŁ: On się mocno trzyma.

HT: E, jest dużo banków, a nuż się wyniesie. A jak nie, to któryś z lokali w okolicach Placu Centralnego. Chociaż tamte pomieszczenia podobają mi się najbardziej, są wyjątkowe, z uwagi na wysokość, wnętrza, na bardzo piękne okna. Nie wszędzie zachowało się cokolwiek z tych wystrojów socrealistycznych z lat 50-tych. W „Bosmanie" są oryginalne żyrandole z EMPiK-u, z tego, co wiem, wystrój księgarni się niewiele zmienił, no i tyle. Reszta się pozmieniała. Acha, jeszcze tam, gdzie jest sklep obuwniczy, taki jeden, bo są dwa, tam jest tak stylowo, ładnie.

AŁ: Mam taki album wydany na 10-lecie Nowej Huty, pożyczony od kolegi z obecnego projektu (pokazuję zdjęcia EMPiK-u). Czy kojarzysz z czymś te wnętrza?

HT: Tak, kojarzę ten album, taki w materiałowej oprawie. Korzystałam z takiego samego. Właśnie te żyrandole wiszą w „Bosmanie", odrestaurowane.

AŁ: Myślisz o takim wnętrzu dla kiniarni?

HT: Może trochę inaczej bym je zaaranżowała. Myślę, że jest tutaj takie chłodno-eleganckie, a nie o takie mi do końca chodzi. Myślałam o czymś bardziej, no, nie powiem

klubowym, bo to się kojarzy z taką subkulturą teraz, ale takim swojskim, bardziej na luzie.

AŁ: Wszystkie te lokale wokół Placu Centralnego mają taką architekturę, prawie pałacową, olbrzymie wnętrza. Czy uda ci się stworzyć nastrój kawiarniany?

HT: Zawsze można antresolę zrobić. Antresola nie byłaby głupia. Tam na Jana też jest antresola.

miejsca, które lubię.

AŁ: Uczysz się w Krakowie, mieszkasz w Nowej Hucie. Czy po drodze są jakieś miejsca, które Cię szczególnie interesują?

HT: Tak, już jak jadę do Nowej Huty, to przejeżdżam obok miejsc, które lubię. Gdy jadę al. Pokoju, mijam staw na Dąbiu koło Plazy. To są jakieś takie historie, jak to moja mama się tam kąpała, z moim bratem, jak była w ciąży, i jak mój dziadek tam jeszcze chodził. Tam na wagary się chodziło, wszyscy się kąpali.

AŁ: W zasadzie to dzisiaj granica Nowej Huty, gdzieś w tych okolicach przebiega

HT: To jest Nowa Huta nawet? Dla mnie Nowa Huta na Wieczystej się kończy, bo tak wszyscy mi mówili zawsze. Dla mnie Nowa Huta to dopiero od Placu Centralnego. Szczerze mówiąc, to Czyżyny to już nie jest Nowa Huta.

Jeszcze jak przejeżdżam przez Rondo Mogilskie, to jest ul. Cysterska. Dla mnie to było takie miłe, jak odkryłam, że jest ulica Cysterska, jak rozumiałam że ona jest Cysterska, bo prowadzi do Cystersów, i że do Mogiły. I to bardzo mi się podobało.

Oni mieli ogromne dobra. Ja kiedyś brałam udział w konkursie organizowanym przez Ośrodek Kultury Norwida „Historia Nowej Huty do 1949 r.”. Szczególnie ciekawa była ta do 49., no bo to są całkiem nowe rzeczy których nikt nie wie. Brałam udział jak byłam w I i II klasie gimnazjum. Ze szkół startowało się drużynowo, tak do 5 osób. Braliśmy udział 2 razy. Raz zajęliśmy 1-sze, raz 3-cie miejsce.

AŁ: Z czego się przygotowywałaś do takich konkursów, masz jakieś książki?

HT: Wtedy były organizowane takie spotkania – wykłady. Dawali materiały też częściowo, ale ja miałam takie broszury fantastyczne. Moja mama kupiła to w księgarni za jakąś złotówkę. Były dwie broszury, jedna o najstarszej Nowej Hucie, druga o średniowiecznej. To były fragmenty dokumentów cechowych szewców z Nowej Huty. Ale materiały zbierałam przede wszystkim z wycieczek. Jak jeździłam i robiłam zdjęcia dworów, to przeżyłam ogromny szok. Na przykład w Kościelnikach, gdzie jest ogromny, monumentalny i niesamowity.

Albo w Pleszowie. Tylko że tam jest MONAR. Pięknie mają w środku, byłam tam. Wspaniale to zrobili, ślicznie. Tam jest piękna stara klatka schodowa, a przede wszystkim tak ciekawie… Jakieś źródła do tego? Tam, gdzie się dało, to szukałam. W Internecie to nie jest tak dużo. Jest kilka takich stron, które wszystkie już miałam obczytane, gdy przygotowywałam się do konkursu. Tam dokładnych informacji nie ma. Myśmy w ogóle w ramach tego konkursu projektowali strony internetowe. One zawierały mnóstwo informacji, więc żałuję, że nigdzie nie zostały wykorzystane i nie zostały opublikowane w Internecie. Są teraz w Norwidzie, po tych wszystkich konkursach, w których braliśmy udział przez dwa lata. Nie wiem, może powinniśmy zadbać, by zrealizować te strony, ale teraz już trochę za późno. Przyznam, że nie próbowałam. Zajęłam się innymi rzeczami. Może dałoby się namówić ich, żeby to pokazali jako pokłosie konkursu. Mam w każdym razie nadzieję, że oni to gdzieś jeszcze mają. W samej Nowej Hucie też są ciekawe miejsca. Nawet opisałam je z moją koleżanką w czasie ostatniego projektu i być może ten tekst pojawi się teraz. O takich niesamowitych miejscach, knajpach. Wprawdzie opisałyśmy to rok temu dla Dziennika Polskiego, ale musimy to dopracować.

Przez jakiś czas moją pasją był EMPiK. Chciałam zrobić scenkę o tym właśnie w ramach „Feniksa”. Powiedzmy, że generalnie zrobił to Pan Ridan. Nasza była koncepcja.

fot. Marcin Klag

Chciałam zrobić właśnie o EMPiKu, później wyszło trochę inaczej ponieważ pani, która handluje precelkami, pracowała w EMPiKu. Myślę, że to takie super miejsce było. O wiele fajniejsze, niż współczesny EMPiK, który jest okropny, jest tam gorąco, duszno i powinny być toalety.

AŁ: Opowiedz coś więcej o tym projekcie „Feniks”.

„Feniks” to projekt realizowany przez Małopolski Instytut Kultury od września 2003 do czerwca 2004. Celem było budowanie postaw obywatelskich jego uczestników poprzez patrzenie, słuchanie i rozumienie Nowej Huty. W efekcie powstawały eseje, fotografie, plakaty społeczne a wreszcie film „Dziewczyny z Nowej Huty”, który otrzymał jedno z wyróżnień na festiwalu „Circom” w Liverpoolu w 2005 r. Hania Tucznio była uczestniczką tego projektu. (AM)

HT: „Feniks” był organizowany przez MIK. On był trochę inny niż ten projekt. Na początku około 15 do 20 osób, później nas zostało 10, zostały same dziewczyny. No tak, żeby przekazać tę Nową Hutę w różnych mediach. Był najpierw prasowy warsztat, później pisaliśmy eseje, fotograficzny, robiliśmy zdjęcia, były wystawy. Z tych zdjęć ja chciałam zrobić taką wystawę w barze mlecznym na Placu Centralnym, ale to się nie udało, ponieważ pani kierowniczka tego baru się nie zgodziła. Powiedziała, że absolutnie, to jest wykluczone, nawet nie ma o czym mówić.

Albo Centrum Administracyjne. Jak byłam mała, to się zawsze dziwiłam, co to jest, a mama mi mówiła, że to jest zamek z klocków lego. Jak mieszkałam już na Centrum A, jeździłam jeszcze do przedszkola na Stalowe, to gdy się jeździło tramwajem, to tak dziwnie to wyglądało. W taką kosteczkę melanżową…

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Marcin Kostera

Z miejsc, w których lubię przebywać, to przede wszystkim osiedle Stalowe, gdzie mieszkałam, jak byłam mała. Wiadomo, to jest takie osiedle typowe, że dookoła są bloki a na środku podwórko. To było tak, że się tam wszystkich znało, że się na tym podwórku siedziało pół dnia. Ja mieszkałam na II piętrze, no i nigdy nie chciało mi się wracać do domu, i gdy coś chciałam, to tak stawałam pod oknem i tylko: „Mamo, mamo, zrzuć mi coś do jedzenia”. Ponoć kiedyś tak stanęłam i wołam „Maaamo. Maaamo”. Mama się wychyla przez okno i pyta „No co, Haniu?” a ja pytam „Kochasz mnie?”, a ja „a, to dobrze” – no i poszłam się bawić. Mama mówi, że jak się tam sprowadzili, to była fontanna, a potem już tylko trawniki zadeptane.

Moi rodzice oboje urodzili się i mieszkali w dzieciństwie w okolicach Wieczystej. Tam mam swoich znajomych, tam mieszkają moi dziadkowie, tam działa moja drużyna, więc to też są takie tereny, z którymi jestem związana. Ale do Nowej Huty rodzice przeprowadzili się jeszcze przed moim urodzeniem. Ja już się urodziłam i chodziłam do szkoły na Stalowym. Później, jak się przeprowadzili, to już na Centrum A, czyli niedaleko, wciąż Nowa Huta. Raczej są zadowoleni, ja jestem też zadowolona.

Rodzina mojego taty jest z Porąbki Iwkowskiej, okolice Iwkowej. W Krakowie jest brat mojego taty z rodziną, mój wujek i kuzyni i to jest tyle. Nie znałam reszty. Kiedyś ktoś do mnie zagadał na gadu-gadu. Zawsze dowiaduję się „skąd jesteś”. Ale czekaj, ja mam nazwisko Tucznio, czy ty nie jesteś trochę moją rodziną? Okazało się, że chłopak mieszka na II Pułku, jest w moim wieku, chodzi do III Liceum, zresztą z moją koleżanką do klasy i że widział mnie w telewizji w filmie o Nowej Hucie. No i okazało się, że mieliśmy bierzmowanie w tym samym kościele. Zgadaliśmy się, że jest całkiem moją rodziną, ponieważ on jest wnukiem brata mojego dziadka.

AŁ: Czy czujecie się już wrośnięci w Nową Hutę?

Ja i moje miejsce

HT: Ja się czuję w pełni nowohucianką, moi rodzice – nie wiem w jakim stopniu, ale ja się czuję w pełni. Z ciekawych rzeczy to będzie też kościół w Mogile, którym się bardzo fascynowałam przez jakiś czas. Tam ten cały Stanisław Samostrzelnik i jego freski…

Jak byłam młodsza, jak przychodziłam do tego kościoła, to tak się dziwiłam: czemu tam są takie brzydkie, takie wyblakłe, a tutaj, w reszcie kościoła, są takie śliczne, kolorowe? Dlaczego nie mogli już całego pomalować? Po co tam są te paskudztwa? Później się dowiedziałam, że to są renesansowe, Stanisława Samostrzelnika. Nad zakrystią jest zaraz *Ukrzyżowanie*, herb Odrowążów i nad ołtarzem jest *Zwiastowanie*. I jego jeszcze fresk *Ukrzyżowanie*, już całkiem inny, jest na krużganku. I jeszcze do tego biblioteka klasztorna, której, no niestety, już nie mogłam obejrzeć, znam tylko zdjęcia z tej biblioteki. Ostatnio oglądaliśmy na języku polskim film *Zabytki piśmiennictwa polskiego*, tam była jakaś biblioteka. Ja tak patrzę, patrzę, a to freski Stanisława Samostrzelnika na suficie. I Cystersi tam chodzą – to już poznałam, że z Mogiły.

Kopiec Wandy jest miejscem bardzo śmiesznym. Odkryłam go tak naprawdę w zeszłym roku. Tam jakaś para bucha z komina, jakieś pociągi przejeżdżają, a tu stoi sobie lasek. Świetne miejsce.

Nad zalew to się chodziło wtedy, jak mieszkałam jeszcze na Stalowym. Moja mama miała biuro rachunkowe z ciocią, tak jak teraz. Jak kończyła pracę o pierwszej, to zabierała wszystkie dzieciaki z osiedla, wszystkich kolegów moich, mojego brata, mnie taką małą, no i szła ze wszystkimi na spacer. Nad zalewem były poniszczone zabawki… Jak się pójdzie w stronę dworku Jana Matejki tam później, nieco dalej, jest taki kościół Jana Chrzciciela, drewniany, a później obok niego jest ogródek, gdzie był globus. Tam zawsze się chodziło „na globus".

fot. Marcin Klag

AŁ: Zbierała tak tę całą ferajnę z podwórka?

HT: Tak! Teraz zawsze, jak po przeprowadzce przychodzimy tam dalej do znajomych, to wszyscy, chociaż już dorośli, „Dzień dobry, proszę pani" – „Dzień dobry, dzień dobry!". Mnie już nie poznają, ale moją mamę pamiętają, długo.

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Marianna Zając

Na Łąkach się bawiłam z moją koleżanką w komandosów, jak byłyśmy małe. Byłyśmy tak w pierwszej, w drugiej klasie. Jak byłyśmy starsze, chodziłyśmy się opalać na wał Wisły. Tam jest taki stary wał. Daleko? Nie… To jest taki bardzo stary wał, tam jest starorzecze Wisły. Ja nie widziałam tego nigdy, ale moi znajomi budują na tych łąkach, na skarpie, skocznię i skaczą na snowboardach. Tam też jest dużo zwierząt. Moja koleżanka mieszka dalej od centrum. Tam są takie bloki, mają jakby baszty. Ona mieszka właśnie w takiej baszcie. Tam jej bażanty podchodziły pod okna!

AŁ: Można by stworzyć tam park ekologiczny?

HT: Tylko żeby to nie było takie, żeby to zamknąć, będzie park, którego nie można ruszyć, tylko żeby to było dla ludzi. Żeby to było ładne, żeby można było wejść, zobaczyć, pochodzić. Myślę, że koncepcja, jak ta pierwsza, żeby stworzyć tam zalew, byłaby dość interesująca… Ale myślę, że byłoby tam dużo komarów. I to jedyne mnie martwi.

Tak sobie pomyślałam. To mój tata pamięta, zanim się jeszcze tutaj wszyscy sprowadzili. Brat mojej babci pracował w gastronomii. I między innymi, jak był zalew, jak była scena, to miał letni bufet. „Jak byłem młody, to sobie tam dorabiałem, o!". Więc byłoby fajnie, jakby go oczyścili, żeby tak ten teren uaktywnić, włączyć. Żeby nie był taki odcięty od ludzi.

No i te wiejskie pozostałości – są takie kochane. Na przykład idę do Lasku Mogilskiego, a tam chłop orze pole koniem. To trudno zauważyć gdzieś na wsiach jeszcze. Stoją tam teraz chałupy, no może nie strzechą kryte, ale wapnem bielone…

o junakach

Teraz pisałam taką pracę na konkurs „Ślady PRL-u". Nie wysłałam jej, co jest moją straszną tragedią. Na podstawie wybranego przedmiotu, rzeczy, miejsca, opisać historię współczesną Polski. Opisywałam młodzież w Nowej Hucie. Pomagała mi pani od historii, ona też jest z Nowej Huty, wielka patriotka lokalna. Pisałam między innymi o junakach. Dostałam numer telefonu od pana Mieziana, do człowieka, który przyjechał tutaj z pierwszą brygadą junaków, z kosami, i pole wycinali. Mieszka do dzisiaj w NH. Niestety nie rozmawiałam z nim. Ciągnęłoby mnie, żeby do tego wrócić, ale ciągnie mnie też do piętnastu milionów innych rzeczy, które zobowiązuję się zrobić, do których się zgłaszam.

AŁ: Mam tu w albumie zdjęcia z tamtych lat. I plakaty. Możesz mi coś o nich powiedzieć?

Szansa → Roma Piejko, Bożena Kutrzeba-Nikiel

HT: Jak pisałam tę pracę na konkurs, to pierwsza część była o junakach, którzy przyjechali tutaj do NH. To się mówi się, że to wszystko była „a, taka propaganda". A oni się naprawdę cieszyli, to naprawdę była dla nich wielka szansa i wielka rzecz! Na tym zdjęciu nie widać, no bo są zmęczeni, pewnie głodni i w ogóle. Frustracja? Jak ludzie. Nie zawsze się muszą uśmiechać. Wiadomo, że ciężko wtedy było, szczególnie w takiej Nowej Hucie, jak byli murarzami. To jest też tak: jak się teraz rozmawia z ludźmi, którzy

fot. Marcin Klag

tutaj przyjechali, jak tę Nową Hutę budowali, to oni wszyscy mówią, że są zadowoleni. Oni wszyscy mówią, że kiedyś tu było fantastycznie. Że to było super. Ale to też wynika z tego, że wtedy byli młodzi, wiadomo: to co złe, zapomnieli, to, co dobre, pamiętają. Zawsze się człowiekowi podobały czasy młodości, zawsze się to miło wspomina.

AŁ: Jesteś zorientowana w historii. Masz jakąś ulubioną postać?

TWARZ, KTÓRA PAMIĘTAM

HT: Po pierwsze, to będzie Iwo Odrowąż… Iwo Odrowąż, bo sprowadził Cystersów do Mogiły. Dominikanów też sprowadził. Kiedyś tak sobie stoję u Dominikanów i patrzę, a tu – o! Tablica Odrowąża.

Nigdy nie zgłębiłam historii fortów, które są w Nowej Hucie, i które są bardzo ciekawe… Ja wiem, kto jeszcze! No, zapomniałabym. Bogusławski. Patron mojej podstawówki zresztą. Wiadomo – „Krakowiacy i górale", akcja się dzieje w Mogile. Także Fedorowicz, choć to nie jest postać historyczna.

A z postaci bardzo historycznych to na pewno ci, co upolowali mamuta na terenie kombinatu i go zjedli tam!

lato dla obcokrajowców

AŁ: Co uważasz za najbardziej atrakcyjne w Nowej Hucie, co pokazałabyś obcokrajowcom ?

HT: To musiałoby być lato. Wzięłabym ich na rowery. Tak, po Nowej Hucie byśmy sobie pojeździli. Wzięłabym ich na lody na Alei Róż, najlepsze lody włoskie w całym Krakowie.

AŁ: Gdzie?

HT: Na tym takim głównym placu, bliżej Placu Centralnego, po tej stronie, co Kubuś. Ta budka jest tylko w lecie. Pojechalibyśmy nad zalew. Potem byśmy pojechali na chwilę centrum zobaczyć, ono jest ładne. Może… Kombinat. Fajna sprawa, ale teraz się nie da wejść. W środku jest jeszcze fajniej. A potem na kopiec Wandy, bo tam jest panorama. I jeśli nie byliby bardzo zmęczeni, to bym ich wzięła, żeby zobaczyli dworki i to wszystko. Bo to jest ładne. Po prostu. I przyjemne. Bo tam jest ładnie i zielono. A chodzenie i zwiedzanie – no to po co. Że to jest budynek taki a taki i powstał wtedy i wtedy, ten i ten go zbudował?

AŁ: Nowa Huta to kompleks zabudowy powstały w bardzo krótkim czasie i zamknięty, zrealizowany…

HT: No tak, ale się tego nie da tak pokazać. Jak już, to na zdjęciu lotniczym. A jeśli pokazać im po trochę wszystkiego, żeby na żywo obejrzeli, to to jest przyjemne.

fot. Marcin Klag

unikam

AŁ: Czy są jakieś miejsca, których nie lubisz, unikasz?

HT: Unikam teraz kina „Świt". Chodziłam tam kiedyś często, strasznie lubię kino, rodzice mnie te tam zawsze zabierali. Teraz jest jakoś pusto. Nie podoba mi się teraz „Światowid" – chyba jest tam hala meblowa. Zniszczył się przez takie użytkowanie. A szkoda, bo to fajne miejsce, chociażby na dyskotekę dużą. Duże i wyciszone.

Ja nie lubię innych części Nowej Huty, niż stara Huta, tak naprawdę. Dla mnie to jest Plac Centralny… Sięga do Curie-Skłodowskiej. Jak budownictwo. Później to też bywam, ale to już nie jest takie ciekawe, to już nie jest takie ładne.

AŁ: Plac Ronalda Reagana? A co sądzisz o projekcie, by zmienić nazwę Placu Centralnego?

HT: Ja nie rozumiem, dlaczego taki plac miałby się nie nazywać im. Ronalda Reagana. To znaczy: jeśli to byłby plac tylko Ronalda Reagana, to nie podobałoby mi się. A jeśli to

Zdjęcia do artykułu powstały na Kopcu Wandy

Nazwy

będzie z pozostawieniem starej nazwy, to i tak nikt nie będzie używał całej nazwy, będzie tylko i wyłącznie na planach, ewentualnie tabliczkach, na tabliczkach, zresztą tak na złość napisane: malutkimi literkami „Plac Centralny", a wielkimi „IMIENIA RONALDA REAGANA". Miałam kiedyś zadanie na stopień z harcerstwa, odwiedzić posiedzenie Rady Miasta. Akurat była dyskusja nad odwołaniem tej nazwy. Bo oni najpierw ją nadali, a potem ją chcieli odwołać, taka to była sprawa. Tam powiedział jeden radny – dość niegłupio, uważam – to, że jakieś prowincjonalne miasteczko Kraków nadało sobie jakiemuś placowi imię Ronalda Reagana, to nikogo dokładnie nie obchodzi. Ale to, że jakieś miasteczko ZABRAŁO imię Ronalda Raegana jakiemuś placowi, to może być odebrane dziwnie.

W sumie ja uważam, że to jest całkowicie bez sensu. Plac Ronalda Reagana… ja nic nie mam do faceta, porządny był całkiem, nie widzę żadnych przeszkód. Można dyskutować o jego roli w naszej historii, ale muszę powiedzieć, że ze współczesnej historii jestem kiepska. Lepsza jestem ze średniowiecza, ponieważ jestem ofiarą nowego systemu edukacji i współczesnej historii nigdy nie zdążyłam przerobić.

dziewczyny z „Feniksa"

AŁ: Czy utrzymujesz jeszcze kontakt z kimś z „Feniksa"?

HT: Z dziewczyn, które brały udział w projekcie, mam kontakt przede wszystkim z Ingą. Ona robiła to z Fedorowiczem. Z Ingą organizujemy teraz zresztą koncert charytatywny w Centrum Kultury Żydowskiej, zresztą zapraszam. To jest częściowo muzyka klasyczna, altówki, a częściowo kwintet jazzowy. Dochód z tego koncertu ustaliliśmy przeznaczyć na zakup komputera do takiej szkoły na Warmii. Inga chodzi do społecznego gimnazjum. Oni pomagali tym szkołom: robili koncerty, jeździli do nich, coś im zawozili. A ona jeszcze by chciała coś robić i się zapytała nas, czy nie pomoglibyśmy jej takiego koncertu zorganizować. No i organizujemy teraz ten. Kto gra? Altówki to są dziewczyny w naszym wieku, z krakowskich szkół muzycznych, z nowohuckiej też, a kwintet jazzowy, to są chłopacy tak… 18-19 lat. Grają naprawdę bardzo fajnie. Oni są też z Krakowa i okolic.

Potem wybieramy się tam, żeby im zawieźć te komputery. Może później będziemy szukać jakiejś innej szkoły, może w Bieszczadach. A w lecie jedziemy tam, może jakieś zajęcia organizować dla tych dzieci, zabawy.

AŁ: Masz jeszcze jakieś plany?

HT: Bo ja jeszcze sadzę las! To moje największe marzenie, póki co. No i jeszcze moje kino. I gazeta własna. Jak byłam mała, to oglądałam Discovery czy National Geographic, i tam była taka akcja: każde dziecko idzie i sadzi drzewko na zboczu góry. Teraz wpadłam na to, że dzieci ze szkoły mogłyby sadzić las. Najpierw myślałam, że nie ma terenów. Ale teraz wiem, że w Porąbce jest dużo łąk nie uprawianych. Może, gdyby była taka akcja, że zgodziliby się oddać to pod las.

AŁ: Myślisz, że uda Ci się zrealizować to marzenie o kiniarni?

HT: To trochę jeszcze potrwa. Najpierw planuję długie studia, z długim zwiedzaniem całego świata, i dopiero wtedy mogę przyjechać otwierać własne kino. Pewnie się zmieni kilka razy… A może się lokal jakiś ciekawy jeszcze zwolni. Może ten bank zbankrutuje – ten teren jest akurat idealny, bo jest nie za duży. No, może ewentualnie Papirus – ale Papirus to taki miły sklep, on tam zawsze jest, od lat.

Twarz, która pamiętam

AŁ: Jeśli ktoś za 50 lat będzie oglądac wasz projekt „Feniks", tak jak teraz my oglądamy ten album i te twarze charakterystyczne, czy będziecie takimi twarzami NH z początku wieku?

HT: No, myślę że będziemy… Każda sprawa ma jakąś twarz. Mogę się poświęcić i zostać twarzą swojej. Bardzo różne tam były osoby w tym projekcie. Sądzę, że gdyby taka ikona powstała po naszym projekcie, to byłaby bardzo ciekawą ikoną.

fot. Marcin Klag

fot. Marcin Klag

Bogdan Zalewski

Rodowity nowohucianin. Mieszkał już na tylu osiedlach, że śmiało może nazwać siebie jasiem wędrowniczkiem. Nawet próbował parę razy wyrwać się z Nowej Huty, ale nigdy mu się to nie udało. Dlatego stale buduje wokół siebie swoje prywatne mitologie, by, jak twierdzi, racjonalizować ten swój pobyt tutaj.

fot. Marcin Klag

Bogdan Zalewski jest dziennikarzem RMF-u, „jedną z najbardziej wyrazistych osobowości radiowych". Całe swoje życie związał z tym zawodem. Od 1991 r. pracował w Radiu Krakków – jako reporter, później w innych rolach – prezentera, autora programów kulturalnych. Trafił tam, jak sam mówi – „z ulicy". Po paru latach przeniósł się do radia RMF FM. Tu się wyspecjalizował w tzw. news'ach. Prowadzi poranne wydanie „Faktów".
Sam o sobie mówi, że jest człowiekiem neurotycznym, trochę jak główny bohater „Dnia Świra" Koterskiego. Ma obsesję na punkcie liczb i wielkich liter stojących w plenerze. Pisze różne teksty, lecz „ciężko je przyporządkować gatunkowo. Trudno je nazwać prozą czy wierszami, one się wyrywają spoza takich kategoryzacji prostych".
Prowadzący rozmowę: Piotr Wołkowski

Proletariat szynki nie jada

PW: Z naszej rozmowy telefonicznej wiem, że urodził się Pan w Nowej Hucie. Czy mógłby Pan tak króciutko opowiedzieć, jak Pana rodzice się tu znaleźli?

BZ: Urodziłem się w 1965 r., wchodzę w tym roku w nową fazę życia, kończę 40 lat i w związku z tym myślę ostatnio o tym okresie 40 ostatnich lat. 1965 r. to jest dla mnie data znacząca. Nie tylko dlatego, że się wtedy urodziłem. Wydaje mi się, że mogę ją

wpisać w trochę szerszy kontekst. To była data przełomowa, jeśli chodzi o tworzenie nowego paradygmatu – wzorca w kulturze czy w polityce, jeśli mogę to tak trochę górnolotnie określić. Rodziły się wtedy jakby nowe idee. Zachód dojrzewał do rewolucji; od poł. lat 60. dojrzewała tam rewolta zwana kontrkulturową. A w Polsce w 1965? Wystarczy przypomnieć choćby takie znaczące – jak się wydaje z perspektywy lat – wydarzenie: list polskiego Episkopatu do biskupów niemieckich – pierwsza próba szczerego otwarcia się na Europę Zachodnią ponad głowami władz PRL-u, która tak zdenerwowała komunistów. A te lata w PRL-u wcale nie były taką gomułkowską sielanką „małej stabilizacji", jak się to dzisiaj jeszcze czasem próbuje przedstawiać. Trzeba pamiętać, że w 1965 r. skazano na karę śmierci i wykonano wyrok w tak zwanej aferze mięsnej. Chodziło o kradzież mięsa i fałszowanie faktur. Gdyby dziś panowało takie surowe prawo wobec aferzystów gospodarczych, choćby w hipermarketach, mielibyśmy w Polsce las szubienic. To była taka ogólna atmosfera w kraju, kiedy przyszedłem na świat.

PW: A w Nowej Hucie co się wtedy działo?

BZ: Rodzice mi opowiadali, że po moim urodzeniu ledwie wiązali koniec z końcem. Pensja mojego ojca ledwo wystarczała na życie. W sklepach już były problemy z towarami, szalała drożyzna. Pierwszy sekretarz PZPR, towarzysz „Wiesław", czyli Władysław Gomułka, znany z tego, że dzielił papierosa bez filtra na pół, zanim go zapalił, stwierdził, że podwyżki cen szynki nie dotkną „klasy robotniczej", bo proletariat szynki nie jada. Mój ojciec mi opowiadał, że kiedy ja się urodziłem, on zarabiał dwa i pół tysiąca złotych. Meble kosztowały trzynaście tysięcy złotych, więc można sobie wyobrazić. Tato był tak z nich dumny, że zrobił im zdjęcie swoim aparatem Zorka-4. To taka meblościanka na tle ściany wymalowanej

w modne wtedy „pikasy",

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

czyli takie abstrakcyjne linie. W kredensie za szybką stoją pierwsze kryształy rodziców i kapitalny serwis do kawy z Ćmielowa, który przetrwał do dziś. Dziś – rzecz kultowa, wiem, bo nie tak dawno widziałem podobny kolorowy serwis w charakterystyczne paski na wystawie w antykwariacie na Mikołajskiej, za ciężkie pieniądze. Więc moi rodzice mocno na to wszystko oszczędzali, moja mama to nawet niedojadała podobno. Po roku małżeństwa uzbierali sobie jednak trochę pieniędzy. Kupili sobie na przykład pierwszą elektryczną pralkę domową – słynną franię. Wcześniej moja mama prała bieliznę na tarce, co mnie trudno sobie wyobrazić. Rodzice ciężko zapracowali na tę swoją „małą stabilizację", więc te wszystkie rzeczy mają dodatkową wartość. Mamusia do dziś trzyma w swojej białej torebce ze ślubu cywilnego różne skarby z tych lat – na przykład instrukcję obsługi tej pralki z wyżymaczką na korbkę (instrukcja do pralki). Ja mam z tego frajdę, bo kocham rzeczy z lat 60., zwłaszcza związane z Nową Hutą. Mam wielki szacunek do rodziców, to są bardzo uczciwi, bardzo solidni, bardzo dzielni ludzie. Życie ich zahartowało, zahartowało ich jak stal! Jedno, co było pozytywne w czasach ich młodości w Nowej Hucie, to krótki czas oczekiwania na mieszkania spółdzielcze. Moi rodzice czekali na swoje tylko rok po moim urodzeniu. Więc ten 1965 – pierwszy rok mego życia – to dla mojej rodziny okres przejściowy, okres przejścia do prawdziwie dorosłego życia dla moich rodziców, życia „na swoim".

Więcej, niż budowlaniec

Myślę, że każdy człowiek szuka takich elementów, które trochę wzbogacają jego biografię. W gruncie rzeczy ten okres, w którym ja się urodziłem, był dosyć szary i przeciętny i miasto, w którym się urodziłem, też było w sumie szare i przeciętne. W takiej sytuacji człowiek szuka prywatnych mitologii. Oczywiście taką podstawową mitologią w życiu są mitologie rodzinne. Jeśli chodzi o ten rodzinny mit, to mogę oprzeć go na mitologii ojca i mitologii matki. Ojciec był człowiekiem pochodzącym ze wsi, z tarnowskiego i jego droga życia była swego rodzaju mitem awansu społecznego.

Awans → Lech Miodyński

PW: Przyjechał budować Nową Nutę?

BZ: Tak. Był budowlańcem, ale – jak zawsze sam podkreśla – z budowlanej elity. To było budownictwo przemysłowe – pracownikom znacznie lepiej płacono niż budowniczym

PRACA

domów. Firma nazywała się Mostostal Kraków. Mój ojciec był Mistrzem, czyli kierował ludźmi. Był prawdziwym „mistrzem", bo wszystko co robił, robił po mistrzowsku. Często był chwalony, premiowany i wielokrotnie nagradzany za swoją pracę. Mam w swoich rodzinnych nowohuckich zbiorach taką jego legitymację, bodajże z 1970 r. „Obywatel Stanisław Zalewski upoważniony jest do noszenia odznaki Zasłużony Mostostalowiec". Mogę powiedzieć, że zostawił tutaj w Nowej Hucie niejeden swój ślad. Jego ludzie budowali wszystkie wydziały Huty im. Lenina, wszystkie te aglomerownie, rurownie, koksownie itp.

Co ciekawe, ojciec twierdzi, że razem ze swoimi kolegami spawał elementy tego wielkiego napisu „Huta im. Lenina", który w 1960 r. stanął przed wejściem do kombinatu, przed tymi budynkami administracyjnymi. No cóż, napis jest propagandowy, obcy, sowiecki, ale mnie fascynują te litery. Mam obsesję na temat wielkich liter stojących w plenerze.

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

zob str. 181

Ale wracając do Pana pytania. Mój ojciec, jak już wspomniałem, był w Nowej Hucie człowiekiem z awansu społecznego, jak się to wówczas mówiło – chłopski syn, który robił karierę we wzorcowym mieście socjalizmu. Natomiast jeśli chodzi o moją mamę, to była taka mitologia raczej degradacji.

Ob. STANISŁAW ZALEWSKI
upoważniony jest do noszenia odznaki
„ZASŁUŻONY MOSTOSTALOWIEC" nadanej
w dniu 20 kwietnia 1970 r.
przez Kolegium Zjednoczenia Konstrukcji
Stalowych i Urządzeń Przemysłowych
»MOSTOSTAL«
Warszawa, dnia 23 kwietnia 1970
DYREKTOR
Zjednoczenia KS i UP „Mostostal"

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

Moja mama pochodziła z rodziny szlacheckiej.

Stopniowo ta rodzina się pauperyzowała, biedniała i schodziła w dół drabiny społecznej w wyniku różnych zawirowań historycznych. A II wojna światowa to już była dla nich całkowita katastrofa. Rodzina mojej mamy przyjechała tutaj do Nowej Huty dlatego, że w pewnym momencie właściwie utraciła wszystko. Jeszcze do początku lat 50. rodzina mieszkała w Warszawie i okolicach. Moja babcia Helenka prowadziła w Warszawie jadłodajnię, bodaj na Grochowie. W 1952 r. razem ze swoimi dziećmi i ze swoją matką oraz z siostrami opuściła rodzinne podwarszawskie strony i przyjechała do Nowej Huty. Krążyły plotki, że pod Krakowem zaczyna się nowe życie i otwierają jakieś szanse. Ale generalnie dla nich, ludzi o wysokiej samoocenie, z resztkami szlacheckich zwyczajów, jakąś taką wielopokoleniową pamięcią rodową, to był wyraźny ruch w dół. Więc jeśli chodzi o rodzinę mojego taty, to był ruch w górę, a po stronie mamy był ruch w dół, te dwa wektory spotkały się w pewnym momencie ze sobą, no i efekt tego spotkania to ja (*śmiech*). A ja jestem przedstawicielem tych pierwszych pokoleń, które są związane tylko z tym miejscem, z Nową Hutą właśnie. Tu się urodziłem, tu spędziłem właściwie całe swoje życie, dzieciństwo, młodość, życie dorosłe i… tak pozostało.

PW: Nie chciał Pan nigdy wyjechać z Nowej Huty? Przenieść się gdzieś indziej?

BZ: Próbowałem parę razy wyrwać się z tego miejsca, ale jakoś nigdy mi się nie udało; do tej pory jestem tutaj i w związku z tym zacząłem sobie budować wokół siebie jakąś taką indywidualną, prywatną mitologię:

„Dlaczego jestem tutaj? Dlaczego chcę tutaj być?"

Próbuję sobie jakoś racjonalizować ten swój pobyt tutaj. Mieszkałem już na tylu osiedlach w Nowej Hucie, że jestem takim trochę jasiem wędrowniczkiem. Wszystkie te moje migracje wciąż jednak ograniczają się wyłącznie do terytorium nowohuckiego. Co jest rdzeniem Nowej Huty? Jeśli to plac Centralny jest centrum tego mikroświata, to źródło mojego życia wypływa blisko tego punktu. Urodziłem w Szpitalu Żeromskiego, potem przez krótki czas mieszkałem z rodzicami u mojej babci Helenki w bloku na os. Teatralnym. Po roku moi rodzice się przeprowadzili do nowo powstałego bloku na os. Kalinowym. Pojawiły się nowe perspektywy, nowe szanse, ale już z dala od tego centrum, wtedy, w połowie lat 60., na obrzeżach Nowej Huty. Pamiętam: osiedle Kalinowe 9/9. Dwie dziewiątki. Bardzo ciekawy adres numerologicznie. Dziewiątka dla starożytnych była symbolem doskonałości. Jeśli pomnożymy 9x9 wychodzi 81: 8+1. A 8+1 to znów 9. Może to śmieszne, co mówię, ale mnie prześladuje w życiu taka magia tych nowohuckich liczb i nazw w moich adresach zamieszkania. Po kilku latach pomieszkiwania w „gomułkowskim" bloku os. Kalinowego, moi rodzice na początku lat 70. przeprowadzili się do „gierkowskiego" mieszkania na os. Złotego Wieku. To był lepszy standard: zamiast dwóch – trzy pokoje; zamiast „ślepej kuchni" – kuchnia „jasna". No i duży balkon! I znów bardzo ciekawy numerologicznie adres: 28/19. Po dodaniu cyfr 2+8 i 1+9 wychodzi nam: 10/10. Po 9/9 mamy 10/10, więc jakby stopień wyżej: awans. No i ta nazwa osiedla: Złotego Wieku. Dla wielu ludzi dzieciństwo jest złotym wiekiem, a u mnie ta dziecięca dekada lat 70. w tym nowohuckim osiedlu była także z nazwy „złota"! Kiedy wszedłem w życie dorosłe pod koniec lat 80., to przeprowadziłem się do mieszkania mojej żony. Dorota też jest z Nowej Huty, więc zamieszkaliśmy początkowo razem z jej ojcem i siostrą na osiedlu Kościuszkowskim. Już nie będę męczył Pana tą swoją numerologią, więc tylko wyliczę te swoje kolejne nowohuckie adresy: parę lat w M-2 na osiedlu Sportowym, kolejne siedem lat w M-3 na os. Szkolnym, no i teraz nowe milenium powitaliśmy w M-5 w Centrum E i pewnie już na tym pozostanie, chyba że mnie życie gdzieś tam rzuci poza Nową Hutę. Na razie dobrze mi się tutaj mieszka.

Batalion chłopacki

PW: A jakie ma Pan wspomnienia związane z tymi miejscami?

BZ: Bardzo „męskie" czy raczej „chłopackie" mam wspomnienia z dzieciństwa. Pierwsze obrazy, które mi się pojawiają teraz w mojej świadomości, to jest końcówka lat 60. na os. Kalinowym. Ono oczywiście wtedy zupełnie inaczej wyglądało niż dzisiaj. Mam przed oczyma taki dziki krajobraz dookoła tego osiedla, bo teraz tam jest dosyć gęsta zabudowa. Jest np. Szpital im. Rydygiera. W tym czasie, kiedy ja tam mieszkałem, dzieckiem będąc, to tam były takie „dzikie pola", dzikie łąki, no i wykopy, bo już wtedy ten szpital zaczął być budowany. Takie obrazy teraz mi się pojawiają, tzn. wykopy, na brzegu których się bawimy z moimi rówieśnikami. Stworzyliśmy sobie taki batalion, coś w rodzaju dziecięcego wojska. To był czas „Czterech pancernych i psa", byliśmy już takim „pokoleniem telewizyjnym", wychowanym na popularnych serialach. Pamiętam, jak biegnę do domu z podwórka, żeby zdążyć na odcinek przygód Janka i Gustlika. Mam jeszcze przed oczyma oko telewizora tosca – czarno-białego odbiornika, z którego już wtedy potrafiłem czytać pierwsze słowa, mimo, że jeszcze nie chodziłem do szkoły. Generalnie, mimo tych „wojennych" akcentów, to był idylliczny czas w moim życiu. Miałem wielu kolegów, bawiliśmy się w ćwiczenia i musztry wojskowe, mieliśmy nawet powycinane ordery z jakiejś gazety wojskowej, z jakiegoś „Żołnierza Polskiego" czy czegoś takiego, i te ordery przypinał nam do piersi za jakieś zasługi najstarszy z nas, – i wiekiem i rangą, chyba siedmioletni Mirek. Takie to było to Kalinowe – jak z wojennego filmu „Kalina czerwona". Mimo, że wojny nie było. Od dzieciństwa karmiono nas jednak taką

Pamiętać → Waldemar Cichy, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

mitologią „walki” z Niemcami, więc dla kilkuletnich chłopców było naturalne bieganie z „bronią” po podwórku. Pamiętam taki metalowy pistolet-zabawkę o nazwie „Precyzja”, bardzo popularny wtedy. Do dzisiaj słyszę suchy odgłos strzałów, kiedy metalowy młoteczek uderzał o plastykową płytkę w środku.

PW: A w co się jeszcze wtedy bawiono?

BZ: Inne zabawy dziecięce z tego okresu – przełomu lat 60. i 70. – też były mało „dziecinne”. Pamiętam miotanie śrubami z siarką o beton zatoczki przed kotłownią na os. Kalinowym. Były takie specjalne zapałki o nazwie „Sztormowe”, z większą ilością siarki. Z tych „szturmówek” – jak je znów „militarystycznie” nazywaliśmy – zeskrobywaliśmy siarkę i wsypywaliśmy do nakrętki, a następnie dokręcaliśmy śruby z jednej i drugiej strony. Taką prymitywną petardą uderzało się o twardą nawierzchnię i one wydawały straszny huk. Ale prócz takich „wojennych” wspomnień z dzieciństwa mam też reminiscencje „pokojowe”. Kolarski Wyścig Pokoju to był kolejny „przebój telewizyjny”, który wpływał na wyobraźnię dzieci w tym czasie. Uliczki i chodniki na os. Kalinowym były pokryte licznymi, krętymi trasami, kreślonymi przez chłopaków szkolną kredą. Po uliczkach właściwie nie jeździły samochody, więc można było spokojnie bawić się w „kolarzy” Zamiast zawodników ścigały się kolorowe guziki i klamerki. Każdy z chłopców kolekcjonował wtedy taką prywatną pasmanterię „Kolarski peleton” wyciągany z maminych szuflad ścigał się na „górskich trasach”, czyli wskakiwał na krawężniki; pokonywał przeszkody w postaci wyrysowanych kredą „wysepek”, aby na końcu dotrzeć do okrągłego stadionu ze słowem META.

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

PW: Tego wcześniejszego okresu z Teatralnego Pan pewnie nie pamięta?

BZ: Nie mogę pamiętać, bo miałem roczek, jak się stamtąd wyprowadziliśmy, choć prześladuje mnie taki obraz półprzepuszczalnej płytki, która przesłania mi świat. Może to jest ta osłona na wózku która chroniła mnie przed śniegiem i deszczem? Jeśli sobie tego po prostu nie wymyśliłem, to ta przesłona może być taką

metaforą mglistej pamięci

z tego najwcześniejszego okresu mego życia. To są tylko takie zamazane obrazy.
Osiedle Teatralne – już bez mętnej szybki – pamiętam z późniejszego okresu, bo często odwiedzałem z rodzicami babcię Helenkę która tam po naszej przeprowadzce nadal mieszkała. A skoro mówimy o tym osiedlu, to Teatralne oplata taka „naturalna” granica która do tej pory dzieli różne obszary Nowej Huty. Wraz z linią ul Kocmyrzowskiej zupełnie inny słój się zaczyna. Bo tu są takie słoje, można je wyróżnić jak na pniu drzewa. Os. Teatralne było nazywane jakoś śmiesznie zaraz na początku. Ono było nazywane.. Tajwan. To może nie była taka nazwa popularna, przynajmniej nie aż tak popularna jak te określenia jak z gry planszowej, jak z szachownicy. Mówiło się przecież C1, B1, B2. Tajwan nie był aż w tak powszechnym użyciu. Mimo to, warto na nazwę zwrócić uwagę, bo Tajwan to wyspa. Os. Teatralne było na początku taką właśnie „wyspą” na morzu ziemi czy błota. Tak budowano w Nowej Hucie – tu osiedle, tam osiedle. A teraz jak taka właśnie wyspa pamięci – ten nowohucki „Tajwan” pojawia się w mojej głowie, wyłania się jakby z oceanu amnezji.

Błoto → Ewa Kaproń, Marianna Zając, Bogumił Godfrejow, Lech Miodyński

Dzika konspiracja

PW: Jakie wydarzenia z Nową Hutą związane utkwiły Panu szczególnie w pamięci?

BZ: Ja nie byłem żadnym zadymiarzem, ale pamiętam dokładnie te zadymy uliczne z lat 80. Ja tam w paru brałem udział, ale nie to, żebym uczestniczył w jakimś ruchu podziemnym.

PW: W stanie wojennym?

BZ: W samym stanie wojennym to może jeszcze nie, bo jeszcze byłem za młody. Pamiętam tylko, jak chyba w II klasie licealnej zatrzymuje nas patrol ZOMO, mnie i kolegę, na wewnętrznej wąskiej uliczce na os. Krakowiaków. Mój kolega z klasy był świeżo upieczonym kierowcą i ten jego mały fiacik został kompletnie wybebeszony przez trochę starszych od nas chłopaków – umundurowanych i uzbrojonych po zęby. Wielkie podejrzenie wzbudziła w tych „wojach Jaruzelskiego" metalowa łopatka zwana „saperką", którą znaleźli w bagażniku. Musieliśmy stanąć w rozkroku, z rękami na masce samochodu, i poddać się rewizji, jak na amerykańskich filmach, których ci zomowcy się pewnie naoglądali. Niech to posłuży za obraz absurdu tych czasów: żadna martyrologia, raczej groteska i surrealizm. Ale pamiętam też momenty bardzo dramatyczne. Były rocznice wydarzeń, szczególnie obchodzone w Nowej Hucie. To było bodaj w 1984 r. Ja wtedy byłem w IV klasie liceum. Dwunastego Liceum im. Bolesława Bieruta. No, już nie było stanu wojennego, to już był okres jakby tej tzw. normalizacji. Ale tu były w Nowej Hucie bez przerwy jakieś zadymy. Pamiętam na os. XX-lecia taką maksymalną bitwę osiedlową, z wyrywaniem płyt chodnikowych. Ja tam poszedłem sobie najpierw popatrzeć na to os. XX-lecia (dziś Albertyńskie). W pewnym momencie zacząłem jednak razem z innymi budować barykadę uliczną z płyt i jakichś innych przedmiotów. Tak sobie znosiliśmy te płyty na ulicę, aż tu nagle ktoś zauważył podejrzane samochody, które podjeżdżały po to, by z ich wnętrza SB-ecy mogli robić zdjęcia. Słyszałem, że potem dyrektor naszego liceum miał na takiej „sesji zdjęciowej" rozpoznawać swoich uczniów. No i oczywiście za chwilę poleciały kamienie w te samochody. Po chwili przyjechały transportery opancerzone z sikawkami, zaczęli lać kolorową wodą. Całego mnie zlali, byłem w takiej białej koszuli, pamiętam, w prążki,

a ta farba była fluorescencyjna.

Koszula była do wyrzucenia, a ciało nie dało się domyć przez 2-3 dni; takie zostawały ślady po tej farbie. Zomowcy strzelali ze świec dymnych, ale nie puszczali tego świństwa w górę. Te petardy po prostu śmigały prosto; tak, że naprawdę najadłem się strachu maksymalnie. W pewnym momencie ZOMO ruszyło z pałami w osiedla i zablokowali całe XX-lecia. Znalazłem się z innymi w takim „kotle" po prostu. Był wielki strach, bo z psami zaczęli ganiać, nie pamiętam nawet, jak przeskoczyłem przez ogrodzenie szkoły czy przedszkola. I w pewnym momencie spotkałem swoją nauczycielkę ze szkoły podstawowej, która tam mieszkała. I ta pani mnie uratowała. Ona mnie do mieszkania swojego zapraszała, ale ja tylko na moment na klatce schodowej się ukryłem. Potem, po tym wszystkim, wracałem zakolami do siebie, do domu na Złotego Wieku. I bardzo się bałem, bo byłem zlany tą farbą. Gdyby mnie po drodze spotkało ZOMO, to od razu by wiedzieli skąd wracam. To doświadczenie wybiło mi z głowy „dziką konspirację". Nie byłem więc zbyt odważny.

Strach → pp. Skomorowscy, Waldemar Cichy, Bożena Kutrzeba-Nikiel

PW: No to rzeczywiście musiał się Pan najeść strachu! Ja widziałem zdjęcia z „zadym" w książce ks. Palmowskiego i wyglądało to niezwykle groźnie. No ale przejdźmy do następnego pytania. Jak zmieniło się Pana postrzeganie Huty z biegiem lat?

fot. Marcin Klag

BZ: To jest psychologicznie bardzo skomplikowana sprawa. Pamiętam, że było trochę takiego nowohuckiego resentymentu, to znaczy był lekki kompleks niższości wobec moich kolegów z tzw. Krakowa. Ten konflikt może teraz troszkę wygasł, bo Nowa Huta jest jednak trochę promowana. W tym momencie zrobiła się lekka moda na Nowa Hutę. Podejrzewam, że ona nie jest trwała, ale generalnie teraz troszkę inaczej zaczęto mówić o tym mieście. Natomiast z tego, co ja pamiętam, to ludzie z Nowej Huty byli w pewnym sensie ludźmi troszkę zakompleksionymi wobec mieszkańców Krakowa. Ja może nie jestem człowiekiem, który cierpi na jakiś kompleks niższości z tego powodu, ale wydaje mi się, że jakiś cierń tkwi we mnie jednak. Zwłaszcza na studiach, np. kiedy studiowałem na UJ, było coś takiego, że Nowa Huta była taka…

PW: Nie przyznawał się Pan, że jest Pan z Huty?

BZ: Nie, nie, to nie w tym rzecz; ja tylko słyszałem takie opinie po prostu. Co więcej, ja spotykam takie opinie jeszcze dzisiaj. Chyba w zeszłym roku mia-

łem taki epizod bardzo śmieszny, niby śmieszny, ale w sumie też nieprzyjemny: jestem w krakowskim antykwariacie, przeglądam książki, aż tu nagle słyszę taki ożywiony dialog. Właścicielka tego antykwariatu rozmawia z jakimś klientem na temat ludzi w Nowej Hucie. I to była taka mitologia czysta, że

tam się ludzie w ogóle nie myją,

że to są ludzie z jakiejś innej epoki, jakiegoś kamienia łupanego, że oni nie wiedzą, co to są toalety w ogóle. Ja byłem tak zdumiony, że aż osłupiałem, nie odezwałem się, czego do dziś żałuję.

PW: Tym bardziej, że to powiedziała osoba z antykwariatu…

BZ: Właśnie. Ostrzegała tego swojego klienta, że jechać do Nowej Huty to jest wielka „przygoda". Trochę to się kojarzy ze słynnym poematem Adama Ważyka z lat 50. W „Poemacie dla dorosłych" jest właśnie takie ostrzeżenie: „Nie jedź, chłopcze, do Nowej Huty,/ bo po drodze będziesz otruty". To są słowa z lat 50., ale jak widać, dla niektórych aktualne do dziś.

Jakąż to miasto ma w sobie truciznę?

Ono z pewnością mnie zatruwało przez jakiś czas, zwłaszcza w latach 80., kiedy był stan wojenny, tą swoją beznadzieją. Można się było wtedy tu poczuć jak człowiek skoszarowany.

fot. Marcin Klag

Miało to jednak, paradoksalnie, swoje dobre strony. Te druzgocące opinie na temat Nowej Huty pobudzały ambitnego człowieka do jakiejś takiej gry wyobraźni, do wymyślania sobie pewnych rzeczy. Gdyby nie ta presja z zewnątrz, pewnie nie miałbym takiej rozbudowanej autorefleksji i refleksji o miejscu, w którym przyszło mi żyć.

PW: Chciał Pan na wszelkie sposoby polubić to miejsce, tak?

BZ: To nawet nie była do końca świadoma, uświadomiona działalność. To była chyba jednak jakaś reakcja obronna. To wypływało chyba z jakiejś potrzeby bardzo głębokiej, która niekoniecznie docierała do wyższych struktur świadomości. To jakoś tak ze mnie samo wypływało. Bardzo wcześnie, jeszcze w VIII klasie podstawówki, zacząłem pisać jakieś dzienniki, teksty, wiersze, zacząłem myśleć w ogóle trochę „architektonicznie", na innych zasadach, mitologicznych, zacząłem „budować przestrzeń" wokół siebie. Na czym to polegało? Widziałem pewną analogię miedzy strukturą tego miasta, a strukturą mnie samego. Mikrokosmos, czyli ja sam, to jest odpowiednik tego makrokosmosu, który jest wokół mnie. Zacząłem się często łapać na tym, że ja i Nowa Huta to trochę jedno.

PW: Wspomniał Pan, że pisze różne teksty, wiersze. Czy może Pan coś więcej powiedzieć na ten temat?

BZ: To są teksty, które ciężko przyporządkować gatunkowo. Trudno je nazwać prozą czy wierszami, one się wyrywają spoza takich kategoryzacji prostych.

Pan też mieszka w Centrum E, prawda?

PW: Tak, a dlaczego Pan pyta?

BZ: Bo z tym miejscem wiążą się np. takie moje struktury słowno-liczbowe. To się nazywa uczenie „poezja kratkowa". Zajmowali się podobnymi eksperymentami poeci w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Bardzo istotna jest dla mnie ta „architektura słowa". Ja szukam odpowiednich, adekwatnych struktur dla każdego miejsca w Nowej Hucie z którym związałem się w danym okresie mojego życia. Próbuję wtłoczyć moje asocjacje w bardzo precyzyjne formy. „Precyzja", jak słychać, nie jest tylko nazwą mojego pistoletu z dzieciństwa. Moim zdaniem, to dosyć oryginalne formy. W Centrum E odkryłem ciekawą analogię. Znany architekt, pan Romuald Loegler, projektując to osiedle na przełomie lat 80. i 90., doszedł do wniosku, mam wrażenie, że to Centrum E to nie jest tylko nazwa. Na planie tej litery E zbudowano bloki; tę piątą literę alfabetu można z tego planu „wyczytać". Skoro tak, pomyślałem, to E jest ukrytym znakiem tego miejsca. Co to znaczy? Jakie są tego konsekwencje? Tak się złożyło, że zupełnie przypadkowo znalazłem odpowiedź na te pytania w dialogu Plutarcha, starożytnym dialogu „O E delfickim". To był zupełny przypadek, ale bardzo znaczący, bo on te architektoniczne gry nowohuckie umieszcza w ciekawym kontekście, ustawia wobec bardzo starej tradycji. Okazuje się, że w starożytnych Delfach, gdzie wieszczyła prorokini Pytia, była wykuta w skale litera E. Wtedy, kiedy ten starożytny dialog Plutarcha powstawał (jest to dialog pomiędzy mędrcami, którzy się zastanawiają, po co ta litera E w ogóle tam się znajduje), już wtedy dla tych mądrych ludzi to była wielka tajemnica. Zagadka wynikała z tego, że to pierwotne tłumaczenie litery E już się zagubiło, to był jakiś mit po prostu, kolejny mit. No i oni zaczęli się zastanawiać, co to E znaczy? Doszli do wniosku, hmm, doszli do wielu wniosków, ale jeden z tych wniosków był taki, że to E jest świętą literą pitagorejczyków i w tej mitologii pitagorejskiej ona odpowiada piątce. Piątka przez pitagorejczyków była traktowana jako podstawowa struktura wszechświata i to mi dało do myślenia. Pomyślałem sobie, no cóż, znalazłem się tutaj w Centrum E – w tej podstawowej strukturze wszechświata, i… co dalej? Nawet jeśli to jest czysto arbitralne skojarzenie starożytnej litery E z tą moją nowohucką mitologią, to i tak warto to przemyśleć do końca. W-myśleć się w ten problem. I oto jest efekt – jedna z dwóch liter E, które stworzyłem, kiedy tu zamieszkałem ponad rok temu. Oto Centrum E, e-centrum:

K	O	G	I	E	Ń	G	W	O	D	N	Y	O	J	Ę	Z	Y	K	Ł	N	I	E	M	Y	O
L	S	P	A	L	A	I	S	Ł	O	W	O	Ż	B	O	S	K	Ą	Ą	W	I	E	Ś	Ć	C
U	T	Y	L	K	O	N	K	O	Ś	C	I	Y	W	A	P	N	O	C	K	R	Z	E	M	A
C	K	R	Y	J	E	I	P	I	E	Ś	Ń	W	O	P	E	R	Y	Z	M	O	J	E	J	L
Z	C	H	A	O	S	E	M	Y	Ś	L	I	A	B	U	D	Z	I	Y	Ś	P	I	E	W	A
P	R	Z	E	P	A	L	O	N	Y															
A	L	G	O	R	Y	T	M	Ó	W															
L	I	T	E	R	O	C	Y	F	R															
C	I	A	Ł	O	O	B	W	Ó	D															
E	L	E	K	T	R	O	L	I	T															
Z	T	R	A	W	Y	S	P	T	A	K	I	S	B	A	G	N	A	O	M	U	C	H	Y	S
W	K	O	M	I	N	Ł	J	A	K	I	E	Ą	Ł	Ą	C	Z	Ą	C	N	I	T	K	I	Z
I	C	Z	E	M	U	O	J	E	D	E	N	C	W	I	D	A	Ć	E	Z	B	I	E	G	A
J	J	E	D	N	O	W	R	O	D	N	Y	Z	S	C	A	L	A	A	O	B	R	A	Z	R
A	C	Z	O	Ł	A	O	C	Z	U	Ł	Y	Y	P	U	L	S	U	N	P	U	N	K	T	Y
B	L	O	K	O	W	I	S	K	A															
L	A	B	I	R	Y	N	T	E	M															
A	R	C	H	I	T	E	X	T	U															
S	T	R	E	Ś	C	I	Ł	E	M															
K	A	B	A	L	I	Ś	C	I	E															
A	C	Z	E	R	Ń	W	Ż	A	R	E	M	K	W	I	D	Z	I	Z	Ś	L	E	P	A	C
D	L	E	C	Z	Y	Ł	Z	I	M	N	Ą	O	W	Y	R	W	Ę	N	W	D	E	C	H	I
E	N	A	W	E	T	A	W	R	O	G	I	D	W	I	D	O	K	I	C	H	Ł	O	Ń	A
P	O	G	N	I	U	D	P	O	D	A	J	E	P	A	L	C	E	K	D	Ł	O	N	I	Ł
T	B	A	D	A	J	A	C	Y	F	R	Ę	M	P	I	Ą	T	Y	A	Ś	W	I	A	T	O

Jak widać, z tego Centrum E wychodzą różne sensy. Mogę sobie te sensy jakby wpisywać w to e-centrum, w związku z tym tworzy się taki mikrokosmos prywatny, wpisany w obiektywne prawa architektury, numerologii, historii i mitologii. Zatytułowałem to sobie „opEra” z wielkim E w środku słowa „opera”, bo mniej więcej w tym miejscu w Nowej Hucie planowano dawno temu budowę amfiteatru operowego, ale niestety ta budowa nie doszła do skutku. Dlatego postanowiłem stworzyć taką opErę widmową – operę liczbowo-literową. I to jest efekt takiego mojego myślenia w kategoriach „pitagorejskiego libretta”. To jest, jak Pan widzi, przedstawione w postaci matrycy literowej, taki świat Matrix: ciąg liter poddanych liczbowemu porządkowi, według motta z dialogu Plutarcha: „Wszelako jasne jest, że uważa się piątkę za coś pokrewnego bóstwu, już to jako samą siebie przetwarzającą w ogień, już to znów jako dziesiątkę wydającą wszechświat”, w pierwszym momencie wydaje się on zbiorem troszkę chaotycznym, jednak po nałożeniu kolejnych matryc można odczytywać znaki i znaczenia. Wystarczy „podświetlić” fragmenty tekstu, aby z chaosu literowego wyłonił się literalny porządek. Oto, na próbę, weźmy taką pierwszą, prościutką, linearną matrycę:

Sens → Roma Piejko, Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Lech Miodyński

K	O	G	I	E	Ń	G	W	O	D	N	Y	O	J	Ę	Z	Y	K	Ł	N	I	E	M	Y	O
L	S	P	A	L	A	I	S	Ł	O	W	O	Ż	B	O	S	K	Ą	Ą	W	I	E	Ś	Ć	C
U	T	Y	L	K	O	N	K	O	Ś	C	I	Y	W	A	P	N	O	C	K	R	Z	E	M	A
C	K	R	Y	J	E	I	P	I	E	Ś	Ń	W	O	P	E	R	Y	Z	M	O	J	E	J	L
Z	C	H	A	O	S	E	M	Y	Ś	L	I	A	B	U	D	Z	I	Y	Ś	P	I	E	W	A

P	R	Z	E	P	A	L	O	N	Y
A	L	G	O	R	Y	T	M	Ó	W
L	I	T	E	R	O	C	Y	F	R
C	I	A	Ł	O	O	B	W	Ó	D
E	L	E	K	T	R	O	L	I	T

Z	T	R	A	W	Y	S	P	T	A	K	I	S	B	A	G	N	A	O	M	U	C	H	Y	S
W	K	O	M	I	N	Ł	J	A	K	I	E	Ą	Ł	Ą	C	Z	Ą	C	N	I	T	K	I	Z
I	C	Z	E	M	U	O	J	E	D	E	N	C	W	I	D	A	Ć	E	Z	B	I	E	G	A
J	J	E	D	N	O	W	R	O	D	N	Y	Z	S	C	A	L	A	A	O	B	R	A	Z	R
A	C	Z	O	Ł	A	O	C	Z	U	Ł	Y	Y	P	U	L	S	U	N	P	U	N	K	T	Y

B	L	O	K	O	W	I	S	K	A
L	A	B	I	R	Y	N	T	E	M
A	R	C	H	I	T	E	X	T	U
S	T	R	E	Ś	C	I	Ł	E	M
K	A	B	A	L	I	Ś	C	I	E

A	C	Z	E	R	Ń	W	Ż	A	R	E	M	K	W	I	D	Z	I	Z	Ś	L	E	P	A	C
D	L	E	C	Z	Y	Ł	Z	I	M	N	Ą	O	W	Y	R	W	Ę	N	W	D	E	C	H	I
E	N	A	W	E	T	A	W	R	O	G	I	D	W	I	D	O	K	I	C	H	Ł	O	Ń	A
P	O	G	N	I	U	D	P	O	D	A	J	E	P	A	L	C	E	K	D	Ł	O	N	I	Ł
T	B	A	D	A	J	A	C	Y	F	R	Ę	M	P	I	Ą	T	Y	A	Ś	W	I	A	T	O

fot. Marcin Klag

Rozmowa Piotra Wołkowskiego
z Bogdanem Zalewskim

Ale moje e-centrum zawiera też inne, nie-linearne propozycje:

K	O	G	I	E	Ń	G	W	O	D	N	Y	O	J	Ę	Z	Y	K	Ł	N	I	E	M	Y	O
L	S	P	A	L	A	I	S	Ł	O	W	O	Ż	B	O	S	K	Ą	Ą	W	I	E	Ś	Ć	C
U	T	Y	L	K	O	N	K	O	Ś	C	I	Y	W	A	P	N	O	C	K	R	Z	E	M	A
C	K	R	Y	J	E	I	P	I	E	Ś	Ń	W	O	P	E	R	Y	Z	M	O	J	E	J	L
Z	C	H	A	O	S	E	M	Y	Ś	L	I	A	B	U	D	Z	I	Y	Ś	P	I	E	W	A
P	R	Z	E	P	A	L	O	N	Y															
A	L	G	O	R	Y	T	M	Ó	W															
L	I	T	E	R	O	C	Y	F	R															
C	I	A	Ł	O	O	B	W	Ó	D															
E	L	E	K	T	R	O	L	I	T															
Z	T	R	A	W	Y	S	P	T	A	K	I	S	B	A	G	N	A	O	M	U	C	H	Y	S
W	K	O	M	I	N	Ł	J	A	K	I	E	Ą	Ł	Ą	C	Z	Ą	C	N	I	T	K	I	Z
I	C	Z	E	M	U	O	J	E	D	E	N	C	W	I	D	A	Ć	E	Z	B	I	E	G	A
J	J	E	D	N	O	W	R	O	D	N	Y	Z	S	C	A	L	A	A	O	B	R	A	Z	R
A	C	Z	O	Ł	A	O	C	Z	U	Ł	Y	Y	P	U	L	S	U	N	P	U	N	K	T	Y
B	L	O	K	O	W	I	S	K	A															
L	A	B	I	R	Y	N	T	E	M															
A	R	C	H	I	T	E	X	T	U															
S	T	R	E	Ś	C	I	Ł	E	M															
K	A	B	A	L	I	Ś	C	I	E															
A	C	Z	E	R	Ń	W	Ż	A	R	E	M	K	W	I	D	Z	I	Z	Ś	L	E	P	A	C
D	L	E	C	Z	Y	Ł	Z	I	M	N	Ą	O	W	Y	R	W	Ę	N	W	D	E	C	H	I
E	N	A	W	E	T	A	W	R	O	G	I	D	W	I	D	O	K	I	C	H	Ł	O	Ń	A
P	O	G	N	I	U	D	P	O	D	A	J	E	P	A	L	C	E	K	D	Ł	O	N	I	Ł
T	B	A	D	A	J	A	C	Y	F	R	Ę	M	P	I	Ą	T	Y	A	Ś	W	I	A	T	O

PW: To są mocno skomplikowane gry z nowohucką przestrzenią, gry dla wtajemniczonych. A mógłby Pan o tej przestrzeni opowiedzieć bardziej wprost? Mieszka Pan już tyle lat w Nowej Hucie, czy może Pan w związku z tym opisać jak się to miejsce zmieniało z biegiem lat?

BZ: Tak zupełnie fizycznie?

PW: Tak, chodzi mi o realną, a nie mityczną, przestrzeń nowohucką.

BZ: To, co ja pamiętam z dzieciństwa, to ten okres os. Kalinowego z końca lat sześćdziesiątych i to była granica Nowej Huty wtedy. Tam nie było już dalej nic. Na średniowiecznych mapach to się takie nieznane, nie opisane miejsca oznaczało po łacinie: *ubi leones*, czyli

tam, gdzie żyją lwy.

Więc to był taki koniec świata, pamiętam, koniec świata mojego dzieciństwa. Ta Nowa Huta kończyła się mniej więcej na granicy drogi i wiaduktu, który dziś prowadzi do os. Bohaterów Września. Dalej była już dzika natura, taka bardzo bujna. Niemal jak z Brunona Schulza: jakieś dziko rosnące łąki i takie małe oczka wodne, takie stawki z kijankami, które raz do domu przyniosłem w słoiku, myśląc, że to rybki. Dopiero tato mi z głowy wybił takie „akwarium". Ten obraz dzikich łąk utkwił we mnie na dobre, bo chodziłem się tam z moją mamą opalać, tzn. ja nie, bo ja nie lubiłem się opalać, ale moja mama tam chodziła ze mną. Ja tam strasznie cierpiałem, nie tylko z powodu upału, bo nienawidziłem po prostu tego piekącego słońca, ale też ta przestrzeń wydawała mi się taka dosyć piekielna. To była bardzo wyraźna granica oddzielająca przestrzeń urbanistyczną od tej przestrzeni naturalnej. Miałem wrażenie, że ta dzika

natura zagraża nowemu miastu,

że to miasto nie przetrwa, że ono się cofnie, że te łąki się po prostu wyleją z powrotem tutaj w te nowo wybudowane osiedla: Kalinowe, Wysokie. Okazało się to czystą mitologią, ponieważ świat się rozrastał akurat w drugą stronę. To łąki przegrywały ze spychaczami na gąsienicach.
No a dziś, każdy miesiąc właściwie przynosi jakieś nowe bloki, które się tutaj budują w okolicy. To się jednak bardzo rozrasta i szybko, dynamicznie bardzo. Jedno na drugim. À propos tych zmian, to mi się jeszcze jedna rzecz przypomniała. Jest taki słynny „blok szwedzki", ten na os. Szklanych Domów. On jest oczywiście już dość dobrze opisany; że architekt, pan Ingarden w latach 50. pojechał do Szwecji, i że tam zobaczył to socjalne budownictwo i całkowicie zarzucił idee socrealistyczne, próbując te szwedzkie pomysły zaszczepić u nas. To jak mówię, jest opisane. Natomiast ja pamiętam, że do niedawna jeszcze, na ścianie tego bloku szwedzkiego był taki stary fresk z lat 60. Taka charakterystyczna pani z tego okresu była na ścianie namalowana. Porządna nowohucka mieszczanka – taka moja mama z tych lat. Tego fresku na murze już nie ma. Chyba pod koniec lat 90. został zamalowany. To przypomina palimpsest – czyli pergamin wielokrotnie zapisywany, z jednymi tekstami przykrywanymi przez kolejne, późniejsze. Przyszło nowe i zamalowało, ale gdzieś ten fresk pewnie tam tkwi, pod warstwą tej świeżej farby.

Twarz, którą pamiętam

PW: Więcej jest takich miejsc z malowidłami na blokach w Nowej Hucie. Ja sobie przypominam, że gdzieś jest reklama coca coli na bloku

BZ: Tak, coca-cola jest koło Domu Handlowego „Wanda", na tym wieżowcu, dawniej XX-lecia, teraz os. Albertyńskiego. To jest taki hejnalista, który zamiast trąbki ma butelkę coca-coli w ręku, ale tam był wcześniej inny fresk.

PW: No właśnie, też mi się tak wydaje, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć, co tam było.

BZ: Też nie mogę. Ja nie wiem, czy tam nie było po prostu jakichś iksów. To było osiedle XX-lecia i tak mi się wydaje, tak mi się w głowie roją jakieś iksy. Pozostaje nam już tylko równanie z tymi dwiema niewiadomymi.

PW: Bardzo możliwe.

BZ: To stare nowohuckie jest zamalowywane przez nowe „Nowe Huty". Jak mówię, to jest palimpsest – pergamin miasta wielokrotnego użytku. Np. usuwanie dawnych nazw. Pojawiają się nowe. Cały panteon „świętych" komunizmu na tablicach ulic Nowej Huty: Feliksa Kona, Marksa, Engelsa, Lenina – wszystko to zniknęło nagle. I mam wrażenie, że nawet nie został po nich ślad w ludzkich głowach. Zostały jeszcze te B1, B2, czy A0, a nie została, powiedzmy, al. Lenina. Coś by mogło jednak z tego mojego dawnego nowohuckiego świata pozostać. Jak dla mnie, to tę ul. Majakowskiego mogliby zostawić. Nie szkodziłaby. A teraz zmieniono, ale nie pamiętam na jaką…

Nazwy

Majakowskiego → Bogumił Godfrejow, Ewa Kaproń

PW: Chyba na Obrońców Krzyża, ale też nie jestem pewien.

BZ: Tak, ma Pan rację. Szlachetna nazwa, pasuje jak ulał do tego miejsca, a mimo to Majakowskiego mi żal. Ja sobie tę nazwę ulicy w takim kolejnym nowohuckim wierszyku zapisałem „schodkowo" – tak, jakby to sam Majakowski zapisał:

Nazwy

Majak
owski
ego

Tak, żeby z tego nazwiska taki mój „majak” wyszedł, majak ego. To dzisiaj jest ulica-majak, niewątpliwie. Jakie tam są jeszcze ulice w okolicy? Jakie nazwy ulic?

PW: Mój ojciec często jeszcze mówi, że idzie na Demakowa…

BZ: Najzabawniejsze jest to, że ta ul. Demakowa zanim zmieniła nazwę, to wcześniej zmieniła płeć. Może dlatego, że tam ten falliczny czołg na niej stoi. Już dawno zmieniła rodzaj na żeński. Bardzo często się mówiło: gdzie to kupiłeś? Na Demakowej. Jakby to była ul. Demakowa, jak Topolowa, Willowa na przykład. Ludzie po prostu nie wiedzieli, kim był ten jakiś sowiecki Demakow, tylko myśleli, że to jest po prostu przymiotnik. Pamiętam, że parokrotnie wywoływało to uśmiech na moich ustach, jak ludzie mówili, że to na Demakowej było. Mnie się podoba takie sfeminizowanie.

Demakowa → Lech Miodyński

PW: Miejsca, których Panu szczególnie brakuje w Nowej Hucie, co to za miejsca?

BZ: Właściwie to tutaj wszystko jest… potencjalnie. Brakuje mi ludzkiej energii po prostu. To znaczy ona się rodzi powoli, ale to jest dopiero wszystko w zarodku, moim zdaniem. Powstaje jakiś teatr, no Łaźnia się tu przeniosła, jest trochę fajnych ludzi, którzy coś chcieliby z tym miejscem zrobić, ale jeszcze nie ma tej materii.

PW: A jakby Pan to widział?

BZ: Ja jestem przywiązany w ogóle do takiego trochę samotniczego życia. Ja nie lubię jakiś stowarzyszeń formalnych, odgórnych inicjatyw itd., ale brakuje mi takich grup nieformalnych, które były tu kiedyś, że wspomnę chociażby Grupę Nowohucką. Malarze, którzy w pewnym okresie, w latach 60., stanowili mocny ośrodek artystyczny. Dla mnie przynajmniej, ci malarze byli nawet ciekawsi od Grupy Krakowskiej, Kantora itd. Chodzi oczywiście o moją prywatną mitologię. Poza tym bardzo mi się podobają ich idee. Chciałbym, żeby był powrót do takiej idei Nowej Huty jako miasta awangardy. Nie socrealizmu, tylko właśnie awangardy w sztuce. Lata 60. przede wszystkim. Dlatego tak ważny jest dla mnie właśnie 1965 r. I to nie tylko dlatego, że się wtedy urodziłem. Wydaje mi się, że to jest okres jakiegoś niezwykłego rozkwitu tego miejsca. Wtedy Nowa Huta była traktowana jak

kuźnia artystyczna

Materia

trochę. Wracając jeszcze do idei Grupy Nowohuckiej, dlaczego ona mi się podoba i co wydaje mi się żywą rzeczą dzisiaj? To, że można z czegoś, co jest pogardzane, z tego, co jest niskie, z takiej właśnie, jak to się w alchemii nazywa, „materia prima”, materia pierwsza, nie wiem, z kredy, z gipsu, z ziemi, z drutu, z kawałka tektury, można stworzyć dzieło sztuki. Ja to widzę jako pewną metaforę w ogóle. Można z tej takiej rudymentarnej masy, która tutaj jest, stworzyć kosmos artystyczny. Może to się dzieje, tylko ja tego nie zauważam? Wiem, że są jakieś festiwale tutaj organizowane, są fajne pokazy, są jakieś ekrany ustawiane na nowohuckich placach, pokazywane są nowohuckie filmy itd. Wszystko bardzo pięknie, tyle że ja mam wrażenie, że to jest trochę sterowane odgórnie. Nie ma jeszcze tej takiej siły, która oddolnie to wszystko kreuje; że nie wiem, powiedzmy parę osób, które są związane z tym miejscem sentymentalnie, rodzinnie powiedzmy, trochę jak ja, stwarzający sobie pewną mitologię tego miejsca, stara się współpracować ze sobą i stworzyć takie centrum, które by stąd promieniowało… w świat. Trochę jak to Centrum E, e-centrum, sieciowe gniazdo nośnych idei. Ja sobie nawet tak pomyślałem, że to moje Centrum E, to jest taka metafora elektronicznej struktury, która mogłaby się tutaj rodzić i promieniować, może najpierw na Kraków, przynajmniej w tym pierwszym etapie. Takie mam marzenia związane z tym miejscem.

Potencjał schronów atomowych

PW: Nowa Huta mogłaby być takim e-centrum, nowym ośrodkiem artystycznym?

BZ: Tak, ale właśnie nie na tej zasadzie, że powstaną tu jakieś „artystyczne" knajpy… Choć to też jest ważne, żeby to miejsce trochę odżyło, żeby ludzie tutaj przyjeżdżali, bywali, żeby to stało się modne bywać w Nowej Hucie. To jest także ważny wymiar, ale on nie jest najważniejszy. To jest dla mnie za proste w sumie i sztampowe. Widzę, co się dzieje na Kazimierzu, kiedy właściwie wszystko się do tego sprowadziło, że zbudujemy trochę knajpek i już nam się wydaje, że miasto żyje. To nie na tym polega.

PW: No ale jedna porządna knajpa z prawdziwego zdarzenia by się przydała, nie sądzi Pan? Powiem szczerze, że jest problem, gdy chcę wyjść gdzieś ze znajomymi, a nie chce mi się jechać do centrum miasta. Wtedy zostaje tylko Stylowa…

Atomowy → Waldemar Cichy

BZ: No, ja jeszcze do Kameleona na os. Szkolnym czasem chodzę, bo można tam normalnie porozmawiać. Nie jest to żadna mordownia. Ale myślę, że jest tutaj taki niewykorzystany potencjał podziemi wszelkiego rodzaju; przecież tu są schrony przeciwatomowe, przecież można by właśnie w nich stworzyć jakieś kluby. Cały Kraków przecież żyje na podziemiach, życie kulturalne zeszło do podziemia, bo wszelkie knajpy, wszelkie jakieś fajne miejsca, są po prostu w piwnicach. A tutaj jest ten potencjał niewykorzystany schronów atomowych, które spokojnie można by zaadaptować w celu stworzenia takiej kulturalnej czy rozrywkowej infrastruktury. No, ale nie w Nowej Hucie! To jest miejsce przeklęte i nikt tu nie chce wchodzić w ogóle nigdzie i z niczym. No, to tego też mi brakuje, ale, jak mówię, bardziej jest to kwestia stworzenia pewnego kręgu ludzi niż jakiegoś konkretnego miejsca, bo miejsce to jest rzecz wtórna.

PW: Miejsce tworzą ludzie, tak?

BZ: Tak, a tak odgórnie, to nie to. Wyobraźmy sobie np. że jakiś biznesmen przychodzi, wyczuwa koniunkturę i myśli sobie: teraz jest moda na Nową Hutę, to otworzę sobie tutaj taką knajpę w stylu, nie wiem, późnego Bieruta. Nie na tym to polega. Też tak można, oczywiście, że tak; tylko, że najpierw musi być jakaś duchowa historia i dopiero potem materia, a nie odwrotnie.

PW: A jeśli chodzi o miejsca, które były kiedyś i już ich nie ma?

BZ: Trochę boli mnie serce, kiedy dostrzegam np. co się dzieje z kinami w Nowej Hucie. Tzn. bardzo lubię chodzić także teraz do byłego kina „Świt", bo lubię sobie łazić po tym budynku. Tam jest teraz jakiś taki pchli targ w środku, można połazić i pooglądać stare rupiecie, jakieś zdezelowane meble, jakieś poniemieckie makatki, czy sprowadzane z zagranicy wysłużone domowe gadżety. Lubię takie miejsca i często tam chodzę, bo sobie szukam różnych drobiazgów do domu. Fajne można tam czasem znaleźć „skorupy" z lat 60. Ale z drugiej strony boli mnie trochę, że nie można w tym miejscu stworzyć rzeczywiście jakiegoś klubu, miejsca spotkań. Nie mam nic przeciwko *second handom* i ciucholandom, ale dlaczego, kurczę blade, na takim placu Centralnym, w miejscu, gdzie była dawniej Moda Polska, musi być akurat lumpeks? Jakoś mi to nie pasuje do tego miejsca po prostu, bo pamiętam z dzieciństwa, że tu były neony dookoła, że to miejsce było takim Rynkiem miejscowym, że były sklepy, jak na te czasy, ekskluzywne. Moda Polska była elitarnym sklepem, były jakieś komisy, był MPiK, do którego chodziłem jeszcze w 80. latach na kawę „plujkę" i naręcza gazet na patykach wisiały, można było sobie siąść przy stoliku, poczytać. Jak ktoś nie zaglądał do środka, to mógł poczytać przez szybę, bo były wystawione ilustrowane depesze z kraju i ze świata w gablotach. Nie chcę chwalić komunizmu, bo nie chodzi mi o jakąś recydywę tego strasznego czasu, ale po prostu wtedy jakoś, w tej czarnej dziurze, można było znaleźć dla siebie miejsce, gdzie człowiek mógł się schować.

PW: To taki paradoks trochę. Nowa Huta – miastem robotniczym, a tutaj tak naprawdę kultura stała na wysokim poziomie.

BZ: Ona była zresztą oficjalnie wspierana bardzo poważnie. Kiedy Adam Ważyk napisał ten swój „Poemat dla dorosłych", to było bardzo dużo osób, które ten poemat znało.

Z dzienników terenowych

piątek

Spotkanie z Bogdanem Zalewskim nie wypaliło. Przełożyliśmy je na piątek. Chcę go zaprosić do „Prowincji" na Brackiej, cicho tam i spokojnie. Zresztą lubię to miejsce, bo można Wyborczą za darmo poczytać i dają herbatę w dużych kubkach. (P)

Od razu się wieść rozniosła i czytałem, że było nawet spotkanie w MPiK-u na temat tego poematu. Więc to było bardzo dziwne (*śmiech*). Wyobraża pan sobie teraz taką sytuację, że jakiś poeta miejscowy, np. Wisława Szymborska, napisze poemat o Nowej Hucie i nagle jest spotkanie pracowników firm działających przy Hucie Sendzimira i ludzie się spotykają, dyskutują o tym poemacie? To jest coś niewiarygodnego w ogóle. A to nie był wtedy żaden spęd. Po prostu ludzie przyszli, bo byli ciekawi, byli zainteresowani.

PW: Ten poemat, z tego co wiem, bardzo mocno wstrząsnął całą Nową Hutą i ówczesnymi władzami. Właśnie wtedy zaczęto budować kina i ogólnie inwestować bardziej w kulturę. A ma Pan jakieś takie miejsca, tu w Hucie, które Panu przywrócono?

BZ.: Hmm, ciężko powiedzieć…

PW: A zegar? To nie jest akurat miejsce, ale obiekt w przestrzeni nowohuckiej. On przez chwilę nie działał.

BZ: Tak, to prawda. On również jest związany z moją prywatną mitologią – z okresu trzech ostatnich lat. Ja jestem człowiekiem, jak to się mówi w języku biznesowym, absolutnie sformatowanym. Pierwsze chwile każdego dnia są właściwie tak podobne do siebie, że każda sekwencja czasowa jest niemal identyczna. Wykonuję od świtu te same czynności. To jest bardzo zabawne, bo nawet drobna zmiana powoduje na dalszą metę tak poważne odkształcenia, że w rezultacie linia, która gdzieś tam skręci, znajduje się na końcu na zupełnych manowcach. Ale generalnie,

Zegar → Bogumił Godfrejow, Piotr Wołkowski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Marcin Kostera

co rano jestem „taki sam”

– jak zwielokrotniony portret wykonany metodą sitodruku przez Andy Warhola. Nastawiam sobie elektroniczny budzik, o, proszę zobaczyć, tu na moim biurku stoi miniaturowy odpowiednik tego zegara górującego nad placem Centralnym. Ustawiam go co wieczór na: trzy, cztery, pięć. Czyli na 3:45. Codziennie rano budzę o tej właśnie godzinie i to jest właśnie taki sygnał dla mnie: „Wstawaj na trzy, cztery, pięć!”. Nie ma po prostu żadnego „zmiłuj się”, żebym sobie nastawił w komórce „drzemkę aktywną”. Nic z tego, „trzy, cztery, pięć!” i basta, baczność! Potem łazienka, kuchnia, telefon po taksówkę, wszystko jest obliczone, wzywanie kierowcy i cała reszta. Mam taką wygodę, że taksówkami mnie dowożą do pracy w Radiu RMF FM, ponieważ nie dostałbym się inaczej o tej godzinie na Kopiec Kościuszki. W każdym razie codziennie przejeżdżam przez Plac Centralny pod tym elektrycznym zegarem i zawsze jest tak, że tam się pojawiają ciągi cyfr: 04:33, 04:21 itd. Oczywiście w zależności od tego, ile czekam na taksówkę, te cyfry są inne; ale czasami jest tak, że pojawiają się znaczące sekwencje tych cyfr. Np. 04:32. Ja mam taką obsesję, że kiedy się pojawi, powiedzmy, 21:21, to muszę odczekać; muszę nadal gapić się na zegar, żeby się pojawiła 21:22. Wtedy sobie coś tam myślę i myślę sobie, że może mi się to sprawdzi, to moje marzenie. To jest absurdalne. To jest trochę tak jak w „Dniu Świra”.

Jestem bardzo podobną, neurotyczną postacią,

jak bohater filmu Marka Koterskiego. Dużo mam takich obsesji i ten zegar to jest moja paranoja. Widzę te cyfry na zegarze na placu Centralnym, czasami one się układają w jakieś konfiguracje, a czasem nie. Nawet jeśli się ułożą, to często nie mam czasu, żeby długo wpatrywać się w tę świetlną tablicę. Jadę dalej przez miasto taksówką, opuszczam Nową Hutę i często kierowca zatrzymuje się przy kolejnym tego typu zegarze, np. nad krakowskim Dworcem Głównym, a następnie przy mniejszym w witrynie domu towarowego „Jubilat”. Tam jest zegar, który jednocześnie pokazuje godzinę i temperaturę. Często jest tak, że jak dojeżdżam już do tego Jubilata i taksówka zatrzymuje się na światłach, to jest już godzina 4:44. Jak się pojawia 444 to jest dobrze (*śmiech*). Czasem jest tak, że wcześniej dojadę do pracy, a tam mam kolejny zegar elektroniczny w *news-roomie* radia RMF. Ten czasomierz ostatnio pokazywał mi nawet godzinę 4:44:44, bo tam jest jeszcze sekundnik. Więc jak już jest taka sekwencja czwórek, to jest idealna sytuacja. Jest taka jak kaliber 44, „a imię jego 40 i 4”, pełen romantyzm i w ogóle jest wtedy dobrze (*śmiech*).

PW: A jak zegar na placu Centralnym nie działał, to jak było?

BZ: Było, że tak powiem, „ciemno wszędzie, głucho wszędzie / co to będzie, co to będzie". Bo była zima i tak strasznie było przykro, że ten zegar przestał działać. Zwłaszcza w godzinach wieczornych, albo porannych, bo kiedy jest jasno, to on jest mniej dostrzegalny.

PW: Wspomniał Pan o swojej pracy. Jest Pan dziennikarzem RMF-u. Spotkałem się z określeniem: „Bogdan Zalewski, jedna z najbardziej wyrazistych osobowości radiowych". Kiedy można Pana usłyszeć?

BZ: Od godziny 6.00 do godziny 9.00 rano. Codziennie: od poniedziałku do piątku.

PW: Czy Pana praca w jakiś sposób wiąże się z Nową Hutą?

BZ: Raczej nie. Jedyne skojarzenie, jakie mi się nasuwa, jest takie, że moje życie jest rozpięte pomiędzy Kopcem Wandy a Kopcem Kościuszki. Na co dzień, niestety, w tym gąszczu różnych informacji z całego świata, Nowa Huta ginie, ale zdarzają się, oczywiście, reportaże i relacje z Nowej Huty. Wtedy jestem bardzo zadowolony i staram się promować tę dzielnicę, w miarę. Jeśli coś ciekawego się pojawia, to zawsze jest odzew na naszej antenie.

PW: A pamięta Pan, co ostatnio było w RMF-ie na temat Nowej Huty?

BZ: W zeszłym tygodniu informowaliśmy o specjalnych patrolach policyjnych. To pilotażowy program, który ma poprawić bezpieczeństwo w całym Krakowie, ale dziwnym trafem zaczęto od Nowej Huty (*śmiech*). Zawsze mnie to dziwi, bo w tych policyjnych statystykach Nowa Huta nie wypada tak źle, w odróżnieniu od innych dzielnic, ale tak się ugruntowało i taka gęba została już przyprawiona naszej dzielnicy.

Miękkie pomniki są doskonale z tłem zlane

PW: Jakie jest Pana ulubione miejsce w Nowej Hucie? Chodzi o takie miejsce prywatne…

fot. Marcin Klag

BZ: Za każdym razem, kiedy zmieniałem adres w Nowej Hucie, to świadomie wychodziłem na takie uważne spacery po tych swoich osiedlach, żeby sobie po prostu pooglądać

dane miejsce. Właściwie Nowa Huta nie ma tradycyjnych zabytków, tak jak Kraków, ale dla mnie, paradoksalnie, każde osiedle jest jakoś „zabytkowe". Jeżeli nic, tak naprawdę, nie jest znaczące, to wszystko może być znaczące. Ja teraz nie mówię jak konserwator zabytków, historyk architektury, bo oczywiście są w Nowej Hucie ciekawe dla nich obiekty. Ja sobie na własny użytek stworzyłem taką ideę „miękkich pomników". Może ja, pozwoli Pan, zacytuję coś swojego, dobrze? Chodzi o taką ideę „pomnika", który nie wyróżnia się z otoczenia. Człowiek sam musi sobie wpisać jakąś treść w dany element przestrzeni, żeby on w ogóle coś znaczył, bo inaczej nikt inny nie dostrzeże za niego jakiejkolwiek znaczącej figury.

[Trochę to trwa, bo Pan Bogdan szuka tego tekstu w stosie papierów. Chyba dawno nie zaglądał do tych kartek]

Palimpsesty pamięci! O, miękkie pomniki,

doskonale z tłem zlane, bo tutaj nikt z nikim

nie chciał nigdy urządzać świątyni dumania.

Najwyżej, roztargnioną ręką, sznur do prania

powieszony, przywodził jakieś lotne chwile (...)

To taki fragmencik mojego poematu arkadyjskiego, wzorowanego na słynnym oświeceniowym utworze Stanisława Trembeckiego pt. „Sofiówka". Tamten poemat sprzed dwóch wieków opisywał doskonale uporządkowany ogród z pomnikami i innymi znakami przestrzeni. Ja się w moim życiu zetknąłem z Miastem-Ogrodem, ale pomniki w nim sam musiałem sobie stworzyć w wyobraźni. Miękkie pomniki są doskonale z tłem zlane, bo tutaj nikt z nikim nie chciał nigdy urządzać świątyni dumania. Nikt tu nie przychodzi po prostu, żeby podziwiać to miejsce, żeby pomedytować, kontemplować. To nie jest coś takiego jak np. krzyż nowohucki. Na pewno przewodnik po Nowej Hucie przyprowadza ludzi do tego miejsca. To nie jest też słynne „miejsce po Leninie" na placu Centralnym, też jest znaczące, mimo że pomnika tam już nie ma. To nie jest „miękki pomnik" w moim pojęciu, bo jest to miejsce „obiektywne historycznie", punkt, w którym ogniskuje się zbiorowa pamięć Nowej Huty. Choć muszę powiedzieć, że puste miejsce po kolosie Lenina bliskie jest idei „miękkiego pomnika", bo to jest właściwie „nie-pomnik", coś istniejącego już tylko w wyobraźni, albo w pamięci ludzi w Nowej Hucie.

Ten właściwy „miękki pomnik" to jest pomnik, którego nigdy nie było i nie będzie. Trzeba go samemu stworzyć w wyobraźni. On jest tylko – momentalnie, on jest wyłącznie w teraźniejszości. Spróbuję może teraz uchwycić tę ulotność. Kiedy mieszkałem na os. Sportowym, to często przechodziłem przez bardzo wysoką bramę os. Szkolnego, prowadzącą do szkolnych internatów. Os. Szkolne jest jednym z najbardziej dla mnie „pomnikowych" miejsc w Nowej Hucie. To było jedno z pierwszych osiedli i tam się narodziła idea teatru nowohuckiego, tam był jakiś barak, gdzie robiono te pierwsze inscenizacje. Tam są takie dziwne miejsca jak np. skład makulatury, tam są charakterystyczne hydranty (*śmiech*). Kiedy przejdzie się przez jedną bramę os. Szkolnego, otwiera się kolejna brama, zupełnie jak w jakimś orientalnym miejscu. Czułem się, jakbym przechodził przez Kazimierz, wchodzi się przez taką półokrągłą bramę w podwórko i przez chwilę człowiek ma wrażenie, że jest rozszczepiony: że jest w Nowej Hucie dziś i jednocześnie w jakieś starej żydowskiej dzielnicy, dawno temu. Tam są takie dziwne miejsca na tym os. Szkolnym. One oczywiście mają określoną, historyczną wartość architektoniczną, ale poza tym one wytwarzają we mnie taki ulotny, nieuchwytny nastrój, którego właściwie nie da się opisać. Próbuję to tylko nazwać, mówiąc o tych „miękkich pomnikach". To miejsce traktowałem jako taką swoją inicjację trochę. Kiedy przechodziłem przez te bramy, które prowadzą do zbiorowiska różnych szkół, to miałem wrażenie, że pisze się we mnie taki „poemat edukacyjny". Wchodząc w tę przestrzeń „edukacji sentymentalnej", jednocześnie rozpoznaję warstwy siebie samego. To jest bardzo ciekawa przestrzeń, mimo że tak chaotyczna i tak zrujnowana w gruncie rzeczy. Szare, zrujnowane bloki! Ten ciąg blokowiska w pewnym momencie się kończy, nagle się urywa i ta przestrzeń rozkwita wewnętrznym stadionem! W pewnym momencie uderza człowieka otwarta przestrzeń tego stadionu; a później jeszcze Zalew, przecież.

Idea → Roma Piejko, Lech Miodyński

PW: Czyli te „miękkie pomniki”, jak to Pan określił, można uważać za takie Pana subiektywne miejsca w Hucie?

Idea → Roma Piejko, Lech Miodyński

BZ: No, tak. To jest taka subiektywna idea pewnych znaków w przestrzeni, które nie są wpisane w jakieś, powiedzmy, archetypy kulturalne. Każdy indywidualnie wytwarza je, tka na kanwie bezbarwnej często materii.
Kiedy ktoś, kto naczyta się różnych oficjalnych przewodników, będzie mówił, że w Nowej Hucie należy zwiedzać to, to i to, musi pamiętać, że są tu także inne miejsca, ważne dla poszczególnych ludzi i może nawet ciekawsze od tych oficjalnych historii, lansowanych anegdot. Ale oczywiście nie mam pretensji do historii Nowej Huty, że się jakoś tam obiektywizuje, odrzucając wiele wątków, lansując inne. Nie da się inaczej, ten mój alternatywny projekt jest raczej utopijny, bo istnieje oczywiście niezliczona ilość tych subiektywnych „miękkich pomników” w Nowej Hucie. Ale można by pójść na jakiś kompromis. Ja bym mógł na przykład oprowadzić ciekawskich turystów po starych urządzeniach do zabaw dla dzieci; można zwiedzać Nową Hutę szlakiem starych drabinek czy karuzel, które gdzieś tam pozostały po latach 50. albo szlakiem starych osiedlowych pomników i pomniczków. Można w Nowej Hucie znaleźć takie niesamowite zupełnie rzeźby, pomniki, stare fontanny. Np. pamiętam, że na osiedlu Hutniczym jest taka dziwna fontanna ze smokiem. Ona jest sucha (to jest w ogóle jakiś oksymoron – sucha fontanna), ale sama w sobie jest dosyć niesamowita. Tak samo na os. Stalowym są jakieś pozostałości, które kojarzą mi się ze Stonehenge. Tam są takie kamienne słupy, przykryte jakimiś drewnianymi deskami jakby…

fot. Marcin Klag

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

Plac zabaw → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow

PW: A gdzie to jest dokładnie?

BZ: To jest w podwórku osiedla.

PW: Samo Stalowe jest osiedlem niezwykle ciekawym, uważam…

BZ: Architektonicznie super! A poza tymi elementami architektonicznymi, które budzą zachwyt specjalistów, są takie urokliwe ruinki. Na przykład ta piaskownica w podwórku i wokół tej piaskownicy taka właśnie, za bardzo nie wiem co, chyba jakaś taka pergola, czy coś. Teraz pozostało po tym coś, co przypomina taki

krąg ze Stonehenge.

Z kolei kiedy sobie chodziłem przez os. Zielone, to tam też można natrafić na bardzo tajemnicze miejsca. Np. kiedy się wchodzi w jedną z bram od strony ulicy – powiedzmy to tak po staremu – Demakowej (*śmiech*), to w pewnym momencie widzi się za oknami takie skrzynki i szkatułki. Są tam podobno jakieś pozostałości po badaniach archeologicznych w Nowej Hucie. Podobno sporo pozostałości po bytności Celtów na tych terenach w prehistorii. Jeśli to nawet nie jest do końca prawda, to zamknięte muzeum, do którego nawet wejść nie można, jakiś magazyn muzealny, uruchamia zawsze moją wyobraźnię. To takie „nie-muzeum”. Niewidzialne muzeum.

PW: A jeśli chodzi o miejsca reprezentatywne? Mniej widmowe. Co by Pan pokazał cioci, która przyjechała na jeden dzień?

BZ: Są takie miejsca niezwykle urokliwe w Nowej Hucie i myślę, że one są chyba najbardziej charakterystyczne dla najstarszych fragmentów miasta. Myślę tu o budynkach tonących w ogrodach – coś dla mnie niesamowitego. Przechadzając się np. uliczkami os. Krakowiaków, można wpaść w zachwyt. Tam są takie dwie zakrzywione uliczki łączące się ze sobą – ul. Stalowa i ul. Osiedlowa. Tam są takie małe domki, które pobudowano też na innych osiedlach – Wandy czy Sportowym, na którym ja mieszkałem. Ja kilka lat mieszkałem z rodziną w takim domku, z widokiem na ogródek jordanowski otoczony przez wysokie kasztanowce. Piękna sprawa! Ale tam, w zakolu tych dwóch ulic os. Krakowiaków, to jest już niemal modelowo zrealizowana idea miasta-ogrodu. Te domki toną w gęstej zieleni. To nie są wyłącznie klomby kwiatowe. Tam są pięknie przycięte żywopłoty, niektóre wyższe od dorosłego człowieka, są drzewa iglaste, świerki, modrzewie, są drzewa owocowe, są krzewy w zamkniętych ogrodach i ogródkach przed domami. Taki nowohucki matecznik, najlepsze cechy wiejskich ludzi tam się zachowały. Nie, jak pisał Ważyk, „dusza nieufna, spod miedzy wyrwana”, ale dusza wrażliwa, od pokoleń związana z ziemią, z tą ziemią, gdziekolwiek by ona nie była. Także w mieście – w Nowej Hucie.

PW: Nowa Huta miasto-ogród. Gdy się doda do tego jeszcze te łąki…

BZ: Tak. Ja mam te łąki teraz za oknami mojego pokoju, bo moje mieszkanie w Centrum E wychodzi z jednej strony na ten dziki pejzaż za skarpą. To naprawdę jest raj, gdy się otworzy okna, coś fenomenalnego! Wszystko żyje, ptaki śpiewają. Nawet ostatnio takie mola widokowe postawiono po drugiej stronie i można sobie popatrzeć z tego mola na te łąki i moje bloki na horyzoncie. Ścieżki rowerowe są tutaj dookoła, wielu ludzi przychodzi, żeby się zrelaksować. Nawet sobie siadają na tych skarpach i patrzą „na suchego przestwór oceanu", że tak Mickiewiczem „pojadę". Bo to rzeczywiście

wygląda jak ocean.

Ja zrobiłem sporo zdjęć ze swojego balkonu w różnych porach roku. Niesamowite widoki! Zwłaszcza w godzinach porannych, kiedy mgła wisi nad tymi łąkami i wygląda to jak wielki zbiornik wodny.

PW: A widział Pan kiedyś pożar tych łąk?

BZ: Ja przeżyłem tylko raz taki „rytuał" palenia traw, ponoć dosyć często się odbywa. Są plusy i minusy tego pożaru. Z jednej strony bardzo szybko się to wszystko odradza, to jest niesamowite! Kiedy się to wszystko już wypali to za chwilę taka przeczysta soczysta zieleń rodzi się w tym miejscu, ale z drugiej strony to jest zagłada tych wszystkich piskląt i zwierząt. Tu jest dużo egzotycznego ptactwa. Ja nawet kiedy o świcie wychodzę z klatki mojego bloku, to czasami bażanty widuję. Po tym pożarze chodziły mi przed blokiem. Pamiętam, że byłem zaskoczony, bo wsiadam sobie do taksówki, a tu bażant sobie przechodzi chodnikiem. Niesamowite! O takiej porze człowiek nie wie, czy jeszcze śni czy już nie (*śmiech*).

Żeby człowiek nie był szarą masą

PW: A czy są jakieś miejsca w Hucie, których Pan się wstydzi? Których nie pokazałby turystom?

BZ: Ja generalnie odrzucam od siebie to uczucie wstydu. Ja Nową Hutę przyjmuję z dobrodziejstwem inwentarza. Oczywiście, gdyby spojrzeć na to wszystko obiektywnym okiem, bez tych wszystkich naleciałości sentymentalnych, ideologicznych, mitologicznych, literackich, architektonicznych itd., to człowiek skłonny do depresji, tak jak ja, zwłaszcza zimą, mógłby sobie podciąć tu żyły. No bo ten klimat jest dosyć depresyjny w tym miejscu. Jakby ktoś z zewnątrz przyjechał i przeszedł zimą, powiedzmy, przez te „koszary" osiedla Teatralnego, czy Szkolnego, to by się chyba troszkę podłamał, taki tam panuje klimat, takiej szarzyzny maksymalnej. Ale generalnie ja nie mam jakiegoś poczucia wstydu. Może gdzieś to tam wypieram (*śmiech*). Już prędzej bym się wstydził za jakieś zachowania ludzkie: kibolstwo, blokerstwo, chamstwo na ulicach, szokujące bazgroły na odnowionych blokach…

Czas, barwa, dźwięk

PW: Przejdźmy teraz do barw, dźwięków i zapachów Nowej Huty. Jakimi barwami się ona mieni?

BZ: Narzucającą się barwą, szczególnie o tej porze roku, jest zieleń. To jest taka dla mnie barwa naturalna, miasto-ogród, miasto pełne zieleni, żywej zieleni. Zieleń ogrodów, zieleń drzew – to jest taka dominująca barwa, naturalna. Teraz, po tej szarzyźnie komunizmu, wystrzeliło wszystko także feerią sztucznych kolorów: każdy blok jest malowany na jaskrawo i to niektórych cieszy, tak jak mnie. Bo ja lubię kolory, nawet jeżeli te barwy czy ich zestawienia nie zawsze mi odpowiadają, to generalnie lubię kolorowy świat. Wolę taki świat niż ten szary, który po prostu mnie przygnębia. Ma to, jak mówiłem, także dobre strony, bo inspiruje do pracy wyobraźni. Natomiast generalnie człowiek lepiej się czuje, kiedy widzi, że świat wokół niego wiruje kolorami. Na drugim biegunie jest świat, który ma za zadanie uziemić człowieka, żeby człowiek czuł się źle, żeby był tą szarą masą, którą można łatwo manipulować.

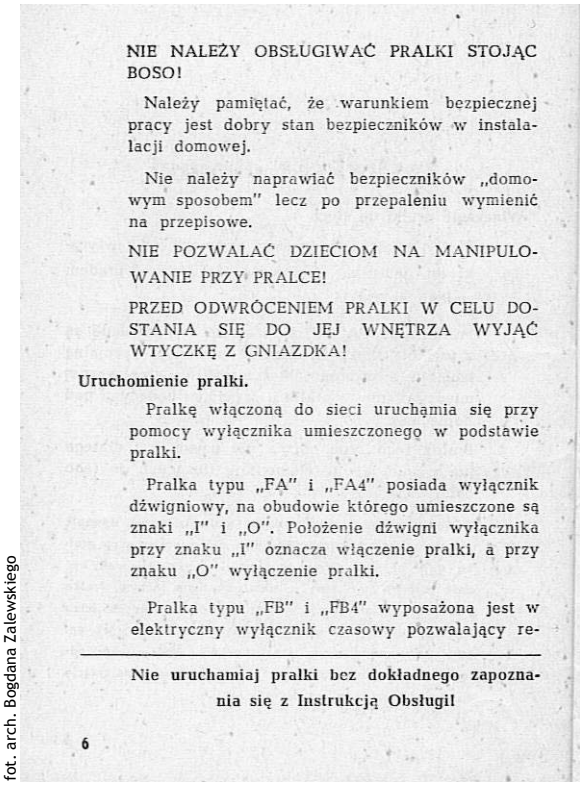

NIE NALEŻY OBSŁUGIWAĆ PRALKI STOJĄC BOSO!

Należy pamiętać, że warunkiem bezpiecznej pracy jest dobry stan bezpieczników w instalacji domowej.

Nie należy naprawiać bezpieczników „domowym sposobem" lecz po przepaleniu wymienić na przepisowe.

NIE POZWALAĆ DZIECIOM NA MANIPULOWANIE PRZY PRALCE!

PRZED ODWRÓCENIEM PRALKI W CELU DOSTANIA SIĘ DO JEJ WNĘTRZA WYJĄĆ WTYCZKĘ Z GNIAZDKA!

Uruchomienie pralki.

Pralkę włączoną do sieci uruchamia się przy pomocy wyłącznika umieszczonego w podstawie pralki.

Pralka typu „FA" i „FA4" posiada wyłącznik dźwigniowy, na obudowie którego umieszczone są znaki „I" i „O". Położenie dźwigni wyłącznika przy znaku „I" oznacza włączenie pralki, a przy znaku „O" wyłączenie pralki.

Pralka typu „FB" i „FB4" wyposażona jest w elektryczny wyłącznik czasowy pozwalający re-

Nie uruchamiaj pralki bez dokładnego zapoznania się z Instrukcją Obsługi!

6

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

Wiem, że padły już publicznie słowa krytyki wobec tego, co się dzieje na os. Kolorowym. Znawcy tej pierwotnej kolorystyki, tej symboliki barwy urbanistycznej twierdzą, że ludzie zbyt dosłownie potraktowali nazwę osiedla „Kolorowe", że próbują sami ubarwić to, co już jest jakby z nazwy barwne. Mnie to generalnie nie przeszkadza, denerwują mnie tylko pewne tendencje kolorystyczne. Zwłaszcza frustruje mnie jedna barwa, którą sobie sam nazwałem

„ultra-uryna", w analogii do „ultramaryny".

Ta „ultra-uryna" to jest odcień żółci, barwa, która przypomina wiadomą ciecz, a która jakoś tak zaczyna dominować. Nawet w starym Krakowie można zaobserwować tego typu tonacje kolorystyczne. Jakoś nie lubię takiej żółci. W ogóle mam swoje własne skojarzenia kolorystyczne i ta żółć nie tylko kojarzy mi się z barwą płynu fizjologicznego, ale też z takim jabłkiem, które pokrojone pozostaje długo na półmisku i ono nabiera właśnie takiej barwy. W dzieciństwie zawsze miałem jakieś takie złe skojarzenia z tymi jabłkami. Nienawidziłem ich i zawsze mi się kojarzyły z imieniem Paweł. Nie wiem dlaczego (*śmiech*).

PW: Paweł?

BZ: Tak. Dzieckiem będąc, wyobrażałem sobie, że takie jabłko to jest „paweł". Jak widać, takie tory skojarzeń kolorystycznych są indywidualne dla każdego i bardzo ciężko narzucić komuś jakąś paletę barw. Na siłę nikt barwami nie wprowadzi nikogo w dobry nastrój, a mam wrażenie, że to jest główna wartość estetyczna kolorystyki osiedlowej. Bo w gruncie rzeczy osiedle powinno być przede wszystkim przyjazne i dla mieszkańców, i dla przybyszów.

PW: A pory roku w Nowej Hucie? Które są najbardziej przyjazne?

BZ: Pełnia lata to jest to.

PW: Kiedy ta zieleń rozkwita?

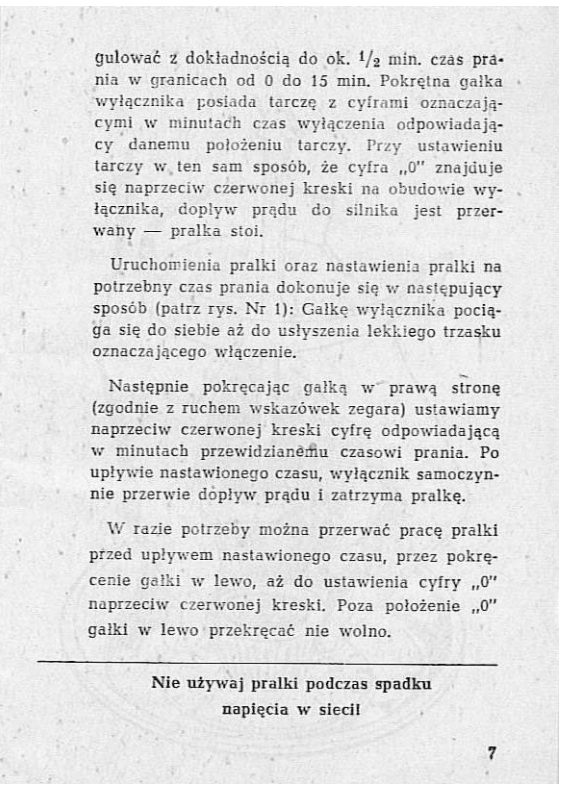

gulować z dokładnością do ok. 1/2 min. czas prania w granicach od 0 do 15 min. Pokrętna gałka wyłącznika posiada tarczę z cyframi oznaczającymi w minutach czas wyłączenia odpowiadający danemu położeniu tarczy. Przy ustawieniu tarczy w ten sam sposób, że cyfra „0" znajduje się naprzeciw czerwonej kreski na obudowie wyłącznika, dopływ prądu do silnika jest przerwany — pralka stoi.

Uruchomienia pralki oraz nastawienia pralki na potrzebny czas prania dokonuje się w następujący sposób (patrz rys. Nr 1): Gałkę wyłącznika pociąga się do siebie aż do usłyszenia lekkiego trzasku oznaczającego włączenie.

Następnie pokręcając gałką w prawą stronę (zgodnie z ruchem wskazówek zegara) ustawiamy naprzeciw czerwonej kreski cyfrę odpowiadającą w minutach przewidzianemu czasowi prania. Po upływie nastawionego czasu, wyłącznik samoczynnie przerwie dopływ prądu i zatrzyma pralkę.

W razie potrzeby można przerwać pracę pralki przed upływem nastawionego czasu, przez pokręcenie gałki w lewo, aż do ustawienia cyfry „0" naprzeciw czerwonej kreski. Poza położenie „0" gałki w lewo przekręcać nie wolno.

Nie używaj pralki podczas spadku napięcia w sieci!

7

BZ: No tak, bo kiedy te drzewa są nagie i właściwie widać tylko te bloki, które gdzieś tam prześwitują spod tych labiryntów gałęzi, to jest to tylko połowa miasta. Natomiast w takim momencie, kiedy my teraz rozmawiamy ze sobą, to wydaje mi się, że to jest idealna pora dla Nowej Huty, widać ją wtedy w całej krasie. I to nie dlatego, że to jest brzydkie miasto i dopiero wtedy, kiedy ją zasłonią liście i kwiaty, to zaczyna być piękna. Nie, właśnie o to chodzi, że ta zieleń jakoś tak się wpisała w tę nowohucką urbanistykę. To nie jest jakieś obce ciało. To jest coś, co jest wpisane w strukturę miasta.

PW: Jakie dźwięki kojarzą się Panu z Nową Hutą?

BZ: No, ja teraz jestem w tej dobrej sytuacji, że słyszę głównie dźwięki Łąk Nowohuckich. To jest dla mnie teraz dominujący audio-pejzaż. Bardzo się z tego cieszę, bo przez dłuższy okres, kilka dobrych lat spędziłem w kamienicy, która była na rogu Struga i Solidarności, czyli w samym centrum industrialnego jazgotu i miałem taką muzykę ulicy na co dzień w domu. Trochę tak, jakby przez mój pokój przejeżdżał tramwaj, czułem się trochę jak bohater „Kartoteki" Różewicza, któremu

ulica przechodzi przez środek pokoju.

No i teraz się bardzo cieszę, bo mam inne kompozycje na zewnątrz. Mnie się teraz Nowa Huta kojarzy głównie z Łąkami Nowohuckimi i z dźwiękami natury, które wciąż nie zaginęły w ruchliwym mieście.

(W tym momencie uświadomiłem sobie, że znam te dźwięki doskonale. Często przechadzam się koło Łąk Nowohuckich z psem i co wieczór niesamowity koncert dają świerszcze, rechoczą żaby, a w dzień słychać śpiewy ptaków – piękne to dźwięki. Nierzadko można również spotkać na swojej drodze jeża lub przebiegającego zająca. W mieszkaniu Pana Bogdana słychać

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

właśnie tę całą orkiestrę, to całe ptactwo, które śpiewa za oknem, dzieci bawiące się na podwórku i szczekanie psów. Jest bardzo przyjemnie i cicho. Nie dochodzą żadne hałasy z ulicy jak i również nie czuć nawet cichych wibracji przejeżdżającej windy zatrzymującej się z łoskotem – odgłosów tak charakterystycznych, kojarzących się z mieszkaniem w bloku.)

Ale jak mówię, ten wcześniejszy mój okres to był po prostu… pełen industrial: mechaniczny jazgot i kakofonia. Właśnie taką „kocią muzykę" miałem codziennie we własnym domu. Były już takie sytuacje, że przychodziłem z nocnych dyżurów z radia rano, no i niestety mimo upalnego dnia nie mogłem otworzyć okna, ponieważ o porannych godzinach zjeżdżały wszystkie ciężarówki, wszystkie tiry z góry, tam od strony Kombinatu, i to było tak, że te tiry wjeżdżały mi do głowy, po prostu.

PW: Taki straszny huk?

BZ: Nie do wytrzymania. Pędzące tiry przewyższają całą tę kakofonię na torach, te wszystkie piski i wizgi, które wydają z siebie tramwaje.

PW: A jakie jeszcze inne dźwięki wiążą się z Nową Hutą?

BZ: Ja to rozpiszę na osiedla. Niech to będzie taka osiedlowa partytura. Tutaj w Centrum E to już mówiłem, jest pełnia rozśpiewanej anielsko natury. Os. Szkolne to są te dźwięki piekielne – mechaniczne, rytmiczne i industrialne. Wcześniej mieszkałem na os. Sportowym. Weekendy były tam często zdominowane przez odgłosy z pobliskiego stadionu Wandy. Zwłaszcza dawały po uszach zawody żużlowe. Taki zapętlony jazgot jeżdżących w kółko motocykli. Zawody żużlowe to jest coś, co potrafi wytrącić człowieka z równowagi na kilka dni. Bo to jest tak, że te małe bloczki, które tam stoją, trzęsą się w posadach, kiedy ci sportowcy tam tak jeździli dookoła, dookoła. Może ja jestem nadwrażliwy, ale dla mnie to było coś nie do przejścia po prostu. Znienawidziłem żużel przez to (*śmiech*).

Żużel → Bogumił Godfrejow, Ewa Kaproń, pp. Skomorowscy

PW: A był Pan na tych zawodach kiedyś?

BZ: Nie byłem nigdy. Może dlatego, że tak dali mi „popalić" tymi swoimi maszynami. Jeszcze wcześniej mieszkałem na os. Kościuszkowskim. No, Kościuszkowskie to jest (*śmiech*) porównywalne chyba jedynie z tymi falowcami w Gdyni, bo to są bloki, które są chyba jednymi z najdłuższych w Nowej Hucie. Właśnie tam mieszkał Sławomir Shuty i ten jego hipertekst zatytułowany „blok.pl" to jest właśnie obraz życia takiego mrówkowca. No, ja mieszkałem dokładnie w takim bloku na Kościuszkowskim, chyba blok dalej za Shutym, nawet nie wiedząc, że on tam mieszka. Wtedy zresztą nie był znanym pisarzem, dopiero zbierały mu się w głowie te wszystkie historie, które spisał potem w „bloku.pl". Bardzo dobrze mi się to czytało, bo ja to znałem z autopsji. Tam słychać głównie wewnętrzne odgłosy życia: tłuczenie się młotkiem czy pałką do mięsa, bicie tych schabowszczaków w niedzielę, rodzinne kłótnie rozpisane na głosy: trzeźwy – żoniny i mężowski bełkot. Rozwrzeszczane dzieciaki na klatkach, dzwonki rowerów. Dalej – jeżdżące w górę i w dół windy. Te ściany bloków z wielkiej płyty są półprzepuszczalne i życie wszystkich rodzin dookoła jest niemal jawne dla ogółu. Taki Big Brother na okrągło. Os. Złotego Wieku i Kalinowe kojarzy mi się głównie z bardzo rozbrykaną dzieciarnią, jak ptasią hałastrą. Bo 60. i 70. lata w Nowej Hucie to nie były czasy takie jak dzisiaj, kiedy rodzice trochę się boją wypuszczać samopas dzieciaki przed blok. Bo pedofile, bo dilerzy, bo łysi bandyci…

PW: I wydaje się, że tych dzieci jest mniej.

BZ: Być może, że jest ich mniej, po prostu – optycznie. Jeszcze mi się pewien dźwięk oryginalny z dzieciństwa przypomniał, który dziś nie występuje. To jest odgłos płonących drzewek bożonarodzeniowych – zimą. W bardzo pięknym wierszu Marcin Świetlicki określił to

porą śmierci choinek.

To jest taki czas, kiedy choinki naturalne są wyrzucane z mieszkań. To był taki czas, bo teraz w przeważającej większości choinki są sztuczne. Tych się masowo nie wyrzuca. Dawniej przeważały choinki naturalne: jodełki i świerki. Świerki bardzo śmieciły, bo szybko schły i traciły igliwie. Potem je wyrzucano i często palono.

PW: I gdzie je palono?

BZ: Za śmietnikami. Ale w gruncie rzeczy dzieciaki później te choinki roznosiły po całych osiedlach i było pełno takich rozwłóczonych choinek. Zanim je sprzątnięto, to był trochę taki jakby krajobraz po bitwie. No i ogniska z tych choinek pamiętam, to był taki trzeszczący odgłos, bo tam były też jakieś elementy włosia anielskiego, jakichś takich sztucznych rzeczy, które się dobrze paliły i wydawały taki świergot.

PW: Sąsiedzi się wspólnie umawiali, żeby palić te choinki?

BZ: Nie, nie, nie! To niegrzeczne dzieciaki je podpalały. Ludzie wyrzucali gdzieś tam te jodełki za śmietnik, no a dzieciaki oczywiście to wszystko wyciągały i podpalały. Ogień fascynuje!

I jeszcze jeden dźwięk z dzieciństwa: spychacze! To jest też taki odgłos, który pamiętam ze Złotego Wieku. Początek lat 70. Wtedy te budujące się osiedla właśnie wydawały z siebie taki jazgot gąsienic. To był taki charakterystyczny, nie wiem jak to nazwać, klangor po prostu. Te spychacze wydawały z siebie taki odgłos, bardzo taki piskliwy i charakterystyczny.

fot. arch. Bogdana Zalewskiego

Tu skończyła mi się kaseta. Postanowiliśmy skończyć na dzisiaj i umówiliśmy się na spotkanie za kilka dni na Łąkach Nowohuckich. Szliśmy alejką usypaną z drobnych kamieni, aż doszliśmy do mola – punktu widokowego, z którego jak na dłoni widać całe osiedle Centrum E. Dookoła rozciągały się pola i tereny podmokłe. Na polach rosło zboże a gdzieniegdzie stały kopki siana gotowe do zwiezienia. Przypomniała mi się historia z wywiadu Ewy, jak Pan Kardas opowiadał o junakach, którzy nocami buszowali po polach…

PW: O ile dobrze pamiętam, ostatnio skończyliśmy na dźwiękach. Teraz więc chciałem zapytać o zapach. Czym albo jak pachnie Nowa Huta?

BZ: To może tak chronologicznie. Rozpocznę od tych fenomenów węchowych, które kojarzą mi się z latami 80., bo wtedy panowała specyficzna atmosfera. Myślę tu o takim właśnie otoczeniu zapachowym. Taki dominujący „zapach" to był odór industrialny, bardzo dojmujący bukiet zapachowy – wtedy jeszcze z Huty im. Lenina. I to był bardzo intensywny smród – nazwijmy rzecz po imieniu. Odór, smród.

PW: Potrafi Pan go opisać?

BZ: Najpierw może o intensywności powiem, bo to było coś, co było odczuwalne nawet w tak dalekich osiedlach jak osiedle Złotego Wieku. Tam, gdzie ja mieszkałem w latach 70. i 80., bo wtedy, w tym okresie, było chyba największe skażenie powietrza w tym miejscu. Nie dbano wtedy zupełnie o jakiekolwiek normy ekologiczne, więc właściwie wszystko szło w powietrze, całe te wyziewy. Ja się nie znam niestety na procesach technologicznych, ale to po prostu był taki zapach palonych opon, czegoś chemicznego w każdym razie. Pewnie mój ojciec mógłby wytłumaczyć dokładnie na czym to polegało, ja tylko pamiętam takie fenomeny zmysłowe, ten „zapach" był najbardziej intensywny w nocy. To też było zrozumiałe, bo właśnie wtedy wyłączano wszelkie urządzenia filtrujące, jeżeli w ogóle były takie urządzenia wtedy zamontowane, i w nocy po prostu wypuszczano wszystkie smrody w powietrze.

PW: Ponieważ nikt tego nie widział, tak?

BZ: Nikt tego nie widział, ludzi wtedy nie było na ulicach, ludzie spali i przez sen wdychali ten zły wydech Huty.

PW: Może też dlatego, że ten taki czarny dym nie był widoczny na niebie.

BZ: Tak, tak. Na tle nieba, być może. W każdym razie na pewno miało to jakieś funkcje maskujące (*śmiech*). Więc to taki pierwszy zapach jaki pamiętam z młodości, czy z dzieciństwa, który kojarzył mi się z Hutą. Drugie takie skojarzenie, w latach 80., to był taki bardzo też dominujący w pewnych momentach smród: odór petard. To też bardzo charakterystyczny „bukiet zapachowy". Po licznych tutaj walkach w Nowej Hucie (bo były takie rytmy związane z różnymi rocznicami narodowymi, albo rocznicami Solidarności), po tych walkach ulicznych przez długie jeszcze dni utrzymywał się taki właśnie zapach, po tych interwencjach zomowców.

PW: To był taki zapach gazu łzawiącego?

BZ: Tak, tak, o tym właśnie mówię. Wiem, że to było bardzo szkodliwe dla zdrowia, bo ludzie często narzekali po tych interwencjach ZOMO na zdrowie, na problemy z sercem, z oczyma. To drugi taki element zapachowy, historyczny. Teraz na szczęście już tego nie ma.

PW: A teraz jak pachnie Nowa Huta?

BZ: No, w tym momencie, kiedy rozmawiamy, to pachnie bardzo naturalnie. W dobrym znaczeniu tego słowa. Może alergicy mieliby inne zdanie na ten temat, ale właśnie ten zapach traw, zapach kwiatów, no, myślę, że się poprawiła ekologia w mieście bardzo poważnie i to jest bardzo na plus.

PW: Spotkałem się z takim określeniem, że w Nowej Hucie jest teraz czystsze powietrze niż w centrum miasta. Czy zgodziłby się Pan z tym?

BZ: Całkiem możliwe. Myślę, że to jest związane z jej naturalną otoczką. Tym buforem naturalnym z drzew, z krzewów, który nas otacza i on na pewno, z jednej strony, zatrzymuje te wszystkie zanieczyszczenia i pyły, a z drugiej strony produkuje ten ożywczy tlen, no i, przy okazji, w momencie, kiedy kwitną te wszystkie drzewa (a jest tu bardzo dużo drzew owocowych, jeszcze pozostałych po tych sadach, które kiedyś tutaj były), no to ten zapach jest rzeczywiście bardzo przyjemny i człowiek tak do końca nie wie, czy się znajduje na wsi, czy w mieście. À propos tego miejsca, które jest tak trochę pomiędzy miastem i wsią, bo tak można tutaj oceniać Nową Hutę nie tylko ze względów historycznych, to jest miasto zbudowane na wsi, na gruzach wsi, które komuniści zniszczyli. To

jest taka mocno interferująca przestrzeń: nakładają się na siebie te fale – industrialna i sielska. Kiedyś próbowałem sobie to opisać. Kiedy byłem w liceum taki wierszyk napisałem na temat tej dwoistej, wiejsko-miejskiej natury. Pamiętam, że próbowałem to oddać przy pomocy gry słów, zastanawiałem się, jak to miasto „zawiesić", by „zmieścić" w nim wieś.

PW: Skoro jesteśmy przy miejsko-wiejskim charakterze Huty: czy spotkał się Pan w Nowej Hucie z takimi dziwnymi profesjami jak ostrzyciel noży, kataryniarz, albo łatacz garnków? A może z jakimiś innymi?

BZ: Mnie zawsze fascynował zawód suwnicowej. Suwnicowa jest dla mnie w ogóle jakimś kolejnym mitem. To jest taka dwoista mitologia, bo suwnicowa to jest ktoś, kto się wydaje być bardzo bliski materii, czyli tej alchemicznej „materii pierwszej", wytop żelaza to jest dla mnie trochę taki proces alchemiczny. Jednocześnie suwnicowa kojarzy mi się z fruwaniem w kabinie nad szarymi robotnikami, takie trochę anielstwo. Anna Walentynowicz – ta skłócona z Wałęsą, bo autentyczna, niepokorna antykomunistka – była właśnie suwnicową.

PW: A czy kiedykolwiek przytrafiło się Panu, że zapukał ktoś do drzwi i mówi, że ostrzy noże, albo coś w tym rodzaju?

BZ: To już raczej zanikło. Czasami słyszy się inny głos (*i tutaj Pan Bogdan demonstruje swoje możliwości wokalne*) „Kartooooooooofle. Kartooooooooofle sprzedaję". Z taką charakterystyczną intonacją, z tym przedłużonym „o". Wędrowni, osiedlowi sprzedawcy ziemniaków! Mam wrażenie, że ta ich intonacja się nie zmienia, ona jest chyba przekazywana z pokolenia na pokolenie. Słyszę ten sam głos od dawna, pamiętam go jeszcze z końcówki lat 60. Nie wiem, czy to przetrwa, czy przetrwają ci kartoflani komiwojażerowie w Unii Europejskiej, czy będzie nadal możliwe takie sprzedawanie na osiedlach.

PW: W Nowej Hucie mieszkają obcokrajowcy: Grecy, Romowie. Czy miał Pan z nimi styczność?

BZ: Miałem nauczyciela Macedończyka. Nauczyciela WF-u w XII LO. Nazywaliśmy go „Dżordż". On był chyba uchodźcą z Grecji, z końcówki lat 60., po puczu pułkowników. Do końca nie jestem jednak pewien, jak to się rozgrywało w jego przypadku. Pamiętam, że on nieźle mówił po polsku, ale z takim wyraźnym akcentem. Nazywał się, jeśli dobrze pamiętam, Georgi Taszewski. On był dosyć niewysoki, ale był bardzo taki żylasty i bardzo sprawny fizycznie, jak to nauczyciel WF-u. Pokazywał nam nawet kiedyś jakieś wycinki prasowe ze swoimi sukcesami gimnastycznymi w młodości. My jednak – durni licealiści – niestety nie traktowaliśmy go poważnie. Może dlatego, że jak coś mówił, to tak śmiesznie zmiękczał. Pamiętam do dzisiaj jak powtarzał na każdym kroku:

„Musiś bić gibki"

(*śmiech)*. To dziwne, że teraz staje mi przed oczyma właśnie ta postać.

PW: Pamięta Pan jeszcze jakąś charakterystyczną nowohucką postać, jakąś twarz, która zapadła Panu w pamięć?

BZ: O, tak! Twarz woźnego z XII LO – pana Witolda Lustiga. Bardzo charakterystyczna postać, twarz rzeczywiście charyzmatyczna, trudno powiedzieć – twarz brzydka, bo to była taka brzydota, w której już tej brzydoty nie było. Są takie twarze, które są tak brzydkie, że aż monumentalne po prostu. Bardzo długa, duża głowa, na potężnym ciele. On był szczupły, ale miał około dwóch metrów wzrostu. No, po prostu: „freak". Ciężko mi znaleźć w ogóle słowo po polsku. Człowiek, który miał swój świat, po prostu.

PW: Przezywaliście go jakoś?

BZ: Nie, nie, mówiliśmy Lustig. Mieliśmy taką bardzo dystyngowaną panią dyrektor w XII LO. Pani Pydzińska była zawsze elegancko ubrana, dbała nie tylko o swój wygląd, charakteryzowała się także ogromną kulturą osobistą. I do tego Pana Witolda, który był takim właśnie trochę pośmiewiskiem nas, uczniów (no, bo był rzeczywiście dziwny w zachowaniach, dziwny z wyglądu i dziwny w tym, co mówił, porozumiewał się właściwie tylko równoważnikami zdań) pani Pydzińska z pełną atencją zawsze się

zwracała: „Panie Witoldzie, co tam u Pana słychać?”. Zawsze się interesowała jego losem, jego życiem i w pewnym momencie byliśmy świadkami takiej sceny, że Pan Witold poprosił ją tak publicznie, na korytarzu, o 3 dni wolnego. Pani Dyrektor wyraźnie zaskoczona, bardzo się zainteresowała, dlaczego akurat 3 dni? No i Pan Witold wypalił: „Bo ja mam imieniny” (*śmiech*). To takie zabawne nie jest, jeśli się tej postaci nie znało, bo w gruncie rzeczy zdarzają się trzydniówki, prawda? Tylko że to było tak odklejone w ogóle od postaci Witolda Lustiga, jaką znaliśmy! Wydawało nam się, że to była zupełnie nietowarzyska osoba, że on na pewno nie ma żadnych kolegów, że to jakiś odludek i *outsider*, a tu się nagle okazało, że on gdzieś tam pokątnie musi prowadzić jakieś ożywione życie towarzyskie, skoro potrzebował 3 dni na swoje imieniny.

PW: A inne twarze – słynnych ludzi?

BZ: W liceum straszyła mnie twarz Bolesława Bieruta, bo codziennie, kiedy przychodziłem do szkoły, był taki obowiązek zmiany obuwia, no i siłą rzeczy nad tą młodzieżą, która zmieniała obuwie, czuwał i królował towarzysz-prezydent Bolesław Bierut z takiego postumentu. Z kolei w Szkole Podstawowej nr 85 to była twarz Jana Kochanowskiego, ze słynnego portretu renesansowego. I też ta twarz dominuje nad moim dzieciństwem, może dlatego, że to są takie powtarzalne sytuacje. Codziennie przez osiem lat wita Cię rano charakterystyczny brodacz, a później przez następne cztery charakterystyczny wąsacz. I tak już w człowieku zostają. Na zawsze. To jednak były oblicza jakoś mi narzucone. Natomiast sam natrafiłem i podążyłem za innym nowohuckim obliczem. Bogusław Schaeffer! Jak się dowiedziałem, mieszkał na os. Kolorowym. To jest człowiek teatru i jednocześnie muzyk, kompozytor, bardzo taki awangardowy. Ja się jakby trochę wychowałem na jego estetyce, tzn. czytałem dużo jego książek dotyczących teorii muzyki współczesnej, uczyłem się na jego książkach. No i to też jest taka bardzo charakterystyczna twarz. Mam ją nawet tu gdzieś na portretach.

Pan Bogdan wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił ze stosem książek. Na jednej z nich, na okładce, widniała twarz Bogusława Schaeffera, „brodatego mędrca”, w innej – zdjęcie na którym przechadza się on alejkami os. Kolorowego.

BZ: Jedna z najwybitniejszych postaci XX w. w Polsce. Bardzo cenię jego podejście do muzyki współczesnej, bo on jest bardzo otwarty na wszelkie nowe formy i właściwie spopularyzował takich awangardowych kompozytorów.

PW: A gdyby się pokusić i stworzyć portret pamięciowy Nowej Huty, to byłaby to kobieta, czy mężczyzna?

BZ: Myślę, że byłaby to postać androgyniczna: kobieto-mężczyzna. Taki Ginandro – postać, którą sobie wymyśliłem, połączenie Wandy i Chrystusa. Tak to sobie jakoś widzę. Nowa Huta w sensie rodzaju gramatycznego powinna być kobietą, ale dla mnie to jest takie miejsce, które stanowi pewną jedność treści i formy i jest to taki właśnie trochę człowiek kosmiczny, czyli łączący ze sobą sprzeczności. A jeśli łączący sprzeczności, to na pewno też łączący płcie. No i to jest trochę taka alchemiczna postać.

PW: Jak taki Ginandro wygląda?

BZ: Przeglądałem trochę takich tekstów alchemicznych, bogato ilustrowanych, i tak sobie wyobrażam, że to byłby taki człowiek kosmiczny. Tzn. przepołowiony, zawierający, jak mówię, dwie płcie, jedna połowa twarzy brodata, druga połowa twarzy – gładka. Jedna część głowy łysa, druga z długimi włosami, zupełnie taka właśnie asymetryczna. Myślę, że tu by się zawierały właśnie te przeciwieństwa między szorstkością tego miejsca, niepokornością, niemożnością wtłoczenia w jakieś ramy, a z drugiej strony subtelnością, delikatnością, a także kulturą. Jedna część księżycowa, niepojęta, a druga jasna, łagodna. Poza tym myślę, że ta gładka strona mogłaby być złota.

PW: Dlaczego?

BZ: Żeby była jak najdalej od tego żywiołu natury, żeby to była jakaś maska, po prostu. Ale nie maska nałożona na twarz, a twarz pomalowana na złoto, czyli coś co jednocześnie jest i naturalne, i sztuczne. Zachowuje naturalne rysy, a jednocześnie jest pokryta złotą farbą, która odrealnia ten wizerunek.

PW: A jak taka Nowa Huta-Ginandro jest ubrany?

BZ: Myślę, że jest nagi/naga (*śmiech*).

PW: I taka jest Nowa Huta tak?

BZ: Tak. Wszystko jest tutaj na wierzchu. Ciężko jest tutaj coś ukryć. Myślę nawet, że jeżeli ktoś coś tutaj ukrywa, to po pewnym czasie i tak to wychodzi na wierzch. Prawda zawsze jak oliwa na wierzch wypływa. Myślę, że to jest dobre, bo z jednej strony jest potencjał szczerości w tej wykreowanej przeze mnie osobie, no a z drugiej strony żyjemy w epoce Big Brotherów i w sumie nie ma się co oszukiwać. I tak niedługo będziemy żyli w takim świecie, gdzie już niczego o sobie nie będzie można ukryć.

PW: A ma coś charakterystycznego? Dzierży coś np. w dłoni?

BZ: Pierwsze skojarzenie miałem z koroną właśnie, ale myślę, że nie trzeba tutaj korony żadnej na głowie. Myślę, że jest raczej dążenie do pewnej nagości i nie przykrywania niczego niczym. Jest to tak dziwna postać i tak odrealniona poprzez skontaminowanie tych dwóch płci, że już nie trzeba tutaj żadnych dodatkowych rekwizytów, ubrań, strojów, nie trzeba berła, nie trzeba korony. Myślę, że ta postać sama w sobie dużo mówi. Jeśli by się chciało ją jakoś wzbogacić, no to może niech będzie tak, że ta twarz zarośnięta niech będzie młoda, a ta twarz złota i gładka niech będzie stara. Połączenie młodości ze starością. Młody mężczyzna i stara kobieta. Jedno z drugim, jedno w drugim.

PW: Nowa Huta to…

BZ: … to wszystko. Wszystko jedno! Jedno!

Zdjęcia Bogdana Zalewskiego i Piotra Wołkowskiego wykonano na Łąkach Nowohuckich

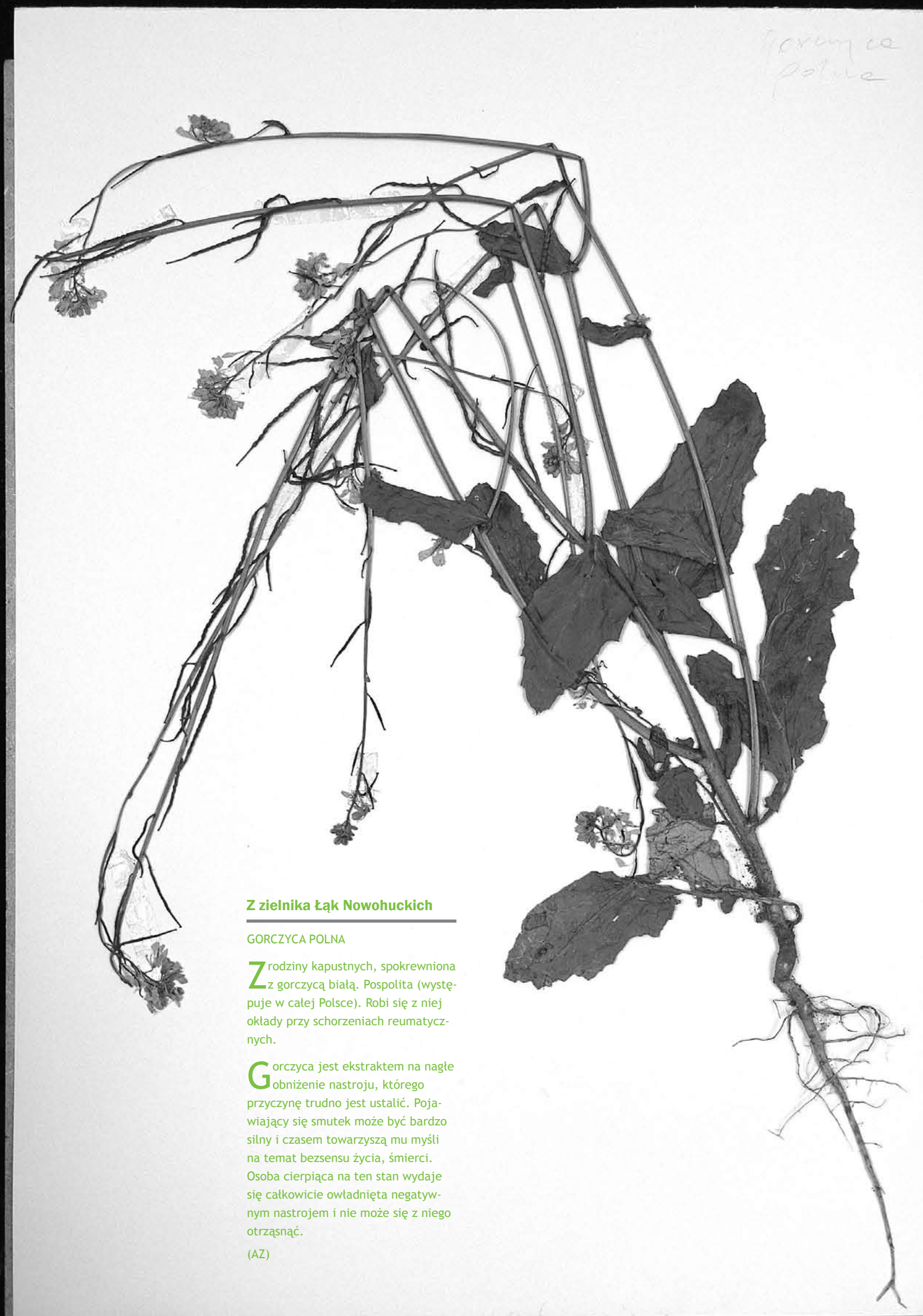

Z zielnika Łąk Nowohuckich

GORCZYCA POLNA

Z rodziny kapustnych, spokrewniona z gorczycą białą. Pospolita (występuje w całej Polsce). Robi się z niej okłady przy schorzeniach reumatycznych.

Gorczyca jest ekstraktem na nagłe obniżenie nastroju, którego przyczynę trudno jest ustalić. Pojawiający się smutek może być bardzo silny i czasem towarzyszą mu myśli na temat bezsensu życia, śmierci. Osoba cierpiąca na ten stan wydaje się całkowicie owładnięta negatywnym nastrojem i nie może się z niego otrząsnąć.

(AZ)

Z zielnika Łąk Nowohuckich

RUTEWKA WĄSKOLISTNA

(AZ)

biogramy

biogramy uczestników projektu

nowa_huta relacje teksty forma rtf

fot. Marcin Klag

Aleksandra Ziemba

Autoportret farbami Oli o niej samej (van Gogha niestety nie pobiję)

Gazeta, dzięki której dowiedziałam się o projekcie r.t.f. jest już dawno przetworzona, szkoda. Dziś chętnie oprawiłabym ją w ramki i podpisała „WINNA". Bo wszystko, co działo się od ponad pół roku, związane z pisaniem książki, jest jej zasługą.

Piszę o przedmiocie, zamiast o ludziach, którym przecież najwięcej zawdzięczam. To strach (uczucie, które towarzyszyło mi na początku każdego wywiadu). Boję się, że pominęłabym kogoś zasługi, a najbardziej boję się o Ciebie czytelniku, bo Ty musiałbyś męczyć swe oczy, czytając dłuuuugą listę.

Jestem najmłodszą dokumentalistką i pochodzę z NH. Lubię: spać, jeść słodycze (dlatego wyglądam, jak wyglądam), czytać (Fakt i SE najlepsze dla mnie gazetki, ponieważ mają dużo obrazków), słuchać muzyki (teraz nastąpi reklama mojego ulubionego zespołu – „Tworzywo Sztuczne"), szaleć (to lubi każdy), patrzeć (zmysł wzroku to najpiękniejszy dar). Kocham: rodzinę i ludzi, którymi się otaczam, bo dzięki nim chce się rano wstawać z łóżka.

Mój wkład w *Księgę Uwolnionych Tekstów* to wywiad z Panem Waldemarem i Panem Lechem, oraz Zielnik. Zachęcam do przeczytania (teraz reklamuję siebie) całej książki (teraz już lepiej wygląda, bo reklamuję wszystkich, którzy włożyli pracę w tworzenie tej *Księgi*).

Mam nadzieję, że któreś ze stron Księgi powstały dzięki przetworzeniu mojej Winnej Gazety.

fot. Marcin Klag

Antoni Łapajerski

Nazywam się Antoni Łapajerski. Urodziłem się w roku, w którym zmarł Stalin. Ja, facet z Podgórza, z Nową Hutą związałem się przez małżeństwo. W 1976 roku ożeniłem się z najpiękniejszą dziewczyną z Nowej Huty – i już tu zostałem. Mam trójkę wspaniałych dzieci i kochanego wnuka. Pomimo że mieszkam w bloku, jestem właścicielem małego „zwierzyńca": psa i dwóch kotów.

Przez wiele lat marzyłem o mieszkaniu w centrum Krakowa, ale do dziś marzenie się nie ziściło, więc Hutę staram się polubić. Dopiero od niedawna uświadomiłem sobie, że życie w tej dzielnicy może mieć też swoje uroki.

Tu poczułem się odkrywcą. Odkryłem coś, co już wcześniej mnie fascynowało i nie sądziłem, że przetrwało w tym miejscu w takiej ilości. Są to stare, niekiedy zabytkowe kapliczki i drewniane kościółki. Z czasem zacząłem zwracać uwagę również na drewniane domy. Dostrzegłem ten fenomen Nowej Huty – dawna podmiejska i wiejska zabudowa nie dała się w całości wyprzeć nowym blokom. Obecnie penetruję zakątki dzielnicy w poszukiwaniu dalszych kapliczek i nie rozebranych jeszcze, starych domów. Fotografuję te obiekty i spisuję opowieści starszych mieszkańców o historii ich powstania. Pochłonięty tą pasją, uwieczniam wszystko na swojej stronie internetowej „Nowa Huta mniej znana".

fot. Marcin Klag

Basia Rostek

Przyszłam na świat wśród tulipanów i topoli
w hutniczej stalowej woli
matyldą zwać się miałam, lecz bajką o krowie matyldzie
żywot swój uratowałam
jako córka rybaka często wsiadam do kajaka
nie jestem espanolką, ale kto wie?
gdybym nie była polką?
pałam bowiem miłością wielką do tego języka
choć czasem mi buzię zamyka
zielone me pragnienia wychodzą czasem z cienia
szpinak, bób, brokuły – sezonowo mam skrupuły
gdy impulsy i emocje górą
świat widzę za (różową) chmurą
droga dla mnie jest już celem
więc wyruszam w nią z precelem
czasem zaplączą się sznurowadła
wpadnę w wiejskie me mokradła
siadam, patrzę wtedy w gwiazdy
a w sercu mam syna gazdy
czuję słucham obserwuję
w tym radość swą odnajduję

fot. Marcin Klag

Jacek Dargiewicz

Urodził się 10 stycznia 1982 roku w Nowej Hucie, kawaler. Pierwsze kroki ku karierze postawił już po 12 miesiącach życia. Swe zdolności rozwijał później w przedszkolu nr 99 na os. Stalowym. Umiejętności i wiedza nabyta w przedszkolu otworzyła mu drogę do elitarnej Szkoły Podstawowej nr 37. Tam już zauważyć można było jego zainteresowanie drugim człowiekiem (szczególnie na klasówkach z fizyki). W podstawówce zabłysnął jako aktor na scenie teatru szkolnego w niezapomnianej roli księcia w przedstawieniu „Księżniczka na ziarnku grochu" (później epizodyczne role żołnierza SS oraz Wermachtu, alumna i księdza). Naukę kontynuował w XVI Liceum Ogólnokształcącym w Nowej Hucie. Po maturze czekał rok, aż otworzą jego upragniony kierunek – socjologię na AGH (w tym czasie uczył reklamować się i negocjować w studium reklamy). Na studiach jego zainteresowanie drugim człowiekiem ciągle wzrastało (zwłaszcza w czasie sesji), dlatego zgłosił się do projektu nowa_huta.rtf. W trakcie studiów odbył służbę wojskową w Wyższej Szkole Oficerskiej we Wrocławiu (kapral podchorąży rezerwy). W wolnych chwilach chodzi po górach i uprawia wspinaczkę skałkową, pływa. Lubi podróżować po świecie (ostania podróż: Sucha Hora na Słowacji, cel: zakupy). Mimo że w Nowej Hucie mieszka od urodzenia, dopiero projekt nowa_huta.rtf zwrócił mu uwagę na niepowtarzalność tego miejsca (bo gdzie jeszcze można znaleźć restaurację taką, jak „Stylowa", w której z szafy grającej płyną dźwięki Massive Attack?).

fot. Marcin Klag

Piotrek Wołkowski

– Abyś tylko nie opuściła żadnego detalu – powiedział Oliveira.

– Och, ogólne wrażenie wystarczy – powiedział Gregorovius.

*– Ogólne wrażenie nie istnieje – powiedział Oliveira.**

Piotr Wołkowski

Tendencja do ubierania się na granatowo i w paski (a Gośka mówi, że wcale nie, że miodowy sztruks i brązy)

Wiek: 22 lata

Nazwisko panieńskie: Nie dotyczy

Zawód: studiuje na AGH, choć od 3 lat uparcie twierdzi, że rzuca studia – widać nie jest człowiekiem upartym

Kraj, z którego pochodzi: Polska. Urodził się w Krakowie, ale lubi dawać do zrozumienia, że jest z Nowej Huty

Zainteresowania: Zmienne (jak to u bliźniaków)

Stosunek do służby wojskowej: Nijaki

Na pytanie „czy prowadzi pan działalność terrorystyczną, tudzież wywrotową" we wszelkiego rodzaju wnioskach wizowych odpowiada – NIE

Uwielbia prozę iberoamerykańską, a także Kapuścińskiego, Hrabala i Saramago, stare kościoły i małe kina, pizze i arbuzy. W przyszłości chciałby zostać operatorem suwnicy i z pomocą przyjaciół założyć knajpę w schronie przeciwatomowym

Cytat pochodzi z „Gry w klasy" Cortazara (Rozdział 15, str. 61, Kolekcja Gazety Wyborczej). Całość inspirowana rozdziałem 65

fot. Marcin Klag

Ewa Dębska

Urodziła i wychowała się w Stalowej Woli. Tam też spędziła najpiękniejsze chwile swojej młodości. Po ukończeniu szkoły średniej ślepy los rzucił ją w ramiona starego Krakowa. Wyrabiając 163% normy szybko zyskała uznanie w oczach przełożonych, co zaowocowało odznaczeniem przodowniczki pracy stopnia drugiego. Sama o sobie mówi – miłośniczka pierogów ruskich i galaretek w cukrze. Na podobieństwo warszawskich kucharek nosi przykrótką grzywkę. W chwilach wolnych od pracy utrwala ulotne momenty za pomocą słów i obrazów. Lubi długie spacery wzdłuż morza, dobre zagraniczne kino oraz sobotnie dancingi z przyjaciółmi. O sobie pisze w trzeciej osobie, ponieważ nieprzerwanie od 23 lat podejmuje heroiczne próby zachowania dystansu do samej siebie.

fot. Monika Szmyt

Anna Miodyńska

Dziecko w teatrze budowy to widz najlepszy z możliwych. To widz, który rośnie z rosnącym miastem, chłonie dostojny ruch koparki, otwiera usta i wytrzeszcza oczy, gdy ramię dźwigu zaczepia o chmurę. Dziecko w teatrze budowy kaleczy dłonie szklaną watą i odciska stopę w niezwiązanym betonie. Ono ryzykuje lanie w domu i obelgi stróżów i robotników. Ono nie chce klocków, bo blado wypadają przy ścianie z cegieł, która wyrosła od wczoraj. Dziecko w teatrze budowy nie chce też siedzieć w domu ani w szkole, chce widzieć, dotykać i czuć materię. I broń Boże nie przeoczyć zasypania wykopu czy ułożenia dachu. Ono jest widzem doskonałym, który ten spektakl będzie nosił w sobie całe życie jak małe dynamo w mózgu.

Teatrem była budowa Nowej Huty. Widzami – my, dzieci urodzone na fali „baby boomu" przełomu lat 50. i 60.

fot. Marcin Klag

Sebastian Wacięga

Rodowity Krakowianin – niemowlęctwo spędziłem na Azorach, czas przedszkolny na osiedlu Podwawelskim, by w wieku męskim osiąść na granicy między sypialnią Krakowa – Kurdwanowem, a Piaskami Nowymi, gdzie pobierałem szkolne nauki, robiłem rowerowe wyprawy moim różowym, komunijnym Wigry3 i poznałem smak młodego, jabłkowego wina. Ostatnio poszerzyłem swoją prywatną mapę miasta o Nową Hutę.

Lubię przygodę odkrywania i poznawania nowych miejsc. Nie trzeba jechać do Afryki lub na Borneo, żeby to robić. Można poznawać świat przez swoją najbliższą okolicę. Można wsiąść na rower i wybrać się na przykład do Nowej Huty, żeby poszukać atomowych schronów, czy odwiedzić tonący w zieleni dworek Matejki. Albo przechodząc codzienną, utartą drogą wystarczy tylko zwolnić krok, podnieść głowę i rozglądnąć się dokoła trochę uważniej…

„Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli
Jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną
W ogrodzie świata byśmy zobaczyli."

*Cz. Miłosz „Nadzieja"

fot. Marcin Klag

Łucja Piekarska-Duraj

Mam szczęście, że zawodowo zajmuję się tym, co lubię: podejmuję próby zrozumienia i interpretacji świata, bo on mnie ciekawi. To zajęcie nazywa się antropologią społeczną. Jednak nie bardzo mnie satysfakcjonuje aktywność gabinetowo-biblioteczna i dlatego chętnie biorę udział w działaniach, które są ważne nie tylko dla ludzi związanych z teorią. W MIKu współtworzę projekty związane z obiegiem kultury, a zwłaszcza dziedzictwa.

Obawiam się, że dawno temu w Nowej Hucie mówiono by na mnie bumelant, ale czuję się jednak użyteczna.

Nie jestem zbyt dobra w opowiadaniu dowcipów, ale radość moich kolegów wzbudza zadawanie mi pytania „co to jest tekst". Spotkanie z Nową Hutą jest dla mnie pełne wielu odkryć i inspiracji, zwłaszcza cieszę się z możliwości pracy z wyjątkowymi ludźmi (szacunek dla Was!). Szukałam w Nowej Hucie plaży pod brukiem, a znalazłam znacznie więcej, mimo, że wcześniej, przez trzydzieści lat krakowskiego życia, byłam tam z pięć razy. Co więcej, utwierdziłam się w przekonaniu, że trzeba być realistą i żądać niemożliwego.

Awracając do moich ulubionych interpretacji świata, to lubię zwłaszcza dwie: mojego pięcioletniego syna (bo liczą się w niej logika i prostota) oraz mojego męża (bo robi piękne filmy i fotografie).

fot. Marcin Klag

Antoni Bartosz

Ur. 1961 r. Pochodzenie chłopskie. Mediewista. Przekonany, że kultura jest jak tlen (nie nadwerężył tego doktorat nauk humanistycznych na uniwersytecie Paris IV na Sorbonie). W czasie wolnym – wielbiciel otwartych przestrzeni: boisk, klepisk, placów, polan; w czasie mniej wolnym – dyrektor Małopolskiego Instytutu Kultury.

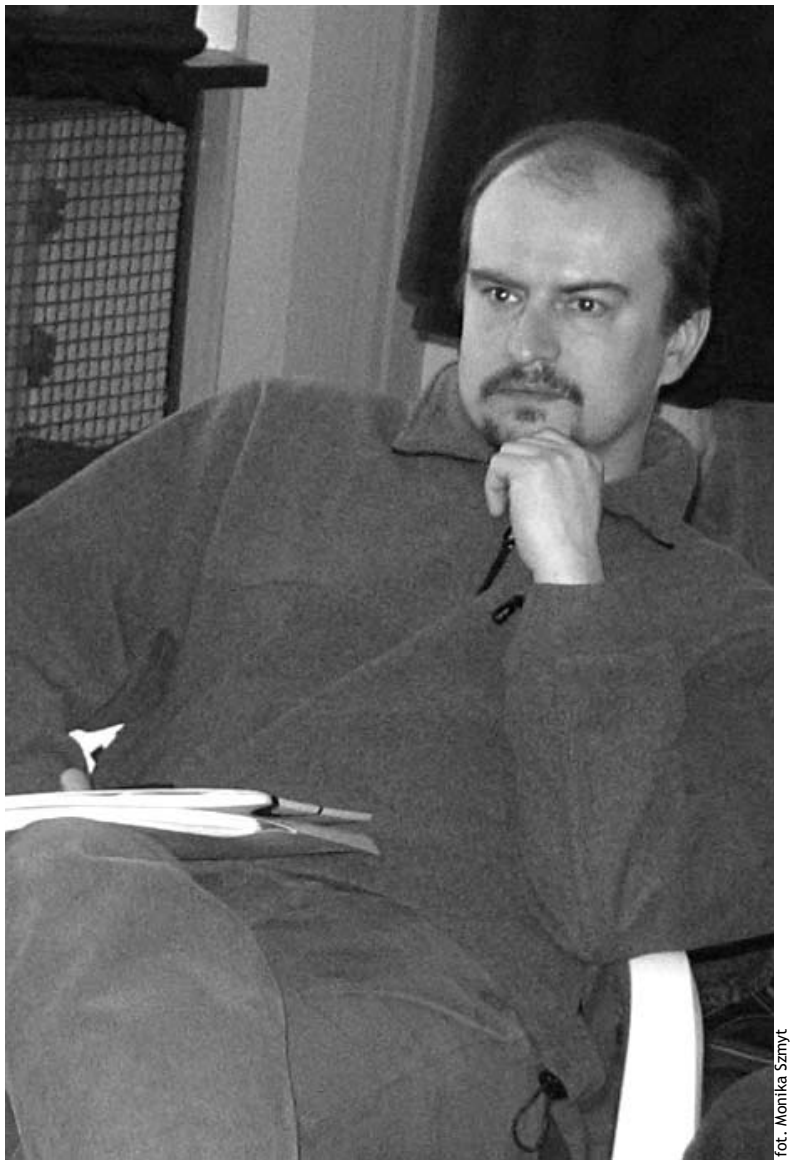

fot. Monika Szmyt

Andrzej Bukowski

Dr Andrzej Bukowski, adiunkt w Instytucie Socjologii UJ, jest absolwentem socjologii (1989) Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktorat z socjologii uzyskał w 1999 roku w Instytucie Socjologii UJ. Od 1989 roku jest zatrudniony w Zakładzie Socjologii Norm i Organizacji. Zajmuje się problematyką samorządności, demokracji lokalnej i społeczeństwa obywatelskiego. Ostatnio prowadzi badania nad społeczno-kulturowymi uwarunkowaniami rozwoju regionalnego w Europie Środkowo-Wschodniej. Od 1991 roku jest przedstawicielem młodszych pracowników nauki w Radzie Instytutu Socjologii. Wolne chwile poświęca rodzinie, podróżom (zwłaszcza po Krakowie i okolicach) oraz dobrej lekturze (w tym ulubionej, współczesnej prozie amerykańskiej, szczególnie prozie Johna Updika, Johna Irvinga, Henry Millera, Władymira Nabokova i Philipa Rotha).

fot. Marcin Klag

Maciej Miezian

Historyk sztuki, publicysta; beznadziejnie zakochany w Nowej Hucie, którą uważa za najpiękniejszą część Krakowa. Swoim poglądom dawał upust na antenie radiowej i telewizyjnej oraz w licznych publikacjach (m.in. *Nie od razu Nową Hutę zbudowano*, Kraków 2002, czy cyklicznych felietonach ukazujących się w „Głosie – tygodniku nowohuckim"). Przez kilka lat był kustoszem w dworku Jana Matejki w Krzesławicach oraz pracownikiem Zespołu ds. Powołania Muzeum Nowej Huty i HTS. Obecnie jest pracownikiem nowohuckiego oddziału Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

fot. Marcin Klag

Monika Szmyt

Rozmyślnie mówię o sobie, że jestem „pyrą” w pełni poznańską, historykiem sztuki i miłośniczką chińszczyzny. Od niedawna też piewczynią uroków Małopolski oraz współpracownikiem Małopolskiego Instytutu Kultury, gdzie uczestniczę w realizacji projektów kulturowych.

Tym, co zajmuje mnie szczególnie, jest moment dokonywania się zmiany i punkty zwrotne w postawach ludzi, ich poglądach, w kulturach. Dlatego z zapartym tchem śledzę zmiany, jakie w postrzeganiu miejsca zaczęła wnosić praca Zespołu nowa_huta.rtf.

Fascynację przełomami przekładam także „historyczno-sztucznie” na interpretacje procesów zachodzących we współczesnej sztuce Chin.
Od dłuższego czasu pielęgnuję entuzjazm do użyźniającego efektu zmiany.

Porywają mnie „żywiołowe” sporty wodne oraz efektywne sposoby działania na zmysł smaku.
A Nowa Huta? Lubię to miejsce.

fot. Monika Szmyt

Marcin Klag

Mam 33 lata i jestem o 8 miesięcy młodszy od Lance’a Armstronga. Przez 27 lat w moim rodzinnym domu słyszałem hejnał mariacki, dzwony kościoła oo. Kapucynów oraz dzwonek na lekcje w mojej podstawówce i liceum. Skończyłem krakowską ASP, Wydział Form Przemysłowych, też w sąsiedztwie.

Nowa Huta była dla mnie w okresie dzieciństwa odległym regionem, który był ciągle budowany i aby tam dotrzeć pędziło się rozbujanym tramwajem przez puste, proste tory. Najmocniejszym wspomnieniem o tamtych „terenach” dla mnie jest uroczystość pierwszej komunii mojego kuzyna na placu budowy Arki Pana. Dlatego z zaskoczeniem teraz mówię „stara Nowa Huta”.

Obecnie, pracuję w Małopolskim Instytucie Kultury w Krakowie, gdzie współtworzę kwartalnik „autoportret – pismo o dobrej przestrzeni”, a także biorę udział w tworzeniu i realizacji projektów kulturowych. Współpracuję również z redakcją miesięcznika rowerowego „bikeBoard” od samego początku jego istnienia, bo lubię jeździć na rowerze.

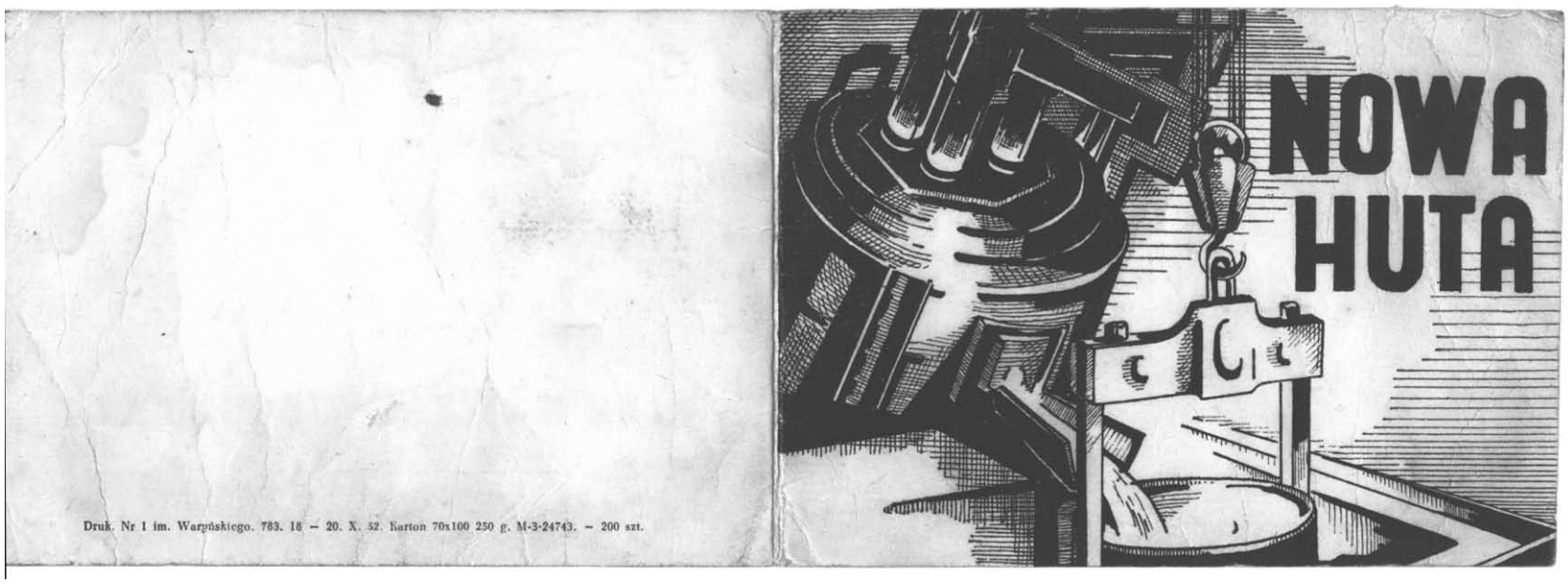

Druk. Nr 1 im. Warpińskiego. 783. 18 – 20. X. 52. Karton 70x100 250 g. M-3-24743. – 200 szt.

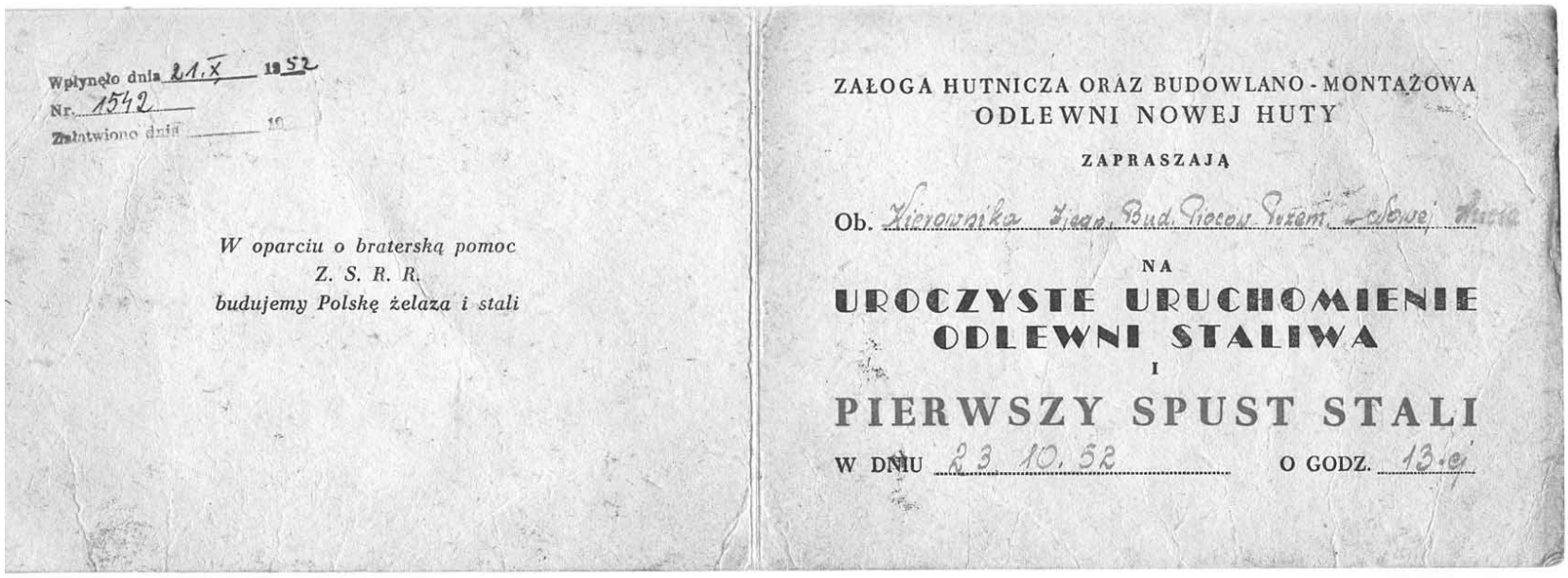

Wpłynęło dnia 21.X 1952
Nr. 1542
Załatwiono dnia _____ 19

W oparciu o braterską pomoc
Z. S. R. R.
budujemy Polskę żelaza i stali

ZAŁOGA HUTNICZA ORAZ BUDOWLANO-MONTAŻOWA
ODLEWNI NOWEJ HUTY

ZAPRASZAJĄ

Ob. Kierownika Zjedn. Bud. Pieców Przem. w Nowej Hucie

NA

UROCZYSTE URUCHOMIENIE ODLEWNI STALIWA

I

PIERWSZY SPUST STALI

W DNIU 23.10.52 O GODZ. 13-ej

Ze zbiorów

Marka Sosenki

O projekcie

Dobre miejsce, to takie, które darzy się przyjaźnią. Nowa Huta warta jest tego, by ją przyjaźnią obdarzyć: ma niezwykłą genezę, wyrazistą przestrzeń, energię społeczną. Potrzebuje też pilnie określić się na nowo: już nie przemysłowa, więc jaka?

Nowe znaczenia swojemu miejscu muszą nadać mieszkańcy.
Niezbędne jest tu jednak zaproszenie, poważne i ciekawe.

Projekt „nowa_huta.rtf (relacje, teksty, forma)" jest poszukiwaniem takiej właśnie metody. W projekcie tym wszystko jest eksperymentem, angażującym tych, którzy Nową Hutę budowali, tych, którzy razem z miastem wzrastali, tych wreszcie, którzy je odziedziczyli.

Podążamy trzema ścieżkami:

1. „Ikony Nowej Huty" – czyli jak wypracować współczesne wizytówki miejsca? Próbą odpowiedzi jest Księga Uwolnionych Tekstów oraz nowe plakaty dla Nowej Huty. I Księga, i plakaty powstawały z udziałem mieszkańców. Będą też przedmiotem społecznej debaty.

2. „Temat na Willowym" – czyli jak uruchomić dyskusję o zagospodarowaniu placu na Osiedlu Willowym, pierwszym rynku Nowej Huty? Zaaranżowaliśmy na nim kawiarenkę działającą we wszystkie niedziele maja i czerwca 2005. Spotkaniom towarzyszyła specjalnie przygotowywana gazetka. W wyniku forum powstał raport dla Miasta Kraków wyrażający opinię mieszkańców w kwestii rewitalizacji placu. Przygotowywane są też inne działania zainspirowane rozmowami.

3. „Bagaż odnaleziony" – czyli jaką lekcję niosą dla nas doświadczenia pionierów Nowej Huty? Większość spośród budujących dzielnicę ma swe korzenie w społecznościach wiejskich i małomiasteczkowych. Co stracili, a co zyskali, porzucając swą pierwszą ojczyznę? Owocem warsztatów, w których uczestniczą seniorzy oraz ich pracy z artystami, będzie otwarta prezentacja, punkt wyjścia do szerszej refleksji.

Czas trwania przedsięwzięcia: październik 2004 – wrzesień 2006.

Więcej o całości projektu oraz o jego międzynarodowym wymiarze:
zob. **www.mik.krakow.pl** oraz **http://proxima.accr-europe.org**

Kraków, wrzesień 2005 (11. miesiąc projektu)

---

nowa_huta.rtf
relacje teksty forma

Spis słów-kluczy

Buty → Marianna Zając, Waldemar Cichy, Marcin Kostera, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

Błoto → Ewa Kaproń, Marianna Zając, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

Atomowy → Bogdan Zalewski, Waldemar Cichy

Cegły → Niki Wiecheć, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, Ewa Kaproń, Marianna Zając

Demakowa → Bogdan Zalewski, Lech Miodyński

Gitara → Augustyn Mirga, Niki Wiecheć, Lech Miodyński

Konie → Mateusz Kardas, Marianna Zając, pp. Skomorowscy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec

Awans → Lech Miodyński, Bogdan Zalewski

Dworzec → Lech Miodyński, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy

Papież → Ewa Kaproń, Bogumił Godfrejow, Waldemar Cichy

Rozpacz → Mateusz Kardas, Marianna Zając, Roma Piejko

Sąsiedzi → Niki Wiecheć, Bogumił Godfrejow, Augustyn Mirga, Ewa Kaproń, Marianna Zając, Marcin Kostera, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Waldemar Cichy, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy

Tramwaj → Waldemar Cichy, Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Augustyn Mirga, Lech Miodyński, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Hania Tucznio, Marcin Kostera

Zegar → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Piotr Wołkowski, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Marcin Kostera

Żużel → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Ewa Kaproń, pp. Skomorowscy

Majakowskiego → Bogumił Godfrejow, Bogdan Zalewski, Ewa Kaproń

Strach → pp. Skomorowscy, Bogdan Zalewski, Waldemar Cichy, Bożena Kutrzeba-Nikiel

Pamiętać → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Roma Piejko, Lech Miodyński, Niki Wiecheć, pp. Skomorowscy, Hania Tucznio, Marianna Zając

Ucieczka → Waldemar Cichy, Augustyn Mirga, Franciszek Szafraniec, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń, Marianna Zając

Plac zabaw → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Bogumił Godfrejow

Rower → Lech Miodyński, Waldemar Cichy, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, pp. Skomorowscy, Ewa Kaproń

Demoralizacja → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, Ewa Kaproń

Walka → Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Marcin Kostera, Ewa Kaproń, Bożena Kutrzeba-Nikiel, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Roma Piejko, Marianna Zając

Komitet → Bożena Kutrzeba-Nikiel, Ewa Kaproń, Bogumił Godfrejow

Ryby → Mateusz Kardas, Ewa Kaproń, Bożena, Kutrzeba-Nikiel

Szansa → Hania Tucznio, Roma Piejko, Bożena Kutrzeba-Nikiel

Sens → Roma Piejko, Waldemar Cichy, Bogdan Zalewski, Mateusz Kardas, Bogumił Godfrejow, Lech Miodyński

Idea → Bogdan Zalewski, Roma Piejko, Lech Miodyński

Ziemia → Waldemar Cichy, Mateusz Kardas, pp. Skomorowscy, Niki Wiecheć, Franciszek Szafraniec, Augustyn Mirga

Spis tekstów

4 *To nie jest zwyczajna książka*
5 *Rozmówcy*
6 *Instrukcja obsługi Księgi*
8 *Dokumenty nieoczywiste: Z zielnika Łąk Nowohuckich*
9 *Rozmowa Ewy Dębskiej z Mateuszem Kardasem*
17 *Rozmowa Piotra Wołkowskiego z Rozalią i Eugeniuszem Skomorowskimi*
26 *Dokumenty nieoczywiste: Żużel – zdjęcia Bogumiła Godfrejowa*
27 *Rozmowa Ewy Dębskiej z Bogumiłem Godfrejowem*
36 *Na tropie nowohuckich zegarów – tekst Piotra Wołkowskiego*
41 *Rozmowa Basi Rostek z Marianną Zając*
52 *Dokumenty nieoczywiste: Na święta do Nowej Huty*
53 *Rozmowa Aleksandry Ziemby z Lechem Miodyńskim*
65 *Rozmowa Jacka Dargiewicza z Niki Wiecheć*
77 *Rozmowa Aleksandry Ziemby z Waldemarem Cichym*
93 *Kapliczki i krzyże nowohuckie – tekst Antoniego Łapajerskiego*
96 *Maciej Miezian komentuje „Kapliczki”*
97 *Rozmowa Sebastiana Wacięgi z Ewą Kaproń*
111 *Rozmowa Jacka Dargiewicza z Romą Piejko*
119 *Dokumenty nieoczywiste: vlepki „Hutnika”*
121 *Rozmowa Sebastiana Wacięgi z Marcinem Kosterą*
137 *Dokumenty nieoczywiste: pamiątki kasyna HiL*
138 *Dokumenty nieoczywiste: życiorys Augustyna Mirgi*
141 *Rozmowa Anny Miodyńskiej z Augustynem Mirgą*
148 *Dokumenty nieoczywiste: Z zielnika Łąk Nowohuckich*
151 *Rozmowa Antoniego Łapajerskiego z Franciszkiem Szafrańcem*
161 *Rozmowa Basi Rostek z Bożeną Kutrzebą-Nikiel*
171 *Rozmowa Antoniego Łapajerskiego z Hanką Tucznio*
178 *Dokumenty nieoczywiste: krasnale*
179 *Rozmowa Piotra Wołkowskiego z Bogdanem Zalewskim*
206 *Dokumenty nieoczywiste: Z zielnika Łąk Nowohuckich*
208 *Biogramy uczestników projektu*
216 *Dokumenty nieoczywiste: zaproszenie na pierwszy spust stali*
217 *O projekcie*
218 *Spis słów-kluczy*
219 *Spis tekstów*

nowa_huta rtf
relacje teksty forma